



Szczęśliwe zakończenie

VERA FALSKI

nowa powieść tajemniczej autorki
Za żadne skarby





Szcześliwe Zakończenie

VERA FALSKI



OTWARTE
Kraków 2016

*Dla Taty i dla W., który towarzyszył mi w pisaniu tej książki od pierwszego do
ostatniego zdania*

ROZDZIAŁ 1

Pierwsza kulka potoczyła się po marmurowej posadzce jakby niepostrzeżenie, nie zapowiadając jeszcze nadchodzącej katastrofy. Jednak nie minęło okamgnienie, gdy grad jej towarzyszek, zabarwionych na blady odcień różu, odznaczających się najdoskonalszym stopniem połysku, zabębnił o schody wyłożone mozaiką w misterny wzór rozety.

Perły to łzy panny młodej. Amelia już na początku ich współpracy wyśmiała ten głupi przesąd i – choć nie bez trudu – wyperswadowała nowej klientce wybór pretensjonalnych cyrkonii na rzecz tych szlachetnych, jaśniejących ponadczasową elegancją wytworów mórz i oceanów. Także tym razem (czyli jak w dziewięciu przypadkach na dziesięć) narzeczona była zestresowaną, wrażliwą na presję bombardujących ją zewsząd porad i ostrzeżeń istotą, pełną obaw, rozchwianą, wciąż balansującą na linie załamania nerwowego. Miało to jednak tę zaletę, że czyniło ją podatną na rozwiązania, które z niewzruszoną pewnością nabytą podczas organizacji kilkudziesięciu uwieńczonych sukcesem wesel Amelia ordynowała aksamitnym, doskonale opanowanym głosem.

Teraz jednak przerwany gwałtownym szarpnięciem niedoszłej panny młodej sznur pereł rozsypywał się po pełnym historycznego splendoru holu osiemnastowiecznego pałacyku, a sama narzeczona, stukając obcasami ałtazowych pantofelków wykonanych ręcznie przez sędziwego tokańskiego szewca, wylewała rwący potok łez ze swych oczu o idealnym kształcie migdałów, mieniących się jedyną w swoim rodzaju barwą niezapominajek. Ludowe porzekadło objawiło swą złowieszczą moc. Oto klientka Amelii, dziedziczka imperium stolarki okiennie-drzwiowej spod Łowicza, uciekała z własnego ślubu, znacząc drogę kosztownymi perłami i kroplami najprawdziwszych łez.

– Kurwa w mordę, ja pierdołę! – Sabina w chwilach wzburzenia nie przebierała w słowach i miała gdzieś kulturę osobistą. Teraz, wściekła, walnęła pięścią w fotel. – „Jaśniejących ponadczasową elegancją wytworów mórz i oceanów”? „Wylewała ze swych oczu rwący potok łez”? Jak można tak pisać? – Obróciła się na fotelu, najbardziej ergonomicznym, jaki można było znaleźć w zasobach internetu, i sprowadzonym za ciężkie pieniądze z odległej części Europy.

Cierpiała bowiem na chroniczne bóle kręgosłupa, przypadłość dobrze znaną wielu przedstawicielom jej profesji. Próbowwała już wszystkiego. Masaże, joga zdrowych pleców, przerwy w pracy co dwie godziny na rozprostowanie stawów. Ból zagnieździł się jednak w jej kręgach na dobre. Mimo to nie dawała za wygraną. Krzesło z popartą naukowymi wywodami obietnicą producenta poza tym, że bardziej kojarzyło się z wyposażeniem centrum dowodzenia NASA niż ze zwykłym meblem, przyniosło jej pewną nadzieję. Po kilkunastu dniach od przelania absurdalnie wysokiej sumy na konto sprzedawcy trzech kurierów wtaszczyło do mieszkania Sabiny wielkie pudło i kilka mniejszych pakunków. Wystarczyło kilka godzin montażu, by w gabinecie stanęła kosmiczna

konstrukcja, rolls-royce wśród foteli ortopedycznych. Kiedy obolała pisarka usiadła na nim po raz pierwszy, zrozumiała, że jej grzbiet czekał na to doświadczenie całe życie. Po kilku tygodniach użytkowania ból może nie zniknął zupełnie, ale jakby zelżał. Zawsze coś.

Teraz jednak kobieta znowu wpadła w rozpacz. Bo niestety w kwestii, która ją dręczyła, żadne krzesło nie mogło pomóc. Desperacko szukała czegoś, czego mogłaby się uchwycić, ale widziała przed sobą tylko pustkę.

Świat czekał na szóstą powieść Sabiny, kolejną część cyklu, który niespodziewanie i w krótkim czasie uczynił z autorki najpopularniejszą pisarkę kobiecą w Polsce. Perypetie Amelii Kruk, szalonej i roztrzepanej, lecz niezwykle skutecznej organizatorki ślubów, nazywanej też w pseudoanglojęzycznej nowomowie wedding plannerką, podbiły serca czytelniczek. Każdy tom pochłaniały tysiące kobiet – w różnym wieku, rozmaitych profesji, biednych i bogatych, z dużych miast i z całkiem tych wsi i miasteczek. Sabina wiele zawdzięczała swojej bohaterce. Od czasu *Deszczu na szczęście* – pierwszej powieści, którą wiele lat temu napisała w trzy miesiące, trzęsąc się z zimna przy wyłączonych dla oszczędności kaloryferach i nerwowo popalając ohydne, drapiące w gardło papierosy, jedyne, jakie udawało jej się wcisnąć w skurczony do granic możliwości budżet – zmieniło się w jej życiu niemal wszystko.

*

Wtedy Amelia Kruk była jej kołem ratunkowym. Sabina zaczęła pisać, bo musiała zająć czymś głowę. Wiedziała, że jest już na granicy wytrzymałości i desperacko potrzebuje czegoś, co oddali od niej widmo depresji. Musiała się ratować, bo była w czarnej dupie. Z dnia na dzień z dziennikarki może nie pierwszoligowej, ale jednak z wydrukowaną na wizytówce tuż nad jej nazwiskiem dumnie brzmiącą zagraniczną nazwą redakcji, stała się osobą, która nie musi wstawać rano z łóżka, ba, może cały dzień chodzić w szlafroku, nie zwracając sobie głowy myciem włosów.

– Cięcie kosztów. Góra zdecydowała, nie dali mi nawet nic powiedzieć. – Mimo wszystko trzeba było docenić to, że naczelna zadała sobie trud, by zamarkować strapiony wyraz twarzy. Zwykle nie marnowała energii na coś tak bezproduktywnego jak współczucie. Sabina była zdruzgotana, nie mogła wykrztusić ani słowa. Jak automat spakowała kilka rzeczy z biurka. Nie żegnając się z nikim, wyszła ze świeżo wyremontowanej kamienicy, do której raptem kilka tygodni wcześniej z wielką pompą wprowadziło się jej byłe już wydawnictwo. Do godziny osiemnastej (zwykle o tej porze wychodziła z pracy) przesiadła na ławce w parku, bezmyślnie wlepiając wzrok w nieokreślony punkt przed sobą. Potem wróciła do domu.

Zrobiła bilans zysków i strat. Napisała niejeden artykuł poświęcony meandrom karier współczesnych kobiet, więc dobrze wiedziała, jakie pytania sobie zadać. „Czy miejsce, do którego doszłam zawodowo, dawało mi poczucie, że jestem królową świata?”. „Bzzzzz!”, w jej głowie

zabrzmiął sygnał złej odpowiedzi z teleturnieju. „Czy czułam, że robię coś wielkiego, a moja praca jest ważna dla ludzkości?” „Bzzzzz!” „Czy budziłam się co rano z przyjemnym łaskotaniem w brzuchu i nie mogłam się doczekać tych wszystkich ekscytujących rzeczy, które mam tego dnia do zrobienia?” Znowu „bzzzzz!”. „A może w takim razie zarabiałam bajeczną forszę?” Jeszcze jedno głośne „bzzzzz!”.

Test nie pozostawiał złudzeń, że mogłaby się zaliczyć do wąskiej kasty ludzi sukcesu, tego lepszego gatunku wywołującego u reszty mieszankę zazdrości i podziwu. Była mało znaczącym trybikiem, wyrobnikiem w fabryce produkującej banalne treści dla niezbyt zainteresowanego i traktowanego z coraz większą pogardą odbiorcy prasy drukowanej. Nigdy nie miała poczucia misji, za to jej frustracja stale rosła.

Po stronie plusów miała jednak kalendarz zapisany terminami spotkań i zadaniami do odhaczenia, swoje zabałaganione biurko z przyrośniętym do niego kubkiem kawy, codzienne wymiany – w biegu i oczywiście żartem – drobnych złośliwości z koleżankami dzielącymi tę samą redakcyjną dolę, szybkie lancze w barze za rogiem. Wreszcie najważniejsze – comiesięczny przelew. Jego kwota raczej nie mogła budzić dreszczu podniecenia, ale pozwalała od czasu do czasu na jakieś drobne, kontrolowane szaleństwo w rodzaju nowej marynareczki z sieciówki czy kremu reklamowanego przez hollywoodzką gwiazdę. Wszystko to budowało codzienność Sabiny i dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Teraz, bez żadnego ostrzeżenia, została z niczym. Do tej pory nie zetknęła się z tym problemem osobiście, ale wiedziała aż za dobrze, że tłuste lata prasy kobiecej przechodziły właśnie do historii. Bez większej wiary w powodzenie wykonała kilka rytualnych telefonów do znajomych z innych tytułów, potwierdzając jedynie swoje przypuszczenia.

– Tak mi przykro, Sabina. Jasne, popytam, ale wiesz, jak jest. Ostatnio raczej chodzą słuchy o zwolnieniach niż o nowych etatach. Popatrz, co za popieprzone czasy! No, kochana, zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem. Teraz muszę już kończyć, pa, trzymaj się! Będzie dobrze, głowa do góry!

Po każdej takiej rozmowie Sabinie jeszcze bardziej chciało się płakać, więc dość szybko dała sobie spokój.

*

Największym problemem okazało się wypełnienie czasu, który nagle rozciągnął się tak, jakby był z gumy. Na początku bezrobocia Sabina zajęła się mieszkaniem. Dość zaniedbanym, bo zabiegana do niedawna pani domu nigdy nie była pedantką. Jednak doprowadzenie do porządku trzydziestu ośmiu metrów kwadratowych nie mogło zająć więcej niż kilka dni. I na pewno nie było czymś, co można uznać za solidny fundament nowego życia.

– A może mogłabyś uczyć w szkole? – Andrzej, mąż Sabiny, podsuwał w dobrej wierze coraz to gorsze rozwiązania. Jako człowiek mozolnie, acz cierpliwie pnący się po szczeblach kariery urzędniczej od zawsze wierzył tylko w budżetówkę. Sabina zaś na samą myśl o tym, że ktoś mógłby

od niej dzień w dzień wymagać okiełznania człekokształtnych, sięgających jej do pasa istot niezdolnych do utrzymania jednowątkowej konwersacji, opadała z resztek sił. Na szczęście mąż był cały dzień w pracy, a Róża, ich jedenastoletnia wówczas córka, w szkole, a później na licznych zajęciach pozalekcyjnych. Dzięki temu przez większość czasu kobieta przynajmniej nie miała na głowie świadków swojego upadku. Wieczorne godziny, które spędzali razem, były jeszcze gorszą torturą niż te, z którymi zmagala się w samotności. Nie radziła sobie z własnymi emocjami, dlatego coraz trudniej jej przychodziło udawanie przed bliskimi, że świetnie się odnalazła w nowej sytuacji. Andrzej oczywiście próbował ją wspierać i w swojej nieporadności mógłby być nawet uznany za uroczego, gdyby Sabina była w stanie w ogóle to dostrzec. Poza tym próby dodania żonie otuchy nie mogły zagłuszyć niepodważalnej i oczywistej dla wszystkich prawdy, że na żalosnej pensji referendarza w ministerstwie długo nie pociągną.

I w końcu przyszedł ten dzień, kiedy Sabina stwierdziła, że dłużej już nie wytrzyma. Odwróciła się od okna – swojego stanowiska obserwacyjnego, przy którym spędzała długie godziny, gapiąc się bezmyślnie na świat ludzi mających prawdziwe zajęcia. Poczwała klucie w okolicach serca. Nie mogła złapać tchu.

„Gdzie jest telefon!? Co się ze mną dzieje, czy to zawał? Nie, nie mogę zadzwonić do Andrzeja, jeszcze by tu przyjechał. Więc jednak osiągnę coś niezwykłego, umierając w wieku trzydziestu pięciu lat!”, przez głowę Sabiny przebiegały chaotyczne myśli. Czwała ogarniającą ją falę paniki. Próbowała skupić na czymś wzrok. Padło na porzucony na parapecie stosik kolorowych pisemek – pakiet tytułów wydawanych przez jej byłego pracodawcę, który do niedawna dostawała co tydzień jako pracownik koncernu. O dawna zamierzała się tego pozbyć, ale codziennie coś stawało jej na przeszkodzie. Traf chciał, że na samej górze leżała gazetka o specjalistycznym tytule „Kwiaty do Ślubu”. Sabina wgapiła się w okładkę, która przedstawiała dość niekorzystnie według niej umalowaną pannę młodą, dzierzącą w dłoni absurdalnie nieporęczny bukiet skomponowany na bazie szyszek. Nie umiałaby określić, jak długo to trwało – straciła poczucie czasu, aż do momentu, kiedy zdała sobie sprawę, że oddycha miarowo.

Wtedy siadła do komputera i zaczęła pisać. Zdania wystrzeliwały spod jej palców jak serie z karabinu automatycznego. Nie wstała z miejsca, dopóki z amoku nie wyrwał jej głos męża:

– Kochanie, wysyłasz CV? Świetnie, świetnie, ale co powiesz na przerwę na kolację? Jestem głodny jak wilk. – Andrzej szczerze się ucieszył na widok żony zajętej czymś innym niż przekładanie przedmiotów z miejsca na miejsce lub robienie kolejnej tego dnia kawy. – Rany boskie, można tu powiesić siekierę. – Mężczyzna zamachał dłonią w powietrzu gęstym od dymu papierosowego. W ciągu ostatnich kilku godzin Sabina wypaliła prawie całą paczkę. Dowód zbrodni w postaci przepełnionej popielniczki z niebezpiecznie tłącą się zawartością stał przy komputerze.

*

Tak oto – zupełnie przypadkowo – zaczął się nowy rozdział (*nomen omen*) w życiu Sabiny i jej bliskich. Kiedy zaczynała pisać, przez myśl jej nie przeszło, że wywołuje właśnie rewolucję. To był jej sposób, żeby nie zwariować, zająć czymś myśli, póki nie dojdzie do siebie na tyle, by zastanowić

się, co właściwie mogłaby robić przez resztę życia. Kiedy jednak postawiła kropkę po ostatnim zdaniu tekstu liczącego prawie pięćset stron („Serio, aż tyle? Jak mi się to udało?”), pomyślała: „Właściwie czemu by tego komuś nie pokazać, w końcu wyprodukować tyle słów to nie byle co?”. Wysłała maila pierwszej osobie, która przyszła jej na myśl – poznanej kiedyś przelotnie w pracy dziewczynie z działu promocji sporego wydawnictwa. Nie spodziewała się, że trzy dni później dostanie odpowiedź:

Pani Sabino,

powieść bardzo nam się podoba, nawiasem mówiąc, przeczytałam ją w jedną noc. Czyta ją jeszcze kilka osób z kierownictwa, jednak mogę już chyba zdradzić, że chcielibyśmy zaprosić Panią na spotkanie w celu omówienia warunków współ-pracy. Czy udałoby się nam umówić jeszcze w tym tygodniu?

Sabina miała czas w tym tygodniu.

Jej książka wystrzeliła jak rakieta dalekiego zasięgu, stając się w krótkim czasie fenomenem rynku wydawniczego, socjologicznym i popkulturowym. Czytelniczki pochłaniały ją jak oszałałe, a krytycy i różnej maści eksperci zastanawiali się, w jakież to zapotrzebowanie społeczne udało się trafić autorce i co ta niezwykła popularność banalnej w gruncie rzeczy historii, napisanej może i sprawnie, jednak bez specjalnego kunsztu literackiego, mówi o naszym społeczeństwie. Sabina nie angażowała się w te przetaczające się ponad jej głową dyskusje, przede wszystkim dlatego, że nie miała na to czasu. Wydawnictwo poszło za ciosem i zamówiło od razu następne trzy części cyklu. Pisała więc i z rosnącym osłupieniem obserwowała cokwartalne potężne wpływy na konto.

*

Osiem lat. Tyle czasu minęło od tamtego przełomowego roku, w którym wyrzucili ją z pracy i w którym napisała swoją pierwszą książkę. Stała się kimś zupełnie innym. Począwszy od tego, że nie była już Sabiną Czerniak. *Deszcz na szczęście* podpisała jako Sonia Geppert i pod tym nazwiskiem stała się znana. Użycie pseudonimu wynikało po trosze z niepewności, czy to, co zrobiła, ma jakąkolwiek wartość, a po trosze z namowy Andrzeja, który obawiał się, że ktoś z jego departamentu mógłby natknąć się, choćby przypadkiem, na twórczość Sabiny. A to mogłoby być uznane za mało poważne i nielicujące z jego planami awansu. Poza tym w głębi serca nie wyzbył się fundamentalnego zdumienia, że coś tak błahego jak pisanina Sabiny może przynosić zyski tak realne i nie do podważenia.

Jego żona tymczasem zaczęła od zmiany garderoby i jako Sonia Geppert jeła nosić beże i brązy, które znakomicie komponowały się z jej mleczną cerą i ciemnoblond włosami w matowym, nietkniętym farbą odcieniu, takim, do jakiego niestrudzenie, acz przeważnie bezskutecznie dążą rzesze przedstawicielek klasy średniej z południowej Europy. Ta stonowana paleta barw tworzyła

wokół Sabiny aurę prawdziwej elegancji. Swetry, narzutki i szale, które teraz stanowiły podstawę garderoby pisarki, były zrobione z lejących się tkanin albo materiałów miękkich i puszystych jak sierść szczeniaczka, takich jak kaszmir, wełna uszlachetniona jedwabiem czy alpaka. Ich właścicielka stosunkowo niedługo dziwiła się ich cenom. Wkrótce przestała zwracać uwagę na rachunek przy kasie. Przeskoczenie już nie szczebelka czy dwóch, ale całej drabiny finansowego awansu, okazało się banalnie proste.

Nie mieszkali już w kawalerce. Po sprzedaży praw do ekranizacji oraz napisaniu scenariusza na podstawie *Podwiązki z niebieską kokardką*, trzeciej książki o przygodach Amelii, Sabina mogła kupić (bez kredytu!) nowe mieszkanie. Blokowisko na Chomiczówce zamienili na cichy Żoliborz. Ich nowe lokum zajmowało ostatnie piętro kameralnego apartamentowca, w którym mieszkało jeszcze tylko trzech lokatorów. Powierzchnia: dwieście metrów kwadratowych (bez skosów). Dekoratorce, która urządziła nowe gniazdko Czerniaków, udało się połączyć styl paryskiej mansardy z nowojorskim loftem. W mieszkaniu czuć było przy tym domowe ciepło, na którym szczególnie zależało Andrzejowi. Kolorystycznie dominowały, rzecz jasna, beże i brązy. Sabina miała teraz własny pokój do pisania, z przeszklonymi narożnymi ścianami, które wychodziły na przestronny taras i przez które widać było ogród, obsadzony starymi wiśniami i jabłoniemi.

I właściwie wszystko mogłoby być idealnie, gdyby nie jeden narastający problem. Otóż poczytna pisarka i twórczyni sagi o Amelii Kruk od jakiegoś czasu nienawidziła swojej bohaterki. Szczerze i całą sobą. Fantazjowała o jej śmierci. Miała w głowie dziesiątki wariantów rozpisanie tej sceny. Jej ulubioną była ta, w której obrzydła organizatorka, przywiązana do krzesła na środku sali balowej, zostaje uduszona przez weselników kawałkami tortu w kształcie wielopiętrowej wieży. A konkretnie dławi się lukrową panną młodą, zdobiącą szczyt cukierniczego cacka.

Sabina cierpiała na kryzys twórczy. Chociaż to może zbyt łagodne określenie. Dopadło ją śmiertelne, obezwładniające zmęczenie – bądź co bądź produkowała statystycznie 1,6 książki rocznie. Wolała nie przeliczać, ile to godzin spędzonych przy biurku. Wiedziała też, że tym razem nie wystarczy zrobienie sobie przerwy ani regenerujący wypad na ciepłą plażę. Czuła prawdziwą odrazę do własnego dziecka, do tego, co stworzyła i na czym zbudowała swój sukces. Po pięciu częściach książki, trzech sezonach serialu na ich podstawie wyemitowanych w najpopularniejszej stacji telewizyjnej oraz jednym hicie kinowym była do cna wypalona. „Kicz, pustka, plastik”, z narastającym rozdrażnieniem mnożyła w myślach epitety. Próbowwała układać sobie to wszystko na spokojnie. „Myśl racjonalnie. Dostałaś od Bozi w prezencie umiejętność składania zdań w taki sposób, że ludzie chcą to czytać. To się nie zdarza każdemu. A te głupie historyjki, które wymyślasz, to nie jest na serio. To nie jesteś prawdziwa ty. Miej dystans, korzystaj z tego tak jak do tej pory. Przecież wiesz, jak wiele dzięki temu zyskałaś”, monologowała. A jednocześnie wiedziała, że to wszystko na nic.

Od jakiegoś czasu marzyła bowiem o literaturze przez duże L. O bohaterce ze skomplikowaną,

nieodgadnioną i neurotyczną osobowością – nie to co ta wiecznie rozdziawiona w durnym uśmiechu, rozszczebiotana kretyńka Amelia. Pożądała zdań wielokrotnie złożonych, rozpełzających się w różnych kierunkach i tak zagmatwanych, że na końcu nie pamięta się, o co chodziło na początku. Nie takich, jak te prostackie: „Powiedziała to i tamto, on zaś na to, że bardzo chętnie, potem zrobili to i śmo, a ona wyglądała jak zwykle bosko”. Przede wszystkim zaś Sabina desperacko tęskniła za TEMATEM. Rozpacz. Cierpienie. Choroba duszy. Wojna i śmierć. Rozstanie. Tak, to było drażnienie istoty człowieczeństwa. Zgłębianie tajemnic egzystencji. Poszukiwanie sensu i odpowiedzi. Radykalna podróż w głąb siebie. To tym powinien zajmować się pisarz (przez duże P). Tym, a nie rozważaniami, czy bardziej na czasie w trendach dekoracji ślubnych jest *tiffany blue* czy kobalt, ani poszukiwaniem pomysłów na coraz to wymyślniejsze plenery, w których wedding plannerka z piekła rodem mogłaby uszczęśliwić swoich kolejnych podopiecznych, albo zastanawianiem się, czy dziesięć druzhen to nie jest lekka przesada, nawet jeśli przyjmie się, że literatura koloryzuje rzeczywistość. Sabina nie chciała już koloryzować. Miała dość pastelów. Pragnęła czerni, bebeczów i wydzielin, o których istnieniu w świecie Amelii nikt nawet nie wiedział.

– Sabinkooo! – głos Andrzeja przebił się przez ponure rozmyślenia żony. Kobieta zamknęła oczy. „Nie, tylko nie to! Już wrócił!? Która to godzina?”

– Kochanie, jesteś? – głos przybliżał się, a Sabina usiłowała pozbyć się z twarzy śladów irytacji. – Spójrz tylko, co udało mi się zdobyć! – Andrzej otworzył drzwi jej gabinetu i z dumą zaprezentował ciemny, zakrzywiony przedmiot niewiadomego przeznaczenia. Żona uniosła pytająco brwi. – Prawdziwe cacko! Bawoli róg, piękny, prawda? – Mężczyzna był szczerze uradowany.

Sabina westchnęła. Oto Andrzej Czerniak – zastępca dyrektora Departamentu Energetyki w Ministerstwie Gospodarki, zajmujący się na co dzień ciepłownictwem, o której to dziedzinie mawiał, że jest jego pasją. Człowiek stworzony do noszenia zbyt obszernych garniaków z tkaniny z domieszką poliestru, od lat strzygący się w zakładzie pana Mieczysława na Jelonkach. Mężczyzna, który spryskiwał się dezodorantem na ubranie.

Jego hobby było jednym z wielu powodów, dla których Sabina coraz częściej zadawała sobie pytanie, co ich jeszcze łączy. Andrzej po godzinach był bowiem zapalonym wielbicielem wczesnośredniowiecznej historii i kultury Słowian. Członkiem stołecznej drużyny Wojów Częstogojki odtwarzającej życie codzienne przodków.

– Wiem, wiem, nie chcesz, żebym zwracał ci tym głowę – słowa męża wyraźnie przeczyły temu, co właśnie robił. – Ale tym razem do skutku będę cię namawiał na wspólny wyjazd do Kruszwicy. Na zlot przybędą rekonstruktorzy z całej Europy, to jedyne takie wydarzenie w roku! No, kochanie, nie daj się prosić. Raz mogłabyś się zgodzić, przecież nie ciągnę cię co weekend na nasze konwenty ani nie nazywam moją waleczną białogłową. – Andrzej spojrzał na nią niemal figlarnie.

„Jeszcze tego by brakowało”, pomyślała Sabina.

– Gwoździem programu będzie bitwa z udziałem pięciuset wojów! – mąż z zapalem roztaczał

przed nią wizję słowiańskiego raj. – Wyobraź sobie tylko, co za widowisko! Dla pisarki to chyba nie lada gratka, co? – Sabina miała już parsknąć, bo brakowało jej słów i cierpliwości, by w bardziej przyjazny sposób wyrazić dezaprobatę dla pomysłów męża, kiedy ten niespodziewanie zmienił tok argumentacji: – Ale co najważniejsze, wyrwiemy się na chwilę, spędzimy wreszcie trochę czasu razem. Ty i ja. Bardzo mi tego brakuje.

Jej mąż był wcieleniem prostolinijności. W jego słowach nie było nigdy śladu fałszu, a to łagodziło nieco prześmiewcze nastawienie Sabiny.

– Andrzej – odrzekła w końcu. – Może innym razem.

Rozczarowanie w jego oczach było boleśnie prawdziwe.

– To znaczy przy innej okazji. Wiesz przecież, że te przebieranki mnie trochę śmieszają. Bez urazy, przebieraj się do woli, jeśli to ci sprawia przyjemność. Ale to nie dla mnie, tłumaczyłam ci przecież ze sto razy.

Mina Andrzeja nie pozostawiała wątpliwości, że jak zwykle liczył na coś innego.

– Sam pomyśl, moje nieopanowane wybuchy śmiechu na widok tych odzianych w skóry i płótno, bądź co bądź, dorosłych ludzi mogłyby rozproszyć wojów i nie daj Boże zmienić losy bitwy – Sabina starała się rozładować atmosferę.

Zadziało. Jak zwykle w takich sytuacjach Andrzej szybko się rozchmurzył. Miał bardzo pożądaną we współżyciu cechę: naturalną łatwość dopasowywania się do żony i jej nastrojów.

– Trudno, kochanie, nie udało się tym razem, to się uda następnym! – Puścił jej oczko i odszedł, uśmiechając się na myśl o dniu, kiedy wreszcie dopnie swego i wprowadzi Sabinę w fascynujący świat pradawnych Słowian. A wtedy na pewno wciągnie ją to tak samo jak kiedyś jego. „Ha! I wtedy dopiero pożałuje, że tyle czasu się opierała!”, napawał się chwilę przyszłym triumfem, po czym zostawił żonę nad ledwo rozpoczętym rozdziałem.

Zmagania pisarskie ustąpiły teraz jednak miejsca niedającym się zignorować ukłuciu gdzieś w środku, które powracało zawsze, gdy Sabina musiała skonfrontować się z myślami o swoim małżeństwie.

Dwadzieścia lat życia razem! To wydawało się niemożliwe. Wyszła za Andrzeja jeszcze w czasie studiów, szybko urodziła Różę. Pierwsze lata małżeństwa jawiły się jej jak głęboka prehistoria, jak epoka woja Częstogoja.

Słabo pamiętała ten okres. Miesiące i wydarzenia zlewały się w nieostry obraz. Na pewno był to dobry czas. Wspólne uczenie się życia, jeszcze bez oznak rozczarowania i początków zgorzknienia, które nieuchronnie pojawiają się po przekroczeniu trzydziestki, kiedy okazuje się, że dorosłość to nie tylko pełnia praw do własnych wyborów, ale przede wszystkim odpowiedzialność, której ciężar poznaje się w obliczu konfrontacji z pierwszymi prawdziwymi problemami.

Wydawało się jej wtedy, że idą z Andrzejem wspólną drogą, naprawdę dobrze dobrani. Pierwsza praca, pierwsze własne mieszkanie, pierwsze dziecko. Razem osiągnęli swoje małe sukcesy i wspierali

się w drobnych kryzysach. Żyli spokojnie. Nie mieli wiele i nie pragnęli dużo więcej. Nie dołączyli do szalonego wyścigu szczurów, w jakim w tym czasie wystartowało wielu ich znajomych. Mieli to gdzieś, woleli to swoje wieczorne oglądanie filmów, siedzenie przy winie, gadanie do późna. Gnieździli się na trzydziestu ośmiu metrach, zamiast brać kredyt na siedemdziesiąt. Nie potrzebowali wakacji na egzotycznych wyspach, wystarczył im wynajęty domek nad jeziorem. Lubili być razem, obecność tej drugiej osoby była dla nich czymś znajomym i wygodnym, jak ulubione kapcie, które może i są trochę wytarte, ale nie chce się ich zmieniać na nowe.

Ciekawe, czy są tacy, którzy potrafią rozpoznać punkt zwrotny? Granicę, od której zaczyna się rozpad. Sabina nie była w stanie wskazać takiego momentu w historii swojego małżeństwa. Po prostu coraz więcej miejsca w jej głowie zajmowało to, co działo się poza domem, mimo że praca w redakcji nie była przecież jej pasją. Ale tempo życia rosło, a spraw zawodowych przybywało. A potem została pisarką i wszystko się zmieniło. Andrzej zaś ciągle był taki sam. Poukładany, przewidywalny, pocziwy. Nigdy jej nie skrzywdził. Nie zawiódł jej zaufania. A jednak teraz, po tych wszystkich latach, kiedy nie zauważyli, że coraz bardziej oddalają się od siebie, mąż budził w niej głównie zażenowanie. Co miała z tym zrobić? Od dłuższego czasu stosowała klasyczną strategię: „pomyślę o tym później”. Stale odsuwała od siebie problem.

„Perły to łzy panny młodej...” Uruchomiła ekran uśpionego komputera i skupiła wzrok na tekście. Praca pisarki była dotąd jej niezawodną odskocznią od kryzysów życiowych. Ale co miała zrobić, kiedy właśnie ugrzęzła w kryzysie? Sabina przechyliła się na oparciu kosmicznego fotela, które natychmiast płynnie dopasowało się do zmiany pozycji kręgosłupa. Kiełkowała w niej myśl równie ożywcza, co przerażająca: zamiast szóstej części swojej bestsellerowej serii, na której oddanie do wydawnictwa miała zgodnie z umową jeszcze niecałe dwa miesiące, napisze prawdziwą powieść. Taką przez duże P.

ROZDZIAŁ 2

Do łazienki bardziej pasowałoby określenie „salon kąpielowy”. Już sama jej powierzchnia była imponująca, niewiele mniejsza od całego metrażu dawnej dziupli Czerniaków na Chomiczówce. Sabina uwielbiała swój komplet cudownie miękkich ręczników z egipskiej bawełny. Odczuwała głęboką przyjemność, otulając się jednym z tych największych, sięgających jej aż do stóp. Łazienka to było królestwo zmysłów i kobiecości. Rozstawiona na blacie z wypolerowanego na gładko trawertynu kolekcja flakonów, puzderek i słoiczków tylko czekała, by uwolnić zapachy i użyć skóry specyfików o najróżniejszych konsystencjach. Ostatnim odkryciem Sabiny był balsam „rozpieszczający i przeobrażający skórę całego ciała”.

Wcierając kosmetyk, którego dzienna porcja kosztowała tyle co obiad w restauracji średniej klasy, pisarka przyglądała się swemu odbiciu. Mimo wrodzonego krytycyzmu musiała przyznać, że jak na swoje czterdzieści trzy lata trzymała się lepiej niż nieźle. Co więcej, wyglądała znacznie korzystniej niż dziesięć lat wcześniej. Jasne, nie obyło się bez różnego rodzaju wspomagaczy, spośród których balsamy były pewnie najmniej istotne, ale mimo wszystko efekt robił wrażenie. Ciało Sabiny zachowało jędrność, a w ruchu widać było kształtne, ładnie zarysowane mięśnie. Były takie w sam raz – świadczyły o dobrej formie i witalności, ale nie stała się za ich sprawą karykaturą samej siebie, jak niektóre znajome, które zbyt długo przesiadywały na siłowni. Najbardziej dumna była z piersi, które ciągle jeszcze były zgrabnymi piłeczkami, a nie smętnymi plackami. Co więcej, nie miał z tym nic wspólnego żaden doktor „magiczne dłonie”, choć koleżankom, które nie mogły się obejść bez fachowej pomocy, trudno było w to uwierzyć. Kiedy Sabina zaczęła dobrze zarabiać, nauczyła się umiejętnie korzystać z nieinwazyjnych sposobów poprawiania urody i samopoczucia (to drugie, jak się okazało, miało znaczący wpływ na to pierwsze). Wreszcie się sobie podobała. Dlatego też dwa lata temu zdecydowała się przyjąć propozycję, jaką złożyła jej pewna firma kosmetyczna, krajowa, ale prestiżowa. Została twarzą kremu ujędrniającego dla kobiet w wieku czterdzieści plus. Nie zrobiła tego z próżności, a w każdym razie nie tylko. Naprawdę uważała, że kto jak kto, ale ona może być przykładem dla innych. Kiedyś była najzwyczajszą babką w średnim wieku, jakich tysiące chodzą ulicami, zmęczoną życiem i nieoczekującą od niego zbyt wiele. Dziś udowadniała, także swoim wyglądem, że czterdziestka to najlepszy wiek dla kobiety. Zdjęcie jej twarzy, której kontury zostały tylko odrobinę poprawione w programie graficznym, można było zobaczyć w większości magazynów dla pań, nie wyłączając tego, z którego została kiedyś wyrzucona. Nie mogła się powstrzymać przed wycięciem fotografii (tak, właśnie z tej gazety!), oprawieniem jej w ramkę i powieszeniem w swoim gabinecie. Nie był to jednak wyraz samouwielbienia, ale swego rodzaju hołd oddany drodze, którą przeszła.

Sabina odłożyła na miejsce flakonik z drogocenną mazią. Starła się maksymalnie wydłużyć czynności pielęgnacyjne, celebrując każdy moment do granic możliwości. Nie chodziło o to, że wierzyła w brednie wciskane kobietom, których większość i tak nie mogła sobie na ich realizację pozwolić: „Podaruj sobie chwilę przyjemności”, „Jesteś tego warta” i tym podobne. Brak „odrobiny luksusu” nie był problemem Sabiny. Jej problemem znowu, po latach, stał się zbyt rozciągnięty w czasie dzień. Szukała wypełniaczy. Drobnym czynnościom nadawała znaczenie większe, niż miały w rzeczywistości. Chodziło o to, by odwlec ten nieuchronny moment, kiedy musiała usiąść przed komputerem.

Dni mijały jeden za drugim, a Sabina wciąż nie mogła znaleźć pierwszego zdania. TEGO zdania, które rozpocznie jej powieść. Każdy, kto choć raz stworzył utwór literacki ciut dłuższy niż lista zakupów, dobrze wie, jak ważne jest pierwsze zdanie. Musi mieć moc. Złapać, uwieść i wciągnąć tego, kto czyta. Sabinie tymczasem szło jak po grudzie. „Spokojnie, to normalne – próbowała uspokajać samą siebie. – To w końcu nie byle co. To ma być poważne dzieło. Nie sądzę, żeby Mann czy Dostojewski (dobra, może przesadziłam, niech będzie Doris Lessing) siadali sobie jak gdyby nigdy nic i z uśmiechem na ustach wypluwali z siebie skomplikowane i poruszające powieści. Trzeba się pomęczyć, żeby napisać coś WAŻNEGO”. Męczyła się, to na pewno, z pisania jednak ciągle nic nie wychodziło.

Z braku lepszego pomysłu na wyjście z dołka zaczęła układać w myślach plan niecierpiących zwłoki zajęć, które pozwolą jej jeszcze bardziej odsunąć moment otwarcia laptopa. „Najpierw kawa, wiadomo, bez kawy żaden szanujący się pisarz nie ruszy z miejsca. Potem na przykład partia tenisa z Tomkiem, najlepszym osobistym trenerem pod słońcem. Może w dziewiętnastym wieku wybitny twórca nie mógł się obejść bez gruźlicy i tyfusu, ale teraz mamy wiek dwudziesty pierwszy. Ciało musi być w formie, żeby i umysł był w formie...” Nie zdążyła wymyślić nic więcej, bo przerwało jej nagłe szarpnięcie klamki w drzwiach do łazienki.

– Sabinaaaa! Ile jeszcze będziesz tam siedzieć?

Kobieta wzdrygnęła się. Omdlewający głos, kontrastujący z agresywnym komunikatem, jaki przekazywał, należał do Róży, jej córki. Jednym ze sposobów dziewiętnastolatki na zmanifestowanie faktu, że nie jest już dzieckiem i w związku z tym domaga się adekwatnego traktowania, było zwracanie się do matki po imieniu. Za każdym razem doprowadzało to Sabinę do szewskiej pasji.

– Kąpię się! – skłamała. – Nie możesz iść do drugiej łazienki?

– Neeee. Otwieraj.

Sabina zacisnęła zęby. „Ten dom zaczyna przypominać pole minowe. Coś tu jest nie tak. Czuję się osaczona we własnym mieszkaniu...” Nie mogła jednak rozwinąć i tej myśli, bo Róża zaczęła z całej siły walić w drzwi. Matka, wyprowadzona z równowagi, otworzyła je nagłym ruchem, przez co dziewczyna z impetem wpadła do łazienki.

– Jak ty się zachowujesz!?! – Sabina wiedziała, że wygłasza klasyczny tekst starej nudziary, ale to było silniejsze od niej. Dlaczego besztanie staje się odruchem bezwarunkowym, kiedy masz dzieci?

– „Jak ty się zachowujesz” – powtórzyła Róża, markując ton uprzykrzonego rodzica. – Może wymyśl coś bardziej błyskotliwego, gwiazdo literatury.

Takie sytuacje zdarzały się regularnie, a Sabina była pełna podziwu dla samej siebie. Mimo że w środku cała się gotowała, jakimś nadludzkim wysiłkiem udawało jej się nie zamordować własnego dziecka.

– Róża, nie zapominaj się. Dopóki tu mieszkasz, musisz przestrzegać pewnych zasad. – Wiedziała, że to kolejny wyświechtany rodzicielski tekst, ale była dumna ze spokojnego tonu, jakim to powiedziała.

– No i? – Mina Róży była co najmniej bezczelna.

– Dlaczego nie możesz iść do drugiej łazienki? Z tej korzystam ja.

– Tam nie ma dużego lustra. Muszę zrobić fotkę przed wyjściem.

– Ach tak. I to jest takie ważne, że wyrzucasz mnie z własnej łazienki?

– O rany, to do projektu. – Dziewczyna przewróciła oczami.

– Jakiego projektu? – Sabina dopytywała uprzejmie, czując, że dzięki swojemu opanowaniu ma szansę wygrać w tym słownym ping-pongu. Nie doczekała się jednak odpowiedzi.

– Nie, to nie. Poradzę sobie jakoś, nawet jeśli zrobisz wszystko, żeby mi to utrudnić. – Róża odwróciła się na pięcie i po chwili trzasnęła drzwiami wejściowymi.

Jej matka potrzebowała trochę czasu, by dojść do siebie. Nie było już mowy o powrocie do celebrowania rytuałów pielęgnacyjnych. Ubrała się szybko, wbrew własnej woli odtwarzając w głowie utarczkę z Różą. Jedną z wielu, jakie zdarzały im się niemal codziennie.

*

Sabina nigdy w życiu nie przyznałaby się do tego na głos, ale czasem zdarzało jej się pomyśleć, że może lepiej byłoby mieć syna. Uważała, że chłopcy są prostsi w obsłudze, może łatwiej było ich kochać. Ale miała Różę. Tę, która ze słodkiej, domagającej się tylko regularnej porcji pokarmu istotki, a potem spokojnej, żyjącej w swoim świecie kilkulatki z pensjonarskimi warkoczykami, zadającej bystre pytania świadczące o analitycznej naturze, przeobraziła się w pełną pretensji do świata, a przede wszystkim do własnej matki, rozchwianą emocjonalnie bombę zegarową.

Tuż przed osiągnięciem pełnoletności Róża dokonała kompleksowej zmiany wizerunku, uznając najwyraźniej, że stylizacja na zabiedzonego poetę suchotnika z dziewiętnastowiecznej powieści automatycznie przeniesie ją w świat intelektualnej bohemy. Zamiast miłych i inteligentnie wyglądających koleżanek z czasów gimnazjum wokół dziewczyny zaczęli się kręcić porozumiewający się monosylabami brodacze o nieprzytomnym wzroku, z obowiązkowymi wełnianymi czapkami

noszonymi niezależnie od pory roku, płóciennymi torbami przewieszonymi przez ramię i espadrylami na bosych stopach.

W klasie maturalnej okazało się, że Róża nie zamierza zdawać na iberystykę ani biotechnologię (hiszpański i biologia na początku liceum walczyły o palmę pierwszeństwa wśród jej zainteresowań).

– Bez sensu. To nudne – oświadczyła osłupiałym rodzicom, po czym zakomunikowała, że jedynymi studiami, jakie ewentualnie może zaakceptować, jest nowo utworzony na uniwersytecie, nawet spoko kierunek: multikulturowość i transgresje cywilizacyjne.

– Że co? – wyrwało się Andrzejowi, zwykle powściągliwemu w komentowaniu pomysłów córki.

– Zjrzyj do słownika, jak nie rozumiesz – z wyrozumiałym uśmiechem odpowiedziała Róża.

Sabinie do tej pory nie udało się dowiedzieć, czego właściwie uczyli się studenci tego kierunku. Mimo to regularnie opłacała chesne za rozwijanie horyzontów intelektualnych córki – wybrane przez nią studia były bowiem płatne, co być może miało jakiś związek z tym, że nie obowiązywały na nie egzaminy wstępne.

Z półki Róży zniknęła seria o wampirach. „Tandeta dla bezmózgowców” – stwierdziła i skrzywiła się z niesmakiem, a Sabina w ostatniej chwili uratowała szcztane do cna egzemplarze przed skończeniem na śmietniku (bynajmniej nie ze względu na jakiś sentyment – chciała po prostu sprawdzić, czy trend na elementy fantasy w powieści, z powodzeniem eksploatowany przez amerykańską koleżankę po fachu, dałoby się przeszczepić na grunt polskiego romansu weddingowego. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu, prawdopodobnie na swoje szczęście). Tymczasem w pokoju Róży zamiast tandety dla bezmózgowców pojawiły się wyszperane w antykwariatach i na Allegro stare wydania *Choroby jako metafory* Susan Sontag i *Drugiej płci* Simone de Beauvoir oraz nowsze pozycje, takie jak *Rewolucja u bram* Slavoj Žižka czy *Pensjonat pamięci* Tony’ego Judta. Sabina szczerze wątpiła, by Róża przeczytała choć jedną z tych książek, ale to nie przeszkadzało nastolatce codziennie pakować do torby którąś z nich, tak by móc po zajęciach przysiąść w oknie modnej w alternatywnych kręgach klubokawiarni i z książką w jednej ręce oraz kawą w ekologicznym tekturowym kubku w drugiej wyglądać jak prawdziwa intelektualistka. Nowe zainteresowania literackie Róży objęły także twórczość kilku polskich pisarzy i byli to rzecz jasna ci, którzy znajdowali się na przeciwległym biegunie niż Sabina.

– O czym to jest? – autorka książek o Amelii Kruk niby niewinnie zagadnęła córkę pewnego ranka, wskazując na leżącą obok talerza z organicznymi płatkami śniadaniowymi powieść niejakiej Magdaleny Teleszko, nowej fascynacji dziewczyny, zatytułowaną nader enigmatycznie *Przeczekując błękit*.

Róża obdarzyła matkę najbardziej wyniosłym spojrzeniem, na jakie było ją stać.

– I tak nie zrozumiesz. Tu chodzi o coś więcej niż układanie włosów do ślubu i sprowadzenie sensu życia do szukania drugiej połówki.

To właśnie było najgorsze w dorastaniu Róży – odkąd zaczęła się jej przemiana, za główny cel

swojego buntu obrała właśnie matkę. O ile poza domem Sabina uchodziła za uwielbianą przez tysiące czytelniczek kobietę sukcesu, o tyle córka uważała ją za zaślepioną przez kasę karierowiczkę, która nie zasługuje na te wszystkie zachwyty, bo robi papkę z mózgu i tak już bezmyślnej gawiedzi.

– To może mi wytłumaczysz jak dziecku. A nuż coś załapię... – Sabina starała się nie tracić cierpliwości.

Róża, niewzruszona, pokręciła głową.

– Daj sobie spokój, Sabina. Szkoda mojego i twojego czasu.

– Chcesz powiedzieć, że sama nie rozumiesz, o czym ona pisze? – matka nie wytrzymała. Przekartkowała książkę Róży, kiedy ta nie widziała, i zorientowała się, że był to niemal pozbawiony dialogów strumień świadomości opisany stylizowanym, w dużej części stworzonym przez autorkę językiem.

Córka nie uznała za stosowne odpowiadać na taką potwarz. Zamknęła książkę, z hukiem odsunęła krzesło i wyszła z kuchni z nosem wycelowanym w sufit.

Sabina bardzo często zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Może coś przegapiła? Róża jako dziecko nie sprawiała problemów, była rozsądna, szybko się usamodzielniała. I może właśnie to uspiło matczyną czujność. Może trzeba było poświęcać córce więcej uwagi, bardziej dociekliwie obserwować, czy nic jej nie dręczy lub nie niepokoi. Czy zajęta swoimi bestsellerami nie przeoczyła jakichś znaków ostrzegawczych? Nie umiała jednak sobie niczego takiego przypomnieć. Najważniejsza była odpowiedź, czy jest jeszcze szansa, żeby to wszystko naprawić. I nie stracić córki bezpowrotnie.

Na razie jednak Sabina musiała porzucić te niewesołe myśli – jej telefon od jakiegoś kwadransa niemal nie przestawał dzwonić. Pisarka była prawie pewna, że wie, kto dobija się do niej tak niecierpliwie.

– Lucyna? Przepraszam, że nie odbierałam, byłam na spotkaniu. – Nie zamierzała wtajemniczać rozmówczyni w swoje domowe problemy. – Będę u ciebie za kwadrans. Co? Na placu? – Skrzywiła się. – A nie możemy w biurze? – Przez chwilę słuchała głosu swojej agentki, przewracając oczami. – No dobrze, skoro nic nie jadłaś, to nie będę cię przecież głodzić. Zajmij tylko jakiś stolik w kącie.

*

Zaparkowanie samochodu w okolicach placu Zbawiciela było o tej porze równie proste jak obrona stojącej tu niegdyś słynnej tęczycy przed kibolami podczas Marszu Niepodległości. Czyli graniczyło z niemożliwością. Sabina już czwarty raz objeżdżała okolicę w poszukiwaniu choćby skrawka wolnego asfaltu. Jej irytacja rosła z każdym przejechanym metrem.

– Nienawidzę tego miasta, nienawidzę! – syczała pod nosem, manewrując między parkującymi na prawym pasie dostawczymi furgonetkami, które stawały po prostu na światłach awaryjnych, by

kierowcy mogli spokojnie wyładować towar lub dostarczyć przesyłki kurierskie. W końcu, przy piątym kółeczku po okolicy, Sabina wypatrzyła upragnione miejsce parkingowe. Kiedy włączyła migacz, z naprzeciwka podjechało białe BMW i zaczęło się wciskać w lukę. W Sabinie coś pękło. – Ożeż, psiakrew! Co robisz, do cholery! – wrzasnęła, otwierając okno. – Nie widzisz, że parkuję!?

W BMW otworzyła się przyciemniana szyba, a zza niej wyjrzała tleniona głowa o ogromnych ustach. – Słucham? – wymlaskały wielkie wargi, żując nonszalancko gumę.

– Hola! Parkujesz, babo, na moim miejscu! – wydarła się Sabina, tracąc resztki panowania nad sobą na widok tego karpia.

– Sorry, ale gdzie tu jest napisane, że to twoje miejsce? – Blondyna z zimną krwią zaczęła zamykać szybę.

Sabina poczuła, jak wstępuje w nią szatan, jak złe moce pchają ją do czynów, których normalnie nigdy by nie popełniła. Wsiadła z samochodu, wyjęła z kieszeni klucz do mieszkania i porysowała blondynie jej nieskalaną karoserię.

Ta natychmiast zatrzymała auto.

– Wariatka! Wzywam policję! – jej wrzask wystarczył, by z okolicznych ławek natychmiast zerwali się paparazzi polujący w tej okolicy na lansujące się stadami gwiazdy.

– Psia ich do dupy mać! – Sabina kątem oka dojrzała pędzącą chmarę. Wiedziała już, co będzie jutro na pierwszych stronach brukowców.

Udało jej się wyjechać z uliczki, rzecz jasna w asyście trzaskających migawek. Dwie ulice dalej właśnie zwolniło się miejsce. Zaparkowała samochód i rozejrzawszy się, czy nie ma w pobliżu żadnych fotografów, wyszła, zakładając wełnianą czapę i wielkie okulary.

Kiedy w kawiarni na placu zdjęła z siebie kamuflaż, kilka głów podniosło się z przelotnym zainteresowaniem. Większość klientów lokalu była jednak zbyt wyrafinowana, by okazać, że pojawienie się tuż obok jakiejś pisarki mogło zrobić na nich wrażenie.

Zajęci realizacją tajemniczych projektów, pochyleni nad białymi laptopami z logo z jabłkiem, ubrani jak śmietnikowe nury w ciuchach od polskich projektantów (Prada jest dobra do *Tańca z Gwiazdami*), sączący swoje sojowe latte i pogryzający bezglutenowe przekąski z kaszy jaglanej, gardzili takimi tubami popkultury jak pisarka Sonia Geppert. Szmira i szajs. Jak czytać coś po polsku, to tylko polską szkołę reportażu, reszta to chłam.

Sabina nie czuła się dobrze w takich miejscach. Jeden wielki stół na środku miał sprzyjać integracji, ale służył zapewne głównie wzajemnemu podsłuchiwaniu się. Nonszalancka – by nie rzec arogancka – obsługa składała się z ludzi najwyraźniej stworzonych do wyższych celów. Na kartę, potem na kelnera, potem na bułkę z jajkiem trzeba było czekać godzinami. Och, Sabina zdecydowanie wolała lokale niemodne.

Natomiast Lucyna kochała to miejsce. Wynajęła biuro ulicę dalej, między innymi po to, by bez przeszkód napawać się „miejskim życiem”, jak nazywała owo przesiadywanie wśród zarozumiałych

małolatów, którym rodzice kupili najpierw MacBooka, a potem mieszkanie, tak by ich barki mogły dźwigać jedynie problemy Pierwszego Świata, typu ścieżki rowerowe w Śródmieściu.

Sabina dostrzegła machającą agentkę.

– Stolik w kącie, aha – wymruczała i skierowała kroki w stronę przeklętego wielkiego stołu, dookoła którego siedziało mnóstwo niesympatycznie wyglądających modnych osób przed trzydziestką.

Lucyna rzuciła się na nią:

– Kochana, myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz.

– Miałam kłopot z parkowaniem. Ale będziesz zachwycona, bo dopadli mnie paparazzi.

Lucynie trudno było ukryć ekscytację:

– No co ty!?

– Przyłapali mnie, jak rysuję kluczami karoserię jakiegoś babolca, który zajechał mi drogę.

Agentka nieco się zdziwiła, ale nie dała nic po sobie poznać.

– Och, kochana, te brukowce zjedzą nas żywcem na drugie śniadanie, ale zobaczę, co da się zrobić – wypowiedziała swoją magiczną formułkę, która zawsze oznaczała to samo: zobaczę, czy nie dałoby się do tego tekstu, którego absolutnie nie zamierzam blokować, dodać choć jednej okładki twojej książki.

Lucyna Korab-Olszańska, zwana powszechnie Lucy, miała łeb na karku. I nie wahała się go używać. Była kobietą taranem, z tych co to wracają oknem, po tym jak się je wywali drzwiami. Dobrze zakonserwowana, wysportowana, wystylizowana do ostatniego kosmyka włosów. Stała klientka klinik medycyny estetycznej, która wypróbowała na sobie bodaj wszystkie nowinki. O gładkim czole i wypełnionych kwasem policzkach i ustach, z doczepionymi puklami rudych włosów i kępkami długich rzęs, zawsze w nienagannym manikiurze, pachnąca Eau du Soir. W swym sztucznym pięknie była nawet pociągająca dla pewnego gatunku mężczyzn. Zagadką pozostawało, czy ma trzydzieści pięć, czy raczej pięćdziesiąt pięć lat – żadnej z tych wersji nie dało się wykluczyć, patrząc na jej napiętą i wygładzoną twarz. Lucyna też za żadne skarby nie chciała tego zdradzić, co od razu przesunęło ją w okolice raczej pięćdziesiątki niż trzydziestki.

– Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, a ja się czuję na osiemnaście – mawiała.

Od lat w środowisku, od lat aktywna zawodowo, mająca na koncie wiele sukcesów kolejnych autorów, choć od czasu gdy zaczęła współpracę z Sabiną, skoncentrowana głównie na niej, na tej żyłce złota, jak nazywała ją na własny użytek. Skoligacona z warszawską arystokracją, a jednocześnie sprawnie poruszająca się w świecie medialnej warszawki. Agentka idealna. Tak właśnie o sobie myślała.

Dziś, w pięknej dzianinowej sukience w kolorze butelkowej zieleni, idealnie podkreślającej ognistą rudość jej farbowanych włosów, czekała na Sabinę w towarzystwie biznesmena, którego

poznała zeszej niedzieli na zawodach konnych na Mazurach.

– Poznajcie się. Soniu, oto Ludwik, mój nowy znajomy, zajmuje się między innymi pośrednictwem na rynku nieruchomości. A to, Ludwiku, najślynniejsza polska pisarka, Sonia Geppert, moja podopieczna.

Ludwik skłonił się szarmancko i odrzekł, że na niego już pora. Sabina była mu za to wdzięczna. Gadanie z Lucy o zawodowych sprawach w towarzystwie jej nowego kochanka byłoby co najmniej krępujące. Wypielęgowany mężczyzna ucałował Lucy w policzek i pożegnał się.

– Będzie coś z tego? – Sabina odprowadziła go wzrokiem. Dobrze wyglądał. Choć nie był małolatem, trzymał się nieźle.

– Daj spokój. – Lucyna machnęła ręką. – On jest nienormalny.

– A to ciekawe! – Sabina zaczęła rozglądać się po sali w celu zlokalizowania jednego ze zblazowanych kelnerów. – Dlaczego nienormalny?

Agentka wzięła głębszy wdech i po chwili powiedziała przyciszonym głosem:

– Znasz mnie, wiesz, że jestem otwarta na różne eksperymenty, ale krótko mówiąc, jego fantazja jest trochę za duża nawet jak na mnie.

Sabina stłumiła chichot:

– Że co?

– Po prostu ja się w tym trójkacie nie widzę i już. Nie żebym miała coś przeciwko trójkątom, znasz mnie przecież, ale tym razem mówię pas. Nie jestem w stanie żyć ze swoją byłą klientką w erotycznej komunie. Pech chciał, że Ludwik ma jakąś słabość do tej grafomanki Małaszyńskiej...

Sabina, przywołując w pamięci obraz autorki kiepskich poradników psychologicznych, parsknęła śmiechem.

– Lucyna, jak ja bym chciała mieć twoje problemy – powiedziała, po czym raptownie podniosła rękę do góry. – Hej! Proszę pana! – zawołała w stronę przemykającego w oddali kelnera, ale zerwała się za późno i nie zdążyła złowić jego spojrzenia, bo zniknął za barem.

– I powinnaś takie mieć! To by na pewno wzbudziło zainteresowanie czytelniczek. Częstuj się moim ciastkiem – podsunęła jej talerz Lucyna. – Ja i tak nie powinnam jeść tego świństwa. Wiedziałaś, że jestem uczulona na gluten? – Twarz agentki wyrażała prawdziwe zatroskanie. – Byłam tak samo zaskoczona jak ty! Ale przysięgam na swoją prowizję, odstawiłam i wszystkie moje problemy zdrowotne zniknęły jak ręką odjął.

– Aha. – Sabina sięgnęła po rogalik z dżemem. – To super. – Ugryzła kawałek i przez chwilę przeżuwała beznamiętnie. Rogalik za szesnaście złotych smakował dokładnie tak samo jak ten za złoty dwadzieścia na stacji benzynowej.

– Kochana, ale przejdźmy do rzeczy, bo nie chcę zabierać ci czasu, który przecież powinnaś przeznaczyć na pisanie. – Lucyna uśmiechnęła się najśłodszy z uśmiechów. Sabina poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega jej dreszcz. – W końcu czas leci, terminy naglą... No właśnie, jak ci

idzie?

Pisarka nadal żuła kawałek gumiestego rogalika, wzruszyła więc ramionami i pokiwała głową w najbardziej niejednoznaczny sposób, jak tylko umiała.

– Mhm, to super. – Lucy pochyliła się nad eleganckim czarnym notatnikiem Moleskine, a potem zerknęła na ekran ultralekkiego laptopa. – Czyli skończysz tekst do końca października. – Tu uniosła głowę, zawieszając na chwilę głos i czekając na potwierdzenie Sabiny, ta jednak nadal żuła i patrzyła gdzieś w dal. – Potem redakcja i inne takie w wydawnictwie, no i mamy premierę w marcu. Spójrz, mam tutaj nasz plan. – Odwróciła ekran w stronę Sabiny, tak że jej oczom ukazała się gęsto wypełniona kolorowymi polami tabelka.

– Aha – wymamrotała zaniepokojona pisarka i utkwiała wzrok w gąszczu punktów i podpunktów.

– Po kolei. Styczeń. Tu mam umówione wywiady w czterech kobiecych tytułach. To idzie w lutym, czyli tuż przed premierą. Zaczynamy podgrzewać atmosferę, robimy to w duchu takiego podsumowania w stylu: kobieta dojrzała, bilans, granice, które się przekracza, bla bla bla – Lucy gadała jak nakręcona. – Potem, tu widzę, mamy ten ekskluzyw w „Playboyu”, będziesz musiała dać sobie zrobić fotki, ale już ustalone, że tylko klasa i prestiż, wiadomo, nie jesteś jakąś byle *playmate*. Potem mamy spotkania na forum blogerów, występujesz jako blogerka...

– Ale zaraz... – słabo zaprotestowała Sabina.

– Tak, złotko?

– Przecież ja nie mam bloga!

– Jeszcze nie masz, jeszcze. Do lutego jest kupa czasu, tak że nic się nie bój. Dalej – Lucyna potrząsnęła doczepianą grzywą – marzec, czyli godzina zero. Kochana, mam zabukowane wszystkie poranki, od radiowych po telewizyjne. Od Trójki po Radio Eska, od TVN po osiedlowe kablówki. Będiesz w każdej lodówce – zaśmiała się. – Dalej, tu mamy ostry atak na media społecznościowe, na fejsie furczy, robimy superviral, który ma krążyć po sieci. Wiesz – spojrzała na Sabinę z poważną miną – siła internetu to linkowanie. Ma być zajebisty, żeby go każdy chciał mieć u siebie na wallu, i ja to już mam rozpracowane. Współpracuję od niedawna z pewnym gorącym nazwiskiem z YouTube’a, będzie trochę lesbijskiego klimatu, to zawsze dobrze się kręci w sieci. No i wywiady do wszystkich portali, mam tu nawet takie dla mamusiek, ha ha ha. – Lucyna przesuwiała kursorem po ekranie, Sabina zaś osuwała się coraz niżej na swoim niewygodnym krześle, a jedwabny szal od Hermès’a zaczął ją dusić. Musiała go zdjąć, bo pot wystąpił jej na czoło.

– Lucyna – wyszeptała – proszę cię, przestań na chwilę mówić. Błagam, zamilknij.

Agentka spojrzała zdumiona na swą najlepszą klientkę:

– Sonia, co ci jest? Mój Boże, masz może zawał? To już ten wiek!?

Sabina przysunęła się bliżej.

– Lucyna, posłuchaj mnie uważnie. Skup się na dwie sekundy na tym, co mam ci do powiedzenia.

Lucy zrobiła kwaśną minę.

– Soniu, ale...

– Ja nie napisałam nawet pierwszego rozdziału tej cholernej książki, to po pierwsze – wypowiadając te słowa, Sabina zobaczyła, jak krew odpływa z twarzy jej agentki. – A po drugie, ja to rzucam, to jest koniec! *Basta, finito!*

Poranna kłótnia z Różą być może osłabiła jej system nerwowy, dlatego nim zdążyła przemyśleć, jak w najlepszy sposób poinformować Lucy o swojej decyzji, po prostu odpaliła bombę.

Ta zaś chwyciła się za serce:

– Sońko, ja cię proszę, nie chcesz chyba mieć mnie na sumieniu? Takie żarty są niestosowne.

– Ale ja nie żartuję. Ja naprawdę rzucam pisanie tego chłamu. Chciałam ci to powiedzieć twarzą w twarz. Kończę z tą szmirą.

Lucy nalała sobie wody do szklanki i duszkiem wypiła całą zawartość.

– Wybacz, kochana, wulgaryzm, ale... pojebało cię!? Czy ty oszalałaś? Na starość mózg ci odebrało?

Sabina milczała. Spodziewała się takiej reakcji. Przecież właśnie zarzynała dojną krowę, ukrecała łeb kurze znoszącej złote jajka, zalewała wodą kopalnię diamentów.

– Co ci strzeliło do głowy!?! Jak ty to w produkcji w telewizji wytłumaczysz? Przecież nowy sezon już zakontraktowany. Jak ty się fanom na oczy pokażesz? – Lucyna miała prawdziwe łzy w oczach.

Sabina westchnęła głęboko i już miała zacząć odpowiadać, kiedy jak spod ziemi wyrósł przy niej kelner.

– Co dla ciebie? – zapytał, a ją to bezceremonialne „tykanie” kompletnie zbiło z pantałyku. Poza tym po trzydziestu minutach oczekiwania naprawdę była zaskoczona jego nagłą obecnością.

– Yyyy – wydobyła z siebie.

Kelner nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia, które wypełzło mu na twarz.

– Taaaak? – powiedział z niesympatyczną intonacją i postukał długopisem w notesik.

– To ja... kawę poproszę, białą – wydukała w końcu Sabina.

– Białą, czyli? – Kelner wbijał w nią bezlitosne spojrzenie.

– Czyli co? – nie rozumiała.

– White americana, macchiato, lungo, latte, flat white – cedził kelner, a Sabina czuła, że staje się coraz mniejsza.

– Latte, niech będzie latte – wyszeptała grzecznie.

Chłopak odszedł bez słowa. Pisarka odprowadziła go wzrokiem. „Gej z małego miasta, rodzice nie mają pojęcia o jego orientacji, czekają na wnuki. Studiuje wiedzę o teatrze, marzy o pracy w mediach...” Miała nieuleczalny zwyczaj wymyślania życiorysów nieznanym, których spotykała na swojej drodze.

Lucyna wachlowała się plikiem kartek.

– Soniu, ja myślę, że ty masz po prostu słabszy okres. No nie wiem, klimakterium nadchodzi,

kolagen ci wypłukało, nie spałaś dawno z nikim sensowym... – mówiła bardziej do siebie niż do niej. – Ja nie zamierzam się przejmować tym, co wymyśliłaś, bo wiem, że to nieprawda.

Sabina spojrzała uważnie na agentkę.

– Lucy, posłuchaj mnie uważnie: Amelia nie żyje. Zabiłam ją, wrzuciłam pod pociąg, spaliłam jej truchło, a prochy rozrzuciłam nad wysypiskiem śmieci. Nie ma.

Lucyna jęknęła.

– Ale za to – Sabina podrapała się po głowie – zaczynam pisać coś innego, więc o brak pracy nie musisz się martwić. – Wzięła głęboki oddech, żeby nadać temu wyznaniu jeszcze większą wagę. Skoro już zdradziła się ze swoimi zamiarami, powinna to dobrze przedstawić. – Zaczynam pisać powieść egzystencjalną. Będę czerpać z mojego kryzysu, ale chcę nadać temu uniwersalny wymiar.

Lucyna schowała twarz w dłoniach, ale szybko wstała.

– Muszę pójść do łazienki, przepraszam, moja bulimia nie wytrzymuje tego napięcia.

Sabinę owionął intensywny zapach szypru. Przewidziała reakcję agentki, a jednak poczuła się jak zdrajczyni. Szybko jednak odpędziła od siebie tę myśl, zwłaszcza że narastała w niej granicząca z szaleństwem irytacja na kelnera, który z miną operującego na otwartym mózgu neurochirurga skrzyżowanego z Picassem w napadzie twórczego szału przechadzał się koło jej stolika, ostentacyjnie ją olewając.

– Przepraszam! – zdecydowała się w końcu na atak. – Czy moja kawa ma szansę dotrzeć do mnie przed wieczorem?

– Tak? Czy mogę ci jakoś pomóc? – Twarz kelnera przybrała nieokreślony wyraz.

– Tak, możesz mi pomóc, przynosząc moją kawę – wycedziła Sabina, która bardzo starała się nie wybuchnąć.

– Jak tylko będzie gotowa, to przyniosę, zapewniam cię. Po prostu obowiązuje u nas kolejność zamówień – powiedział chłopak z wyższością profesora uniwersytetu i odszedł, kręcąc tyłkiem.

„Napluje mi do tej kawy, to więcej niż pewne”, pomyślała zrezygnowana i pociągnęła łyk wody ze szklanki Lucyny.

Siedziała tak jeszcze dłuższą chwilę, gapiąc się bezmyślnie na gości w lokalu. W głowie kłębiły się jej najróżniejsze myśli. W ciągu minuty czuła się na przemian winna i wściekła.

Rozmyślenia przerwało jej jednoczesne pojawienie się pobladłej Lucyny i zblazowanego kelnera, który postawił przed Sabiną wysoką szklankę z kawą.

– Proszę – powiedział głosem kelnerki z baru Miś.

Lucy klapnęła ciężko na krzesło.

– Sonieczko – zaczęła, wzdychając. – Masz kryzys, ja to rozumiem, ja to naprawdę rozumiem. Każdy może się wypalić po jakimś czasie, nie myśl, że i mnie to nie dopada. Ja to znam, ja wiem...

Sabina zastygła w niemej pozie, czekając na jakieś bez wątpienia nachodzące „ale”.

– Ale – Lucy wyprostowała się – nie ma sytuacji bez wyjścia. I ja je znajdę. – Walnęła pięścią

w stół, aż zblazowany kelner posłał jej wrogie spojrzenie.

– Lucyna. – Sabina pogładziła agentkę po dłoni. – Wyjście jest jedno. Ja po prostu muszę przestać produkować to gówno.

– Przestań deprecjonować swoją pracę! – Lucyna podniosła głos. – Po prostu przestań! Nie dałaś mi nic powiedzieć, kompletnie zbiłaś mnie z tropu tą swoją rewelacją, a ja ci miałam przecież oznajmić, że masz zaproszenie na nagranie do Telewizji Kulturalna Piątka! Tam się chyba nie zaprasza producentów gówna, co? – Lucy tryumfowała. – To chyba świadczy o tym, że jesteś pisarką, a nie jakimś gównotwórcą? No bo jeśli to nie świadczy o klasie autora, to ja już nie wiem, co o tym świadczy.

– No co ty? Do Kulturalnej? Mnie?

– Tak, ciebie, cholerny niedowiarku. Na czwartek, do audycji o roli pisarzy w społeczeństwie.

– Ale zapraszają mnie jako pisarkę?

– Nie, jako wodziankę! – Lucyna aż się trzęsła. – Oczywiście, że jako pisarkę, ty durny babsztylu! I w związku z tym może zrewiduj swoje idiotyczne pomysły i zabierz się do roboty, bo pamiętaj: lepsze wrogiem dobrego! Wyślę ci mailem info o nagraniu, a teraz wybacznij, idę, bo mnie doprowadziłaś do granicy wytrzymałości i po prostu muszę się zresetować. Inaczej mnie trafi szlag.

Zebrała w ekspresowym tempie swoje rzeczy i odchodząc, dodała:

– Jesteś nienormalna, po prostu nienormalna.

I tyle ją widziano. Sabina zrezygnowana sięgnęła po kawę – była całkiem zimna.

*

Kiedy nadszedł czwartek – dzień audycji w stacji telewizyjnej cenionej przez twórców kultury wysokiej – Sabina z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że jest stremowana. Nie lubiła występów publicznych, ale nawet nie o to chodziło. Raczej o to, że to jednak nie był jej świat, sama czuła, że przynależy do innej kategorii niż pisarze regularnie pojawiający się na ekranie ambitnej telewizji. Ale to się miało przecież wkrótce zmienić.

Studio Kulturalnej Piątki znajdowało się za miastem, wśród baraków i magazynów. Taksówkarz, który wiozł Sabinę na nagranie, z pewnym zdziwieniem wjechał za bramę. W lusterku widział swoją pasażerkę, której twarz wydawała mu się znajoma, ale nie mógł jej dopasować do niczego konkretnego. Jakaś aktorka? Może dziennikarka?

– Pani jest pewna, że to tu? – zapytał w końcu.

– Taki podano mi adres. – Sabina też miała niewyraźną minę, z każdą chwilą coraz bardziej podejrzewając Lucynę o okrutny żart. – Wysypiskowa trzysta czterdzieści pięć c.

– Hmm... – zadumał się taksówkarz. – Hmm... No niby się zgadza ulica i numer, tylko teraz to „c” znaleźć. – Przejechał powoli kolejnych dziesięć metrów. – A co to ma być? – spytał, gdy mijali wjazd do hurtowni artykułów budowlanych.

– Telewizja Kulturalna Piątka.

Zatrzymał gwałtownie auto.

– Pani droga, ma pani jakiś telefon tam? Bo coś mi tu śmierdzi. Przecież tu nie może być telewizji... Pani dzwoni.

Sabina, zgadzając się z diagnozą taksówkarza, posłusznie wyjęła telefon i wyszukała maila od Lucyny z numerem do jakiejś pani z produkcji programu *Hala Pełna Pisarzy*.

Po trzecim sygnale odezwał się głos:

– Maria Bator, Kulturalna Piątka, słucham?

– Dzień dobry, tu Sonia Geppert – przedstawiła się Sabina. Po tylu latach nabrała już wprawy i wiedziała, kiedy jest Sonią, a kiedy może pozostać sobą. – Pani Mario, nie wiem, czy jestem w dobrym miejscu, krążę wśród hurtowni na Wysypiskowej i nie mogę znaleźć państwa budynku.

– Gdzie dokładnie pani jest teraz?

– Przed hurtownią budowlaną.

– A to już rzut beretem – ucieszyła się producentka. – Proszę jechać dalej prosto, przy stacji kontroli pojazdów skręcić w lewo i jeszcze jakieś trzysta metrów tą drogą. Za opuszczonym barakiem jest nasze studio. Nad wejściem jest napis „Akumulatory”.

– Akumulatory... Okej, zaraz jestem – pożegnała się Sabina i przekazała wskazówki taksówkarzowi.

Kiedy płaciła mu za kurs, spojrział na nią bacznie i zapytał:

– Pani też w kulturze robi?

Przytaknęła.

– Pani droga, weź ty się za co poważnego, bo widać, że z tego chleba nie ma... – Wskazał głową na odrapane wejście do studia nagrań.

Sabina wysiadła w milczeniu.

Zaraz po przekroczeniu progu znalazła się w orbicie fertycznego kierownika planu, który podał jej rękę przypominającą zdechłego śledzia.

– Miłosz Zagajewski, miło mi – przedstawił się. – Zapraszam na make-up.

„Żeglarz z zamiłowania, który w przydomowym garażu razem z kolegami dłubie sobie mały jacht. Pracę w telewizji traktuje jako formę przetrwalnikową, marzy o rejsie dookoła świata”, nie mogła się powstrzymać Sabina.

Przeszła do niewielkich rozmiarów salki oświetlonej trupim światłem małych jarzeniówek i usiadła na fotelu. Miła makijażystka, sama całkowicie *sauté*, zagadnęła:

– Jakież preferencje?

– Może po prostu jakoś tak delikatnie...

Dziewczyna przystąpiła do pracy, mieszając na grzbiecie dłoni dwa kolory podkładu niczym

malarz na palecie.

– Bardzo lubię pani książki – powiedziała, pochylając się nad autorką i nakładając pędzlem pierwszą warstwę makijażu. – Przyniosłam nawet jedną, bo pomyślałam, że może dostanę autograf...

Sabina uśmiechnęła się do makijażystki:

– Naprawdę pani je lubi?

– Oj tak. – Dziewczyna sięgnęła po transparentny puder, który obficie nałożyła Sabinie pod oczy. – To żeby się cień nie osypywał, proszę się nie martwić, usunę nadmiar. Lubię Amelię, po prostu. Dla mnie to najlepszy relaks, tak sobie po pracy usiąść z książką i herbatą.

Sabina znów się uśmiechnęła.

– No i nie muszę chyba mówić, że czekam, kiedy wreszcie wyjdzie kolejna część... Proszę teraz zamknąć oczko. – Makijażystka sięgnęła po paletę cieni.

Do charakteryzatorni wpadł kierownik Zagajewski.

– Jak tam, Lena? Kończ, bo zaraz wchodzimy na antenę. Wszyscy goście już są, mamy gotowość na planie. Jeszcze tylko pani Sonia.

Dziewczyna posłała mu spojrzenie bazyliuszka.

– Miłosz, przepraszam cię, ale nie jestem w stanie zrobić tego w minutę. Może jakbyście nie mieli studia sto kilometrów od miasta, to goście by się nie spóźniali.

Zagajewski zagryzł usta.

– Masz dwie minuty – burknął i zniknął.

Sabina spojrzała pytająco.

– Niech się pani nie przejmuj – uspokoiła ją Lena. – To jest żart, nie telewizja. Ogląda ich ze dwanaście osób, a ważni są, jakby naprawdę mieli jakiegokolwiek znaczenie. W sumie robię im uprzejmość, że tu przyjeżdżam, bo nijak mi się to finansowo nie opłaca. Po prostu Marysia Bator to moja dobra koleżanka i tak mnie błagała, że musiałam się zgodzić – zaśmiała się.

Kiedy skończyła pracę, Sabina przyjrzała się sobie w lustrze.

– Śliczny ten kolor szminki – pochwaliła. – Mogę zobaczyć, co to?

– Oczywiście. – Makijażystka sięgnęła do swojego kuferka, ale w tej sekundzie w charakteryzatorni znów zjawił się kierownik planu.

– No już, musimy zaczynać.

Kiedy podłączono Sabinie mikroport, Miłosz zaprowadził ją płataniną korytarzy do studia nagrań.

– Oto i nasz ostatni gość – zaanonsował.

Przy dużym okrągłym stole siedzieli pozostali zaproszeni, wśród których Sabina rozpoznała autora reportażu o Ukrainie, za które dostał kilka nagród, krytyka z największego dziennika w kraju, który w ubiegłym roku zmiażdżył ją i kilka innych pisarek kobiecych za schlebienie najniższemu gustom (jego frazę stylizowaną na język proletariatu, brzmiącą „Nie da się z gówna utoczyć coś”, cytowali po

prostu wszyscy), a także – i tu ścierpła – ukochaną pisarkę Róży, słynną Magdalenę Teleszko. W krótkim czasie zyskała status jednej z najbardziej wpływowych postaci życia publicznego, wypowiadała się na każdy temat, bo na każdy temat miała swoje zdanie, o które pytali ją absolutnie wszyscy. Stała się dyżurnym autorytetem gazet i programów publicystycznych, zwłaszcza od czasu sensacji sezonu, niedawno wydanej powieści *Pałka – zapalka*, książki o poszukiwaniu wewnętrznego „ja”, z którą Róża nie rozstawała się na krok, wciąż rozplývając się nad talentem i społecznym zaangażowaniem autorki, która (w odróżnieniu od jej matki oczywiście) naprawdę „mówiła głosem współczesnych kobiet”. Sabinie zrobiło się niedobrze.

Podeszła do niej czarnowłosa prowadząca. Miała jakieś trzydzieści lat, krótką modną grzywkę i wielkie czerwone okulary, które nadawały jej intelektualnego sznytu, choć niekoniecznie dodawały urody.

– Helena Tulej, jestem gospodynią *Hali*. Cieszę się, że przyjęła pani nasze zaproszenie – powiedziała jakoś tak nieszczerze i zaprowadziła Sabinę na jej miejsce. Inni goście kulturalnie kiwnęli głowami.

Włączono światła. W kamerach zapaliły się czerwone lampki, a dwanaście osób siedzących przed odbiornikami ustawionymi na kanał Kulturalna Piątka zobaczyło animowaną czołówkę ulubionego programu.

Rozmowa dotyczyła etosu pisarza. Co to dziś oznacza, usiłował klarować reporter od Ukrainy, wspierany w swych wywodach przez szukającą wewnętrznego „ja” pisarkę. Teleszko, potrząsając srebrnymi bransoletami z India shopu, nieustająco odwoływała się do modnych filozofów. Używała przy tym słów w rodzaju „poliferanta”, które zbijały z tropu nie tylko Sabinę, ale i czarnowłosą okularnicę, usiłującą sprytnie omijać tego rodzaju intelektualne rafy. Sabina profilaktycznie nie odzywała się, nie widząc dla siebie miejsca w tej dyskusji i przeklinając w duchu Lucy.

Krytyk literacki dowodził, że oto mamy na półkach jedynie produkty książkopodobne, że zalewa nas fala szmiry, że romanse odmóżdżają czytelnika, że trzeba dawać temu odpór i nazywać rzeczy po imieniu. Teleszko kiwała głową z takim przekonaniem, że jej grzywka podskakiwała, jakby była samoistnym bytem, żywym zwierzątkiem przyczepionym do czoła.

Prowadząca poprawiła okulary i spojrzała w notatki.

– Pani Soniu, a jak pani, jako autorka z tak zwanego nurtu literatury środka, ocenia te kwestie?

Sabina poczuła, że poca jej dłonie, jak na maturze z matematyki. Miała sucho w gardle. Bąknęła bezsensownie:

– Ale w jakim kontekście?

Magdalena Teleszko nagle zwróciła się w jej stronę i patrząc prosto w oczy, wycedziła:

– Och, no niech nam pani po prostu powie, czy uważa pani, że należy panią traktować jak pisarkę.

Sabina poczuła, jak narasta w niej wewnętrzny sprzeciw wobec sytuacji, w jaką ją wpakowano. No

bo jednak, hej, bez przesady. Dlaczego właściwie ma tu robić za chłopca do bicia? Swoje wątpliwości może mieć, ale czy musi publicznie wysłuchiwać połajanek? Sprzedała więcej książek niż oni wszyscy razem wzięci. Pomnożeni przez pięć.

Spojrzała na swoją dłoń, na której błyszczał wielki brylant, który sama sobie kupiła.

– A dlaczegóż by nie? Żyję z pisania książek. Myślę, że to się jakoś mieści w definicji słowa „pisarka”. Stolarz żyje z robienia mebli, lekarz z leczenia...

Teleszko spojrzała na nią z nieskrywanym obrzydzeniem.

– No wie pani, dziś niestety wszyscy piszą książki, tylko że, z całym szacunkiem, to trochę tak, jakby porównywać malarza pokojowego z Michałem Aniołem – cisnęła w Sabinę gromem.

Ta jednak uchyliła się przed ciosem i odbiła piłeczkę:

– Och, to prawda, wszyscy piszą, ale tylko niektórzy na tym zarabiają – rzuciła niby od niechcienia. – Czytelnicy im płacą, kupując ich książki. A nie zagraniczne fundacje rozdające zapomogi, zwane dla niepoznaki i lepszego samopoczucia osób piszących stypendiami.

Potoczyła wzrokiem po zebranych, widząc po ich minach, że wchodzi na bardzo grząski grunt. Ale czuła, jakby coś w nią wstąpiło. Może dlatego, że ta cholerna Teleszko była jej tyle razy wystawiana pod nos jako przykład prawdziwej pisarki. Może właśnie przez Różę... Może po prostu chodziło o to, że Sabina chciałaby kiedyś usłyszeć coś miłego od własnej córki.

Cholerna Teleszko znów zabrzczała srebrnymi bransoletami.

– Jeśli pani w tej chwili pije do mnie, to nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, z kim w ogóle ma do czynienia.

– Cóż, faktycznie mało się słyszy o pani książkach, nic dziwnego, przy tych nakładach, ale niech się pani nie martwi, zadałam sobie trud wygooglowania pani dorobku. – Sabina ku własnemu zaskoczeniu wciskała pedał wredoty do dechy, gotowało się w niej po prostu. – To może niech nam pani wreszcie powie, z kim trzeba sypiać, żeby robić za najwybitniejszą pisarkę?

Po tych słowach zamarli wszyscy, łącznie z Sabiną, która zastanawiała się w duchu: „Serio? Ja to naprawdę powiedziałam na głos?”.

Jedyny dźwięk, jaki było teraz słychać, to nieudolnie tłumiony chichot jednego z operatorów. Prowadząca nerwowo szukała w notatkach czegoś, co mogłoby skierować rozmowę na inne tory. Kamera pokazywała stężoną twarz Teleszko, która się zapowietrzyła i nie potrafiła złapać tchu. W sukurs przyszedł jej krytyk, który opanował nieco emocje.

– Pani się ośmiesza – syknął w stronę Sabiny. – To jest skandal i zupełnie niedopuszczalny poziom rozmowy.

– Ja się ośmieszam? – Sabina zrobiła szybki rozrachunek w głowie i uznała, że skoro powiedziała „A”, to musi dodać „B”, bo i tak ma już przerąbane. Podniosła pięknie wymodelowane brwi. – Śmieszny to jest pan, ze swoją rubryką dla kółka wzajemnej adoracji raz na miesiąc w gazecie, ze swoim przerośniętym ego, które z trudem się mieści w tym magazynie przerobionym na telewizję. Taka jest właśnie wasza kultura! Hipokryci! – Odpięła mikrofon i cisnęła nim o stół. Dwaj kamerzyści

nie nadążali z ogrywaniem całej sytuacji.

Sabina zabrała płaszcz i torbę i wyszła ze studia. Bała się, że jeśli ktoś ją teraz zaczepi, to najzwyczajniej w świecie da mu w ryj. Zaproсили ją tu wyłącznie po to, by w kontraście do tych wszystkich zajmujących się istotnymi kwestiami twórców dobitnie pokazać jej miałość. Upokorzenie dotkliwie przenikało każdą komórkę jej ciała. Prawie się rozplakała.

Wybiegła z baraku należącego do Kulturalnej Piątki. Wyjęła z torebki telefon. Na ekranie migiała ikonka „Wiadomość”. Kliknęła szybko – od Róży. „Wstydzę się ciebie. Od dziś nie jesteś moją matką”.

– Kurwa, kurwa, i jeszcze raz kurwa mać! – Miała ochotę cisnąć telefonem w błoto. Czuła, jak na skroni pulsuje jej żyłka, która za chwilę pęknie, zalewając krwią to miejsce, w którym rodziły się wszystkie postaci z jej beznadziejnych powieści. Oparła się o ścianę. Próbowwała uspokoić oddech. Zadzwoiła po taksówkę. Czas oczekiwania – dwadzieścia minut.

Postanowiła go sobie skrócić, kierując się ku wyjściu. Szła więc na wysokich obcasach, kołysząc się co rusz na nierównościach, między hurtowniami i składami. Wybrała numer Lucyny. Ta odebrała po trzech sygnałach

– Jak tam złociutka? Poszło? – zaszczebiotła.

– Lucyna, masz szczęście, że jesteś teraz poza moim zasięgiem... Mam ochotę ukreć ci ten rudy łeb! – wydarła się do słuchawki. – Wsadziłaś mnie na potworną minę i co gorsza, dobrze wiedziałaś, co robisz, ty wstrętne babo!

– Ale ja w ogóle nie wiem, o czym ty do mnie mówisz, bejbe. – Lucy w rżnięciu głupa nie miała sobie równych.

– O tym, że wyszłam nie tylko na osobę kompletnie pozbawioną talentu i prawa do pisania czegokolwiek, ale i na skończoną idiotkę.

– Ależ, Sońko... Naprawdę przesadzasz. Oglądałam i mówię ci, że wypadłaś świetnie, byłaś bardzo wiarygodna, stanowcza, no i po prostu się broniłaś!

– Obraziłam czołówkę polskiego świata literackiego. Mam teraz przesrane, zniszczą mnie, rozumiesz? Muszę sobie jakiś nowy pseudonim przybrać. A ty wiedziałaś, że rzucasz mnie na żer i nie zawahałaś się. Jak zwykle, Lucy, jak zwykle. Mam tego po uszy, po dziurki w nosie, po pieprzoną kokardę.

– Co ty mówisz, świetnie wybrnęłaś z tego pytania o rolę literatury środka.

– To nie było pytanie, tylko atak. Ale ty mnie utwierdziłaś w słuszności mojej decyzji i mam nadzieję, że jest ci, kurwa, bardzo przykro. Amelia Kruk nie żyje, a ja zaraz zbezczeszczę jej cholerne zwłoki. Nie próbuj nawet do mnie dzwonić. – Sabina rozłączyła się, naciskając wściekle ekran smartfona. Zobaczyła majaczącą w oddali taksówkę i zamachała do kierowcy niczym rozbitek na bezludnej wyspie, który przywołuje przepływający obok statek.

Tymczasem dwie godziny później na fanpage’u Soni Geppert ukazał się wpis z linkiem do

programu w Kulturalnej Piątce.

Kochani! Przyjęłam dziś zaproszenie kanału Kulturalna Piątka do kultowego programu Hala Pełna Pisarzy. Razem z Jerzym Bobkowskim, Przemysławem Nowickim, Magdaleną Teleszko i Januszem Czerwińskim rozmawialiśmy o roli pisarza w społeczeństwie. To była świetna i ożywcza wymiana myśli na najwyższym poziomie – polecam wszystkim, którzy od życia i od mediów wymagają trochę więcej. Tymczasem uciekam do pracy. Amelia nie pozwala mi zniknąć na zbyt długo!

Lucyna wcisnęła enter i obserwowała z zadowoleniem, jak pod linkiem zaczynają się pojawiać komentarze i udostępnienia statusu. Tak jest! Nieważne, co mówią, ważne, by mówili! *There is no business like show business!*

ROZDZIAŁ 3

„Celebrytka, godna pożałowania postać”. „Po co takie badziewiary w ogóle zapraszać między kulturalnych ludzi?” „Tandetna raszpla, która ma takie pojęcie o literaturze jak mała o balecie, od lat wciska ludziom ten kit książkopodobny, uważa się za wielką pisarkę, a jest po prostu żałosna”. „Paniusiu, wyjdź czasem ze swojego apartamentowca i zobacz, jak ludzie muszą żyć za 1500 złotych miesięcznie”. „Sama daje dupy na prawo i lewo”. „Może powinno się sprawdzić łóżko pani Geppert?”

Sabina jak zahipnotyzowana wgapiła się w ekran iPada, przewijając strony powolnymi ruchami. Setki, tysiące komentarzy na jej temat w internecie. Na wszystkich portalach plotkarskich. Telewizja Kulturalna Piątka takiej reklamy nie miała od początku swego istnienia. Zaczęło się od tekstu w „Superfakcie”: *Bogatemu wolno? Sonia Geppert upokarza ledwo wiążących koniec z końcem pisarzy i zarzuca konkurentce karierę przez łóżko*, a potem już pooszło! Wszyscy zaczęli to u siebie wklejać, powtarzać, analizować. Rozwijały się kolejne wątki, wypowiadali się jacyś kelnerzy z restauracji, w której Sabina miałyby się stołować i awanturować, a ostatecznie wyjść bez płacenia, z okrzykiem: „Zniszczę was! Wy nie wiecie, kim jestem!” na ustach. Pojawił się fanpage „Czytam Sonię Geppert dla beki”, gdzie wklejano co bardziej nieudane fotografie autorki i fragmenty jej książek, a także kolejne wypowiedzi osób, których Sabina nie widziała nigdy na oczy, a które sypały jak z rękawa przykładami fatalnych zachowań tej „pisarzyny”, takimi jak wpychanie się bez kolejki do taksówek na postojach albo awantury w hotelach i na lotniskach. „Facebook huczy!” – donosił główny portal plotkarski, generując kolejne tysiące komentarzy. Bo nic tak ludzi nie wkurza, jak czyjeś poczucie wyższości.

Sprawczyni tej afery przestała już co prawda płakać i obwiniać się o całe zajście, bo przecież tak naprawdę została sprowokowana, ale nadal miała nadzieję, że to zły sen i że w końcu się obudzi. Jej agentka nie odbierała telefonu – sprytna strategia: przeczekać, aż kurz opadnie.

Swoją drogą to wszystko było niesamowite, fabryka kłamstw lawinowo produkowała wysane z palca historie, które zaczynały żyć swoim życiem. Dobra, Sabina nigdy nie była przesadnie wrażliwa na kwestie społeczne, chodziła czasem w futrze z norek, kupowała drogą bieliznę i najlepsze kremy, ale przecież to nie oznaczało, że jest „tępą dzidą, która robi karierę przez łóżko” ani „starzejącą się prukwą, która nie ma pojęcia, jak to jest żyć za minimum socjalne”. Nieprawdą były te wszystkie relacje o jej skandalicznym zachowaniu u fryzjera i w kawiarniach, nieprawdą było dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, co czytała teraz o sobie w sieci.

Spojrzała na telefon ładujący się w kontakcie obok łóżka. Bardziej mechanicznie niż z rozmysłem wybrała ze spisu numerów ten jedyny stacjonarny, jaki się jej ostał – zaczynający się od numeru 0 32. Gdzieś w głębi jednego z katowickich mieszkań zabrzączał telefon.

– Halo – po trzech sygnałach odezwał się nieco chrapliwy męski głos.

– Mariusz? To ja... – powiedziała słabo.

– Sabina? – głos męczyzny w słuchawce stał się czujny. – Co się dzieje?

– No żeż kurwa mać – jęknęła pełna rezygnacji – ja właśnie nie bardzo wiem...

O ile Sabina była królową literatury kobiecej, o tyle Mariusz Zygmuntowicz niepodzielnie władał krainą kryminału. Może to, że nie byli dla siebie konkurencją, sprzyjało tej niezwyklej przyjaźni. Sabina i Mariusz nigdy się bowiem nie spotkali na żywo. Poznali się w czasach, gdy ona była jeszcze dziennikarką, a on już dosyć znanym pisarzem. Przeprowadziła z nim telefoniczny wywiad, który on, co ponoć było ewenementem, zaakceptował bez większych poprawek. Zygmuntowicz był znany jako oryginał, odludek i człowiek niepałający przesadną sympatią do bliźnich. Tym trudniej było Sabinie zrozumieć, dlaczego to właśnie ją postanowił wpuścić do swojej oblężonej twierdzy, a po jakimś czasie obdarzyć niespotykanym zaufaniem. Być może ujęło go to, że niezrażona jego mało wylewnym (delikatnie mówiąc) zachowaniem przy okazji wywiadu odezwała się do niego jak gdyby nigdy nic niedługo po sukcesie *Deszczu na szczęście* z prośbą o udzielenie kilku fachowych wskazówek. Zaczęła sobie wtedy zdawać sprawę z tego, że jej spontaniczna pisanina to już nie są jakieś żarty i stanęła oko w oko z oczekiwaniami wyrosłymi na gruncie niespodziewanego sukcesu. Doświadczony pisarz nie tylko przeczytał uważnie to, co Sabina mu przesłała, ale udzielił jej po lekturze jednej rady, którą na zawsze zapamiętała: „Pisz tak dalej i nie przejmuj się, co będą mówić i pisać. Masz instynkt, tego się nie da nauczyć”.

Zygmuntowicz był od Sabiny starszy o kilka lat. Od urodzenia mieszkał w Katowicach i nigdy się z nich nie ruszał. Jego kryminały retro osadzone w czasach zaborów cieszyły się nieco dwuznaczną sławą. Oprócz precyzyjnie skonstruowanej intrygi oraz drobiazgowej dbałości o zgodność z historycznymi realiami twórczość Zygmuntowicza charakteryzowała się wyjątkowo śmiałymi scenami erotycznymi, które z pewnością walnie przyczyniły się do popularności serii.

Znajomość dwójki pisarzy zaczęła się od maili, a wkrótce zwyczajem Sabiny i Mariusza stały się cykliczne rozmowy przez telefon, które przeważnie przedłużały się w nieskończoność. „Kiciu, czy powinienem być zazdrosny?” – zdarzało się skomentować z nieśmiałym uśmiechem Andrzejowi, kiedy jego żona po raz kolejny zamykała się z telefonem w pokoju na ponad godzinę. Ona nie traktowała tych przytyków poważnie, wiedziała, że „zazdrosny Andrzej” to oksymoron, niewierność nie mieściła się w męzowskiej prostolinijnej wizji świata. Przede wszystkim zaś nie istniały powody do tej zazdrości – relacja z Zygmuntowiczem była pozbawiona jakiegokolwiek zabarwienia erotycznego. Mimo że spod jego ręki wychodziły rozpalające wyobraźnię sceny dla dorosłych, ich autor w bezpośrednim kontakcie był zawsze rzeczowy, momentami zasadniczy, więc o żadnym flircie, nawet niewinnym, nie było mowy.

Nie znaczyło to jednak, że rozmowy z Mariuszem były nudne czy przewidywalne. Przyjaciel

Sabiny był fascynującym rozmówcą – inteligentnym, błyskotliwym i nieco złośliwym, no i po mistrzowsku operował ironią. Królewską parę literatury łączyła także głęboka niechęć do własnych sukcesów, a przede wszystkim do ich uciążliwych konsekwencji, oraz nienawiść do własnych bohaterów, którzy przynieśli im pieniądze i sławę, ale jednocześnie odebrali spokój i poczucie swobodnego decydowania o swoim życiu.

– Teodor powinien poznać Amelię, mieliby płomienny romans, zakończony śmiercią na skutek ataku trąby powietrznej, która pechowo nawiedziła okolice Kłodzka, gdzie para spędzała romantyczny weekend – zaczynała Sabina.

– Ale chwilę wcześniej Amelia, w nagłym napadzie szału, jaki nigdy wcześniej mu się nie przytrafił, zostałaby zgwałcona i brutalnie pobita przez Teodora – dopowiadał Zygmuntowicz.

Od lat ich rytuałem i ulubioną rozrywką było wymyślanie coraz to bardziej absurdalnych sposobów zadania śmierci swoim bohaterom (Teodor Balcar, chmurny komisarz policji w typie chandlerowskim, był główną postacią kryminalnej sagi Zygmuntowicza).

Tym razem jednak to nie był czas na żarty. Sytuacja była poważna, z monitora jedna za drugą wylewały się na nią fale nienawiści. Coś takiego przytłoczyłoby największego twardziela, a pisarka w dodatku przywykła raczej do przymilnych maili od zakochanych czytelniczek.

– Włącz komputer i zobacz, co się dzieje – powiedziała.

– Poczekaj. – Rozległ się dźwięk odpalanego systemu operacyjnego, a po chwili Zygmuntowicz odezwał się: – Sabina, masz jaja!

– Jaja może mam, ale chyba nie mam instynktu samozachowawczego. I co teraz robić, Mariusz?

Pisarz oddychał ciężko, sapiąc w słuchawkę.

– Chyba nic. Cokolwiek teraz zrobisz, obróci się przeciwko tobie. Przeczekaj. Fale gówna w sieci szybko płyną naprzód. Za dwa dni ktoś nowy padnie ich ofiarą.

– Łatwo ci mówić: „przeczekaj”. Przecież oni mnie zlinczują.

– E, tam.

– No co ty mówisz...

– Sabina – Zygmuntowicz nie miał wątpliwości – przecież to tylko internet.

– Ale za tym stoją realni ludzie.

– Daj spokój, każdy ma swoje problemy i rachunki do opłacenia, matkę z alzheimerem i kredyt we frankach. Serio myślisz, że ich obchodzi twoje życie? To wszystko jest teatr.

Sabina zastanowiła się.

– Tak sądzisz?

– No a powiedz, jaki wpływ na twoje życie miał skandal z tą lalą, co się po pijaku awanturowała w teatrze?

– Żadnego.

– A jakbyś ją dziś spotkała, to co?

– Nic.

– Właśnie. Teraz to sobie przemyśl. Nic ci nie grozi. Dzisiejsze skandale nijak się mają do tych sprzed lat. Dziś nikt by nikogo nie wyzwiał na pojedynek – pisarz zgrabnie nawiązał do bohatera swojej ostatniej powieści, który szlachtował mężczyzn, broniąc honoru dam.

Rozmowa z Zygmuntem natchnęła Sabinę optymizmem. „Może faktycznie nie ma co histeryzować? Zaraz wszyscy o tym zapomną. Oprócz Magdaleny Teleszko, ale jakoś to przeżyjemy”.

Postanowiła wziąć aromatyczny prysznic, żeby się zrelaksować i zmyć z siebie cały ten brud. Tyle że kiedy strumienie ciepłej wody spływały z jej włosów, rozległo się potworne walenie w drzwi łazienkowe i dziki wrzask:

– Ty jesteś nienormalna! Nienormalna!!!

Sabina, której woda zalewała oczy, po omacku zaczęła szukać wyłącznika na skomplikowanym panelu sterującym prysznicem. Niestety zamiast zamknąć dopływ wody, przyciemniła światło i włączyła radio, co jeszcze bardziej rozsierdziło dobijającą się do drzwi Różę.

– Nie zagłuszysz swoich wyrzutów sumienia tym debilnym radiem, nie zagłuszysz mnie! Przynosisz mi wstyd i nic więcej. Nienawidzę cię!

Sabinie w końcu udało się zakręcić wodę. Wypadła z kabiny, ślizgając się po mokrej posadzce, owijała się ręcznikiem i wołała:

– Hej, Róża, poczekaj, ja ci wszystko wytłumaczę!

– Nie chcę słuchać twoich żalosnych tłumaczeń! Obraziłaś publicznie moją ukochaną pisarkę i pokazałaś, jak bardzo gardzisz ludźmi, którzy mają mniej od ciebie! Ty! Która sama latami jadłaś cholerny paprykarz szczeciński na kolację! Nigdy ci tego nie wybaczę! Nigdy! – Róża, trzaskając drzwiami, wybiegła z apartamentu. Sabina oparła się plecami o ścianę. Łzy same popłynęły jej z oczu.

*

Mail od Lucyny wprowadził Sabinę w dygot.

Sońka, ty się nic nie przejmujesz, mam nadzieję. Mamy fejm, jest dobrze, wszyscy o nas piszą. Pamiętaj: nieważne, co piszą, byle po nazwisku. Poza tym mam genialny plan, jak całą tę sytuację rozbroić, tak żeby wszyscy cię kochali. Będziesz zadowolona.

Love

Twoja agentka

Pisarka natychmiast sięgnęła po telefon. „Dodzwoniłeś się do Lucyny Korab-Olszańskiej, nie mogę teraz rozmawiać, zostaw wiadomość, oddzwonię” – poprosiła aksamitnym głosem

automatyczna sekretarka. Sabinę obleciał strach. Była na sto procent przekonana, że zarządzanie kryzysem wizerunkowym nie jest tym, na czym Lucyna zna się najlepiej. I że genialne plany w jej wykonaniu kończą się fatalnie. Co oznaczało, że zaraz stanie się coś strasznego.

Cały dzień czekała na tę katastrofę, która niczym wstrząsy wtórne miała ją dobić po pierwszym ataku kataklizmu. Odświeżała strony najgorętszych portali plotkarskich i tabloidów. Wpisywała swoje imię i nazwisko w wyszukiwarki. Ale oprócz dawnych tekstów i rosnącego wciąż hejtu nie pojawiała się nic nowego. Dała w końcu za wygraną. Zadzwoiła do Róży, która natychmiast się rozłączyła, wykręciła jeszcze raz numer Lucyny, której ponownie się nagrała, w końcu wykończona całodziennym wyczekiwaniem na kolejną masakrę padła na łóżko. Jeszcze tylko kątem oka zobaczyła przez niedomknięte drzwi, jak w holu zapala się światło – Andrzej wrócił do domu, a ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było spotkanie z mężem. Przykryła się więc kołdrą i zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, w łazience szumiała woda, Andrzej zaś swoim zwyczajem podśpiewywał pod prysznicem jakieś durne melodyjki. Sabina nakryła głowę poduszką. Poleżała jeszcze chwilę, pozwalając myślom płynąć. „Zanim zajrzę do sieci, spokojnie zjem śniadanie”, przyrzekła sobie, próbując opanować rosnący lęk.

Wstała, narzuciła jedwabny szlafroczek i przeszła boso w stronę kuchni. Włączyła ekspres do kawy i otworzyła lodówkę w poszukiwaniu mleka do spienienia. Wyjęła też jogurt, płatki i kupione na ekobazarku jagody. Czekając, aż wielka maszyna, której nie powstydziliby się porządna kawiarnia, rozgrzeje swoje designerskie cielsko, Sabina oparła się plecami o drzwi lodówki. Na kuchennej wyspie leżał iPad. „Nie powinnam – powstrzymywała się. – Spokojnie”.

Podstawiła filiżankę pod ekspres, czarny jak smoła płyn zaczął roztaczać po kuchni wspaniały aromat. „A niech to cholera jasna!” Sabina nie wytrzymała i wzięła do ręki tablet. Wpisała w wyszukiwarkę swoje nazwisko. „Ekspres do kawy za 30 tysięcy? Takie luksusy w domu Soni Geppert!” – grzmiał na stronie głównej największy polski tabloid, okraszając to fotomontażem, na którym głodujące ciemnoskóre dziecko wyciąga rękę w żebraczym geście, stojąc tuż obok luksusowego sprzętu AGD.

Sabina poczuła, jak krew odpływa jej z głowy.

Tabloid zamieścił rozmowę z Andrzejem, który z rozbijającą szczerością opowiadał o tym, jak dobrym człowiekiem jest jego żona. Mówił o jej gestach wobec ubogich dzieci, o wysyłaniu paczek na święta do wielodzietnej rodziny z Podlasia, o tym, że przygarnęli nawet kiedyś psa ze schroniska. Ale już zdechł. Owszem, ma Sonia Geppert swoje słabości, na przykład ten ekspres, bo to nawet jego – Andrzeja – nieco zdenerwowało, ale przecież pisarze mają prawo do fanaberii.

Sabina czytała tę rozmowę, czując, jak ciśnienie się jej podnosi z każdym akapitem. Żyłki na czole pulsowały, jakby zaraz miały pęknąć. Coraz trudniej było jej oddychać. Siadła na podłodze pod kuchenną wyspą, ekspres mruczał jej cicho nad głową. Z salonu kąpielowego wyszedł tymczasem

pachnący świeżością i zadowolony Andrzej, w białym ręczniku opasującym go niczym toga. Zostawiał mokre ślady na podłodze, a z łazienki wytaczały się za nim kłęby pary.

– Kochanie, dobrze spałaś? Co tak na ziemi siedzisz? Spadło ci coś? – zagadał wesoło do Sabiny i wcisnął guzik ekspresu. – Ile razy wam mówiłem, żeby to wyłączać, jak już nie robicie kawy, przecież to żre prąd jak wściekłe!

Ledwo wypowiedział ostatnie słowo, spod wyspy kuchennej rzuciła się na niego własna żona. Odzyskała siły i teraz przypominała atakującą znieściana kobrę.

– Ja cię zabiję, ja cię zabiję, ty debilu!!! Gdzie jest nóż, ja cię zabiję!!! – darła się, usiłując go udusić. Zaskoczony atakiem małżonek próbował się bronić, podtrzymując jednocześnie białe gieżło ręcznika, które w tej nietypowej sytuacji natychmiast zaczęło zjeżdżać w dół.

– Sabinko, co ty wyprawiasz? – charczał. – Co cię opętało, kochanie!?

– Ośle, ty ośle, ty!!! – głos Sabiny załamał się i z krzyku przeszedł w płacz. Zawyla jak ranny łoś. – Zabiję cię, zabiję Lucynę, a na końcu zabiję siebie. – Puściła nagle szyję męża. Ten odskoczył na bezpieczną odległość i zaczął się macać po krtani.

– Co w ciębie wstąpiło?

Nie odpowiedziała, tylko cisnęła w niego iPadem, który Andrzej złapał w ostatniej chwili, inaczej sprzęt roztrzaskałby się o ścianę.

– Patrz, czytaj i potem sam idź się zabij. Nie chcę cię tu widzieć. Nigdy!

Andrzej przebiegł wzrokiem po ekranie.

– Sabinko, ale tu nie ma ani pół grama nieprawdy – wyjąkał.

– Andrzej, ja wiem i teraz powiem ci coś, co też nie będzie zawierało ani pół grama nieprawdy. – W Sabinie wrzód dojrzał i właśnie pękł. – Nie kocham cię i nie chcę mieć już z tobą nic wspólnego. Proszę cię, wyjdź stąd i nie wracaj. Od dawna zamierzałam ci to powiedzieć: chcę się rozwieść.

ROZDZIAŁ 4

Była w domu sama. Andrzej, zdruzgotany i chyba wciąż niedowierzający, że to się dzieje naprawdę, został wyeksmitowany do ich dawnej kawalerki na Chomiczówce. Róża w ramach bojkotu już trzecią noc spędzała u przyjaciółki. Była na tyle uprzejma, żeby poinformować o tym Sabinę esemesem. Jednak poza suchym komunikatem: „Śpię u Zuzy” nie raczyła podjąć żadnej innej formy kontaktu. Nikt z domowników nie kręcił się więc pod bokiem. Tyle że tak upragniona jeszcze niedawno cisza otaczająca Sabinę w przestronnym, a mimo to dziwnie przytłaczającym apartamencie wcale jej nie cieszyła. Luksusowe lokum stało się więzieniem. Sabina prawie przestała wychodzić z domu. Nagonka rozpętana przez oszalałe brukowce przemieliała ją jak maszynka do mięsa.

Nie umiała już racjonalnie ocenić, czy mijany na ulicy facet sięga do kieszeni kurtki po to, by wyjąć i wycelować w nią aparat fotograficzny, czy też jakimś cudem jego gest nie ma z nią żadnego związku. Wszędzie widziała gapiące się twarze, wykrzywione w grymasie niezdrowej fascynacji. Cały świat chciał ją pożreć, a ona czuła się bezbronna. I sama. Otoczona zacieśniającym się kręgiem wrogów, bez żadnego sprzymierzeńca u boku. Lucyna bardziej jej szkodziła, niż pomagała, a Mariusz Zygmuntowicz, choć ją wspierał, to jednak był za daleko. Rodzina... Sabina nawet nie wiedziała, czy w ogóle jeszcze ją ma.

Szurając atłasowymi pantoflami służącymi jej za kapcie, weszła do kuchni. Feralny ekspres stał na podłodze, wciśnięty w najdalszy kąt pod stołem. Na jego solidnej obudowie nie było widać śladów tego, jak został dopiero co potraktowany przez właścicielkę. Seria wściekłych kopniaków sprawiła jedynie, że Sabina boleśnie obijała sobie palce u stóp, ekspres zaś wciąż niewzruszenie połyskiwał chromem i stała za trzydzieści tysięcy złotych. „Swoją drogą, jest wart swojej ceny, nic go nie ruszy”, musiała przyznać pisarka. Spojrzała na zegar ścienny. Dwadzieścia po drugiej po południu. Po prostu świetna pora na rozpoczęcie dnia.

Dni, noce, obowiązki, plany – wszystko to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Godziny zlewały się w jednorodną, ciągnącą się jak glut magmę, a Sabinę interesowało tylko jedno – dać przynajmniej na chwilę odpocząć głowie. Pomocne okazało się wino. Kiedy – mimo sukcesywnie zwiększanych dawek – skuteczność tego środka zaczęła spadać, Sabina wpadła na genialny pomysł połączenia go z tabletkami uspokajającymi. Ta mieszanka zapewniała jej długie godziny nieprzerwanego snu, co było obecnie warte wszystkich pieniędzy świata.

Teraz, w kuchni, przez otępiały umysł pisarki przebił się lekki niepokój na widok ustawionego na blacie długiego rzędu pustych butelek. „Muszę zadzwonić po kogoś do sprzątnięcia...”, pomyślała, ale natychmiast uświadomiła sobie, że tak cudownie proste rozwiązania przestały mieć w jej życiu rację bytu. „Niech to zasrany szlag trafi! Jeszcze mi tego brakuje, żeby kręcił się tu jakiś wścibski

babsztyl”. Postanowiła zająć się sprzątaniami później – na razie nie miała nawet siły, by zabrać butelki z widoku.

Nagle podskoczyła, poderwana dźwiękiem dzwonka do drzwi.

W pierwszej chwili chciała po prostu schować się w pokoju. Może ten ktoś, kto próbuje ją dopaść w jej bastionie, po prostu sobie pójdzie. Zasłoniła uszy, żeby nie słyszeć ponawianego raz za razem dzwonięcia. To nie pomogło. Złowrogi intruz nie zamierzał odpuścić. W końcu, stąpając na palcach i wstrzymując oddech, Sabina odważyła się podejść do drzwi i zerknąć przez wizjer.

– Róża! – Ulga na widok córki była wszechogarniająca. Rzuciła się, by otworzyć drzwi, a następnie – po raz pierwszy od niepamiętnych czasów – objęła mocno dziewczynę. Dosłownie na niej zawisała. Tuliła się do swego dziecka, czując olbrzymią falę miłości. Jej oczy napełniły się łzami.

– Wróciłaś! Jak się cieszę, nareszcie wróciłaś! Moja Róża, moja kochana, dziecko moje – mamrotała Sabina. W końcu zarejestrowała, że Róża pozostaje sztywna w jej uścisku. Odkleiła się od niej ostrożnie. Córka patrzyła na nią wzrokiem, którego nie można było nazwać ciepłym.

– Zapomniałam klucza. Czemu nie odbierasz telefonu? – Rzeczywiście, od dłuższego czasu był wyłączony na stałe. – I co ty ze sobą zrobiłaś? – w głosie Róży było słychać obrzydzenie.

Sabina, acz niezbyt chętnie, postanowiła jednak sprawdzić swój wygląd, przeglądając się w lustrzanej ścianie w przedpokoju. Cóż, widok był żałosny. O lata świetlne oddaliła się od swojej nieskazitelnej wersji ze zdjęcia reklamującego serię kosmetyczną dla dojrzałych pań. Nie mogła sobie przypomnieć, od ilu dni nie wzięła kąpieli. Nie znajdowała w związku z tym przekonujących argumentów, by zmieniać ubranie. A raczej to, co pełniło jego funkcję: przydługą, rozciągniętą bluzę sięgającą prawie do kolan, wygrzebaną z najgłębszego zakamarka szafy, oraz szlafrok, jeszcze niedawno śnieżnobiały, teraz poszarzały i upstrzony plamami z wina. Z przykrością musiała stwierdzić, że po zaprzestaniu codziennych czynności pielęgnacyjnych z użyciem najlepszych wspomagaczy urody nie wyglądała już tak spektakularnie. Zmarszczki o różnym stopniu głębokości powychodziły na powierzchnię skóry, cera straciła blask i przybrała sinoszary koloryt. Pisarka nie była już kwitnącą czterdziestką w najlepszym momencie swojego życia. Była wymęczoną kobietą w średnim wieku, na której twarzy wypisana była trauma, jaką właśnie przechodziła. Cały jej entuzjazm wywołany powrotem córki nagle opadł.

– Przemyślałam wszystko – zaczęła dziewczyna, kiedy weszły już do salonu. – Mam nadzieję, że jesteś w pełni świadoma krzywdy, jaką mi wyrządziłaś.

„Ta smarkuła byłaby idealnym prokuratorem. Zdecydowanie powinna zmienić studia”, myślała Sabina, próbując zachować spokój pod oskarżycielskim wzrokiem córki. Poczuli się lekko zażenowana na myśl o tym, że jeszcze przed chwilą dała się nabrać i ucieszyła na widok Róży.

– Nie widzę tu przed sobą dalszego życia – kontynuowała dziewczyna, a Sabinie serce podskoczyło do gardła. „Matko jedyna, co ona gada!? Chce przeze mnie popełnić samobójstwo!?”

– Jestem kompletnie, absolutnie, stuprocentowo skompromitowana. Nie mogę się pokazać ludziom na oczy.

„Hmmm, jakbym słyszała siebie...”, zauważyła z ironią Sabina mimo powagi sytuacji.

– Rozważałam przez chwilę zmianę nazwiska, ale to bez sensu. Ludzie i tak będą mnie z tobą kojarzyć. Zresztą to uderzyłoby bardziej w ojca, a on nie jest niczemu winien – ostatnią część zdania Róża dobitnie zaakcentowała. – Wiem jedno. Muszę zniknąć...

– Ale, dziecko... – Sabina próbowała przerwać ten złowieszczy wywód. – Błagam cię, nie podejmuj pochopnych kroków. To wszystko, co się stało...

– Nie przerywaj mi! – ucięła Róża ostro. Sabina pokornie skuliła się na kanapie. – Wyjeżdżam.

– A dokąd? – spytała automatycznie matka, choć tak naprawdę przede wszystkim poczuła ulgę, że jej najgorsze obawy się nie potwierdziły.

– Do Nowego Jorku.

– Nowego Jorku? – Sabina uniosła brwi, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku. Co ta dziewczyna znowu wymyśliła?

– Tak, do Nowego Jorku – tym razem Róża przybrała ton, jakby zwracała się do opóźnionego w rozwoju dziecka. – To jedyne miejsce, gdzie mogę zacząć wszystko od nowa – jej głos stawał się coraz bardziej natchniony. – Tylko tam znowu będę mogła spojrzeć w lustro. Bez wstydu. Za ciebie! – Sabinę aż przeszedł dreszcz. Czy w jej córkę wstąpił duch szalonego kaznodziei?

– Na długo chcesz tam jechać? – spróbowała skierować rozmowę na bardziej przyziemne tory.

– Na zawsze! – padła dramatyczna odpowiedź.

– A co będziesz tam robić? – Matka uznała, że strategią lepszą niż wyrażenie daleko posuniętego sceptycyzmu wobec rewelacji Róży będzie cierpliwe prowadzenie rozmowy jak gdyby nigdy nic.

– Życ. Znowu oddychać pełną piersią. Oczyszczać się z brudu, jakim zostałam uwalana.

Od narastającej egzaltacji Róży Sabinę zaczynały boleć zęby.

– A tak bardziej konkretnie?

Córka wolno wypuściła powietrze.

– Będę studiować.

– O! – Sabina tym razem szczerze się zainteresowała.

– Aktorstwo. Tam jest najlepsza szkoła. Uczą metodą wcieleniową z elementami psychologii głębi – perorowała Róża z miną znawcy tematu.

– A co z twoim multikulti? Już cię nie interesuje?

Róża wzruszyła ramionami.

– To jednak nie było to. W tym kraju nie istnieje prawdziwie wolna edukacja. Tylko aktorstwo może mi pomóc. Wyzwolić się jakoś z tego, w co mnie wpakowałeś – ostatnie zdanie wypowiedziała

niemal z satysfakcją.

– Ale... jak ty to sobie wyobrażasz? – spytała bezradnie Sabina. Nie miała siły na konfrontację. Naprawdę chciała się tylko dowiedzieć, co wymyśliła córka.

– Normalnie. Szkoła kosztuje dwa i pół kafla miesięcznie. Baksów. Do tego na życie potrzebuję trochę więcej. Wiesz, to jednak drogie miasto. Przelewasz mi to na konto i załatwione.

Pisarka nie miała najmądrzejszej miny.

– To tyle chciałam ci powiedzieć, Sabina. Aha, jeszcze coś! – Róża spojrzała na matkę, mrużąc oczy. – Przypominam ci, że każdy dzień tutaj to dla mnie nieopisany koszmar. Tak że wiesz, chciałabym jak najszybciej się zawinąć.

Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna trzasnęła drzwiami i zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Jedynym, na co w tej chwili było stać Sabinę, było łyknięcie dwóch cudownych pigułek i ponowne zakopanie się w pościeli. Nie spała jednak długo. Obudziła się w środku nocy i poderwała z łóżka. O dziwo jej myśli były klarowne.

„Pierwsze pytanie, może nie najważniejsze, ale przynajmniej łatwo będzie na nie odpowiedzieć: czy w ogóle mnie na to stać? No... W sumie tak. Okej, jedźmy dalej. Czy to dobry pomysł? Piramidalnie głupi. Ale z drugiej strony – tak samo zły jak każdy inny, z którym może wyskoczyć Róża. Czy ona jest wystarczająco dorosła, żeby wyjechać sama tak daleko? Nie mam pojęcia. Czuję się, jakbym jej w ogóle nie znała. Muszę porozmawiać z Andrzejem...”

Sabina w ostatniej chwili zreflektowała się, że trzecia w nocy to niekoniecznie dobra pora na konsultacje rodzicielskie, i postanowiła zaczekać do rana z telefonem do męża. Zrobiła sobie herbatę i poczuła ulgę, kiedy do jej żołądka spłynęło wreszcie coś ciepłego i bez zawartości alkoholu. Nowy Jork, aktorstwo – wszystko to było, rzecz jasna, nieskończenie absurdalne, ale jedna rzecz powstrzymała Sabinę przed odrzuceniem pomysłu Róży. Wyrzuty sumienia.

„To wszystko jakiś koszmar. Ale bądźmy szczerzy, sama uruchomiłam tę lawinę. A ta dziewczyna, jakkolwiek by mnie wkurzała, nie zasłużyła sobie na to, żeby nurzać się w tym bagnie. W końcu matki sobie nie wybierała...” Sabina zdała sobie w tej chwili sprawę, że konsekwencje jej sławy, które ostatnio przybrały mało przyjemną postać, uderzają też w rodzinę. Świadoma tego, jak sama cierpi, poczuła się jeszcze gorzej na myśl o piekle, przez które musi przechodzić Róża. Nigdy nie sądziła, że zafunduje coś takiego własnemu dziecku.

„Może wcale nie będzie najgorzej, jak zniknie stąd na jakiś czas. Oderwie się od tego koszmaru. A z czasem wszystko chyba wreszcie ucichnie”. Sabinie zrobiło się lepiej. To była jej pierwsza optymistyczna myśl, od kiedy wydarzyła się katastrofa. Ku własnemu zaskoczeniu coraz bardziej przekonywała się do zasadniczo niedorzecznego pomysłu Róży.

Odważyła się nawet odpalić komputer, który podobnie jak telefon i tablet był w ostatnim czasie – jako źródło ataków, obelg i nagabywań o komentarz – odłączony od zasilania. Chciała sprawdzić, czy

szkoła, o której mówiła Róża, w ogóle istnieje. Ostrożnie, by przypadkiem nie trafić na jakąś stronę z opisem afery Soni Geppert, zaczęła sprawdzać. Wyszukiwarka w pierwszej kolejności podsunęła artykuły o polskich aktorkach szukających iskry bożej w stolicy świata. Okazało się jednak, że nie jest łatwo uniknąć portali plotkarskich. Sabina niechętnie kliknęła w nie ten link, co trzeba. Trafiła prosto na swoje zdjęcie, zrobione kilka lat wcześniej na którymś ze spotkań autorskich. Wyglądała niezbyt korzystnie – z grymasem zmęczenia, a może zniecierpliwienia na twarzy, z zaciśniętymi ustami i ze zmarszczonymi brwiami. Fotografia była zestawiona z wizerunkiem Magdaleny Teleszko, uchwyconej na ławce w parku, z marzycielskim spojrzeniem skierowanym w dal i łagodnym uśmiechem. Obok wytłuszczony tytuł domagał się odpowiedzi: *Czy wyzwana od dziwek pisarka odpowie swojej rywalce?* Podtytuł zapowiadał: *Przyjaciel Teleszko ujawnia – Magda tak tego nie zostawi!*

Sabinie krew odpłynęła z twarzy. „O nie! Nie będę się tym dłużej katować!” W nerwach kliknęła w pierwszy z brzegu baner reklamowy, który przekierował ją na stronę z ogłoszeniami o nieruchomościach na sprzedaż. Już miała ją zamknąć, kiedy jej uwagę przyciągnęło jedno ze zdjęć. Drewniany, pomalowany na zielono domek z granatowymi okiennicami i dachówką. To dziwne, ale było w nim coś, co poruszyło w Sabinie jakąś strunę. Przeszła do szczegółów ogłoszenia. Nieruchomość składała się z parteru i poddasza. Nie była zbyt duża, ale miała wszystko, co trzeba. Na dole kuchnia i pokój dzienny, na górze dwie sypialnie. Z przodu urokliwa weranda, a z tyłu... taras z zapierającym dech w piersiach widokiem na morze. Dom stał na niezbyt wysokim klifie, a dołączone do galerii zdjęć widoczki z plaży wydały się Sabinie znajome. „Gdzie to jest? Mikołowo... Zaraz... No tak, przecież jeździłam tam z mamą jako dziecko!”

Pod powiekami przewinęły jej się obrazki przeświecone słońcem, jak na starych pocztówkach. Słomiany kapelusz mamy z szerokim rondem. Wiatrochron w granatowe pasy, który codziennie z uporem taszczyły ze sobą na plażę, męcząc się potem niemiłosiernie z rozstawieniem go tak, by nie stał się pierwszą ofiarą najmniejszego podmuchu. Gofry z obowiązkową bitą śmietaną i jagodami jedzone codziennie po obiedzie. Ten najprzyjemniejszy czas tuż przed zachodem słońca, po całym dniu na plaży, kiedy nie chciało im się z niej schodzić od samego rana. Przez długie godziny dnia oszukiwały głód zrobionymi przez mamę kanapkami, które smakowały najlepiej na świecie. Uwielbiała te wakacje, były tam chyba z sześć razy.

Po raz kolejny przejrzała galerię zdjęć domku i wróciła do ogłoszenia. Cena? Wysoka, nawet jak na jej możliwości.

Wyszła na taras, czując, jak jej serce zaczyna bić szybciej. Wpatrywała się w spokojną ciemność otulającą Żoliborz. „To czyste szaleństwo”, podpowiadał rozum, podczas gdy pod powierzchnią skóry, wywołując mrowienie, rozchodziła się irracjonalna tęsknota. „Jak miło byłoby się zaszyć w takim zielonym domku, cichym i spokojnym. Gdzie nie ma tabloidów, ujadających krytyków ani chmary znajomych, którzy tylko czekają, żeby obrobić ci dupsko”. Sabina prawie poczuła błogostan, jakiego

mogłaby doświadczyć, chroniąc się w takim miejscu.

„No dobrze, ale niby jak miałabym to zrobić? Kupić sobie, ot tak, nowy dom nad morzem?” Głos rozsądku podrzucał inne rozwiązania: „Równie dobrze mogę się zaszyć w jakiejś dziurze na końcu świata – a niechby i w Mikołowie – na miesiąc, dwa, aż burza się trochę uspokoi. Właściwie dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Nie muszę od razu robić rewolucji”. Drugi głos, ten od serca, odpowiadał: „Ciekawe, dlaczego akurat teraz to ogłoszenie wpadło mi w oko? W chwili, w której szukałam wyjścia z sytuacji. To znak!”.

Sabina zadrżała z zimna – wyszła na taras bez szlafroka, a wrześnie noce robiły się już chłodne – i to kazało jej wrócić do środka. Położyła się do łóżka, żeby się rozgrzać pod kołdrą, i nawet nie zauważyła, jak spokojnie odpłynęła w sen.

*

Poranek zaczęła konstruktywnie – po raz pierwszy od czasu rozpętania się afery. Zadzwoiła do Andrzeja i umówiła się z nim, żeby porozmawiać o Róży. Chętnie załatwiłaby to przez telefon, bo płaczliwy głos męża zapowiadał, że spotkanie będzie trudne, ale Andrzej wykorzystał sytuację.

– Sabinko, tu idzie o przyszłość naszej córki. Naszą zresztą też. – Tu nastąpiła wymowna pauza. – Chyba nie wyobrażasz sobie, że mamy telefonicznie zdecydować w tak ważnej sprawie!?

„Odsądzanie od czci i wiary załatwiania osobistych spraw przez telefon jest stanowczo przereklamowane”, pomyślała Sabina, z niechęcią godząc się z wizją stawienia czoła żalom i pretensjom Andrzeja.

Nie czekając ani chwili, wybrała drugi numer – podany w ogłoszeniu o sprzedaży domu nad morzem. Agent miał irytującą, niby-uwodzicielską manierę mówienia, ale był gotów pokazać jej nieruchomości w każdej chwili. Sabina obiecała, że zaraz oddzwoni, i szybko sprawdziła samoloty. To był kolejny, aż zbyt nachalny, znak od losu – dosłownie za dwie godziny miała lot do Gdańska. Wystarczająco wcześnie, by po rekonesansie jeszcze tego samego dnia wrócić do Warszawy. „Dobra, pojedę, najpierw zobaczę, a potem będę się zastanawiać”.

Przygotowując się do drogi, Sabina sięgnęła po wiele sposobów, by jej nie rozpoznano. Zrezygnowała jedynie z charakteryzacji na taliba, stwierdziwszy, że z przyklejoną brodą trudno będzie jej się wtopić w anonimowy tłum. Pozostała przy opadającej na oczy czapce, wielkich okularach przeciwsłonecznych i obszernej chuście, którą obwiązała się tak, by zakryć dół twarzy. Pracownik odprawy kazał co prawda odsłonić te warstwy i długo przyglądał się Sabinie nieodgadnionym wzrokiem, ale jakoś wytrzymała jego spojrzenie, nie tracąc zimnej krwi.

„Uff, chyba się udało!”, niemal podśpiewywała w duchu, kiedy samolot schodził do lądowania. Na podjeździe czekał już załatwiony z pomocą agenta nieruchomości kierowca – miejscowy taksówkarz, z którym miała pokonać siedemdziesięciokilometrową trasę. „Błagam cię, o Zeusie, oby taryfiarz

z nadmorskiej pipidowy nie śledził plotek z literackiego światka”. Na wszelki wypadek od razu zatopiła wzrok w smartfonie, by uniknąć przyjacielskiej pogawędki, która mogłaby sprzyjać zdemaskowaniu. Na szczęście pan Krzysztof, postawny gość w rozciągniętej bluzie i wędkarskiej czapeczce na głowie, nie wydawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany swoją pasażerką.

Kiedy mijali tabliczkę z napisem „Mikołowo”, Sabina poczuła, że jest głodna. Miała jeszcze chwilę do spotkania, więc zapytała kierowcę, gdzie można zjeść coś dobrego. Pan Krzysztof zerknął we wsteczne lustro i wydawało się, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. Nic nie powiedział, tylko skręcił z głównej drogi przebiegającej przez lotnisko w nieco zarośniętą boczną uliczkę. W czasie podróży Sabina ułożyła w myślach historię kierowcy: „Sierota, wychowany dzięki pomocy ludzi dobrej woli. Mieszka sam na odludziu, hodując króliki – jedyne stworzenia, z jakimi umie nawiązać emocjonalny kontakt. Kiedy nie musi wychodzić do pracy, której nienawidzi, bo ma w niej do czynienia z innymi ludźmi, zawsze wkłada to samo ubranie – znoszony, niedający się doprać kombinezon roboczy...”.

Po chwili zatrzymali się przed sporym domem z białą fasadą. Sabina zauważyła napis nad wejściem: „Afrodyta”. „Mam nadzieję, że to nie miejscowa agencja towarzyska”, pomyślała, zerkając niepewnie na kierowcę. Nie miała jednak wielkiego wyboru. Zapłaciła umówioną kwotę za transport, trochę mniejszą niż za przejazd z jej mieszkania na warszawskie lotnisko.

„Afrodyta” okazała się pensjonatem z małą restauracją dostępną dla wszystkich chętnych. Nie było jednak wielu gości. Początek września nie rozpieszczał pogodą, co przetrzebiło ostatnich letników.

„Dziwny pomysł – grecka stylizacja nad Bałtykiem...”, zauważyła Sabina, rozglądając się po wnętrzu. Białoturkusowy wystrój, na ścianach zdjęcia i pamiątki nawiązujące do rajskich wakacji na wyspach Morza Egejskiego. Zamówienie przyjęła irytująco powolna młoda kelnerka, do tego najwyraźniej zaangażowana w jakiś spór na zapleczu, bo miała duże problemy ze skupieniem się na prośbie klientki. Sabina była nawet gotowa zrezygnować i opuścić lokal, ale koniec końców została – zaczęło jej burczeć w brzuchu, a nie miała ochoty kręcić się po miasteczku w poszukiwaniu czegoś lepszego. Od czasu kiedy tu była ostatnio, minęło bądź co bądź ponad trzydzieści lat (!), więc nie mogła polegać na niewyraźnych wspomnieniach o smażalni niedaleko zejścia z plaży. Zresztą frytki i ryba wykąpana w starym tłuszczu (bo tak to na pewno dzisiaj wygląda) nie wpisywały się w jej obecny styl odżywiania.

Z menu będącego mieszanką klasycznej oferty, jakiej oczekuje turysta nad polskim morzem, z daniami kuchni greckiej wybrała firmową sałatkę Afrodyta. Po pierwszym kęsie Sabinę aż zatkało – takie to było dobre. Połączenie plasterków kwaskowatego jabłka, chrupkiego na zewnątrz i ciągnącego się w środku sera, rodzynek, pestek dyni i mieszanki sałat oraz lekkiego, ale wyrazistego w smaku dressingu, było idealne. Nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia, pisarka zamówiła jeszcze kawę po

grecku, która była taka, jak trzeba – mocna i aromatyczna. Sabina poczuła, jak opada z niej całe napięcie. Pozwoliła sobie nawet na zdjęcie kamuflażu i – uwaga – nic się nie stało. Żadna z napotkanych tu (fakt, że niewielu) osób nie wydawała się nią specjalnie zainteresowana. Pisarkę zaczęła ogarniać wielka senność, organizm natychmiast zareagował na odprężenie i upomniał się o zasłużony odpoczynek. Wypiła szybko łyk kawy – drzemka musi jeszcze poczekać. Wychodząc, uznała, że powinna zostawić napiwek, mimo godnej pożałowania jakości obsługi. „Ciekawie się zaczyna ta wyprawa, zobaczymy, co będzie dalej”, z tą myślą pobiegła na spotkanie z agentem.

Pan Adrian, co nie było zaskoczeniem, okazał się nazbyt poufałym młodym człowiekiem w tandetnym garniturze z lekkim połyskiem, z niestarannie wyczyszczonymi butami i włosami zaczesanymi do tyłu na żel.

„Pochodzi z wielodzietnej rodziny żyjącej na skraju ubóstwa. Kąpiel raz na tydzień, wszyscy po kolei w tej samej wodzie nagotowanej specjalnie na tę okazję. Wychodek na zewnątrz. Jako jedyny z szóstki rodzeństwa kontynuował edukację na poziomie wyższym niż podstawowy, skończył studium administracji i biznesu w najbliższym mieście powiatowym...” Sabina nie miała czasu na dokończenie fikcyjnej historii życia pana Adriana, bo właśnie weszli na teren działki.

Domek na żywo był jeszcze bardziej uroczy niż na zdjęciach. Co prawda właściciele żywili nieco przesadne upodobanie do drewna – wszystkie pomieszczenia były wyłożone boazerią – ale mimo to całość robiła dobre wrażenie. Budowla wydawała się dobrze rozplanowana i wygodna.

– Pani Magdo... – Sabina przezornie nie przedstawiła się ani prawdziwym nazwiskiem, ani znanym powszechnie pseudonimem, tylko spontanicznie podała pracownikowi agencji, co dla niej samej było dużym zaskoczeniem, imię znienawidzonej pisarki – jak pani widzi, stan nieruchomości jest całkiem dobry.

Nie była to do końca prawda, stan wewnątrz wskazywał, że dawno nikt tu nie mieszkał, ale Sabina wybaczyła Adrianowi to akwizytorskie kłamstewko. W zasadzie przestała go w ogóle słuchać, bo akurat wyszła na taras i aż ją zatkało. Widok zapierał dech w piersiach. Morze było na wyciągnięcie ręki. Szeroka plaża nieregularną linią przechodziła w bezkresną szaroniebieską przestrzeń. Szum fal napełniał głowę, wypłukując z niej wszystkie niechciane myśli. Sabina przez moment podejrzewała, że to sprawka pana Adriana, który zastawił na nią sprzedażową pułapkę i włączył taśmę z odgłosami natury. Ale nie, tak daleko nie sięgał profesjonalny kunszt wyżelowanego agenta, to była naturalna atrakcja tego miejsca.

„Mieć coś takiego dla siebie...”, rozmarzyła się pisarka.

– Czy cena jest do negocjacji? – Odwróciła się do agenta, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jej się tu podoba.

– Niestety nie. – Adrianowi zrzędła mina. – Powiem pani, pani Madziu, że czasem już myślę, że oni nie chcą tego sprzedać – w jego głosie było słychać narosłe przez dłuższy czas rozczarowanie. –

Wie pani, ile ta oferta już wisi? Cena zaporowa, wiem, nie powinienem tego mówić głośno, ale powiem, bo nie będę tu pani ściemniał, wygląda mi pani na równą babkę. Myśli pani, że przez te lata nie było chętnych? Było, i to ilu! A ci za każdym razem to samo: nie opuścimy ani złotówki. I jak ja mam to, pani Madziu, sprzedać w takiej sytuacji? No niech pani sama powie, święty Juda Tadeusz, patron od spraw beznadziejnych, by nie sprzedał!

Sabina pokiwała głową, dziwiąc się w duchu erudycyjnej na swój sposób wstawce agenta, i obiecała, że przemyśli sprawę. Wzrok pana Adriana nieco przygasł i było widać, że w tym momencie stracił wiarę, że klientka jeszcze kiedykolwiek zadzwoni.

– Dobra, nie ma sprawy. Przynajmniej się przejechałem, cały dzień w biurze, to można szalu dostać. – Na pożegnanie zamasyście poderwał dłoń Sabiny do góry i złożył na niej szarmancki w swoim mniemaniu pocałunek, po czym pozamykał wszystko starannie i odjechał starym fordem escortem.

Zanim pisarka zadzwoniła po pana Krzysztofa, który miał ją odwieźć z powrotem na lotnisko, wybrała się na krótki spacer nad morze. Wdychała pełną piersią ostre powietrze i czuła, jak przechodzi przez nią orzeźwiający powiew, który czyści płuca z zatęchłej aury przytłaczającej ją w Warszawie.

Odszukała wzrokiem dom. Chciała go jeszcze zobaczyć od tej strony. Granatowy, tak dobrze wpasowany w otoczenie dach wystawał spomiędzy powyginanych od wiatru sosen. Sabina nie musiała analizować swoich wrażeń, to miejsce przyciągało ją z trudną do wytłumaczenia siłą. „To jakieś szaleństwo – usiłowała tonować emocje – wczoraj jeszcze nie wiedziałam o jego istnieniu”. Otrząsnęła się. Musiała wracać, jeśli chciała zdążyć na ostatni lot do Warszawy.

W taksówce, naładowana nową energią, zaczęła wypytywać kierowcę o historię domku na klifie. Mężczyzna po raz kolejny tego dnia zmierzył ją wzrokiem przez lusterko.

– Pani przyjechała obejrzeć ten dom? – upewnił się i milczał przez chwilę, jakby dawał sobie czas na ułożenie w głowie nowej wiedzy. – Poprzedni właściciele to tu przyjeżdżali, niby tacy zakochani w tym miejscu, ale zapał minął szybko. Życie na prowincji, proszę pani, to dla miastowego nie jest zabawa. To trzeba mieć grubą skórę. Moja żona marzy tylko, żeby się stąd wynieść, i do dziś ma do mnie żal, żeśmy się przeprowadzili z Bydgoszczy.

– To pan ma żonę? – wyrwało się Sabinie.

– A czemu by nie? – Taksówkarz łypnął okiem i uśmiechnął się półgębkiem. – Chyba pani niezainteresowana? Bo jak tak, to najmocniej przepraszam, ale już zajęty jestem. Od ponad dwudziestu lat.

– Nie, bez obaw. – Sabina z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że wesołkowata paplanina kierowcy ją rozbawiła. – Przepraszam, jak jechaliśmy w tamtą stronę, wydał mi się pan raczej typem samotnika. – Teraz zadziwiła samą siebie, bo rzadko zdarzało jej się zdradzać ze swoimi

przemysleniami na temat ludzi.

– A, bo jak zobaczyłem pani minę, to od razu wiedziałem, że gębę lepiej trzymać na kłódkę. Proszę pani, w tym zawodzie trzeba się znać na ludziach – wyjaśnił pan Krzysztof sentencjonalnie, a następnie od słowa do słowa opowiedział, jak całe życie pływał na statkach, aż wreszcie miał dosyć, kupił dom w okolicy i sprowadził tu rodzinę, mimo oporów żony.

Sabina musiała przyznać z niemałym zawstydzeniem, że jej wizja losów pana Krzysztofa dość mocno minęła się z rzeczywistością.

*

Była już noc. Znowu siedziała w taksówce, tym razem w Warszawie, wracając z lotniska do domu i nie zamieniając z kierowcą ani słowa poza niezbędnymi wskazówkami adresowymi. W torebce zawibrował telefon. Złagodzony nieco dzięki wycieczce nad morze stres powrócił. „Kto, do cholery, dzwoni o tej porze i czego ode mnie chce?” Sabina nie spodziewała się niczego dobrego.

Dzwoniła Lucyna. Najgorsza agentka świata, jak myślała o niej ostatnimi czasy pisarka, ta, która rzuciła ją na pastwę stada oszalałych hien, rozszarpujących ją bezlitośnie na kawałki, i nie raczyła nawet odbierać telefonów. Zamiast tego pogrzyżyła ją do końca, aranżując nieszczęsny wywiad z Andrzejem. Niewątpliwie miały co nieco do obgadania.

– Czemu zawdzięczam ten niespodziewany zaszczyt? – zaczęła Sabina jadowicie.

– Kochanie, no stęskniłam się za tobą nieprzytomnie!

„Ta to dopiero ma tupet, mała jedna!” Sabinę ogarnął swego rodzaju podziw, który szybko ustąpił miejsca wściekłości.

– Szkoda, że zapadłaś się pod ziemię, kiedy cię naprawdę potrzebowałam! – W całej karierze nie przechodziła tak bolesnego kryzysu i nie była na niego ani trochę przygotowana. Właśnie od Lucyny oczekiwała największego wsparcia w takiej sytuacji. – Zawiodłam się na tobie – powiedziała z głębi serca.

– Sonieczko, no właśnie chciałam cię przeprosić. Bo faktycznie to mogło nie najlepiej wyglądać. Sabina milczała.

– Ale to nie tak, że zapomniałam o tobie, wiesz o tym, prawda?

– A co takiego przeszkodziło ci w wyciągnięciu do mnie ręki, kiedy tonęłam w bagnie? Tym bardziej że to twój psi obowiązek! Płacę ci za to solidny procent!

– Soniu – zaczęła Lucyna uroczyście. – Jesteś moją najlepszą autorką. Absolutnie wyjątkową. Nigdy, przenigdy nie chciałabym cię zawieść.

– A jednak ci się udało.

– Wiem, to było trochę przytłaczające...

– No trochę, kurwa, było! – Sabina nawet nie zauważyła, że taksówkarz przyjrzał się jej przez lusterko z lekkim uśmieszkiem. – Nie chcę słuchać twoich tłumaczeń. – Poczowała nagle obezwładniające zmęczenie. – To wszystko twoja wina. Gdyby nie ty i te twoje durne pomysły, to by się nigdy nie wydarzyło. Nie stałabym się pośmiewiskiem całej Polski.

– Moja biedna Sonieczka. Masz prawo być trochę rozczarowana – powiedziała wyrozumiale Lucyna. – Ale daj mi coś powiedzieć. Nie odzywałam się, bo miałam pełne ręce roboty. Rozumiesz, kułam żelazo póki gorące. – Sabinie zrobiło się słabo, kiedy spróbowała wyobrazić sobie, co Lucy mogła mieć na myśli. – Wynegocjowałam ci dwa nowe duże kontrakty reklamowe. – Agentka zawiesiła głos, jakby czekała na burzę oklasków.

– Żartujesz? No nie, to niewiarygodne! Chyba nie myślisz, że będę teraz...

– Mówisz, że to moja, jak to nazywasz, wina – Lucyna przerwała jej bezceremonialnie. – Otóż, kochanie, nie mogę się zgodzić z żadnym członem tego stwierdzenia: ani moja, ani wina. I żeby nie było, nie jestem jakąś skromnisiowatą Dziewicą Orleańską. Nie będę sobie odmawiać lepszych niż przeciętne umiejętności PR-owskich, co to to nie. Ale powiem ci, kochana, że takiego eventu, jaki nam tu odstawiłaś, nawet ja bym nie wymyśliła! Soniu, to był majstersztyk! Mistrzostwo świata! I ja nie miałam w tym choćby najmniejszego udziału. Zrobiłaś to sama. To moja Sonieczka jest taka przebojowa, sama, samiuśka...

Sabina nie mogła znieść jej infantylnego szczebiotu. Ale w jednym Lucyna miała rację. Gdyby udało jej się nad sobą zapanować, słynny dziś program w Kulturalnej Piątce obejrzałyby garstka widzów, którzy jeszcze zanim skończyłyby się reklamy przed następną audycją, zapomnieliby o tej bezsensownej i nikomu niepotrzebnej dyskusji. Rzeczywiście, za to, co się wydarzyło, mogła obwiniać tylko siebie. Tym bardziej ją to wkurzało.

– Jesteś po prostu genialna. Takiego pokrycia w mediach nie miał jeszcze żaden pisarz, nigdy! – emocjonowała się dalej Lucyna. – Sprawdziłam to! Rozumiesz? Nigdy! – powtórzyła triumfalnie.

– A czy zauważyłaś może, że nie były to artykuły o moich książkach?

– A jakie to ma znaczenie, misiaku? To nawet lepiej, publikacje lajfstajlowe dużo bardziej przekładają się na sprzedaż niż recenzje. Czytałam badania, mogę ci przesłać, jak chcesz, bardzo ciekawe – zachęcała agentka.

– Lucyna, skończmy tę rozmowę. Nie mam już na to siły. Ale wiedz jedno: wybij sobie z głowy jakiegokolwiek kontrakty. Ja znikam. Przeprowadzam się nad morze. – Sabina zaskoczyła samą siebie, mówiąc to na głos. Była przecież przekonana, że nie podjęła jeszcze decyzji. – Nie będzie nowych części Amelii. Napiszę wreszcie coś dobrego. – Uświadomiła sobie, że jej potrzeba stworzenia powieści z prawdziwego zdarzenia zyskała nową, silniejszą niż dotąd motywację: desperacko potrzebowała udowodnić światu, że nie jest przygłupią pisareczką jadącą na tanich skandalach, za jaką uważali ją teraz wszyscy. – Nic już nie będzie tak jak dawniej.

Po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Będzie, jak zechcesz, Soniu – odezwała się wreszcie Lucy ostrożnie. – Stoję za tobą murem, cokolwiek zdecydujesz.

– Nie chce mi się z tobą gadać – zakończyła Sabina. Trochę wstydziła się tandetnego cytatu, ale była to szczerza prawda.

ROZDZIAŁ 5

Pijalnia czekolady Wedla o tej porze dnia jak zwykle pełna była ludzi. Turyści z Japonii, wyfiokowane staruszki o upierścienionych przedwojennymi brylantami dłoniach, studentki z pretensjami do bycia alternatywą dla alternatywy. Wszyscy pogrążeni w dyskretnych rozmowach nad filiżanką ciepłego brązowego napoju.

Sabina długo biła się z myślami, zanim przekonała samą siebie, że może się tutaj spotkać z Andrzejem. Miało to przecież być jej pierwsze pokazanie się w miejscu publicznym, odkąd została główną skandalistką polskiej literatury. Bardzo się tego obawiała, ale wyjazd nad morze uświadomił jej, że musi wreszcie stawić czoło nawałnicy, której niespodziewany atak zwałił ją z nóg. „Niedoczekanie wasze, obsrańcy zakichani – zwracała się do swoich bezosobowych, internetowych prześladowców. – Nie dam się! Będę żyć normalnie, nie pozwolę się wam zastraszyć!” Poza tym wolała mimo wszystko zobaczyć się z mężem na neutralnym gruncie. Zaproponowała więc spotkanie na mieście, ale ustąpiła w kwestii wyboru kawiarni. Andrzej uparł się, żeby spotkać się właśnie u Wedla, chociaż ona sama nie przepadała za tym lokalem, podobnie jak za serwowanymi tam napojami.

– Sabinko, będę szedł z telewizji, to akurat mi po drodze. A poza tym wiesz, jak ja lubię tę ich czekoladę – wyjaśniał żonie przez telefon, jakby umawiali się na najzwyklejszą pogawędkę.

Sabina przyszła pierwsza, znalazła w miarę ustronne miejsce w głębi sali. Na szczęście wydawało się, że klientela lokalu nie składa się z wielbicieli brukowych sensacji, bo pojawienie się pisarki, ku jej wielkiej uldze, nie wywołało szczególnego poruszenia. Andrzej spóźnił się jak zwykle, a wchodząc, potrafił kelnerkę z tacą. Gdy zauważył żonę, swoim zwyczajem zaczął wołać do niej z daleka, co wzbudziło natychmiastowe zainteresowanie pozostałych gości. Sabinie, wcześniej nastawionej na pokojowe negocjacje, krew uderzyła do głowy. „Co za kretyn! Zabiję go!” Mąż zaczął tłumaczyć swoje spóźnienie – musiał się koniecznie spotkać z jakimś wiceministrem, który występował tego dnia w programie publicystycznym. Andrzej miał do niego jakiś żywotny interes i chciał pogadać trochę bardziej nieformalnie.

– Umawiasz się z wiceministrem w telewizji, żeby uniknąć świadków? – Sabina nie darowała sobie złośliwości. Czasem nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek powierzył Andrzejowi jakieś odpowiedzialne stanowisko. Nie zaczekała jednak na odpowiedź. Szkoda było tracić czas na poboczne wątki.

– Andrzej, uważam, że powinniśmy pozwolić Róży na wyjazd – bez zbędnych ceregieli przeszła do meritum.

Mąż przyglądał się jej, mrugając intensywnie.

– Sabinko, a ja myślę, że coś w ciebie wstąpiło ostatnimi czasy. Zachowujesz się co najmniej dziwnie, podejmujesz niezrozumiałe decyzje – mówił, a w Sabinie coś się zagotowało.

– Nie ty będziesz oceniał, jak się zachowuję. – Powstrzymała się od podniesienia głosu tylko ze względu na siedzących w pobliżu ludzi. Pewnie nie było to sprawiedliwe, ale część swego żalu za upokorzenia po niesławnym występie telewizyjnym skierowała na Andrzeja, który jej zdaniem pograżył ją do końca. Nieważne, że zrobił to nieświadomie, ważne, że głupio, a dla głupoty Sabina miała wyjątkowo niską tolerancję. – Z nami koniec, powiedziałam ci już. Nie masz prawa komentować tego, co robię.

Andrzej zakrztusił się białą czekoladą z dodatkiem żurawiny.

– No co ty, Sabinko... Ja przecież... właśnie o tym mówię. Jesteś jak nie ty...

– Przeciwnie. Dopiero zaczynam być sobą.

Mąż kiwał głową, wyraźnie nie wierząc w to, co słyszy.

– Wiem, że przeżywasz trudne chwile. Ale to minie, kochanie. Wszystko się ułoży. To burza w szklance wody...

Jego uspokajający głos podziałał na Sabinę jak płachta na byka.

– Ostatnie, czego od ciebie oczekuję, to żebyś mnie teraz pocieszał. Nie po to się spotkaliśmy. Pozew rozwodowy jest już prawie gotowy, składam go za kilka dni. – Wcale nie planowała tak na niego napadać, naprawdę chciała tylko spokojnie porozmawiać o Róży, zastanowić się wspólnie, jak mają zareagować na jej plany. Ale Andrzej jak zwykle wyprowadził ją z równowagi. Był taki nieporadny, taki irytujący. A im bardziej on był safandulą, tym bardziej ona zamieniała się w heterę. Sam wystawiał się na cel.

Andrzej tymczasem miał minę człowieka, któremu tajfun właśnie wyrwał dom z fundamentów.

– Sabinko, nie! – jego zdławiony okrzyk ponownie zwrócił uwagę osób przy sąsiednich stolikach. – Nie możesz!

Sabinie zdawało się, że ktoś próbuje zrobić im ukradkiem zdjęcie telefonem. Przesunęła krzesło tak, by być tyłem do sali.

– Andrzej, opanuj się, proszę cię. Nie zachowuj się jak baba. Czy ty naprawdę ze wszystkiego musisz robić taki wielki dramat?

Jej mężowi trzęsła się broda.

– Kochanie, jak możesz? – wydusił z trudem, przykładając rękę do klatki piersiowej. – Chcesz mnie zabić? Przy moim migotaniu przedsionków? Czy ty nie masz serca? Czy ja już nic dla ciebie nie znaczę?

– Andrzej, przepraszam, ale nie rozumiem twojego zaskoczenia. Zastanów się przez chwilę spokojnie, widzisz dla nas inne wyjście? – Sabina udawała, że nie traci rezonu, mimo że widok roztrzęsionego męża nie był tym, czego oczekiwała. Po cichu żywiła nadzieję, że on też ma już dość

i że rozwód będzie tylko formalnością. Tymczasem nie było o tym mowy. Andrzej zaczął dygotać. Kobieta poprawiła jedwabny szal od Hermèsa, który spływał jej miękko z ramion, i ściszym głosem powiedziała: – Zrozum, ja nie widzę najmniejszego sensu w utrzymywaniu tej fikcji. To nie jest dobre dla mnie ani dla ciebie. Jestem pewna, że jak się nad tym dobrze zastanowisz, to zgodzisz się ze mną.

Odczekała chwilę i spróbowała ugryźć temat z innej strony:

– Dostajesz mieszkanie na Chomiczówce, rozstajemy się w pokoju. Mój prawnik załatwi formalności. Biorę wszystko na siebie, nic nie zostanie na twojej głowie. Będziesz się musiał tylko podpisać – uśmiechnęła się pojednawczo.

Andrzej zaczął łkać.

– Nie wierzę... Po tym wszystkim, co my razem, po tylu latach...

Sabina mimo woli przewróciła oczami. Otworzyła torebkę z dyskretnym logo Prady i wyjęła z niej paczkę chusteczek.

– Przestań się mazać, wytrzyj się, bądź mężczyzną... Choć raz w życiu – dodała pod nosem.

Na te słowa Andrzejowi jakby ktoś odkręcił kurek ze łzami. Sabina przeklęła w myślach swój zdecydowanie zbyt cięty język. Ostatnie wydarzenia powinny być ją czegoś nauczyć. Chlipanie męża przerodziło się w szloch. Mijająca ich kelnerka spojrzała bacznie. Sabina, chcąc uniknąć kolejnego skandalu towarzyskiego, przysunęła się i poklepała męża po plecach.

– No już, już.

Dała znać kelnerce wzrokiem, że ma sytuację pod kontrolą. Kiedy tylko dziewczyna zniknęła z pola widzenia, Sabina natychmiast odsunęła się na bezpieczną odległość i drastycznie zmieniła ton:

– Uspokój się natychmiast! Tu już nie ma o czym rozmawiać. Żyjemy na różnych planetach, taka jest prawda. Uważam, że trzeba z tym zrobić porządek. To się nazywa legalizacja stanu faktycznego, Andrzej.

– A Ró... Róża? Czy ty pomyślałaś o Róży?

– No przecież właśnie o niej mieliśmy porozmawiać. Ale nie możemy, bo ty urządzasz sceny. Dużo się nad tym zastanawiałam. Uważam, że ten cały Nowy Jork wcale nie jest złym rozwiązaniem.

– Ale mieć rodziców po rozwodzie!?! – Andrzej zignorował wątek wyjazdu. – To jest nieszczęście, to ją naznaczy!

– Ty się chyba z choinki urwałeś, serio! – Sabina uderzyła dłonią w stół, aż zabręczała porcelana. – Ona ma prawie dwadzieścia lat, ona była naznaczona tym, że jeszcze nie jesteśmy rozwiedzeni!

Andrzej zakrył oczy dłońmi.

– Uspokój się, proszę, i załatwmy to jak dorośli ludzie. – Traciła już cierpliwość i za wszelką cenę chciała, żeby doszli do jakiejś konkluzji. Wyjęła z torby plik papierów: – Dobrze, to po kolei. Składamy pozew o rozwód za porozumieniem stron. Dostajesz Chomiczówkę plus jedno auto, plus polisę emerytalną, którą ci opłacałam. – Przeglądała notatki ze skupieniem. – Ja biorę na siebie

opłacanie szkoły i mieszkania Róży, tobie zostawiam jej drobne wydatki. – Podniosła wzrok na męża.

– W porządku? Myślę, że to jest uczciwa oferta.

– Sabina, ja się zabiję. – Sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Przestań gadać bzdury. – Poczuła, jak znowu ogarnia ją fala irytacji. – Skup się, proszę. Odpowiadają ci te warunki? Ja ci to wszystko wyślę mailem, żebyś miał podkładkę.

Patrzył na nią tępo.

– Czy, czy... czy ty kogoś masz? – wystękał w końcu.

– Ja się załamie! – Chwyciła się za głowę. – Andrzej, posłuchaj mnie uważnie – ściszyła głos – nikogo nie mam i mieć nie zamierzam. I właśnie dlatego się z tobą rozwodzę, pojmujesz to? Ja po prostu chcę zacząć żyć w zgodzie ze sobą.

– Ale przecież... Nie mieliśmy nawet problemów. Sama powiedz. Co ja takiego zrobiłem? Przecież było tak jak zawsze.

– Właśnie. I ja już tego dłużej nie wytrzymam. – Miała nadzieję, że do męża wreszcie coś dotrze. – Ludzie się zmieniają. Ja się zmieniłam. Nie mogę dłużej tkwić w martwym punkcie. Duszę się.

– Nigdy tego nie zrozumie, nigdy! – zawołał Andrzej teatralnie i wstał gwałtownie od stołu, strącając przy tym filiżankę z czekoladą prosto na torbę Sabiny.

Na miękkiej beżowej skórze rosła ciemnobrązowa plama. Mężczyzna, który jeszcze sekundę wcześniej zrywał się do biegu, zastygł w nerwowej pozie.

– Andrzej – wycedziła Sabina – nie chcę być małostkowa, ale do jasnej cholery, ta torebka kosztuje więcej, niż wynosi twoja pensja.

Z oddali dopadło ją ciekawskie spojrzenie kelnerki. „O matko, co ja wygaduję! Niech tylko ktoś to usłyszy, na przykład ta flądra, co się tu cały czas gapi i na bank mnie poznała. I już mają gotowy kolejny tytuł, w dodatku z autentycznym cytatem podanym na tacy”.

– Sabinko, wybac, jestem taki zdenerwowany! Taka ze mnie gapa! – Andrzej rzucił się do czyszczenia plam serwetkami ze stołu z takim zapałem, jakby miało mu to pomóc w odzyskaniu serca ukochanej żony.

– Zostaw! – Sabina wyrwała mu torbę szybkim ruchem. – Proszę cię, idź już, zanim oszaleję. Wyślę ci papiery przez prawnika. – Prawie wypchnęła go z sali, w której siedzieli.

Kiedy przygarbiona postać męża zniknęła za rogiem ulicy, Sabina westchnęła głęboko. „Dlaczego to nie może być prostsze”, pomyślała, patrząc przy tym na zniszczoną torbę.

Zawołała strzygącą uszami kelnerkę, unikając jej wzroku, uregulowała rachunek i skierowała się w stronę toalety. Po drodze mimowolnie zaczęła układać życiorys ciekawskiej dziewczyny: „Najstarsza z siedmiorga rodzeństwa ubogich rolników z Pomorza Zachodniego. Uciekła z rodzinnej wsi, gdzie nie było żadnych perspektyw, do powiatowego miasta. Tam z kolei była prześladowana w internacie. Znalazł się jednak nauczyciel geografii, który w nią uwierzył i zrobił wszystko, by

dostała się na studia. Zdała na zaoczną geografię na SGGW i dorabia teraz jako kelnerka za dnia, a tancerka na rurze nocami...”.

Namoczonymi ręcznikami papierowymi Sabina wytarła z torby większość czekolady, ale brązowe smugi pozostały.

– Niech to jasna cholera – zaklęła pod nosem. Nie mogła uwolnić się od myśli, że te zacieki na torbie są jak nieusuwalne ślady po wspólnym życiu z Andrzejem. – Taaaak, tandetne metafory to moja specjalność. – Spojrzała na siebie w lustrze. Spotkanie małżonków okazało się bezcelowe. Nie posunęła się ani o krok do przodu, a całą sobą pragnęła już ruszyć z miejsca.

*

Było coś, co mogło jej w tym pomóc. Tego dnia czekało ją kolejne zadanie, niechciane, ale konieczne, jeśli zamierzała rozpocząć nowe życie. Wizyta w banku. Sprawa mniej więcej tak samo przyjemna jak wizyta u dentysty i kanałowe leczenie spróchniałej szóstki lub pierwsza sesja u terapeuty par. Sabina musiała się jednak przełamać i złożyć wniosek o kredyt. Była zdeterminowana. Nie chciała dłużej miotać się w klatce, zamierzała odzyskać wolność. A to w jej głowie połączyło się w całość z obrazkiem drewnianego zielonego domku nad brzegiem morza.

Jej dochody były spore, podobnie jak oszczędności na koncie, ale cena nieruchomości w Mikołowie była zaporowa. Sabina myślała początkowo, że uda się jej spotkać z właścicielami i zmiękczyć ich serca. Niestety, ze słów pośrednika wynikało, że nie ma szans. Otrzymał wszystkie pełnomocnictwa, ponieważ oni – jak to ujął – nie po to bulą kupę kasy na agencję, żeby użerać się osobiście z kupującymi, z których znakomita większość to oglądacze, którzy sami nie wiedzą, czego chcą.

Sabinie nie pozostało więc nic innego, jak tylko pogodzić się z rzeczywistością.

Wszechświat jednak nie był po jej stronie, także w banku. Do takiego wniosku doszła, siedząc w fotelu w holu reprezentacyjnego, przytłaczającego rozmachem budynku. Marmurowe czarno-szare powierzchnie, olbrzymie kandelabry zwieszające się z sufitów, mahonie i skóry przypomniały pisarce film braci Coen *Hudsucker Proxy* i pokazany w nim obraz bezdusznej korporacji z lat pięćdziesiątych.

Jej rozmyślania przerwał głos kobiety w jasnej garsonce, która uchyliła drzwi jednego ze szklanych boksów:

– Pani Czerniak? Zapraszam do środka.

Zebrała swoje rzeczy i posłusznie przeszła do wskazanego pomieszczenia.

Gdy przekroczyła drzwi, kobieta siedziała już za biurkiem, pisząc coś na komputerze. Sabina poczuła się zdezorientowana.

– Przepraszam? – zagadnęła nieśmiało.

– Tak? – Kobieta nie podniosła wzroku. – Proszę usiąść.

Sabina siadła więc na krześle naprzeciw. Wyjęła z torby kopie dokumentów, które złożyła wcześniej zgodnie z wytycznymi, jakie dostała przez telefon. Zapadło długie milczenie. Słysząc było jedynie dźwięk klawiszy komputera, w które z narastającą wściekłością waliła pracownica banku.

Sabina wymownie chrząknęła.

Wówczas przebrany za urzędniczkę bazyliszek podniósł głowę i spalił ją spojrzeniem. Nie tego się spodziewała.

– Ładny dziś dzień, co? – wypaliła ni z tego, ni z owego kobieta za biurkiem tonem wściekłego kaprała.

– Tak, całkiem przyjemny – potwierdziła zdumiona Sabina.

– I pewnie sobie pani na spacerek pójdzie, nacieszy się tym słońcem? Raczej się już nim długo w tym roku nie podelektujemy – ciągnęła wątek podminowana, patrząc na Sabinę z nieskrywaną nienawiścią.

– Możliwe – szepnęła ta, coraz bardziej tracąc rezon.

– Bo pani nie musi siedzieć zamknięta osiem godzin w pomieszczeniu bez okien, przy sztucznym świetle, co? – Furia pracownicy banku narastała.

– Nie muszę... – zgodziła się wbita w fotel Sabina.

Znów zapadła cisza. Pisarka czuła, jak jeżą się jej włosy na karku. Była zamknięta w szklanej pułapce z osobą najwyraźniej niespełna rozumu, która wyglądała tak, jakby zaraz z szuflady biurka miała wyjąć nóż do otwierania papeterii i przeciąć swojej klientce tętnicę szyjną.

Kobieta poprawiła zawiązaną wokół szyi apaszkę z logo banku takim gestem, jakby rozluźniała sobie stryczek. Wzięła kilka głębszych wdechów i powiedziała tonem pełnym mściwej satysfakcji:

– Decyzja jest negatywna.

– Co? Ale jak to? – niemal krzyknęła Sabina, która była przekonana, że spotkanie w banku to tylko formalność.

– A tak to! – Widać było, że przekazywanie złych wiadomości sprawia pracownicy niekłamaną radość. – Nasz bank, o dziwo, nawet przyznał pani ten kredyt, ale ubezpieczyciel nie wyraził zgody. Nie chcą zabezpieczać hipoteki siedlisk, a to, co pani chce kupić, w ich kategoriach jest siedliskiem. – Triumf pobrzmiwał w każdym słowie. – Więc oddamy pani te papiery i cóż, życzę powodzenia gdzie indziej – powiedziała kobieta z fałszywym uśmiechem i wyciągnęła dłoń: – Żegnam!

Kiedy Sabina, wciąż nieco oszołomiona, wyszła z banku, słońce zaszło za czarną chmurę, a wiatr nabrał prędkości sztormu na Atlantyku.

– Psiakrew, cholera jasna! – syknęła pisarka. Wyjęła telefon i zadzwoniła do swojego doradcy finansowego.

– Panie Jarku? Tu Sabina Czerniak. Właśnie wyszłam z banku. Niestety porażka. Nie wiem, jak to możliwe, przecież mówił pan, że z kredytem nie powinno być problemu. Co? Tak, siedlisko... – Przez

chwilę słuchała tego, co mówił do niej rzutki, ale tym razem niezbyt skuteczny młody człowiek. – No cóż, przyznam, że spodziewałam się, że będzie pan bardziej pomocny – zakończyła rozmowę, szczerze wkurzona na wszystkich przedstawicieli branży finansowej tego świata.

Domek nad morzem miał być jej kołem ratunkowym, jednak mieszkanie w Warszawie chciała zachować jako kotwicę, bazę, do której mogłaby w każdej chwili wrócić, gdyby życie na prowincji ją rozczarowało. Jednak rzeczywistość wymagała od niej zagrania *va banque*. Albo zostaje tutaj i tkwi po uszy w warszawskim szołbiznesowym bagienku, które po tym, co się stało – była tego więcej niż pewna – nie odpuści jej już nigdy, albo rzuca się w nieznane, na główkę, bez asekuracji. Żeby kupić swój wymarzony domek, musiała sprzedać apartament na Żoliborzu. Innego wyjścia nie było.

ROZDZIAŁ 6

„Chcesz rozśmieszyć Boga – powiedz Mu o swoich planach”, Sabinie przypomniało się to powiedzonko, kiedy stała na tarasie z widokiem na morze. Nie, nigdy nie była aż tak naiwna, by się spodziewać, że przeprowadzka na drugi koniec kraju to będzie czysta przyjemność. Zdawała sobie sprawę, że potrzeba mnóstwo pracy, by doprowadzić dom do zadowalającego stanu. Była przygotowana na remont (fakt, że łączyła go w myślach z przymiotnikiem „drobny” i wyobrażała sobie jako umiarkowanie angażujący proces, który wspomagałby aklimatyzację w nowym miejscu). Jednak to, co czekało na nią po przyjeździe do Mikołowa, gdy zaczęła już mieszkać w swoim domku z marzeń, po prostu ją przerosło.

Na początku wszakże spędziła kilka cudownych dni, upajając się swoją odwagą i siłą. „Zrobiłam to! Naprawdę to zrobiłam!”, podśpiewywała wciąż te same słowa do melodii różnych piosenek. Okazało się, że robienie szalonych rzeczy działa uskrzydlająco. Sabina miała olbrzymią satysfakcję, że niespełna sześć tygodni po wybuchu Geppertgate przeprowadziła się do Mikołowa, zostawiając za sobą całe dotychczasowe życie, którego miała powyżej uszu. Teraz chciała pozostawać w zgodzie z niespiesznym rytmem natury, chodzić na długie spacery brzegiem morza, a także nawiązywać autentyczne relacje z prostolinijnymi i szczerymi ludźmi. Oraz pisać swoją prawdziwą powieść.

Róża wyjechała do Stanów zaraz po tym, jak Czerniakowie odbyli wreszcie rodzinną naradę. Może nie przebiegła ona w harmonijnej atmosferze, towarzyszącej wypracowywaniu wspólnej decyzji w normalnych domach („Wypieprzam stąd i już! Nie będziecie trzymać mnie tu siłą i niszczyć mi życia!” – wykrzykiwała dziewczyna, nie dając dojść do słowa rodzicom, którzy próbowali wyartykułować swoje wątpliwości), ale doprowadziła do rozwiązania, które Sabina uznała za wcale nie najgorsze. Andrzej był przeciwnego zdania, co wymownie dawał żonie do zrozumienia, wbijając w nią oskarżycielski wzrok, który mówił jedno: „To wszystko twoja wina!”.

Ale małżonka trenowała asertywność. „Skończyły się czasy spełniania oczekiwań innych. Nie będę przeproszać za swoje decyzje”. Mosty zostały spalone. Pozew rozwodowy złożony, żoliborskie mieszkanie sprzedane. Była dumną właścicielką wymarzonego domu. I mocno wierzyła, że tam odnajdzie spokój, a żadni poszukiwacze taniej sensacji nie będą jej tak daleko ścigać.

Teraz jednak, na tarasie, Sabina zamiast delektować się morską bryzą, rwała włosy z głowy na myśl o czekających ją kłopotach. Zaczęło się od tego, że w sypialni zauważyła – na suficie i w rogu pod oknem – dziwne przebarwienia. Po dokładnej kontroli innych pomieszczeń okazało się, że plam rozlewających się po drewnianych ścianach jest dużo więcej.

„Może to nic wielkiego, taka uroda naturalnego materiału”, pocieszała się właścicielka. Jednak odkrycie defektu, które zbiegło się z pierwszą jesienną burzą, kiedy to silne uderzenia wiatru targały

konstrukcją domu, wywołało w niej niepokój. Z pomocą taksówkarza Krzysztofa, jedyne miejscowego, którego na razie znała, umówiła się z podobno sprawdzonym lokalnym fachowcem. Niejaki pan Zbych, niewysoki brunet z pękatym brzuszkiem i upodobaniem do złotej biżuterii, z dezaprobatą pokręcił głową.

– Proszpanią, nie chcę nic mówić, ale czy pani nie wiedziała, że takie rzeczy to się sprawdza przed kupnem, a nie po? – Sabina nie miała na to dobrej odpowiedzi. Czy fachowca przekonałyby tłumaczenia o wewnętrznym głosie, trudnej do wytłumaczenia intuicji i nieprzepartej potrzebie zamieszkania właśnie tu? Czy to mogło w jego oczach usprawiedliwiać tak daleko posuniętą niefrasobliwość?

– W czym problem? – spytała słabo, byle tylko odciągnąć uwagę rozmówcy od analizy swojego procesu decyzyjnego.

Pan Zbych uniósł lekko ręce do góry, błyskając bransoletą i starając się gestem wyrazić, jak trudno mu odpowiedzieć na to pytanie.

– To jest jeden wielki problem, proszpanią. – Z każdym jego słowem Sabina coraz bardziej opadała z sił. – Trzeba będzie tu jeszcze zrobić dokładne pomiary, ale... to jest ruina. – Ekspertowi budowlanemu nie można było odmówić wyczucia dramatyzmu. Odczekał, by pauza wybrzmiała, a potem przeszedł do wyliczania strat:

– Pleśń. Wszędzie pleśń. – Upierścienioną dłonią przesuwiał po powierzchni ściany. – Ale z tym to jeszcze najmniejszy kłopot, wystarczy oczyścić. Gorzej, że zniszczenia weszły głębiej. Widać, że przez lata nikt o to nie dbał. Dom na otwartej przestrzeni. Ostre powietrze, sól z morza, wilgoć. Zero wietrzenia. A z domem, proszpanią, jak z kobietą: trzeba dbać. – Gniewnie pokiwał głową, pełen oburzenia dla tak niestosownego potraktowania obiektu, który poddawał oględzinom.

– Grzyb wlaźł we wszystkie warstwy drewna. O, widzi pani? – Sabina czuła, jak kłująca pętla zaciska się na jej żołądku. Podążała wzrokiem za ruchem wskazującego palca fachowca, który śledził pęknięcie idące nieregularną linią w poprzek deski. – Klasyczny rozkład. Na tym etapie gęstość objętościowa drewna obniża się o około siedem procent miesięcznie, a wytrzymałość na ściskanie i na zginanie ulega obniżeniu odpowiednio o dwadzieścia i pięćdziesiąt procent.

Wygłaszając tę szokującą diagnozę, pan Zbych wyglądał na usatysfakcjonowanego skalą katastrofy, jaką właśnie opisał. Rozglądał się wokół jak ostatni ocalały z apokalipsy, przybyły na ratunek resztek życia tłących się na rumowisku.

– Co można zrobić? – głos Sabiny był ledwo słyszalny.

Fachowiec nadał policzki, co upodobiło go do ogromnych rozmiarów gryzonia, po czym powoli i ze świszczącym odgłosem wypuścił powietrze.

– Bez gruntownego remontu to się niedługo rozleci. Ja bym wymienił podłogi i pozbył się boazerii. Jak się odsłoni konstrukcję domu, będzie można wzmocnić i uszczelnić ściany i fundamenty.

– Ale przecież ja tu mieszkam. Pan chce mi od nowa budować dom?

– Proszpanią, ja nic nie chcę, ja tylko mogę coś z tym zrobić. To pani musi chcieć. Tylko że w innym razie domek się rozleci. Może jeszcze nie w tym roku, nie takie rudery potrafią stać latami, ale zima idzie. – Zbych spojrzał badawczo na Sabinę. – A nie wygląda mi pani na taką, co lubi polowe warunki.

Sabina miała mętlik w głowie. Zamiast ucieczki do oazy spokoju zafundowała sobie prucie ścian i podłóg oraz jeden wielki plac budowy. Jak ma w takich warunkach pisać, nie mówiąc o szukaniu natchnienia do swojej powieści?

– Kiedy mógłby pan zacząć? – Instynkt podpowiedział jej, że lepiej będzie się trzymać konkretów. Najważniejsze to nie poddać się panice.

Pan Zbych zrobił minę, która miała obrazować głębokie zastanowienie:

– Do końca miesiąca mam robotę niedaleko, potem mogę przerzucić chłopaków tutaj.

– To ja przemyślę sprawę i zadzwonię do pana.

– Byle nie myślała pani za długo, bo termin dziś taki, jak mówię, a jutro to już nie wiem, co będzie.

– Tak, tak, rozumiem, nie będę zwlekać. – Sabina chciała już zostać sama. Kiedy jednak odprowadzała fachowca, coś jej się przypomniało. – Ale zaraz. Mam jeszcze jedną sprawę, kompletnie wyleciało mi z głowy.

Mężczyzna odwrócił się do niej i patrzył z wyczekiwaniem, w którym nietrudno było dopatrzeć się też oznak zniecierpliwienia.

– Bo ja... bo ja myślałam, żeby jeszcze poszerzyć taras... Niech pan spojrzy. – Sabina poprowadziła Zbycha do wyjścia od strony morza. – I wie pan, zrobić tu takie rozsuwane szklane ścianki... Żeby zimą zamykać, a na lato otwierać.

Fachowiec surowym spojrzeniem dał do zrozumienia, co sądzi o takich fanaberiach w obliczu konieczności wykonania niezbędnych napraw.

– Z tym to najpierw do gminy, pozwolenie potrzebne – skwitował, zostawiając Sabinę z poczuciem, że wpakowała się w niezły kanał.

Co mogła teraz zrobić? Załamać się albo... się nie załamać. „Hej, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo”, próbowała pocieszać samą siebie, choć prawdę mówiąc, obecna sytuacja bardzo różniła się od powstałego w jej głowie pastelowego obrazka, na którym wiodła życie magicznie pozbawione trosk, za to wypełnione naprzemiennie twórczą aktywnością oraz aktywnym wypoczynkiem. „No dobrze, konfrontacja oczekiwania *versus* rzeczywistość musiała kiedyś nastąpić. Szkoda tylko, że tak szybko...”

Zapatrzyła się w rozbryzgujące się na wietrze spienione fale. „Weź się w garść, dziewucho! Nie po to rzuciłaś wszystko w cholere, żeby rozkładać się na pierwszej przeszkodzie. To są problemy? Czy

nie po to właśnie wyjechałaś, żeby mieć takie problemy?” Trochę poprawił się jej humor. „Czas na coś przyjemnego dla odmiany!” Zastanowiła się, na co miałyby ochotę. „Jak to na co, na dobrą kawę”. Przypomniała sobie o greckiej knajpce, do której trafiła podczas pierwszej wizyty w Mikołowie.

Drogę, jaką miała do przejścia, pokonała plażą. To jednak było niewiarygodne – mieć morze cały czas w pobliżu, na wyciągnięcie ręki. Sabina zastanawiała się, czy to się może kiedyś znudzić. Na razie każde spotkanie z żywiołem napełniało ją energią, jakby ktoś wpompowywał w nią eliksir witalności. Teraz wiatr plątał jej włosy, ruchy nabierały sprężystości, płuca niemal fizycznie powiększały objętość, by przyjąć solidną dawkę rześkiego powietrza. Była tylko ona i ta cudownie szeroka plaża, a po drodze nikogo. Kiedy doszła do „Afrodyty”, była przyjemnie zmęczona, a jej policzki zabarwił zdrowy rumieniec.

Zamiast zajętej swoimi problemami kelnerki po restauracji kręciła się tym razem energiczna brunetka po trzydziestce. Podeszła do Sabiny i uśmiechnęła się tak, że ta zapomniała o swojej typowej w takich sytuacjach reakcji, objawiającej się głównie chowaniem twarzy we włosach lub za kołnierzem kurtki, by uniknąć rozpoznania i niechcianego zainteresowania.

– A witamy. Pani u nas chyba pierwszy raz?

– Drugi. Trafiłam już tu kiedyś przypadkiem.

– Ach tak. Mam nadzieję, że pani smakowało. – Kobieta odgarnęła niesforny kosmyk włosów za ucho i znowu się uśmiechnęła. – Na wakacjach? – Jej ujmujący styl bycia sprawiał, że Sabina nie obawiała się wścibstwa, jakie węszyła za każdym razem, kiedy ktoś obcy zaczynał ją wypytywać.

– Niezupełnie. Przeprowadziłam się tu niedawno.

– To pani kupiła dom na klifie! To znaczy, że jesteśmy sąsiadkami! – ucieszyła się brunetka. – W takim razie zapraszam na obiad na koszt firmy! Co by pani zjadła?

– Ależ nie trzeba, naprawdę – zaprotestowała pisarka.

– Nie ma dyskusji. Ale niech pani sobie nie myśli, że będzie tu zawsze jeść za darmo. – Kobieta puściła oczko, a Sabina mimowolnie się zaśmiała. Naturalna bezpośredniość brunetki przełamywała nawet jej lody, zwykle nie do skruszenia. – Tylko ten pierwszy raz. Na powitanie.

– Pani tu pracuje? Nie widziałam pani poprzednim razem – spytała Sabina, gdy już, wśród podziękowań, zamówiła poleczone żeberka z jagnięciny.

– Kasia – przedstawiła się gospodyni, wyciągając rękę. – To moje. – Omiotła spojrzeniem salę. – I mojego męża wariata, Teo. Biega pewnie gdzieś po kuchni i pokrzykuje na biednego kucharza.

– Teo? Teodor? – Sabina automatycznie pomyślała o Teodorze Balcarze z książek Zygmunta Zygmunta.

– W zasadzie tak. Theodoros. Jest Grekiem. Dla ułatwienia tutaj został po prostu Teo.

– Więc stąd ta Grecja... – Pokiwała głową Sabina. Zagadka nietypowego konceptu gastronomicznego nad Bałtykiem właśnie się wyjaśniła. Poprosiła Kasię, żeby usiadła obok

i towarzyszyła jej przy obiedzie. Było to dość dziwne, zawsze uciekała od ludzi, ale najwyraźniej nowe miejsce zamieszkania miało na nią trudny do przewidzenia wpływ.

– Chętnie. Poczekaj, tylko sprawdzę, jak sytuacja. – Nowa znajoma bez zbędnych ceregieli przeszła z nią na „ty” i rozejrzała się po sali, w której zajęty był jeszcze tylko jeden stolik. Para w dojrzałym wieku konsumowała obiad, nie odzywając się do siebie ani słowem. „Poznali się przez biuro matrymonialne, kiedy oboje nie mieli już dużych oczekiwań, jedynie pragnienie, by mieć z kim napić się herbaty i wyjść na spacer. Choć nie było między nimi wielkiej namiętności, ułożyli sobie w jej mikroskopijnej kawalerce spokojne życie: każdy dzień podobny do poprzedniego. Raz do roku wyruszają na dwa tygodnie nad morze, by nałykać się jodu – oboje mają niewielkie problemy z tarczycą...”

– W porządku – głos Kasi przerwał projekcję Sabiny. – Wszystko pod kontrolą. Chwilowo robię za kelnerkę, mamy tu nieustające hece z personelem. Dziewczyńnię, która nam ostatnio pomagała, znudziło się przychodzenie do pracy.

– Może to i lepiej... – wtrąciła Sabina.

– Trafiałaś na nią poprzednio? – domyśliła się restauratorka. – Wiem, co masz na myśli. I tak trzeba by jej podziękować – westchnęła. – Ciężko tu o fajnych ludzi do pracy. W każdym razie szukamy kelnerki. Albo kelnera. Jakbyś o kimś wiedziała...

– Jasne, przecież znam tu wszystkich do trzech pokoleń wstecz – Sabinie wyrwała się może zbyt uszczypliwa riposta, ale Kasia natychmiast rozbroiła sytuację wybuchem śmiechu.

– Faktycznie, idealna z ciebie baza miejscowych kontaktów!

Jagnięcina była bajeczna, a Sabina, zanim skończyła jeść, zdążyła pokrótce poznać historię polsko-greckiej enklawy nad polskim morzem. Kasia i Teo poznali się w Londynie, gdzie oboje wyjechali po studiach szukać lepszych perspektyw. Zakochali się w sobie, a kiedy na świecie zjawił się ich pierwszy syn, Yanis, nazywany też opcjonalnie Jankiem, Kasia zatęskniła za Polską. Jakiś czas zajęło małżeństwu znalezienie pomysłu, jak mieliby tu sobie zorganizować życie. Niebawem urodziła się Oliwka, a oni przypadkiem dowiedzieli się o okazyjnej ofercie odkupienia podupadającego pensjonatu nad Bałtykiem. Ryzyko było spore, bo miejsce, choć urokliwe, nie było tętniącym życiem kurortem. Słuchając o tym, jak mimo obaw i tysiąca wątpliwości para zdecydowała się podjąć wyzwanie, bo w żaden sposób nie mogła się uwolnić od czaru tego zakątka, Sabina poczuła, że właśnie znalazła bratnie dusze.

Już tu, w Mikołowie, stan osobowy potomstwa państwa Zagorakisów powiększył się do sztuk trzech, o obecnie półtorarocznego Jorgosa, czyli Grzesia. Pensjonat i knajpa były prowadzone z istic grecką fantazją, choć Kasia starała się panować nad sytuacją i wplatać do biznesu elementy dyscypliny (trudno byłoby powiedzieć, że polskiej). Mimo że małżonkowie miewali trudne chwile, ich lokal z czasem zyskał stałą klientelę, a kto raz tu trafił, ten nie mógł zapomnieć o pysznym jedzeniu

i przyjaznej atmosferze. Fama „Afrodyty” zataczała coraz szersze kręgi.

Sabina nie bronila się zbyt mocno przed kawą po obiedzie i teraz z przyjemnością sączyła aksamitnie czarny, parujący płyn, spoglądając na typowo nadmorski iglasty las, widoczny przez duże okna w turkusowym obramowaniu. Kasia musiała już ją zostawić i zająć się nowymi gośćmi – grupką krzepkich młodych mężczyzn w sportowych ubraniach i skórzanych kurtkach, z nad wyraz zasępionymi minami, które miały chyba w zamierzeniu wzbudzać szacunek otoczenia. Młodociani biznesmeni usiedli przy stoliku w głębi sali – najwyraźniej mieli do omówienia jakieś wymagające dyskrecji sprawy – więc nic nie zakłócało Sabinie błogiej sjesty. Kobieta z ulgą poczuła, że jej problemy z domem wydają się teraz mniej przytłaczające.

„Jakoś to będzie. Nikt nie mówił, że czeka mnie tu leżenie w pierzu. Właściwie to przyda mi się kopniak w tyłek. Oderwę się wreszcie od blichtru i od całej tej fikcji, w którą chyba za bardzo wsiąkałam. Czas odpocząć od roztrząsania dylematów na papierze. Generalny remont? O, tak! Ja nie dam rady? Niedoczekanie!”

Pokrzepiona towarzystwem Kasi, solidnym posiłkiem i własną pozytywną konkluzją Sabina wróciła do domu jako człowiek gotowy do pokonywania trudności i zmagania się ze skrzeczącą rzeczywistością.

Natychmiast pobiegła do komputera, żeby sprawdzić pocztę (instalacja internetu też była ciężką przeprawą – nie obyło się bez dwukrotnej wizyty w Wejherowie, gdzie mieściło się biuro dostawcy, oraz około piętnastu rozmów telefonicznych z różnymi konsultantami, którzy za każdym razem podawali sprzeczne informacje). Od dwóch dni próbowała się skontaktować z Różą na Skypie, ale bezskutecznie. Wysłała córce już kilka wiadomości z prośbą o kontakt – od czasu jej wyjazdu do Stanów rozmawiały tylko raz, kiedy dziewczyna doleciała na miejsce. Sabina martwiła się, czy wszystko w porządku. Owszem, początkowo ulżyło jej, gdy Róża zniknęła z horyzontu, obcowanie dzień w dzień z tykającą bombą zegarową, jaką stało się jej dziecko, było wyczerpujące emocjonalnie. Jednak kiedy uświadomiła sobie, że córka naprawdę wyjechała, pierwszy raz sama tak daleko, poczuła pierwotny matczyzny lęk. „A może jej wyjazd to był jednak błąd? – biła się z myślami ponieważ. – To przecież jeszcze dziecko, nieważne, że tak nie do wytrzymania wkurzające”.

– Witaj, Sabina – odezwała się Róża, która ku wielkiej uldze matki tym razem była dostępna online. „Nie do wiary!”, Sabina ucieszyła się, nawet słysząc tę pseudodorosłą manierę, która tak ją irytowała w normalnych okolicznościach.

– Różyczko! – Od wieków nie zwracała się do córki zdrobniałym imieniem. – Jak dobrze, że cię widzę! Co u ciebie, wszystko w porządku?

– Spoko – udzieliła wyczerpującej odpowiedzi Róża, łypiąc z ukosa przez internetowe okienko oczyma obrysowanymi grubymi smolistoczarnymi obwódkami, które w połączeniu z upudrowaną na najjaśniejszy odcień bieli resztą twarzy nadawały jej upiorny wygląd, przypominający przebranie na

Halloween. Matka była już jednak przyzwyczajona do specyficznego gustu swojej latorośli. – Sabina, mam do ciebie *request* – dziewczyna przeszła do rzeczy.

– Co masz? – Sabina nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– *Request* – powtórzyła świeżo upieczona nowojorczanka ze starannie wystudiowanym akcentem.

– Cieszę się, że szlifujesz język, ale nie musisz wtrącać angielskich słówek, kiedy rozmawiamy po polsku. Jesteś w Nowym Jorku od kilku dni, to chyba jeszcze nie poczyniło spustoszeń w twoich zasobach słownictwa ojczystego języka.

– Przelej mi trochę forsy. – Róża nie zawracała sobie głowy komentowaniem słów matki. Ta z kolei na chwilę aż się zapowietrzyła, słysząc, jaki to *request* ma do niej córka.

– Chyba żartujesz!? Masz mieszkanie opłacone za pół roku z góry, szkoła to samo. Do tego dostałaś ponad tysiąc dolców na własne wydatki! Nawet mi nie mów, że już to wydałaś! Samodzielne życie to nie tylko wolność, to przede wszystkim odpowiedzialność! Czy ty sobie wyobrażasz, że pieniądze rosną na drzewach? – Sabina rozkręcała rozpaczliwy wywód rodzica, który odrobinę za późno zorientował się, że w procesie wychowawczym jego dziecka coś poszło nie tak.

– *Chill out*, Sabina. – Twarz Róży wyrażała nieskończony niesmak. – Po co ty się tak gorączkujesz? Ja teraz widzę, jak wy tam w kraju jesteście zestresowani. – Dziewczyna z pobłażaniem kiwała głową. – Doszedł mi nowy koszt, *that's all*.

– Jaki znowu nowy koszt?

– Muszę zacząć terapię.

Sabinie znowu na moment odebrało mowę.

– Jaką terapię? Jesteś chora!?

– Poznałam świetną *therapist*. Ma na imię Coco. Jest totalnie *cool*.

– O Jezus... – wyrwało się Sabinie.

– Ja tego potrzebuję, Sabina. Jeśli chcę być *good actrice*, muszę poznać siebie. W mojej grupie wszyscy, mówię ci, *absolutely* wszyscy chodzą na terapię. Muszę wykorzystać szansę, że tutaj jestem. Ludzie tu są tacy *open-minded*, nie wyobrażasz sobie. Ja nie mogę odstawać, ja muszę się rozwijać.

„Cudownie – Sabina przezornie powstrzymała się od skomentowania na głos tych, jak uważała, wierutnych bzdur. – A nie mogłaby się rozwijać, powiedzmy, robiąc zakupy starszym ludziom?”

– Wiesz, ale z psychoterapii korzysta się zwykle, żeby rozwiązać jakieś poważne problemy życiowe – powiedziała zamiast tego ostrożnie.

– Właśnie! – Twarz Róży aż się rozświetliła. – Z ust mi to wyjęłaś! Ja jestem kłębowiskiem problemów!

– O Jezus – jęknęła znowu Sabina.

– *Hello!* O czym my mówimy! Wychył się czasem dalej niż za czubek własnego nosa. Myślisz, że to takie zajebiste mieć matkę celebrytkę? Nie dość, że przez całe dzieciństwo musiałam nieść ten

krzyż („Skąd u niej takie sformułowania, ona ma dziewiętnaście lat!”, zdziwiła się Sabina), to ty musiałaś jeszcze wepchać się na okładki wszystkich śmieciowych gazet! Cała Polska kręci z ciebie bekę. I ze mnie też! Jak ja mam iść do przodu z taką traumą!?

Sabina milczała. Córka jak nikt inny umiała wzbudzić w niej poczucie winy. Zapragnęła, żeby ta rozmowa już się skończyła.

– A jakby tego było mało, musiałaś mnie dobić do końca – niestety, Róża jeszcze nie skończyła wytaczać swoich dział.

– O czym ty mówisz? – spytała Sabina słabym głosem.

– Nie wiesz o czym? Rozbiłaś rodzinę!

– Róża... – Poczowała, że jej córka powoli przekracza granicę.

– No co? Prawda w oczy kole? Jak mogłaś to zrobić tacie!?! – w głosie dziewczyny wibrowało szczere oburzenie.

– W porządku, to się może stało zbyt szybko. Powinam była cię jakoś przygotować na te zmiany...

– Po tylu latach wyrzucasz go na zbity pysk jak byle psa! Co ja mówię, nikt, kto ma choć odrobinę ludzkich uczuć, nie potraktowałby tak nawet psa!

– Hej, nie zapędzaj się tak – cierpliwość matki była już na wyczerpaniu. – Nie oceniaj tego, co się dzieje między dwojgiem ludzi. Rozwód to jest sprawa między mną a twoim ojcem. Tak będzie lepiej dla nas obojga. Za jakiś czas, kiedy emocje opadną, na pewno wszyscy się ze mną zgodzą.

– *Bullshit!* Myślisz tylko o sobie! A co ze mną? Zastanowiłaś się, jakie to będzie miało konsekwencje dla moich relacji z mężczyznami? Sądzisz, że to zdrowe obserwować, jak upokarzasz mojego ojca? Kastrujesz go na moich oczach?

– Jak możesz to obserwować, skoro jesteś tysiące kilometrów stąd? – rzuciła osłupiała Sabina.

– *You are a bad person and you should feel bad!* – Róża wydała wyrok skazujący, kończąc bezsensowną, kolejną w historii ich burzliwych stosunków kłótnię. Kiedy i jak to się stało, że ta dziewczyna tak kompletnie odleciała? Wydawało się, że mieszkały teraz nie na dwóch różnych kontynentach, ale co najmniej na innych planetach. Czy nie było już dla nich szansy porozumienia? Sabina wyszła na taras. Ściemniło się, ale było pogodnie. Słyszała uspokajające odgłosy bicia fal o brzeg. Zamknęła oczy i pozwoliła, by jednostajny szum powoli, ale skutecznie czyścił jej umysł.

„Postąpiłam właściwie. Znalazłam swoje miejsce i nikt mi nie będzie wmawiał, że jest inaczej”, pomyślała i stwierdziła, że czuje się znacznie lepiej.

*

Następnego dnia, jeszcze zanim zjadła śniadanie, siadła do komputera. Z mocnym postanowieniem, że wreszcie zacznie pracę. Miała już odosobnienie, upragniony spokój i wymarzone

otoczenie – teraz wystarczyło tylko zacząć pisać. Ale zamiast spodziewanego natchnienia poczuła znowu pustkę w głowie. Nowe miejsce zamieszkania nie zmieniło tego, że nie miała pojęcia, jak zabrać się do powieści. Te durne romansidła jakoś same się wymyślały i Sabina pisała je bez żadnego wysiłku, choć ostatnio z rosnącym niesmakiem. „Ciekawe, czy ta cała Teleszko też się tak męczy, jak ma coś spłodzić...”, pomyślała. Ale nie wynikało z tych rozważań nic, co zbliżyłoby ją do stworzenia dzieła życia. Przeszła więc do kuchni, pięknie rozświetlonej porannym słońcem. Niebo było jak z pocztówki, bez jednej chmury. Sabina włączyła swój słynny na całą Polskę ekspres do kawy. Zabrała go ze sobą do domku nad morzem i teraz triumfalnie zajmował większą część blatu. Był symbolem moralnego zwycięstwa pisarki nad odsądzającym ją od czci i wiary motłochem. „Nie złamali mnie – gratulowała sobie. – Zarobiłam na niego uczciwą pracą i nawet jeśli kosztuje tyle co mały samochód, to nikt nie będzie mi się wtryniał, w czym sobie parzę pieprzoną kawę”.

Niestety, kawa również nie sprawiła, że na potencjalną autorkę powieści przez duże P spłynęła inspiracja. Po kolejnym kwadransie beczynnego gapienia się w okno Sabina miała dość. „A może spróbuję popracować w »Afrodyce«? – pomyślała znużona. – Teraz wszyscy piszą w knajpach”. W Warszawie wydawało jej się to strasznie pretensjonalne, ale tutaj wszystko wyglądało inaczej.

Zgodnie z jej przewidywaniami salka restauracyjna w „Afrodyce” okazała się dobrym miejscem do pracy. Tym razem także nie było wielu gości, więc Sabina mogła się cieszyć względną ciszą i spokojem. Usiadła przy ustronnym stoliku pod ścianą. „No, teraz musi się udać”, zaklinała rzeczywistość, otwierając w komputerze ciągle świecący białą plik „Powiesc_Prawdziwa”.

Po jakichś dwudziestu minutach bezmyślnego wpatrywania się w ekran musiała w końcu przyznać, że żaden przełom nie nastąpił. Nie miała pojęcia, jak przemienić w pisanie to przenikające ją na wskroś poczucie, że ma coś wielkiego i ważnego do przekazania światu.

– Dzień dobry. Na co miałaby pani ochotę? – Sabina zamrugała kilka razy w niekontrolowanym tiku. Stał przed nią okaz męskiej urody, jaki rzadko widuje się w realnym świecie. Chłopak wyglądał jak model albo aktor, którego plakaty wiszą w pokojach milionów nastolatek pod każdą szerokością geograficzną. W jego ciemnych, zmrużonych w uśmiechu oczach błyskały wesołe iskierki. Miał mocną, nadającą mu wygląd twardziela żuchwę, ale jakby dla równowagi, kiedy się uśmiechał, zabawnie marszczył czoło i robił mu się z jednej strony dołeczek w policzku. Mimo mało sprzyjającej temperatury, która zmusiła dziś pisarkę do założenia grubego swetra, był w samej koszulce, pod którą rysowały się mocna klatka piersiowa i silne ramiona.

Odwróciła wzrok. Niespodziewany widok tak przystojnego kelnera sprawił, że nasunęło jej się kilka całkiem odważnych odpowiedzi na zadane przez niego pytanie.

„Hej, co z tobą, zawstydza cię jakiś małolat?”, skarciła się w myślach. Chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, zatem z jej perspektywy mieścił się w kategorii dziecko. Była tak oszołomiona, że jej mózg nie wyprodukował nawet zwyczajowej historyjki z domniemanym

życiorysem nowej postaci, jaka stanęła na jej drodze.

– Poproszę kawę – włożyła pewien wysiłek w to, aby jej głos zabrzmiał obojętnie.

– Pije pani czarną czy z mlekiem? – Jego głos miał niską, głęboką barwę, brzmiał dojrzałej, niż wskazywałby młody wygląd.

„Przynajmniej przeszedł już mutację”, pomyślała Sabina, a na głos powiedziała:

– Z mlekiem.

– Tak myślałem – rzucił z hollywoodzkim uśmiechem i zniknął za ścianką.

„Uff, kto by się spodziewał tutaj takich wrażeń. Ciekawe, jakie jeszcze atrakcje chowa w zanadru Mikołowo”, zastanawiała się Sabina, skądinąd naprawdę rozbawiona swoją reakcją na atrakcyjnego młodzieńca. „Chyba rzeczywiście abstynencja seksualna rzuca mi się na mózg”, podsumowała w stylu Lucyny, choć akurat w tych słowach tkwiło ziarno prawdy.

W tym momencie drzwi restauracji otworzyły się i do środka wpadło małe tornado w postaci Kasi otoczonej przez przekrzykującą się gromadkę: słusznej postury, obficie owłosionego mężczyznę oraz trójkę dzieci, z których najmniejsze – słodki blondynek – ledwo stało na własnych, wykrzywających się nieco nóżkach.

– O, cześć, Sabina! Chodźcie, chodźcie, pokażcie się naszej nowej przyjaciółce. – Młoda kobieta zaganiała całą czeredę do stolika pisarki niczym pasterz zapędzający niesforne stadko owiec do zagrody. – To właśnie my, w pełnym składzie: Teo, Oliwka, Jasio i mały Grześ – zaprezentowała rodzinę, wskazując wszystkich po kolei. Sabina wstała, śmiejąc się.

– Cieść! – zawołał z lekkim akcentem mąż Kasi, którego byłoby dobrze słyszeć, nawet gdyby nie podnosił głosu. – Kasza mówiła, że jesteś fajna babka.

– Mam nadzieję. Mnie też miło was poznać – odpowiedziała Sabina z uśmiechem.

– Co jesz? Co to znaczy ten pusty stół? – Teo z oburzeniem wskazał na stół, przy którym siedziała pisarka. Rzeczywiście był na nim tylko laptop. – Mamy dziś wyborne kalamari. Swięża dostawa, polecam!

– Dzięki, może później się skuszę. Na razie czekam na kawę, przyszedłam do was trochę popracować.

– Ja rozumiem, ty pisarka, ja wszystko wiem! – Entuzjazm pana Zagorakisa jeszcze wzrósł. – To niesamowite, ty tu u nas piszesz książkę!?

– Próbuję... – Pytanie o książkę nieco naruszyło beztroskę, w jaką wprawiło Sabinę spotkanie z tą zabawną rodziną.

– No dobrze, starczy tych powitań, dajmy Sabinie popracować w spokoju – Kasia włączyła się w rozmowę.

– Ależ nie, nie to miałam na myśli! – zaprotestowała pisarka. – Nie przeszkadzacie mi ani trochę. Cieszę się, że mam tu kogoś, z kim mogę pogadać – dodała szybko.

– No tak. Ty sama w domu. To niedobre. Facet by się pszydał, no nie? – Teo nie zwracał przesadnie uwagi na konwenanse. Kasia natychmiast zgromiła go wzrokiem.

– Wiesz co, ty już lepiej zabierz dzieciaki na górę, a potem marsz do kuchni. Tam przynajmniej nie jesteś jak słoń w składzie porcelany. – Najwyraźniej to ona miała decydujący głos w małżeństwie, bo Teo bez sprzeciwu zajął się zbieraniem do kupy maluchów, które w międzyczasie rozpiezchły się w różne strony sali restauracyjnej.

– Ja nic złego nie mówię pszeczysz. Tylko się dziwię, że taka ładna kobieta bez facet! Nie może być. – Mrugnął do Sabiny i żartobliwie zamarkował obronę przed spodziewanymi ciosami żony.

– Teo! – Kasia groźnym głosem ponagliła męża do wyjścia. – Przepraszam za niego. – Uśmiechnęła się do nowej przyjaciółki ze skrucą. – Czasem mógłby być choć trochę mniej bezpośredni.

– W porządku – uspokoiła ją Sabina. – Jako prawie rozwódka nie mam kompleksu braku samca przy boku. Wręcz przeciwnie, cieszę się tym stanem. – Znow ją zaskoczyło, z jaką łatwością mówi dopiero co poznanej osobie o swoich osobistych sprawach. To było do niej niepodobne.

Wtedy zauważyła, że obok stolika ponownie wyrósł przystojniak, tym razem z jej kawą na tacy. „Ciekawe, czy słyszał, co właśnie powiedziałam...”

– W każdym razie mógłby być bardziej delikatny – zakończyła wątek Kasia, podczas gdy nadmorski Adonis zręcznie stawiał na blacie kawę i towarzyszące jej dodatki.

– Mam nadzieję, że będzie taka, jaką pani lubi – powiedział, zerkając na Sabinę i ponownie rozświetlając wszystko wokół stuwatowym uśmiechem.

Obie kobiety odprowadzały go wzrokiem, kiedy przechodząc przez salę, mrugnął zawadiacko do siedzącej przy oknie drugiej tego przedpołudnia samotnej klientki „Afrodyty” (na co ta odmachala mu w nieco przesadnie entuzjastyczny sposób), a następnie zatrzymał się przy barze, aby porozmawiać z ładną dziewczyną z recepcji. Przechylił się przy tym w jej stronę i słuchając, nie odrywał od niej wzroku.

– Niezły lowelas, co? – Kasia lekko parsknęła, gdy kelner oddalił się na bezpieczną odległość.

– Mhm... – mruknęła niewyraźnie Sabina.

– Ale to fajny chłopak. Spadł nam z nieba. Po prostu zjawił się któregoś dnia i powiedział, że szuka pracy, wyobrażasz sobie? A nawet nie zdążyliśmy dać ogłoszenia. Może za wcześnie, żeby się zachwycać, ale na razie robi dobre wrażenie i nie mówię teraz o wyglądzie, jak babcię kocham! – Puściła oczko do koleżanki. – Nie ma doświadczenia, ale chce się uczyć, jest miły dla wszystkich i pracowity. Nie do wiary, że tu wylądował. Żałuję tylko, że trafił się nam po sezonie, przyciągnąłby laski z całego Wybrzeża – zaśmiała się. – Sama się łapię na gapieniu na jego tyłek, a komu jak komu, ale mnie naprawdę nie wypada!

Sabina odetchnęła z ulgą. A więc to nie jej wyposzczenie – po prostu jego męska uroda była tak

uderzająca, że robiła wrażenie na każdej heteroseksualnej kobiecie, niezależnie od wieku i stanu cywilnego. Nie ma się czego wstydzić.

– Rzeczywiście, trafiła się wam niezła sztuka.

Pośmiały się i pogadały jeszcze przez chwilę o tym, co sływać. Sabina poskarżyła się na remont, a Kasia podzieliła troską o dzieci, które wciąż łapały infekcję za infekcją. Pisarce przeszło przez myśl, że w gruncie rzeczy tęskni za tego rodzaju kłopotami – jej Róża dostarczała już zmartwień innego sortu, a problemy z nią wydawały się nie do rozwiązania, przynajmniej dopóki dziewczyna nie wkroczy w jakiś nowy, bardziej dojrzały etap rozwoju. Matka bardzo by sobie życzyła, by kiedyś to nastąpiło...

Kiedy Sabina dopijała już kawę, Kasia nagle zerwała się z miejsca, łapiąc za głowę.

– Rety, siedzę tu tyle czasu, a ty przecież chcesz pracować!

– Spokojnie, mam dużo czasu. – Sabina była zupełnie szczerą. Wcale się jej nie śpieszyło do ponownego pozostania sam na sam z pustym plikiem, dowodem jej niemocy. Kasia jednak nie dała się przekonać, ona też zresztą miała mnóstwo rzeczy do zrobienia. Po chwili więc jedynym towarzyszem Sabiny znowu był laptop, w którym, mimo najszczerzych chęci właścicielki, do końca dnia nie pojawiło się nic nowego.

ROZDZIAŁ 7

To był w sumie miły dzień, choć po wczorajszej pierwszej wizycie ekipy remontowej nic tego nie zapowiadało. Dla Sabiny było to jak najazd Hunów na cywilizowany świat. Ustalili z kierującym przedsięwzięciem panem Zbyszkiem, miłośnikiem dobrze utrzymanego drewna i złotej biżuterii, że remont odbędzie się etapami, tak by nie musiała się wyprowadzać. A więc najpierw dół (wtedy będzie można korzystać z góry), potem sypialnie na piętrze. Sabina od razu przekonała się, że to rozwiązanie mogło dobrze wyglądać tylko w teorii. Już pierwszego dnia zaatakowały ją rozsadzający uszy hałas i wciskający się wszędzie pył. Najgorsza była jednak konieczność koegzystencji z kręcącymi się od samego rana po domu mężczyznami w roboczych strojach, którzy traktowali pisarkę jak intruza zawadzającego im w pracy, przez co rzeczywiście się tak czuła.

Ekipa pięciu rosłych facetów zjawiała się już o szóstej trzydzieści rano, waleniem w drzwi wrywając ją ze snu. Kiedy ledwo przytomna wpuściła ich do środka i oddaliła się do sypialni z nadzieją na dodatkową krótką drzemkę, została brutalnie skonfrontowana z rzeczywistością. Najpierw ktoś włączył radio na cały regulator, tak że głos DJ-a wołającego radośnie: „Hejka, hejka, kochani, dzień dobry bardzo!”, a potem beat jakiegoś utworu piosenkopodobnego przewierciły Sabinie mózg na wskroś. Ledwo zaczęła się gramolić z łóżka, by poprosić panów o przyciszenie, huk młotów walących w coś (ale w co!?) niemal zagłuszył dudnienie z radia.

„I jak ja mam teraz żyć, do jasnej cholery?”, pomyślała spanikowana.

Pan Zbych, pozostawiwszy ekipę („Ja, proszpanią, zarządzam trzema robotami, tak że tu chłopaki wiedzą, co i jak, a ja lecę do Wejherowa, jakby co”), odjechał swoim zielonym vanem. Robotnicy trwali w szale rozwalania domu przez osiem godzin. Sabina siedziała przez ten czas w sypialni na piętrze. W uszach miała zatyczki, przez które i tak przedzierały się piekielne odgłosy remontu. Właściwie nic tego dnia nie jadła ani nie piła, bo ogarnął ją jakiś irracjonalny lęk przed tymi siejącymi zniszczenie facetami. Chciało jej się płakać. „W co ja się wpakowałam?” Pocieszenie przynosił jej jedynie osławiony ekspres do kawy, o którego przeniesienie poprosiła, zanim jeszcze zaczął się armagedon. Spieniała więc mleko i sączyła kolejne cappuccino.

Kiedy dniówka dobiegała końca, Sabina po szóstej kawie miała stan przedzawałowy. Gdy pan Zbyszek z typową dla siebie subtelnością walnął w jej drzwi, o mało nie spadła z łóżka.

– Proszpanią, to na dziś fajrant – rzucił mężczyzna, błyskając złotym łańcuchem okręconym wokół szyi.

– Aha – przytaknęła Sabina.

– No, ale będę potrzebował... – Zbych rozłożył dłonie.

– Czego? – Nie bardzo zrozumiała Sabina.

– No z pięć paczek, jak nic. – Podrapał się po głowie.

– Pięć paczek? Pięć paczek czego?

– Kapuchy, proszpanią! – Budowlaniec zaśmiał się gromko.

Sabina przełknęła ślinę. Czuła się, jakby ją właśnie oblewano na egzaminie maturalnym.

„Pięć paczek kapuchy? Że co?”, jej zmaltretowany nadmiarem kofeiny umysł błąkał się gdzieś po obrzeżach sensu.

Kierownik ekipy, widząc konfuzję na twarzy zleceniodawczyni, poklepał się po brzuchu i wyjaśnił:

– Szefowo, pięć stów szefowa da i będzie. Trzeba kupić na jutro materiały, a ze swoich dać nie mogę.

– Pięćset złotych! – Sabina ucieszyła się tak, jakby to jej ktoś miał zamiar wręczyć trochę żywej gotówki. – Czemu pan od razu nie mówi! – Z uśmiechem sięgnęła do torebki i wyjęła pięć banknotów.

– Proszę. – Podała je Zbychowi.

Ten bez słowa schował je do kieszeni i kiwając głową na pożegnanie, ulotnił się.

Pisarka została z ciszą tak nagłą, że aż dudniącą w uszach. Postanowiła, że następnego dnia uprzedzi fakty i wstanie przed przybyciem ekipy. Kiedy więc zjawili się o siódmej rano, była już gotowa i czekała na nich ze świeżą kawą w dzbanku. Po bliższym poznaniu okazali się całkiem w porządku. Żałowali jej, że musi mieszkać w tym bajzlu, obiecywali uwinąć się z robotą raz-dwa, a nawet – uwaga! – umyli po sobie kubki po kawie.

*

Świeciło słońce, pierwsze jesienne liście złociły się pięknie na drzewach, a morze mrucało spokojnie – takim dniem trzeba się było cieszyć! Sabina postanowiła wyjąć rower z komórki przy garażu i zwiedzić Mikołowo. Po raz pierwszy od dawna miała ochotę, by wyjść do ludzi, ot tak, po prostu – pogadać ze sprzedawcą w piekarni i panią w kiosku. Poza tym i tak musiała kupić chleb i mleko do kawy, bo pan Zbych pił tylko z pełnotłustym, co podkreślał dwukrotnie.

Jechała więc na swoim pięknym miejskim rowerze. (W Warszawie zadawała nim szyku, tu jednak miała lekkie poczucie niedopasowania – rama w róże nieco rzucała się w oczy, być może przysłała pora, by pomalować sprzęt na jakieś bardziej maskujące barwy...) Mijała kolejne pensjonaty i domy letniskowe, z których większość była o tej porze roku zamknięta na głucho. Przyglądała się różnym architektonicznym rozwiązaniom i musiała przyznać, że na tle przeciętnego gustu rodaków mieszkańcy Mikołowa wypadali nieźle. Domki były zazwyczaj skromne i bezpretensjonalne, a jeden czy dwa krasnale ogrodowe aż tak nie raziły. Sabina skręciła nieco w lewo, w boczną dróżkę prowadzącą w pobliżu sosnowego lasu na wydmach. Tam, kilkaset metrów w głąb, powinien się znajdować pensjonacik „Dom Hanny”, do którego przyjeżdżała z mamą jako mała dziewczynka.

Z powodu szaleństwa pierwszych dni po przeprowadzce dopiero teraz miała czas na poszukiwanie śladów przeszłości. Zdawała sobie jednak sprawę, że to tęsknota za dawnymi dobrymi czasami, pełnymi miłości, zapachu szamponu Zielone Jabłuszko, smaku lodów Bambino, za dzieciństwem z książkami Haliny Snopkiewicz, za to bez telewizora i internetu, była główną przyczyną, dla której na swój nowy dom wybrała właśnie Mikołowo. Toteż dziś, kiedy wreszcie nikt niczego od niej nie chciał, kiedy nie musiała podejmować żadnych decyzji na temat koloru kafli, kształtu spłuczki ani wielkości śrub w okiennicach, postanowiła powrócić na chwilę do tamtych lat. Jechała, pedałując powoli, tak by nie przeoczyć miejsca, którego szukała. Wydawało jej się, że musi to być gdzieś niedaleko. Zatrzymała rower i zeskoczyła z niego, stając przed piętrowym budynkiem, który w jej pamięci był ogromny niczym pałac. „Ha!, pomyślała, tak właśnie jest, gdy wracamy do miejsc pamiętanych z dzieciństwa. Wielki las to zagajniczek, spiętrzona rzeka to strumyk, a ogromny pensjonat u Hanny to domek kryty gontem”.

Oparła rower o płot i nacisnęła klamkę. Brama była otwarta, więc weszła na podwórze.

– Dzień dobry! – zawołała, rozglądając się. – Halo!?

Odpowiedziało jej tylko szczekanie psa sąsiadów.

Postała jeszcze chwilę, przyglądając się podwórku, które kiedyś tak dobrze znała. „O, na tej ławce siedzieliśmy z mamą popołudniami i czytałyśmy książki albo »Świat Młodych«. A tam była kiedyś studnia. Za tym klombem rosły dwa drzewa, do których przywiązywano hamak. Ile było radości z huśtania się w nim...” Uśmiechnęła się do własnych myśli. Kiedyś było inaczej, kiedyś było lepiej.

Wyszła za bramę, jeszcze raz spoglądając za siebie. „Szkoda, że nikogo nie ma, ciekawe, czy poznałabym panią Hanię i czy ona poznałaby mnie?” Wsiadła na rower i zakręciła w stronę miasteczka. Kiedy ruszała spod pensjonatu, w oknie na piętrze poruszyła się firanka i ktoś, mocując się z klamką, dawał jej sygnał, by zaczekała. Ale Sabina już gnała w stronę Mikołowa, czując ciepłe promienie jesiennego słońca na twarzy.

Nadmorskie kurorty po sezonie są magiczne. Emanują ciszą i spokojem. Wrzask dzieciaków, zapach smażeniny, aromat gofrów i dudnienie muzyki na straganach z chińskim badziewiem – pewnego dnia to wszystko znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pisarka, pedałując zwawo, myślała o tym, jak cudownie jest zanurzyć się w tę kojącą pustkę.

Zatrzymała się przy skrzyżowaniu w centrum miasteczka i przypięła rower do jedynej nadającej się do tego rury w pobliżu, czyli do znaku drogowego wskazującego na pierwszeństwo przejazdu. Było spokojnie.

Weszła do sklepu spożywczego, za ladą siedziała kobieta ufarbowana na intensywny rudy kolor i przeglądała jakieś czasopisma. Podniosła wzrok na nową klientkę i przez jej twarz przemknęła myśl: „Skąd ja ją znam?”. Sabina nieraz widziała takie spojrzenie, postanowiła jednak niczego nie ułatwiać sprzedawczyni i poprawiając szalik, powiedziała tylko:

– Dzień dobry, czy jest świeże pieczywo?

– Kochanieńka! – Rudy kok się zatrząśł. – Innego nie prowadzimy.

Sabina się zaśmiała:

– Okej, pardon, nie chciałam niczego sugerować.

Ruda puściła oczko, jakby się znały od lat.

– Chlebuś czy bułeczki?

– Jedno i drugie. – Sabina wyciągnęła z kieszeni wielorazową ekologiczną torbę.

Sprzedawczyni spojrzała na nią z uznaniem.

– O, to mi się podoba! A nie te foliówki, co to potem się nam mewy nimi duszą na plaży! Pani pewnie nietutejsza, co? – dodała po chwili.

– W sumie i tak, i nie...

– Hę? – Gra w niuanse nie była mocną stroną rudej.

– Kiedyś spędzałam tu każde lato, a teraz tu zamieszkałam, czyli trochę tutejsza. A trochę nie.

– A to nie pani kupiła ten dom na klifie? Tę rudere?

Sabina zagryzła usta w wyrazie bezradności, po czym kiwnęła głową:

– Lepiej bym tego nie ujęła.

Sklepowa rozłożyła ręce, jakby chciała nową klientkę przytulić.

– Dziecko drogie, aleś się wpakowała. Przecież to jest dom do zbudowania od nowa, co?

– A żeby pani wiedziała – odpowiedziała Sabina, parskając śmiechem.

Dwadzieścia minut później Sabina i Janeczka piły razem kawę i plotkowały o życiu jak stare dobre znajome. Pisarka, usadzona wygodnie na zydlu za ladą, słuchała z zaciekawieniem opowieści o życiu miasteczka i jego mieszkańców.

– Kochana, jak ktoś ma coś o tej dziurze wiedzieć, to na pewno ja. – Sklepowa nie miała wątpliwości, kto tak naprawdę ma tu pojęcie o świecie. A było o czym posłuchać: rozwody, długi, wakacyjne romanse, wyjazdy do Anglii po lepsze życie, walka z bezdusznym samorządem lokalnym, który marzy o tym, by ciche Mikołowo przerobić na kolejną nadmorską plastikową tandetę. Sabina też trochę o sobie opowiedziała, ale bez szczegółów. Janeczka świata książek za bardzo nie śledziła, ale o Sabinie oczywiście czytała w brukowcach. – Tylko wiesz, Sabcia, ja to im nie wierzę, łachmytom – zapewniła od razu. – Przecież jak oni o kimś piszą, to zawsze skłamią. A mało to się nakłamali na przykład o tej aktorce, co ich potem pozwała i pieniądze jakie wygrała. Ja tam swoje wiem, Sabcia.

Janeczka – mimo maniery zwracania się do swojego gościa zdrobnieniem brzmiącym nieco psio – naprawdę skradła serce pisarki. I choć kawa podana w duraleksie była paskudna i niewiele miała wspólnego z tym, co zazwyczaj pijała, Sabina poprosiła o dolewkę, żeby móc sobie jeszcze trochę tutaj posiedzieć.

Kiedy do sklepu wchodził klient, energiczna sprzedawczyni od razu przedstawiała go Sabinie, chwając się przy tym nową ceną znajomością. I tak pisarka poznała około tuzina mieszkańców okolicy. Wszyscy jak jeden mąż witali ją uśmiechem i dobrym słowem.

„Boże, jak mi tu dobrze”, myślała kobieta, przypominając sobie anonimowy nienawistny tłumek wylansowanych gnomów na placu Zbawiciela. Kiedy wsiadła na rower i jechała z powrotem malowniczą trasą do domu, czuła się po raz pierwszy od dawna po prostu wolna. I nawet widok chłopaków z ekipy remontowej palących papierosa w ogródku nie zakłócił jej spokoju ducha. Morze w oddali szumiało jednostajnie, mewy darły się wesoło nad głowami, to był naprawdę udany dzień.

– Proszpanią – zagaił pan Zbyszek. – Na dziś fajrant, bo tu znów musi wyschnąć tynk.

Sabina odstawiła rower, opierając go o to, co zostało ze starego ganku.

– Okej – powiedziała radośnie.

– No i bez trzech paczek dziś nie damy rady – dodał mężczyzna, kiepując papierosa na trawie.

– Aha. – Pisarka podążyła wzrokiem za butem kierownika ekipy. Na ziemi leżało już kilkanaście niedopałków.

– Jadę jutro do marketu budowlanego, tak że od razu kupię te uchwyty kątowe do bitów.

– Aha. – Sabina wyjęła z portfela kolejne banknoty. Nie zostało ich już wiele. „Trzeba będzie ruszyć się do jakiegoś bankomatu...”, pomyślała. – Pan jakoś zapisuje te wydatki?

– No szefowo, a jak? – zachnął się Zbych.

– Nie, no jasne – szybko odparła zleceniodawczyni.

Panowie wsiedli do półciężarówki i odjechali, zostawiając za sobą kłęb spalin. Sabina schyliła się i zaczęła zbierać niedopałki. „Muszę im załatwić popielniczkę jakąś – skarciła się w duchu. – Gdzie biedacy mają wywalać te pety...”

Dom wyglądał jak po przejściu tornada. Poruszała się ruchem konika szachowego po tym, co niegdyś było parterem. W ogołoconej kuchni ostała się samotna lodówka. Sabina włożyła do niej zakupy i skierowała się na górę, do nienaruszonej na razie części budynku. Wykąpała się, zrobiła sobie kolację, odkorkowała butelkę wina i położyła się z książką na łóżku.

Kiedy się ocknęła, było już rano. Poznała to przede wszystkim po tym, że pan Zbych i ekipa już rażno działali. Najwyraźniej zdążyli już dorobić sobie klucze do domu. Radio ZET grało na cały regulator, a poranne trele prowadzących obudziłyby umarłego. Sabina, chcąc nie chcąc, musiała się zwlec z łóżka.

Pan Zbyszek zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Ciężka noc? – sam sobie odpowiedział na to pytanie. – Picie do lustra jest niezdrowe, niech pani se chłopaka jakiegoś tu zainstaluje, bo co dzień pani w gorszym stanie.

Sabina poczuła, jak ręce opadają jej bezwładnie. Zbych, niezrażony, ciągnął:

– A tak w ogóle, kierowniczo, to kiedy będzie to pozwolenie?

– Jakie pozwolenie? – zapytała cicho, jakby wietrząc kolejne kłopoty.

– Proszpanią, no tak to my się bawić nie będziemy – głos budowlanica stał się surowy, a dwóch z czterech pozostałych mężczyzn przerwało pracę i spojrzano na Sabinę z wyrzutem. – Albo to pani załatwi, albo z tarasu nici, ile razy mam to pani powtarzać? Ja bez tego nie zacznę, kłopotów mi nie trzeba.

– Jasna cholera. – Sabina spojrzała błagalnie na szefa ekipy. – Ale jak to? Nie możecie zacząć bez tego? Przecież ja to doniosę w końcu, byłam tam już, złożyłam podania, kazali czekać, no panowie...

– Noo... Ja chcę mieć na wszystko papier, my jesteśmy solidna firma, niepotrzebne nam problemy, prawda, Saszka?

Milczący mężczyzna, pochylony dotąd nad kątownikiem, rzucił Sabinie smutne spojrzenie. Sabina poczuła się jak denuncjatorka, przed oczami stanął jej urząd imigracyjny, który z powodu jej bajzlu w papierach deportuje biednego Saszę prosto do Iwano-Frankowska.

– Załatwię to.

– No, ja myślę – odrzekł pan Zbych, po czym odwrócił się i poszedł sobie zapalić do ogródka.

Sabina zaś zadzwoniła do Zygmunta. Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Mariusz, ratuj – powiedziała z desperacją w głosie. – W urzędzie kazali mi czekać miesiąc! Ja nie wytrzymam w tym bajzlu tak długo.

Zygmunt jak zwykle miał gotową odpowiedź.

– Jeśli tak ci zależy na tym tarasie, to idź prosto do miejscowego burmistrza. Obiecaj mu coś. Zaproponuj spotkanie autorskie w gminie. Cokolwiek! Lokalni władarze niczego tak nie kochają, jak ogrzać się w blasku znanej gęby. Od razu załatwisz sprawę, a pan burmistrz, o ile to jest pan, rzecz jasna, co w przedmiotowej sytuacji wiele by ułatwiało, będzie wniebowzięty.

– Chyba masz rację... – Sabina nie po raz pierwszy była pod wrażeniem tego, jak król kryminału syntetycznie ujmował problemy, które dla niej samej były nieprzeniknioną magmą. Jak na człowieka żyjącego w oderwaniu od zewnętrznego świata miał godną podziwu wiedzę praktyczną. Chyba nie było tematu, na którym by się nie znał, począwszy od zagadnień literackich, przez prawo budowlane, po, powiedzmy, aktualne ceny skupu zboża. – Ale myślisz, że mogę się teraz pokazać na spotkaniu autorskim? Że ludzie mnie nie nienawidzą po tej całej akcji z brukowcami?

– Sabina, możesz. Ręczę za to – głos Mariusza był opanowany i uspokajał drżącą jak osika przyjaciółkę. – Nie proponuję ci chałtury w centrum handlowym, tylko spotkanie w gminnej bibliotece. Na które przyjdzie ze czterdzieści osób z okolicy. Daj spokój, moim zdaniem przeceniasz możliwości brukowców. A nawet jak się ktoś zjawi, to co sfotografuje? Pisarkę wśród czytelników? To taka sensacja?

Sabina zastanowiła się przez chwilę:

– No, w sumie...

– No w sumie weź to załatw i już.

Sabina wyszła do ogrodu. Pety leżały na ziemi dokładnie tam gdzie wczoraj, mimo że położyła na parapecie ceramiczną popielniczkę. Schyliła się, by je pozbiierać, i zobaczyła, że pod deskami leży pudełko fajek. Zanim je wyrzuciła do śmieci, zajrzała do środka. W pudełku został jeden papieros. Nie wahając się długo, włożyła go do ust, poszła do domu po ogień i stanęła na progu, głęboko zaciągając się dymem.

*

Na spotkanie z burmistrzem Wejherowa, miasta powiatowego, do którego administracyjnie należało Mikołowo (i w którym zapadały wszystkie urzędowe decyzje dotyczące pozwoleń na przebudowy domów), Sabina jechała, czując się tak, jakby miała zdawać maturę. Nie cierpiała załatwiać spraw w ten sposób. Od tego zawsze miała Lucynę, ale tym razem nie mogła zdać się na nią. „Musisz być dzielna – powtarzała sobie, parkując przed urzędem. – Po prostu alleluja i do przodu”.

Budynki władzy zawsze ją onieśmiały. Czowała się od razu mniej ważna. Jak się jednak okazało, zupełnie niepotrzebnie – pan burmistrz na wieść o jej przybyciu wyskoczył ze swego gabinetu, niemal potykając się o własne nogi. Anonsująca ją sekretarka została zepchnięta na bok, a urzędnik, wyprostowany jak struna, stanął przed Sabiną niczym kadet przed generałem.

– Witamy w naszych skromnych progach! – zawołał. A potem było już tylko lepiej.

Pisarka wychodziła z rozmowy z lokalną władzą nie tylko uspokojona i pewna, że teraz jej budowa ruszy z kopyta, ale i przeświadczona, że jeśli miałyby ochotę wybudować na działce dziesięciopiętrowy budynek, to dostałaby zgodę bez mrugnięcia okiem. Trzeba było tylko przeżyć spotkanie autorskie, które miało być z jej strony świadczeniem barterowym.

– Nie ma problemu, panie burmistrzu – powiedziała, dzierżąc pod pachą podarunki z logo powiatu: plakaty ze zdjęciami okolicznych plaż oraz notesy oprawne w skórę. – Oczywiście i z przyjemnością – skłamała z uśmiechem.

*

Biblioteka w Wejherowie nie dysponowała odpowiednią salą, by pomieścić wszystkich chętnych na spotkanie z Sonią Geppert. Burmistrz, nieustająco podniecony wizją reklamy okolicy dzięki znanym mieszkańcom („Pani Soniu, Mikołowo nada się idealnie jako miejsce akcji pani kolejnych powieści!”), natychmiast uruchomił kontakty, rezerwując na ten wyjątkowy w życiu miasta wieczór największą salę w okolicy, znajdującą się w przykościelnym gmachu i zdolną pomieścić nawet sto pięćdziesiąt osób (pod warunkiem wszakże, że byłyby to osoby raczej szczupłe).

Pani Mariola z sekretariatu pobiegła po kwiaty. Ogromna kompozycja z anturium prezentowała się godnie, kiedy burmistrz przyszedł skontrolować sytuację na zapleczu sali.

– Dobra, dziewczyny, leć się odświeżyć i widzimy się na miejscu za kwadrans szósta! – zarządził, po czym pognął do domu, by wziąć drugi tego dnia prysznic, ogolić się i spryskać sówicie swoją ulubioną wodą toaletową Chanel Égoïste.

Kiedy Sabina okutana w ciepły szal dotarła na miejsce spotkania, przy wejściu stała już duża grupa osób usiłujących dostać się do środka. Pisarka była przyzwyczajona do tłumów, ale nigdy nie czuła się swobodnie podczas spotkań autorskich. Zawsze ją przerażały, zwłaszcza ze względu na prowadzących, z których większość nie przeczytała żadnej z jej książek. Tym bardziej teraz, kiedy naprawdę drżała o to, czy ci ludzie, którzy stoją pod wejściem, nie są do niej negatywnie nastawieni. „No trudno, trzeba będzie to jakoś przetrwać”, stwierdziła.

– Przepraszam, ja na spotkanie – poklepała po plecach postawnego mężczyznę, który blokował przejście.

– Proszę pani, my wszyscy na spotkanie – odpowiedział facet, nie odwracając się nawet.

Wtedy jednak jakaś kobieta, która przyglądała się jej od dłuższej chwili, wykrzyknęła:

– Jeny! To przecież pani Sonia, posuń się, Wiesław! Miejsce zrobić dla autorki!

Tłum rozstąpił się przed Sabiną jak Morze Czerwone, a z wnętrza budynku wybiegł zaczerwieniony na twarzy burmistrz i chwycił gościa za rękę, wołając: – Uwaga, idziemy!

Pisarka poddała się bezwolnie. Chciała już znaleźć się w środku, bo trochę zmarzła. Lekki płaszczyk, nawet okutany szalem, był dobry na przebiegnięcie z samochodu do salonu spa, ale niekoniecznie na wystawanie w kolejce pod prowincjonalnym nadmorskim kościołem.

Kiedy weszli do środka, witani oklaskami, burmistrz szepnął jej do ucha:

– Pani Soniu, niech pani da płaszcz, ja odwieszę. Pani niech już siada. Ja panią wprowadzę, a potem już pan Konrad będzie pani zadawał pytania.

Sabina, przepełniona lękiem przed pierwszym publicznym występem po ogólnokrajowej aferze ze sobą w roli głównej, pokiwała głową i grzecznie oddała gospodarzowi płaszcz. Usiadła na miękkim fotelu, w który od razu się zapadła tak, że publiczność siedząca dalej niż w drugim rzędzie całkowicie straciła ją z oczu. To ją bardzo ucieszyło. Lepiej ich nie widzieć.

Chwilę później na drugi fotel ciężko opadł brodaty mężczyzna o zwalistej posturze.

– Krys Konrad – przedstawił się. – Jestem dziennikarzem z lokalnego dziennika. Żona lubi pani książki – dodał, a Sabina już wiedziała, że nie będzie dobrze.

Zjawił się przy nich i burmistrz, witany oklaskami zainicjowanymi przez panią Mariolkę.

– Panie i panowie, mamy dziś wielki zaszczyt podejmować w naszych skromnych progach niezwykłego gościa. Ukochaną pisarkę Polaków i Polek, autorkę licznych bestsellerów, która jak nikt opisuje kulisy bezwzględnego świata ślubów i wesel. (Tu Sabina zagryzła wargi). Pani Geppert całkowicie za darmo, podkreślam, bez żadnego wynagrodzenia, wystąpi dziś dla nas, opowiadając o swojej pracy i warsztacie twórczym, a także podpisze dla państwa książki. Jednocześnie mam

zaszczyt oficjalnie już ogłosić, że skromna gmina Mikołowo, leżąca w granicach naszego powiatu, właśnie wzbogaciła się o nową duszę – uśmiechnął się wymownie do Sabiny, która ów uśmiech uprzejmie odwzajemniła. – Pani Geppert kupiła dom na klifie i została mikołowianką.

Tu rozległy się wiwaty i oklaski.

– Nasze, nie wątpię, fascynujące spotkanie poprowadzi pan Krys Konrad, dziennikarz „Głosu Wejherowa”. W imieniu urzędu miasta Wejherowo życzę udanego odbioru – zadowolony ze swojej przemowy burmistrz przekazał mikrofon prowadzącemu.

Krys Konrad powiódł wzrokiem po zgromadzonych, co trwało dłuższą chwilę, wreszcie spojrzał na Sabinę i powiedział:

– Pani Soniu, zacznijmy od takiego może nietypowego pytania. Dlaczego właśnie śluby?

„Oho – pomyślała Sabina – zaczyna się. Ale przynajmniej nie pyta mnie o ekspres do kawy, rozwód ani o moje obrzydliwe bogactwo”.

Spotkanie trwało i trwało. Krys Konrad oczywiście nie przeczytał żadnej z jej książek i krążył ze swoimi pytaniami gdzieś po dziwnych orbitach, odnosząc się głównie do wywiadów, jakich pisarka udzieliła dawno temu kolorowej prasie. Rozmawiali więc przez prawie dwie godziny o kompletnych bzdurach. Kolejne osoby na sali przysypiały, otumanione monotonnym głosem dziennikarza, ciepłem parujących ciał i coraz bardziej zmniejszającą się ilością tlenu w powietrzu.

Kiedy zaczęli zbliżać się do finału i Krys oddał głos zmulonej publiczności, Sabina znów poczuła na plecach dreszcz. „No, to teraz się zacznie...”, pomyślała.

– Ja mam pytanie, bo to mnie po prostu ciekawi. – Tleniona blondyna z drugiego rzędu podniosła rękę. – Czy kawa z takiego ekspresu naprawdę jest warta tych pieniędzy?

Sabina skuliła się w sobie. Wiedziała, po prostu wiedziała, że to się tak skończy. Zbierała w panice myśli, chcąc jakoś uciec przed tematem. Ratunek przyszedł z niespodziewanej strony – burmistrz zerwał się z miejsca i rzekł dobitnie:

– Drodzy państwo, no nie bądźmy dziećmi, przecież takie pytania są kompletnie nie na poziomie. To jest spotkanie autorskie, o książkach, o kulturze, a nie o jakichś duperelach, za przeproszeniem.

Blondyna z drugiego rzędu miała policzki w kolorze purpury. Burmistrz, skarciwszy ją publicznie, sam postanowił zaspokoić ciekawość:

– Pani Soniu, a może takie pytanie... Czy pani zna kogoś sławnego? No nie wiem, Krzysia Ibisza na przykład, bo wie pani, ja go naprawdę lubię, jeszcze od czasu tego tam *Czaru Par*.

– Yyyyy... – Sabina nieco skonfundowana szybkim obrotem spraw zaczęła się zastanawiać, co tu właściwie powiedzieć. – Yyy... no nie, nie znam – wydusiła w końcu.

Po sali przeszedł pomruk rozczarowania.

– Ale Perfekcyjną Panią Domu to już na pewno musi pani znać, macie chyba tego samego fryzjera, co nie? – Rubaszny brunet, ubrany w bluzę z napisem „Jestem zwycięzcą!”, trącił porozumiewawczo

łokciem siedzącą koło niego krótkowłosą chudzinę w koszulce z logo producenta prezerwatyw i napisem „Dziurex”.

– Obawiam się, że też pana rozczaruję – powiedziała, rzucając błagalne spojrzenia w kierunku Krysa Konrada.

Ten wykazał się refleksem i płynnie przeszedł do końcowej fazy spotkania. Przed stolikiem gościa ustawiła się długa na ponad sto osób kolejka. Każdy trzymał w ręce egzemplarz książki albo nawet kilka do podpisu, każdy chciał zamienić słowo ze znaną z kart kolorowych czasopism autorką, każdy gratulował jej przeprowadzki i zapewniał, że Mikołowo to doskonałe miejsce do życia dla pisarki („Będzie pani miała ciszę, spokój...”). Po reprimendzie burmistrza już nikt nie odważył się wyskoczyć z pytaniem o ekspres. Sabina, patrząc na malejącą powoli grupę ludzi, uspokajała się, mimo że łowcy autografów bez ceregieli podstawiali jej pod nos zamiast książek swoje notesiki. Wpisywała się więc na wolnych karteczkach, wciskając się między Zbyszka Wodeckiego a Anię Wyszconi. Wśród tłumu były także osoby, które koniecznie chciały zrobić sobie wspólne zdjęcie (te zazwyczaj nie zadawały sobie nawet trudu, by zamienić z Sabiną choć słowo powitania: ustawienie, wystudiowana mina do zdjęcia, pstryk, i gotowe). Potem jeszcze wpisy do kroniki tutejszej biblioteki, księga pamiątkowa gminy i powiatu oraz autografy na plakacie. Po kolejnej godzinie w opustoszałej sali zostały już tylko Sabina i wierna pani Mariola z sekretariatu.

– Ma pani kondycję – zagaiła, na co Sabina tylko się blado uśmiechnęła. Nie miała już siły mówić, była wykończona. Mariola podała jej płaszcz z wieszaka i otrzepała z wody bukiet anturium. – I niech się pani nie martwi, zajmiemy się sprawą przebudowy i remontu – mrugnęła porozumiewawczo. – Już burmistrza w tym głowa.

Sabina, mimo zmęczenia, miała ochotę ją uściskać. „Warto było się pomęczyć”.

Wróciła do domu zadowolona. Naprawdę miała poczucie, że zrobiła coś sensownego. Przebrała się w dres, włączyła muzykę, nalała sobie wina. Odpaliła laptopa, planując obejrzenie serialu kryminalnego, który ostatnio mocno ją wciągnął. Postanowiła jednak najpierw zajrzeć na swoje konto – jeśli pan Zbych będzie ją tak każdego dnia czyścił z gotówki, trzeba się zorientować w bieżących wydatkach.

W tym czasie spłynęła też poczta mailowa. Sabina odruchowo kliknęła ikonkę skrzynki odbiorczej. „Nic ważnego, same bzdury – przebiegła wzrokiem nagłówki wiadomości. – Dwa od Lucyny, niedoczekanie! Nie będę tego czytać”, pomyślała.

Kliknęła w kolejną ikonkę i weszła na stronę portalu informacyjnego. W tej samej chwili pożałowała swojego ruchu. „Nowy dom bogaczki!” – głosił czerwony napis, a na zdjęciu dołączonym do tekstu Sabina zobaczyła siebie na rowerze, mocującą się z furtką na podjeździe.

– No żeż kurwa mać! – zaklęła i rozplakała się jak dziecko. Wszyscy ją zdradzili! Więc i tutaj nie ma spokoju. Na końcu świata też ją wysłędzono.

W pierwszym odruchu zbiegła na dół i zamknęła na klucz drzwi wejściowe.

– Są wszędzie! Szpiedzy są wszędzie! – mamrotała, wycierając łzy kułakiem. W sypialni zasłoniła szczelnie okno. Poczwała, że się boi. Sama, bezbronna, otoczona przez wrogów. Z jej dobrego nastroju nic nie zostało. Zdjęcie na głównej stronie portalu okazało się stopklatką z filmiku, który (tak!) ktoś nagrał telefonem, obserwując pisarkę, jak usiłuje otworzyć bramę i wjechać rowerem na podwórko. Na filmie widać też było, jak przekazuje pieniądze robotnikom i zbiera pety. Jak wchodzi do domu. Oko kamery zrobiło wtedy zbliżenie, dokumentując wnętrze szczegół po szczególe. Pod filmem roiło się już od hejterskich komentarzy.

Sabina zamknęła laptopa i padła na łóżko. To było jak gwałt. Ktoś podeptał ubłoconymi buciorami jej elementarne poczucie bezpieczeństwa. Nie chciało jej się już żyć.

ROZDZIAŁ 8

Spojrzała na wyświetlacz. Znowu włączyła się jej opcja: „Uciec, schować się, nie widzieć nikogo” i dzwonek telefonu wywoływał w niej panikę. Na szczęście to była Kasia.

– Hej, Sabina, co tam? Wszystko dobrze? Dawno cię u nas nie było.

Rzeczywiście przestała przychodzić do „Afrodyty”. W ogóle starała się nie pokazywać w Mikołowie, które tak bardzo ją rozczarowało. Myślała teraz, że to wszystko nie miało sensu. Cała ta przeprowadzka, spalenie za sobą mostów. Nie ucieknie przed tym, co było najgorsze w jej życiu. Na domiar złego nie mogła nawet zaszyć się w domu, roznoszonym ciągle w drobny pył przez ekipę remontową. „To jakaś najcholerniejsza z cholernych paranoja! Po co rzuciłam wszystko? Żeby znowu chować się po kątach!? Sielankowe lotnisko wcale nie jest lepsze niż pieprzona Warszawka”. Najgorsze zaś było poczucie, że wciąż jest śledzona, że ktoś za nią łązi non stop, obserwuje jej każdy krok. Znikąd ratunku. Musiałaby chyba wyjechać z Polski, a i to nie wiadomo...

Co rano Sabina wsiadała do samochodu i udawała się do którejś z okolicznych miejscowości, na tyle dużej, by o tej porze roku znalazła się w niej jakaś działająca knajpa, gdzie mogłaby przesiedzieć parę godzin z komputerem. Starła się nie wpadać w paranoję, przecież już wcześniej paparazzi dawali jej do wiwatu, ale tym razem – pewnie ze względu na to, że Mikołowo miało być jej azylem i kryjówką – czuła się wyjątkowo niepewnie.

Próbowała pracować, aby choć na chwilę przegonić z głowy dręczący ją lęk, ale nadal nie napisała ani zdania swojej powieści. Choć nie, to nie była cała prawda – stworzyła już niezliczone wersje tego upragnionego pierwszego zdania, po czym każdą po powtórny przeczytaniu kasowała z zażenowaniem. Codziennie siadała do pracy, której aktualny etap nazywała „poszukiwaniem inspiracji i badaniem źródeł”. A konkretnie: przeczesała internet, sprawdzając, o czym były książki autorów nagradzanych w ostatnich latach najbardziej prestiżowymi wyróżnieniami na świecie. Oczywiście w niczym jej to nie pomagało, co najwyżej mogła żałować, że Polska nigdy nie miała żadnych zamorskich kolonii ani nie była niczyją kolonią, ani że jej społeczeństwo nie było wystarczająco wielokulturowe („Bo o Holocauście nie napiszę. Są jakieś granice”). Telefon od Kasi kazał Sabinie wrócić na ziemię.

– Przecież dobrze wiesz dlaczego – odpowiedziała znad filiżanki rozpuszczalnej kawy (tylko taką serwował lokal „Jutrzenka” na rynku w Rozewiu).

– Jak to? – Kasia była szczerze zdziwiona. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Och, mam nadzieję, że nie spotkało cię u nas nic niemiłego! – wykrzyknęła przejęta. – Borys coś zmalował? Jak dotąd nie było na niego żadnych skarg, ale jeśli zachował się niewłaściwie, to powiedz mi koniecznie...

– U was? Nie..., skądże – przerwała Kasi, która była gotowa szukać kolejnych domniemyanych powodów jej niezadowolenia. – Ale nie mam ochoty wystawiać się na widok hałastry, która, jak się okazało, wyśledzi mnie nawet w mysiej dziurze.

– Sabina... ale co się stało? Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz. To znaczy słowa rozumiem, ale nie łapię sensu. Ojej, przepraszam, zamotałam się.

– Na pewno widziałaś ostatnie rewelacje o mnie na portalach.

– Szczerze? Nie widziałam. Nie wchodzę na te strony. Nawet jakbym chciała, to nie wiem, kiedy miałabym to robić.

– Naprawdę? Byłam pewna, że wszyscy to oglądają. I że całe Mikołowo ma ubaw, jak mnie zrobili na szaro. A ja myślałam, że będę tu miała święty spokój! – dodała rozżalona pisarka.

– Ale zaraz, kto cię zrobił?

– Sama chciałabym wiedzieć. Jedno jest pewne: ktoś z Mikołowa bez żenady nagrał mnie pod moim własnym domem, jak otwieram bramę, gadam z robotnikami. No koszmar po prostu. Następnym razem wsadzą mi obiektyw do kibla!

Kasia na chwilę zaniemówiła.

– Chyba żartujesz!

– Tak, bardzo mi do śmiechu, po prostu boki zrywać!

– O rany, co za gówno. To musi być dla ciebie straszne, widzieć takie bzdury na swój temat, ale uwierz mi, tu mało kogo obchodzą takie rzeczy.

– Czyżby? A jednak ktoś stąd to zrobił. Jakość nagrania jest kiepska, to na pewno jakiś amator.. Ale i tak wysłał ten swój donos brukowcom.

– Sabina, nie możesz się zamartwiać takimi głupotami! Oczywiście zgadzam się z tobą, że świat oszalał. To wszystko paranoja, ale nie dajmy się zwariować! To tylko jakiś durny portal! Zapewniam cię, a mieszkam tu trochę dłużej niż ty, że w Mikołowie naprawdę nikogo nie interesują tego rodzaju plotki. Powiem więcej, tutejsi ludzie z zasady nie wierzą w nic, co widzą i słyszą w mediach. Naprawdę, jak za komuny: prasa kłamie! – Sabina mimo woli się uśmiechnęła. – Mógł się trafić jakiś głupol, jak wszędzie, pewnie chciał zarobić parę groszy na piwo, ale miejscowi mają swój rozum. Naprawdę nie ma się czym przejmować. Kochana, przyjeżdżaj na obiad! Nie będziesz się przecież przed nami chować w nieskończoność.

Ta kobieta umiała przywrócić rzeczom właściwe proporcje. A Sabina w gruncie rzeczy nie marzyła o niczym innym niż o porządnym obiedzie prosto z kuchni Teo. Zebrała się w imponującym tempie i z piskiem opon ruszyła do „Afrodyty”.

Kasia uściskała ją i posadziła przy stoliku.

– Borys zaraz coś ci poda. Teo ugotował dziś pyszną zupę cytrynową, specjalność jego dziadka ze Skiatos. Zjesz i od razu poczujesz się lepiej. A potem pogadamy. Zrobię tylko zamówienie na

następny tydzień. – Mrugnęła do niej wesoło i zniknęła na zapleczu.

– Dzień dobry. – Po chwili obok stolika pojawił się kelner Adonis. Sabina nieświadomie wyprostowała się i uśmiechnęła do niego. „Koniec z tym syfem. Kasia ma rację, nie ma sensu zaśmiecać sobie głowy jakimiś hejterami, paparazzi i Bóg jeden wie czym”, postanowiła. – Jak się pani miewa? – spytał chłopak.

– Całkiem nieźle. A po obiedzie zamierzam czuć się jeszcze lepiej. – Sabina złapała się na tym, że chce zatrzymać na sobie jego uwagę. Ale Borys nie podjął rozmowy. Podawał jej zupę, skupiony najwyraźniej na czymś innym. A raczej na kimś. Sabina zauważyła, że komunikuje się na migi ze stojącą w drzwiach i całą w skowronkach recepcjonistką w obcisłej sukience.

„Ups, nie wchodź w drogę młodzieży, stara babo”, skarciła się, śmiejąc się w duchu z samej siebie.

Po zupie, w której smaku jakimś niepojętym sposobem udało się Theodorosowi przemycić greckie promienie słońca, zgodnie z obietnicą do stolika wróciła Kasia. Kiedy zaczęły gadać, Sabina nie mogła się powstrzymać przed ukradkowym przyglądaniem się nowej przyjaciółce. Młoda właścicielka „Afrodyty” była ubrana w zwyczajną bluzę i wytarte dżinsy. Włosy bez śladu farbowania, związane byle jak. Twarz nieskalana makijażem, nie mówiąc już o jakichkolwiek ingerencjach estetycznych – Kasia miała żywiołową mimikę, co ujawniało się w delikatnych zmarszczkach, szczególnie kiedy się uśmiechała, a robiła to prawie ciągle. Z pewnością daleko jej było do standardów obowiązujących na warszawskich salonach. Mimo to była śliczna. Jej naturalność w połączeniu z niezwykłym urokiem sprawiały, że nie można było od niej oderwać wzroku.

Kres dyskretnej obserwacji położyła sama Kasia, która nagle poderwała się od stolika. Do restauracji wszedł ktoś, kogo znała i wyraźnie ucieszyła się na jego widok.

– Jerzy, cześć! – przywołała przybysza ruchem ręki. Przy stoliku pojawił się szpakowaty mężczyzna, który już na pierwszy rzut oka nie wyglądał na miejscowego. Miał staranną fryzurę i dobrze przystrzyżoną brodę, która nadawała mu wygląd hiszpańskiego aktora. Delikatnie pachniał dobrą, korzenną wodą. Sabina od razu zauważyła, że jego sportowa marynarka w jodełkę była uszyta z wełny wysokiej jakości.

– Poznajcie się – zagaiła Kasia. – To jest Jerzy, nasz przyjaciel z Gdańska. A to nasza nowa sąsiadka, Sabina. Słynna pisarka, wspominałam ci, że niedawno tu zamieszkała.

– Jest pani odważną kobietą, gratuluje decyzji. – Uśmiechnął się mężczyzna, a oczom Sabiny ukazał się garnitur olśniewająco białych i idealnie prostych zębów. „Na bank zrobione”, oceniła fachowym okiem.

Podali sobie ręce. Sabina nieco podejrzliwie zerknęła na Kasię, która nie umiała ukryć podekscytowania i z błyskiem w oku popatrywała to na jedno, to na drugie.

– Jerzy jest wziętym dentystą – gospodyni „Afrodyty” kontynuowała swoją prezentację z takim zaangażowaniem, jakby miała przed sobą wypełnioną do ostatniego miejsca salę. „Dentysta, no tak, to

by się zgadzało”, pomyślała Sabina. – Najlepszym na Wybrzeżu, pacjenci przyjeżdżają do niego z całej Polski, co ja mówię, żeby tylko z Polski! Z Niemiec nawet specjalnie! I z Anglii!

– Kasiu, wystarczy już tych opowieści, pani Sabina zaraz zaśnie z nudów – przerwał jej wreszcie Jerzy, najwyraźniej speszony tą nieco nachalną promocją swojej osoby.

– Jaka pani, dajże spokój – zaprotestowała młoda kobieta. – To znaczy na pewno nie pod tym dachem. Gdzie indziej mówcie sobie, jak chcecie, ale tutaj moi przyjaciele są swoimi przyjaciółmi. Czy jakoś tak...

Po chwili siedzieli w najlepsze we trójkę i wychylali kolejne szklaneczki ouzo. Może to była sprawka alkoholu („O tej porze? Koniec świata”, odezwał się wewnętrzny głos Sabiny, ale szybko ucichł), w każdym razie wspomnienie medialnych nieprzyjemności z każdą chwilą i każdym nowym wybuchem śmiechu coraz bardziej się zamazywało. Borys donosił nowe przekąski i kiedy pochylał się nad ramieniem Sabiny, uzupełniając zawartość jej szklanki, czuła przyjemne mrowienie. Z satysfakcją łowiła też długie spojrzenia Jerzego. Nie chodziło o to, że miała w głowie miłosne podboje, nic z tych rzeczy. Faceci to było ostatnie, czego w tej chwili potrzebowała do szczęścia; najpierw chciała się raz na zawsze uporać z tym, z którym spędziła większość życia. Musiała jednak przyznać, że sygnały męskiej adoracji, jakie właśnie odbierała, wywoływały w niej całkiem przyjemne doznania.

– Kurczę pieczone, ale mnie zagadaliście! – Kasia zerwała się nagle na równe nogi. – Teo urwie mi głowę, że cały dzień tu siedzę i zbijam baki, a on musi pracować. – Złapała się zabawnie za głowę i opuściła towarzystwo, żegnana żartobliwymi okrzykami.

– Sabina... Miło się z tobą rozmawia – powiedział Jerzy, kiedy zostali sami przy stoliku. – Umówisz się ze mną na kolację?

– Umówię – odparła Sabina bez wahania.

*

Zadowolenie z tej spontanicznej decyzji trwało niestety tylko tyle, ile zajmuje proces rozkładu cząstek alkoholu w organizmie. Wątpliwości dopadły pisarkę następnego dnia, w dodatku z przytupem.

„Po co mi to? Nawet się jeszcze nie zdążyłam rozwieść...”, myślała, pijąc duszkiem wodę mineralną, bo strasznie ją suszyło. Przez chwilę zastanawiała się nawet nad moralno-prawnym aspektem sprawy. Oficjalnie wciąż była mężatką. Czy w takiej sytuacji można się umawiać z facetami? Szybko jednak odrzuciła wszelkie obawy. „No nie, bez żartów. Nasze małżeństwo to już definitywnie przeszłość. Rozwód zmieni tylko tyle, że będziemy to mieć na papierze. A zresztą wszystko między mną i Andrzejem zostało powiedziane. Nikogo nie traktuję nieuczciwie”, skutecznie się rozgrzeszyła.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była na randce. Na pewno nie w ciągu ostatnich

piętnastu lat. Nie była jednak zdenerwowana. Spotkanie z Jerzym stanowiło miłą perspektywę, ale nie wywoływało u niej przyśpieszonego rytmu serca. Cóż, może w tym wieku wszystko, także pierwsze randki, przeżywa się mniej emocjonalnie. Wieczór w męskim towarzystwie mógł się okazać odskocznią od codzienności, która znów zaczęła ją przygniatać, ale nie oczekiwała, że będzie to wstęp do czegoś poważnego. Wręcz przeciwnie, sama myśl o nowym związku sprawiała, że włączał się jej odruch ucieczki.

Od Kasi (która uparcie obstawała przy tym, że ich spotkanie w knajpie było zupełnie przypadkowe) wiedziała już o Jerzym całkiem sporo. Kilka lat temu zaryzykował i założył lokalną sieć klinik stomatologicznych, co okazało się strzałem w dziesiątkę. Interes kwitł i wyglądało na to, że w życiu Jerzego brakuje tylko jednego – kobiety. Od wielu lat był wdowcem. Żona zachorowała i zmarła młodo, a on nie związał się już z nikim na poważnie. Poza tym był człowiekiem o szerokich horyzontach i otwartym sercu – podróżował, interesował się sztuką współczesną i wspierał lokalne młode talenty, a także dzielił się pieniędzmi z potrzebującymi. Pisarka, słysząc to wszystko, nie mogła dać wiary zapewnieniom Kasi, że ta nie zaaranżowała wizyty Jerzego w „Afrodyce”. Jej zachwyty nad zaletami przedsiębiorczego dentysty były tak żarliwe, że na kilometr pachniało tu swataniem.

Sabinie to nie przeszkadzało – pozostawała całkowicie odporna na tego typu presję. Przyjęcie zaproszenia na kolację było dla niej spontaniczną, by nie powiedzieć fizjologiczną reakcją na miłą rozmowę z mężczyzną, a nie jakąkolwiek deklaracją. Chciała tylko przyjemnie spędzić czas i miała nadzieję na podobne podejście drugiej strony. Czuła się pod tym względem bezpieczna: wszystko wskazywało na to, że Jerzy jest zrównoważonym facetem na poziomie, takim, który nie pozwoliłby sobie na niepoważne zachowanie.

Plan ich randki zdawał się to potwierdzać. Jerzy zaproponował spotkanie w Gdańsku. Sabina miała przyjechać po południu, tak żeby on zdążył jej pokazać kilka ciekawych miejsc w mieście. Wieczorem spektakl w Teatrze Wybrzeże, a potem szybki przeskok do Sopotu, gdzie ponoć znajdowała się najlepsza knajpa rybna na całym Pomorzu (Jerzy polecał łososia bałtyckiego w cieście z sosem mandarynkowym, chociaż małże świętego Jakuba tamtejszego szefa kuchni także, jak zapewniał, były wyśmienite). Bardzo grzecznym tonem, bez cienia aluzji, poinformował również Sabinę, że po kolacji będzie na nią czekał pokój w hotelu w samym sercu Gdańska, nad Motławą – nie było mowy, żeby po kolacji wracała sama do Mikołowa. Wieczór zapowiadał się więc kulturalnie, z odrobiną blichtru.

Kiedy przyszła pora, by zacząć się szykować, Sabina uznała, że cała ta sytuacja nawet ją bawi. Zastanawiała się, jak się ubrać – zmiana stylu życia nie wypleniała z niej przecież zamiłowania do dbania o siebie i nie przeobraziła w zaniedbującą depilacji i korzystającą z prysznicza raz na tydzień pustelniczkę. Wciąż lubiła ładnie wyglądać, a wyjście z Jerzym było ku temu dobrą okazją. Z drugiej strony nie chciała się przesadnie wystroić, żeby nie robić wrażenia, że za bardzo się stara. Poprzerzucała trochę popakowanych w kartony i worki ubrań, zanim udało jej się wybrać coś

odpowiedniego. Postawiła na naturalnie układający się na ciele sweterek w jej ulubionym beżowym kolorze, któremu odświętnego sznytu dodawały wpleciona w tkaninę złota nitka i nieco głębszy dekolt. Do tego proste czarne spodnie i botki na wysokiej szpilce. Dopełnieniem wizerunku był makijaż „na nieumalowaną”, dyskretnie, acz umiejętnie podkreślający blask oczu i kształt kości policzkowych Sabiny. Upięła włosy w niedbały kok, zawiesiła na szyi cieniutki jak nitka złoty łańcuszek z błyszczącym oczkiem i krótkie, acz baczne spojrzenie w lustro pozwoliło jej stwierdzić, że to jest to, o co chodziło.

Gdy dojechała na umówione miejsce, z ulgą odnotowała, że Jerzy podszedł do sprawy podobnie – też wybrał niezobowiązującą sportową elegancję. Trochę się bała, że będzie w garniturze. Wszystko, co miał na sobie, było najwyższej jakości. Wprawne oko Sabiny zarejestrowało jego inicjały na mankietach koszuli, co mogło sugerować, że strój został uszyty na miarę. Pisarka musiała przyznać, że jej towarzysz wyglądał doskonale. Wyprostowana, sprężysta sylwetka, zero brzucha. Broda dodawała mu charakteru i oryginalności. Zachowywał się swobodnie, dzięki czemu i ona ani przez chwilę nie czuła niezręcznie, mimo że przecież umówili się, w zasadzie w ogóle się nie znając. „To może być naprawdę miły wieczór”, pomyślała Sabina.

I w gruncie rzeczy tak było, nie miała się do czego przyczepić. Z przyjemnością obejrzała spektakl, obserwując grę zdolnych trójmiejskich aktorów, nieopatrzonych w każdym możliwym serialu. Jedzenie w restauracji wybranej przez Jerzego rzeczywiście było wyrafinowane i nad wyraz smaczne. On sam zaś sprawiał wrażenie faceta przenikliwego i wrażliwego ponad normę krajową, do tego był Sabiną wyraźnie zainteresowany. Szybko, ale z wyczuciem skierował rozmowę w bardziej osobiste rejony.

– Przeniesienie się tutaj wymagało dużej odwagi. Takich decyzji nie podejmuje się bez powodu – zagaił znad dorodnego przegrzebka.

– To prawda, potrzebowałam zmiany. Ale zdziwiłbyś się, jak dużą rolę odegrał w tym pierwiastek nieracjonalny.

Uśmiechnął się, jakby dobrze ją rozumiał.

– I jak się odnalazłaś? Nie brakuje ci Warszawy?

– Żartujesz? Od nowa uczę się oddychać.

– Znam to. Kiedy tylko muszę załatwić coś w Warszawie, wystarczą dwa dni i już mam objawy nerwicy. To bzdura, że tylko tam można prowadzić prawdziwy biznes. Z powodzeniem można to robić gdziekolwiek, nie fundując sobie przy okazji tego szaleńczego i tak naprawdę nikomu niepotrzebnego pędu. Nigdy nie zrozumieję ludzi, którzy zapominają, że w życiu trzeba też pożyć... – Powiódł wzrokiem po wnętrzu rozjaśnionym ciepłym, rozproszonym światłem, pełnym zrelaksowanych ludzi pograżonych w rozmowach, które na pewno nie dotyczyły takich tematów jak transakcje, projekty czy intratne zlecenia.

– Tutaj czas płynie inaczej. Lepiej. A jak sobie radzisz z samotnością? – spytał znienacka, tak po prostu, patrząc jej w oczy. Sabina zwlekała z odpowiedzią.

– Na razie chyba jej nie odczuwam. Raczej odkrywam życie na nowo. Za długo tkwiłam w małżeństwie, które dawno się wypaliło.

Jerzy patrzył na nią, spodziewając się chyba, że powie coś więcej, ale nie doczekał się rozwinięcia tematu.

– Ze mną było inaczej. Czasem się zastanawiam, co by było, gdyby moja żona nie umarła. Czy dziś kochalibyśmy się jeszcze? – Bez oporów wpuścił Sabinę do swojego świata, opowiadając historię straconej miłości. Było to wzruszające i piękne zarazem. W jego słowach nie czuło się goryczy, raczej pogodzenie z losem i mimo wszystko radość z tamtych kilku naprawdę szczęśliwych lat.

– To, że się spotkaliście i mieliście siebie, chociaż tak krótko... Coś takiego nie jest dane większości ludzi – odezwała się Sabina, kiedy Jerzy zamilkł, nagle zamyślony. – Jako specjalistka od romansów wiem, co mówię. – Miała nadzieję, że jej żartobliwa uwaga rozładuje chyba zbyt już refleksyjną atmosferę. Tak też się stało. Jerzy otrząsnął się ze wspomnień i zaczął dla odmiany zabawiać towarzyszkę anegdotami ze swoich rejsów. Po godzinach był także żeglarzem dalekomorskim i starał się przynajmniej raz w roku wykroić kilka wolnych tygodni na eskapadę po którymś z oceanów.

Sabina patrzyła, jak Jerzy z ujmującą uprzejmością wobec kelnera, nie patrząc nawet na kwotę, reguluje rachunek. Czego więcej mogłaby pragnąć? Spotkała mężczyznę dojrzałego, ustabilizowanego finansowo i najwyraźniej także emocjonalnie. Jerzy miał pozycję, ciekawe pasje, a wisienką na torcie była jego miła dla oka powierzchowność. To na pewno nie był facet, na jakiego łatwo trafić. Prawdziwy klejnot. Zupełnie inny niż śliscy cwaniacy spotykani na warszawskich przyjęciach. Mimo lekkich wyrzutów sumienia kobieta nie mogła się też powstrzymać przed porównywaniem go z Andrzejem – było to jednak równie sprawiedliwe jak zestawianie futbolowego kunsztu młodzieżówki Wodnika Siemień i Realu Madryt.

A jednak... Choć obiektywnie wydawało się to niemożliwe, czarujący i ujmujący Jerzy nie poruszył w Sabinie żadnej romantycznej struny. Nic. Zero iskry. Patrzyła na niego jak na dzieło sztuki, które może być doskonałe w swej artystycznej formie i nie można nie docenić jego klasy, ale mimo to nie wywołuje żywych emocji.

Po kolacji mężczyzna odwiózł ją do hotelu. Wydarzenia rozwijały się więc w sposób całkiem naturalny, ale dziwna rzecz, z każdą minutą Sabina musiała się coraz bardziej zmuszać do utrzymywania zaangażowania w rozmowę i śmiania się z dowcipów Jerzego – chociaż właściwie nie miała im nic do zarzucenia. Było jej wstyd, ale nie mogła się doczekać, kiedy zostanie sama. Może właśnie poczucie winy sprawiło, że paradoksalnie, kiedy Jerzy, odprowadziwszy ją do pokoju, nachylił się lekko i spytał szeptem: „Mogę?”, ona przyzwalająco rozchyliła usta.

Nie było to najmądrzejsze, ale czuła, że nie może go odrzucić po tym, z jaką szczerością się przed nią odsłonił. Wiedziała, że to skomplikuje sytuację, a ona właśnie pakuje się w kłopoty. Nie mogła być też z siebie dumna, skoro wyglądało na to, że zaraz wyląduje z Jerzym w łóżku z litości.

– Jesteś pewna? – zapytał jeszcze raz, gdy w końcu udało jej się otworzyć drzwi.

– Nie gadaj, wchodź – odpowiedziała szybko, unikając jego wzroku.

Całowali się, co on oczywiście brał za dobrą monetę i zachętę do bardziej zaawansowanych pieszczot. Jego broda drapała jej skórę. Czuła, że jest podniecony. Zazdrościła mu tego. Sama nie była w stanie rozbudzić w sobie namiętności. Po prostu nie było jej nieprzyjemnie, i tyle. Trochę za mało, by czuć się w porządku wobec niego.

Ale robiła wszystko, co trzeba, zgodnie z regułami gry. Na ściągnięcie z niej swetra odpowiedziała rozpięciem jego koszuli i zsunięciem mu jej z ramion. On całował jej szyję – ona przygryzała płatek jego ucha. On zagarnął jej piersi rozgrzanymi dłońmi i przywarł ustami do sutka – na co ona zsunęła ręce na jego twarde pośladki. Przez cały czas, aż nazbyt przytomnie, rejestrowała każdy szczegół, jakby z dystansu oglądała film ze sobą w roli głównej. Nagość Jerzego (nie spotkała jej żadna niemiła niespodzianka) była wysoce estetyczna. Żadnych kluchowatych fałd w krytycznych miejscach, zamiast tego ładnie zarysowane mięśnie. Zdrowy kolor skóry lekko smagniętej słońcem. Jego klatka piersiowa, gładka i opływowa niczym maska wypolerowanego na błysk samochodu, była pozbawiona choćby najmniejszego niesfornego włoska. Obiektywnie rzecz biorąc, pasowali do siebie – oboje także pod względem estetycznym kwalifikowali się do kategorii znacznie wykraczającej poza przeciętność w swoim przedziale wiekowym.

Niespiesznie, ale nieuchronnie zbliżali się do punktu kulminacyjnego. Sabina była nawet zaskoczona, że przychodzi jej to z taką łatwością. Jej życie seksualne w ostatnich latach z całą pewnością nie obfitowało w fajerwerki, więc w jakimś sensie była wtórną debiutantką. Bez trudu odnajdowała jednak właściwe ruchy i rytm.

Jerzy lekko popchnął ją na hotelowe łóżko i pochylił się nad nią. Po chwili pieszczot w tej pozycji – Sabinie wydała się ona nieznośnie długa – umościł się między jej nogami. Przyjęła go z gorliwością pilnej uczennicy. Czekwała na ten moment z nadzieją, że jej wyposzczone ciało jednak zareaguje, a fizjologia weźmie górę. Jerzy zaczął się nad nią poruszać w przód i w tył, a ona zamrugła oczami. Jak to? To już? Wszedł w nią? Nie czuła prawie nic... Nie przyjrzała się aż tak dokładnie jego anatomii, żeby móc stwierdzić, czy problemem był rozmiar. Nieważne zresztą, co było nie tak, ważne, że z jej perspektywy wszystko sprowadzało się do ocierania ciała mężczyzny o jej ciało. To Sabinie zdecydowanie nie wystarczało. Próbowwała pomóc (jemu i sobie) i oplótła go nogami, otwierając się przed nim najszerzej, jak umiała. Z całych sił napinała i rozluźniała mięśnie Kegla. Pragnęła poczuć jego twardość i posuwisty ruch wewnątrz siebie. Na próżno. Zyskała tyle, że Jerzy przyspieszył swoje podrygi, a z jego ust wydobył się narastający jęk. Najwyraźniej krzywa jego satysfakcji gwałtownie

rosła. Jej zaś do końca miała pozostać rola obserwatorki. Na szczęście nie trwało to długo, ciało kochanka na sekundę zeszywniało w wyprężonej pozycji, czemu towarzyszył niepowstrzymywany, gardłowy okrzyk rozkoszy. Potem rozluźnił się i delikatnie opadł na nią. Wtulił twarz w zagłębienie między jej brodą a obojczykiem. Uspokajał rozszalały oddech. Ona, zrezygnowana, patrzyła w sufit, klepiąc go po plecach.

– Jesteś niesamowita. Wiem, to może nie jest szczyt elokwencji, ale chcę to powiedzieć, po prostu. To była eksplozja – odezwał się wreszcie Jerzy, kiedy Sabina właśnie zastanawiała się, czy dużym *faux pas* byłoby wzięcie teraz prysznic.

– Mhm... – mruknęła w odpowiedzi, co przy odrobinie dobrej woli mogło zostać odczytane jako seksowny koci odgłos zaspokojonej kochanki.

Mężczyzna ułożył się przy jej boku, przywierając do jej ciała, a ją oblała fala paniki. „Tylko nie to, on chyba nie chce tu zostać na noc!?”. Spodziewała się, że tego wieczora miło spędzi czas, a teraz czuła się jak uwięziona w najgorszym koszmarze. Niczego nie pragnęła bardziej, niż się z niego uwolnić. Tym razem jednak nie dało się być Kopciuszkiem po balu. Trzeba było zostać.

*

Sabina wyjechała z Trójmiasta rano, po śniadaniu w hotelu, które przebiegło w dość nietypowej atmosferze. Kobieta za wszelką cenę nie chciała dać po sobie poznać, jaką mordęgą była dla niej ta noc. Potrzeba było sporo uroku osobistego, by Jerzy nie poczuł, że coś jest nie tak. W końcu wsiadła za kierownicę swojego samochodu, a mężczyzna pomachał jej na pożegnanie. Odjechała kilkaset metrów i zatrzymała auto w bocznej uliczce. Spojrzała na swoją twarz w lusterku, po czym opadła na kierownicę. Tkwiła tak z zamkniętymi oczami i mocno zaciśniętymi dłońmi.

„Cholera jasna, co się ze mną dzieje? – myślała, targana wyrzutami sumienia. – Dlaczego taki facet mnie nie kręci? Może już przeszłam na drugą stronę? Może już jestem za stara na te rzeczy? Masakra”.

Nagle usłyszała pukanie w szybę – poderwała się przerażona, że to Jerzy albo jakiś paparazzi, ale ujrzała tylko przejętą twarz jakiejś kobiety.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku? – zapytała nieznajoma, gdy Sabina opuściła szybę. – Potrzebuje pani pomocy?

– Co? Nie! – Pisarka była zdezorientowana, ale szybko sobie uświadomiła, że leżąc z twarzą na kierownicy, musiała wyglądać jak świeża ofiara zawału albo zatorowości płucnej. – Dziękuję pani za troskę! Wszystko okej, naprawdę – dodała, widząc powątpiewanie w oczach kobiety. – Naprawdę – powtórzyła z naciskiem.

– To dobrze, bo już miałam dzwonić pod sto dwanaście – powiedziała z ulgą nieznajoma i oddaliła się.

Sabina westchnęła i zamknęła okno, po czym ruszyła powoli w stronę obwodnicy Trójmiasta.

ROZDZIAŁ 9

Plaża o poranku miała magiczny urok. Biegając długie kilometry przed siebie, Sabina nie spotkała żywej duszy. Kilka dni wcześniej obiecała sobie, że przestanie się zadrećzać potencjalnym podglądaczem, ale nie bardzo jej się to udawało i każdego dnia długie chwile spędzała na przeczesywaniu internetu w poszukiwaniu swoich aktualnych zdjęć. Niczego nowego na razie nie znalazła, ale pozostawała czujna. Teraz jednak uznała, że jest bezpieczna – nawet jeśli prześladowca wciąż był w Mikołowie, to na pewno nie wstawał o szóstej rano, by pobiegać za swoją ofiarą po plaży.

Jesień tego roku rozpieszczała pogodą, niebo było czyste, budzący się dzień prześwietlał wszystko wokół promieniami wschodzącego słońca. Po krótkiej rozgrzewce Sabina ruszyła umiarkowanym tempem. Jej mięśnie posłusznie niosły ją do przodu regularnym, powtarzalnym ruchem. Oddychała głęboko. Nie słuchała żadnej muzyki, nie potrzebowała dodatkowych bodźców – widoki i odgłosy, jakie ją otaczały, gdy biegła brzegiem morza, były najlepszym tłem. Po jakimś czasie wpadła w trans. Przestała myśleć i kontrolować, jaki dystans już pokonała. Parła do przodu. Tylko rozsądek kazał jej w pewnym momencie zawrócić, bo mogłaby w nieskończoność próbować dogonić horyzont.

Nad morzem zaczęła regularnie biegać. I tak musiała wcześniej wstawać – o leniwych porankach z kawą i ciepłymi bułeczkami musiała, przynajmniej na czas remontu, zapomnieć. Temperaturę o tej niehumanicznej porze trudno było uznać za przyjazną, więc zaopatrzyła się w dwa komplety profesjonalnej, oddychającej odzieży sportowej i codziennie, chwilę przed siódmą rano, uprzedzając tylko o minuty brutalny najazd barbarzyńców z ekipy remontowej na jej terytorium, udawała się na przebieżkę.

W Warszawie ćwiczyła pod okiem osobistego trenera (do tego tenis i pływanie, kiedy nabierała ochoty na coś więcej), więc jej ciało było w formie. Po przeprowadzce zamierzała kontynuować swoje zwyczaje, żeby nie stracić kondycji, ale okazało się, że miejscowa oferta w tym zakresie jest co najmniej rozczarowująca. Jeżdżenie ponad godzinę w jedną stronę do Trójmiasta, które było najbliższym miejscem, gdzie mogłaby coś znaleźć, Sabina uznała za stratę czasu. Jednak mając pod samym nosem najlepszą, bo w stu procentach naturalną, infrastrukturę sportową, stwierdziła, że grzechem byłoby z niej nie skorzystać. Postanowiła zatem przerzucić się na najbardziej przystępną i demokratyczną formę sportu i szybko się okazało, że to jej służy. Była przekonana, że to właśnie dzięki regularnym treningom biegowym z dnia na dzień ustały uporczywe bóle pleców, których od lat nie mogła się pozbyć (jednocześnie jakiś perfidny głos z tyłu głowy podpowiadał, że może to jednak dlatego, że przestała cokolwiek pisać).

Bieganie było też sposobem na odreagowanie stresów, których nie brakowało także w nowym życiu. Dziś Sabina próbowała pozbyć się moralnego kaca po godnej pożałowania randce z Jerzym.

„Co mnie podkusiło, a raczej co mnie nie powstrzymało przed pójściem z nim do łóżka?”, wyrzucała sobie. I nie, wcale nie potępiała się za seks na pierwszej randce. Nie mogła sobie za to wybaczyć braku zaangażowania. Tego, że nie zagrało. Czy raczej że ona nie zaskoczyła. Wiedziała, że to, co się wydarzyło, będzie miało swoje konsekwencje. Jerzy z pewnością odebrał ich noc jako początek czegoś więcej. Od kiedy się rozstali, wysłał jej kilka ciepłych esemesów – idealnie balansujących pomiędzy okazaniem, że jest nią zainteresowany, a troską, by nie zmęczyć jej swoją osobą.

Ona natomiast od wczoraj analizowała przyczyny tej małej katastrofy. Jerzy był przecież przystojny, męski, zabawny, z klasą, majątny, obyty w świecie, ale... niczego w niej nie poruszył. „Cóż, nieużywany organ zanika”, myślała Sabina posępnie, dochodząc do wniosku, że odpowiedzialnością za tę porażkę na uczuciowo-erotycznym gruncie może obarczyć wyłącznie siebie. Tylko jej oziębłość mogła być przyczyną. „Tyle lat tkwiłam w martwym związku, to teraz mam – analizowała. – Żadnych namiętności, dla porządku raz na kilka tygodni spełniony obowiązek małżeński, z pełną świadomością, że oboje bez problemu obeszlibyśmy się bez tego. Trudno się dziwić, że libido wygasło bezpowrotnie. Jestem wyschnięta jak pustynia Gobi”. Po raz kolejny odtwarzała w myślach poszczególne sekwencje wieczoru z Jerzym. „Pewnie to już czas na wnuki, a nie na romanse, może chemia już nie działa i tyle”, doszła do smutnego wniosku.

Dźwięk esemesa wyrwał ją z biegowych rozważań. Zatrzymała się i posapując, wyciągnęła z kieszeni bluzy telefon. „Gdzie są moje skórzane pantofle z Maroka? Przeszukałem wszystkie kartony i ich nie znalazłem! DOMAGAM się ich ZWROTU! Podobnie jak książki o rasach psów – TEJ, którą dał mi na imieniny twój ojciec!”

„Andrzej w formie”, pomyślała, o dziwo wcale nie wkurzona, ale co najwyżej rozbawiona komunikatem od męża, który najwyraźniej nie mógł zaznać spokoju jako – używając nowoczesnej terminologii – singiel z odzysku. Schowała komórkę do kieszeni i postanowiła, że pobiegnie jeszcze trochę dalej.

Po chwili telefon zadzwonił. Odebrała natychmiast.

– Dobrze, znajdę ci te kapcie. Nie obiecuję, że od razu, ale poszukam.

Jednak po drugiej stronie usłyszała kobiecy głos.

– Pani Soniu, zamawiamy wywiadzik, jak najszybciej, dobrze? Takie wiadomości, kto by się spodziewał!?! Ależ pani to przetrzymała w ukryciu, hi hi hi, szacuneczek. W każdym razie szykujemy co najmniej sześć stron do następnego numeru, będzie o czym pogadać, ach, ci faceci – szczebiotała słodko nieznajoma.

Całe rozluźnienie, jakie przyniósł ponadgodzinny bieg, poszło w diabły.

– Zaraz, nie bardzo rozumiem. O czym pani mówi?

– Bardzo nam zależy na tym, żebyśmy to opublikowali jako pierwsi. Zdajemy sobie sprawę, że

wszyscy będą się o to bili, ale po starej znajomości zgodzi się pani, prawda? Będziemy wdzięczni, nie pożałuje pani. To co, mamy *deal*?

– Proszę wybaczyć, ale nie wiem, z kim w ogóle rozmawiam ani o co mnie pani prosi. Nie planuję w najbliższym czasie żadnych wywiadów. – Sabina nie umiała ukryć irytacji, ale też nie bardzo się o to starała. Już wcześniej nie miała najlepszego zdania o zwyczajach namolnych, niemających żadnych oporów współczesnych dziennikarzy (w czasach gdy sama wykonywała ten zawód, słowo to znaczyło coś zgoła innego). A już po ostatnich przejściach nie chciała mieć do czynienia z żadnym przedstawicielem tej profesji, w porównaniu z którą najstarszy zawód świata zasługiwał na najwyższy szacunek.

– To ja nie bardzo rozumiem. Ogłasza pani takie rewelacje, a potem nie chce rozmawiać. Trochę się to kupy nie trzyma, jeśli mam być szczerą – stwierdziła obrażonym tonem dziennikarka, a Sabina poczuła się zdezorientowana.

– Zaraz, a co ja znowu ogłaszam? – Wiedziała, że z żurnalistami nie ma żartów, a każde słowo może okazać się miną, która rozniesie tego, kto je nieopatrznie wypowiedział.

– Jak to „co”? Rozwodzi się pani, tak czy nie?

Sabinę zatkało. W całej medialnej zawierusze, jaka się wokół niej rozpełtała, jakimś cudem udawało jej się zachować w tajemnicy prywatne sprawy. Skąd ta dziennikarka wiedziała!?

– *W życiu każdej kobiety przychodzi czas na zmiany. Coś się kończy, coś się zaczyna. Dla mnie taki moment właśnie nadszedł... Dwadzieścia wspólnych lat właśnie przechodzi do historii* – wyrecytowała kobieta po drugiej stronie telefonu. – Mam czytać dalej? Przecież to z pani Facebooka. Opublikowane raptem kwadrans temu. Mam rozumieć, że nie wie pani, co sama pisze w sieci?

– Odmawiam komentarza – wykrztusiła tylko Sabina, zanim zerwała połączenie. Na ekranie natychmiast pojawiły się wiadomości o nieodebranych telefonach. Po sekundzie rozległ się dzwonek. Ponownie nieznanym numerem, inny niż poprzednio. Trzęsącymi się rękami wyłączyła aparat.

– Kurwa, kurwa, kurwa – powtarzała bezgłośnie. Nie umiała sobie wytłumaczyć tego, co się działo. Jaki znowu Facebook? Żywiła szczery wstręt do nowoczesnych form komunikacji, którymi tak się podniecali wszyscy dokoła. Nie mogła zrozumieć ludzi spędzających długie godziny na podpatrywaniu innych i obdarzających ich w zamian produkowanym przez siebie szumem informacyjnym. Jeśli chce się z kimś pogadać, to można się przecież umówić, twierdziła Sabina i konsekwentnie odmawiała uczestnictwa we wszelkiego rodzaju sieciowych miejscach spotkań.

„Chyba jestem w jakimś matriksie”, myślała teraz rozpaczliwie. Resztę drogi do domu pokonała w olimpijskim tempie. Niemal staranowała chłopaka, który właśnie odrywał boazerię ze ścian przy schodach prowadzących na piętro, i dopadła laptopa. Zziębnięta wklepała w przeglądarkę „Sonia Geppert facebook”. Kliknęła w pierwszy wynik, jaki wyskoczył, i osłupiała.

W pierwszej kolejności jej oczom ukazał się wpis opatrzony zdjęciem anonimowej pary

rozdzielonej błyskawicą. Zaczynał się tak, jak przed chwilą zacytowała jej dziennikarka, a dalej szło następująco:

Kiedy miłość się kończy, nie można udawać. Zaczynam nowy rozdział. I tym razem nie chodzi tylko o książkę... Mnie i mojego dotychczasowego towarzysza życia czekają bolesne chwile, ale wiem, że tak będzie lepiej. Trzymajcie za mnie kciuki!

Na końcu uśmiechnięta buźka.

– Kurwa! – wydarła się Sabina na całe gardło. Wszystkie odgłosy w domu nagle ustały. Kobieta starała się uspokoić rozszalałe bicie serca. Ciśnienie podskoczyło jej do krytycznych wartości. Przewinęła stronę w dół, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Jej wirtualna odpowiedniczka każdego dnia publikowała co najmniej jedną, ale zazwyczaj kilka lub kilkanaście (!) wiadomości, w których informowała świat o postępach w pracy (!), liczbie wypitych kaw, piosenkach, które umilały jej dany dzień („Co za chłam, w życiu bym czegoś takiego nie słuchała!”), i obejrzanych filmach, opiniami o których – kompletnie pozbawionymi sensu – dzieliła się z czytelnikami.

Krew uderzyła Sabinie do głowy, kiedy zobaczyła serię swoich zdjęć zrobionych w ciągu ostatnich tygodni w miejscach, w których dziwnym trafem spotykała się ze swoją agentką. Fotografie były opatrzone do bólu pretensjonalnymi komentarzami w stylu:

Łapię każdą Chwilę i czerpię z niej Inspirację garściami! Dziś na drugie śniadanie ulubiona jaglanka z cynamonem i Doborowe Towarzystwo. Porcja pozytywnej energii na cały dzień!!!! To lubię! Uśmiechnij się ☺ Miłego dnia dla Was Wszystkich!!!! ☺☺☺

„Do kurwy nędzy, co za skończony imbecyl pisze normalne wyrazy wielką literą!”, pomyślała Sabina, a po chwili zamroczyła ją wściekłość. „Nie wytrzymam, przecież wszyscy myślą, że to ja!”

Posty były opatrzone liczbą wykrzykników wywołującą ból oczu, a także emotikonami, których znaczenie w większości pozostawało dla Sabiny tajemnicą. Na profilu mogła też obejrzeć zatrzęsienie banalnych do bólu zdjęć – cukierkowych widoczków albo pseudoartystycznych kadrów, które miały budzić romantyczno-erotyczne skojarzenia.

Z trzaskiem zamknęła laptopa. Autorką wirtualnego wizerunku mogła być tylko jedna osoba. Włączyła telefon i nie zwracając uwagi na nową lawinę powiadomień, wybrała numer.

– Lucyna, tym razem naprawdę cię zabiję! – wrzasnęła, gdy agentka odebrała, jak zwykle po pierwszym sygnale.

– Co tam słychać na wsi, skarbie? – Lucy miała prawdziwy talent do ignorowania rzeczywistości.

– To niedopuszczalne! Co ty sobie wyobrażasz? Nie wolno ci sprzedawać mojego życia! Złamałaś zasadę, o której dobrze wiesz: nie wykorzystujemy moich prywatnych spraw do promocji! I nawet mnie o tym nie uprzedziłaś... – Sabinie zadrżał głos.

– Sonieczko, nie denerwuj się tak, naprawdę nie ma powodu.

Sabina zamilkła, bo obawiała się, że nie zdoła powstrzymać płaczu. Z przerażeniem myślała o czekającym ją nowym koszmarze.

– Moja droga, ja wszystko rozumiem. Ostatnio przeszłaś swoje – Lucyna bez mrugnięcia okiem weszła w rolę empatycznej pocieszycielki. – Ale wiesz, przemyślałam sprawę. I doszłam do wniosku, ba, doznałam swego rodzaju oświecenia, że musimy zmienić strategię. Tak jest! Soniu, słońce, mamy tu sytuację kryzysową. Zgadzasz się co do tego, prawda? I co robimy? Nic! To błąd, Sonieczko, kardynalny, fatalny, niewybaczalny błąd. Nie wolno nam pozostawać w defensywie. Pro-aktyw-ność, kochana! To jest słowo klucz! Trzeba walczyć! Być proaktywnym, wyprzedzać ruchy przeciwnika, narzucać narrację! – Lucyna tokowała niczym nawiedzony szkoleniowiec kursu PR-u dla początkujących.

– Co ty pieprzysz? – Sabina wreszcie zdołała wejść jej w słowo.

– Okej, już przechodzę do rzeczy. Rozprawa zbliża się wielkimi krokami – Lucyna kontynuowała z niezmaconym spokojem. – Termin wchodzi na wokandę, więc pismaki i tak by to wywęszyły, a nawet jeśli nie, to ktoś życzliwy z sądu nie omieszkałby dać cynk, gdzie trzeba. Mogę się założyć o szanelkę z nowej kolekcji, a wiesz, że wciąż na nią zbieram.

– Lucyna, nie próbuj nawet żartować – Sabinie udało się opanować emocje i jej głos brzmiał teraz stanowczo, wręcz groźnie. – Nie wciskaj mi teraz tych swoich PR-owskich gadek. Zawiodłaś moje zaufanie, zresztą nie pierwszy raz.

– Kochanie, wiem, przepraszam. – Agentka dzięki swemu niezawodnemu radarowi wyczuwała, kiedy powinna zmienić front. – Naprawdę cię przepraszam, powinnam była to z tobą przegadać. Wiesz, jaka jestem w gorącej wodzie kąpana. Pomyślę, i bach. Ale sama powiedz, ostatecznie obie wychodzimy na tym nie najgorzej, prawda?

Sabina zamknęła oczy. Adrenalina wywołana kolejną nieoczekiwaną brutalną ingerencją w jej spokój zaczynała opadać. Poczula znużenie.

– Lucyna, nie mam teraz siły ani ochoty się z tobą kłócić. Ale to nie może tak dalej wyglądać. Niszczysz mi życie, rozumiesz? – Rozłączyła się, nie chcąc słuchać potoku nowych tłumaczeń.

Przeszła do łazienki przy swojej sypialni, zdejmując po drodze sportowe ciuchy. Otworzyła drzwi i... wrzasnęła. W środku stał przyczajony młody robotnik w czapce z daszkiem i z wiertarko-wkrętarką w ręku. Patrzył na Sabinę równie przerażonym wzrokiem jak ona na niego.

– Eeee, ja tego, przepraszam... – wybąkał. – Bo pani tak weszła znienacka i zaczęła się głośno wyrażać. I nie było jak wyjść. Znaczy, nie chciałem przeszkadzać...

Sabina zamknęła oczy.

– Już może pan wyjść.

Robotnik wyminął ją i hałaśliwie zbiegł po schodach.

„Jeśli dociągnę do jutrzejszego dnia, pozostając przy zdrowych zmysłach, to będzie cud”, pomyślała.

A w warszawskim biurze z widokiem na tętniące życiem towarzyskim centrum miasta Lucyna uchyliła okno i zaciągnęła się cieniutkim papierosem o owocowo-korzennym aromacie.

„Człowiek sobie flaki wypruwa i żeby jeszcze chociaż słowo »dziękuję« usłyszał... Ale to nic, taka praca. Strzeli focha, poboczy się chwilę, a w końcu zrozumie, że to wszystko dla jej dobra. I wtedy może nawet podziękuje”. Lucyna z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zapatrzyła się na okupujących kilka sąsiadujących ze sobą lokali stołecznych modnisiów.

Sabina zaś wzięła prysznic, wskoczyła w ciepłe ubrania i teraz marzyła już tylko o śniadaniu. Minęła swoją rozgrzebaną kuchnię ze składowiskiem drabin pośrodku, wyszła z domu i skierowała się do „Afrodyty”. Przy wejściu natknęła się na Kasię.

– O, hej, Sabina. Jak tam remont? Dożyjesz do końca? – Właścicielka restauracji puściła do niej oczko.

Sabina od razu poczuła się lepiej. Pozytywna energia Kasi była tym, czego potrzebowała.

– Dajcie mi tu zaraz porządne śniadanie! To moja ostatnia szansa na przeżycie.

– Ha ha, wiem coś o tym. Jak myśmy robili tu remont przed otwarciem, to myślałam, że osiwieję. Dosłownie! Każdego ranka liczyłam nowe białe włosy. Co byś zjadła? Ale, ale – klepnęła się dłonią w czoło – jak rozumiem, wycieczkę do Gdańska możemy zaliczyć do udanych?

– Niech się zastanowię, na co miałabym dziś ochotę? – Sabina zrobiła niezbyt subtelny unik. – Może parówki? Te genialne cielęce macie? I jajecznicę? Z zieloną cebulką? Na szynce?

– Teo był właśnie u naszego rzeźnika, więc żądaj, czego dusza zapagnie. Mamy świeżo upieczony chleb, żytni na zakwasie. Chyba że wolisz drożdżową brioszkę? Też wyszły z pieca przed sekundą – kusiła Kasia.

– Namówiłaś mnie. Chcę wszystko.

– Brawo, Teo będzie z ciebie dumny! On uważa, że jesteś stanowczo zbyt szczupła, więc jego misją jest cię dokarmić, żebyś w nowym sezonie prezentowała się godnie – żartowała gospodyni.

– Żebym prezentowała się jak prawdziwa bałtycka foczka? Obawiam się, że to mu całkiem dobrze idzie. Nie mam wagi, więc nie mogę sprawdzić, ale wałeczki nie wypadają mi po bokach tylko dlatego, że noszę głównie dresy.

Kasia pokiwała głową, patrząc na szczupłą talię Sabiny.

– Jasne, na pewno przekroczyłaś już szokującą barierę pięćdziesięciu kilogramów...

– Tak, w piątej klasie podstawówki – zaśmiała się pisarka.

– I bardzo dobrze. Idę powiedzieć Teo, że jesteś naprawdę głodna. Strzeż się! – Przed drzwiami do kuchni odwróciła się jeszcze: – Ale powiedz, poszaleliście z Jerzym?

Sabina, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, uśmiechnęła się – w zamyśle tajemniczo, a

w rzeczywistości bardzo nienaturalnie.

– Rozumiem. – Kasia, która najwyraźniej bardzo chciała wierzyć, że jej wersja wydarzeń jest tą prawdziwą, mrugnęła porozumiewawczo. – O nic więcej nie pytam.

Gdy zniknęła, z kantorka na tyłach recepcji wyszedł Borys.

– O, dzień dobry. – Wyglądał na zaskoczonego widokiem Sabiny.

– Dzień dobry – odpowiedziała i mimowolnie starała się zatrzymać jego wzrok na dłużej. To okazało się silniejsze od niej, ten małolat był po prostu piekielnie przystojny. Jednak chłopak szybkim krokiem przeszedł przez salę. Po kilku sekundach w drzwiach tego samego kantorka pojawiła się blond recepcjonistka, inna – jak zauważyła Sabina – niż ta, z którą Borys flirtował wcześniej. Dziewczyna poprawiała włosy i wyraźnie się spłoszyła, kiedy zobaczyła klientkę.

„Ho ho, nasz boski kelner nie traci czasu”, ironizowała w myślach pisarka, usiłując nie zwracać uwagi na nieokreślone, nieprzyjemne ukłucie w sercu. Może to był żal, że już nie dla niej takie zabawy – wszak była oziębłą kobietą, której czas się skończył. Nieprzyjemne wspomnienia z randki z Jerzym znów do niej wróciły.

W restauracji dwójka sympatycznie wyglądających Niemców w średnim wieku jadła śniadanie, niespiesznie przeglądając przewodnik po Polsce. Widząc Sabinę, skinęli kulturalnie głowami. „Potomkowie Niemców z Pomorza, wrócili szukać śladów swej rodzinnej przeszłości, ona jest farmaceutką, on lekarzem, w wolnym czasie kolekcjonują wypchane zwierzęta, a także uprawiają nordic walking i jazdę konna”, natychmiast wyprodukowała historię.

Postanowiła skupić się na parującym talerzu pełnym pyszności, który niebawem postawił przed nią Borys. „Dobrze, że chociaż to działa zawsze i niezawodnie. Jedzenie, ostatnia przyjemność w życiu Sabiny Czerniak”, pomyślała z wisielczym humorem, sięgając po smakowicie wyglądającą parówkę.

Złapała się jednak na tym, że jej wyobraźnia nie jest w stanie przestać tworzyć obrazów tego, co mogło się dziać za drzwiami kantorka. „Czy tylko się całowali?” Sabina spojrzała na parówkę nadzianą na widelec. „Czy posunęli się dalej? Czy on był czuły, czy raczej szorstki i władczy?” „Przestań natychmiast!”, nakazała sobie wreszcie, tym bardziej że główny bohater tych fantazji właśnie dolewał kawy do jej filiżanki. Zmusiła się do zajęcia uwagi czymś innym, choć to też nie okazało się szczególnie przyjemne. Sabina wiedziała, że musi się zastanowić, co zrobić z Lucyną. Czegoś takiego nie mogła puścić płazem. Ostatecznie jednak od rozmyślań i od prób przewidywania konsekwencji niefrasobliwych działań agentki tylko rozboleła ją głowa.

Niemcy właśnie skończyli śniadanie i dyskretnie się ulotnili, znów kiwając Sabinie głowami, tym razem na pożegnanie. Chwilę potem do jadalni weszło troje starszych Szwedów, wszyscy blond, z zaczerwienionymi od wiatru twarzami, ubrani w sportowe stroje – prosto z plaży, na której ćwiczyli tai chi każdego ranka. Sabina czasem mijała ich podczas porannej przebieżki. Przywitali się

serdecznie jak starzy znajomi. Pisarka natomiast, z braku lepszego zajęcia, zaczęła przeglądać tygodnik opinii, na którego okładce straszono wszechogarniającą Polskę depresją. Postanowiła zgłębić ten tekst dokładnie nieco później – i to z długopisem w dłoni – kto wie, czy nie znajdzie tam jakichś informacji cennych dla niej jako autorki powieści o załamaniu, wypaleniu i kryzysie. Zajrzała wreszcie na koniec gazety, gdzie znajdował się dział kulturalny – recenzje książkowe, zajmujące mniej więcej jedną dziesiątą strony, były w większości po prostu skopiowanymi streszczeniami, jakie wydawcy zamieszczali na tylnej okładce książki.

„I oni ważą się nazywać krytykami literackimi?” Sabina kręciła głową z dezaprobatą. „To tak jakbym ja się domagała nagrody Atena”. Miała na myśli najbardziej poważaną w kraju nagrodę literacką, przez wielu jednak uznawaną za kwintesencję snobizmu.

Szczęśliwie nie czekały jej tego dnia pisarskie katusze. Już wcześniej postanowiła, że pojedzie do marketu budowlanego – w ulotce reklamowej zobaczyła całkiem ładne lampy, które pasowałyby do nowego tarasu. Miała więc doskonałą wymówkę, by zająć się czymś innym niż próby tworzenia powieści. Czymś, co – w odróżnieniu od nich – było produktywne.

*

Wróciła do domu wieczorem i padła zmęczona na łóżko. Nawet nie zarejestrowała momentu, kiedy zasnęła. Gdy się obudziła, wokół panowała nieprzenikniona ciemność, łagodzona jedynie migającą diodą podłączonego do prądu laptopa. Sabina przez chwilę leżała zdezorientowana, po czym nagle, z siłą Niagary, uderzyły ją obrazy z przerwane snu: nagie ciała jej i Borysa splątane w najdziwniejszych konfiguracjach rodem z *Kamasutry*, przetaczające się po pustej mikołowskiej plaży. Piasek we włosach, morskie fale, jego fantastyczne umiejętności doprowadzające ją do spazmów. Poczła mrowienie w podbrzuszu. „A więc nie weszłam nieodwracalnie w smugę cienia?”

Leżała przez chwilę, usiłując zebrać myśli. Spojrzała na zegarek – dochodziła druga w nocy.

„Dobra. Muszę pamiętać, żeby zbadać hormony, to nie jest normalne”, stwierdziła w końcu kategorycznie.

ROZDZIAŁ 10

To było nawet ciekawe. Jako rodowita warszawianka Sabina nigdy wcześniej nie miała okazji spać w swoim mieście w hotelu. Ale teraz nie miała własnego kąta, w którym mogłaby się zatrzymać. Jej apartament dawno został sprzedany parze młodych wilków z sektora IT, a kawalerka, w której mieszkał Andrzej, z oczywistych powodów nie wchodziła w grę. Lucyna proponowała jej nocleg u siebie, ale pisarka nawet nie chciała o tym słyszeć.

„Niech sobie nie myśli, krowa jedna, że będziemy się teraz bratać, popijając wino jak gdyby nigdy nic”. Agentka przekroczyła wszelkie granice i Sabina nie zamierzała przechodzić nad tym do porządku dziennego. Skoro dokonywała gruntownej przebudowy swego życia, musiała konsekwentnie odmawiać tolerowania zachowań, które budziły jej wewnętrzny opór. Nie było to może komfortowe, ale też nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Zatrzymała się w niewielkim butikowym hotelu na Nowym Mieście. Kiedy recepcjonistka, ubrana w nieskazitelnie białą koszulę bez najmniejszego zagniecenia, rozpoznała w swoim gościu Sonię Geppert, wykazała się refleksem profesjonalisty i zaproponowała zamianę standardowego pokoju, jaki Sabina zarezerwowała, na jeden z apartamentów deluxe, bez dopłaty. W sypialni Sabina rzuciła się na przepastne małżeńskie łóżce. Musiała przyznać, że odrobina zbytku była miłą odmianą od męczącego lawirowania wśród materiałów budowlanych, огоłoconych do stanu surowego ścian i umorusanych robotników.

Jej przyjazd do Warszawy miał dwa, zgoła odmienne, cele. Tego dnia wieczorem wybierała się na uroczystą galę wręczenia nagród Atena. Nazajutrz zaś wyznaczony był termin rozprawy rozwodowej.

Była to dla niej spora niespodzianka – oczywiście gala, nie rozwód. Sabiny nie zapraszano do tej pory na rozdanie Aten. Goszczono tam członków elity literackiej, a o Soni Geppert można było powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że do niej należy. Teraz o wstęp kilka tygodni wcześniej zatroszczyła się Lucyna. Pisarka konsekwentnie nie odbierała od niej telefonów, aż wreszcie dostała esemesa: „Sońko, nie bocz się już, mam dla Ciebie coś super ekstra! Jesteś na liście gości na niedzielnych Atenach. Stroje wieczorowe. Widzimy się na miejscu”. Po czym nastąpił wysyp licznych emotikonów: serduszek, uśmiechniętych buziek, kieliszków szampana i bukietów róż.

Chwilę później agentka przypuściła tak intensywny atak, że Sabina skapitulowała i odebrała.

– Czego chcesz? – była na stacji benzynowej i niemal krzyczała do telefonu, aż blady sprzedawca w firmowym polarze rafinerii spojrział na nią z przestraszeniem. – Nie masz za grosz wstydu, Lucyna, serio. – Tu sprzedawca zastrzygł uszami.

– Sonieczko, wywieszam białą flagę, nie strzelaj do posłańca! Ja tylko niosę ci dobrą nowinę. Kochana, musisz przyjechać na rozdanie Aten. Ja wiem, ja rozumiem, porzucasz Amelię Kruk i tani

blichtr, jesteś przecież wielką pisarką. I ja cię wspieram. Bo jesteś dla mnie jak siostra. Bo chcę dla ciebie jak najlepiej i zrozumiałam, jakie znaczenie ma ta nowa książka – tokowała na jednym wydechu. – Uważam, że twoja obecność na rozdaniu najważniejszych nagród dla tych, no wiesz, lepszych pisarzy to idealny start. Ty musisz wejść w to środowisko. Ja cię zachęcam, ja cię nakłaniam, ja cię błagam.

Sabina, nieco otumaniona przemową, przysiadła na zydelku tuż koło stanowiska z parówkami obracającymi się na otłuszczonym podgrzewaczu. Sprzedawca sięgnął po długie szczypce i z braku innego zajęcia powoli przekładał wyroby z miejsca na miejsce, przysłuchując się rozmowie.

– Więc jak? – Lucy zawiesiła głos.

Wywody agentki tym razem miały sens. Tylko że przyznanie racji Lucynie przekraczało chwilowo możliwości pisarki.

– Nijak – powiedziała i się rozłączyła.

Ale ziarno zostało zasiane. Odwlekając podjęcie decyzji tak długo, jak tylko mogła, Sabina w końcu łaskawie zgodziła się skorzystać z propozycji Lucyny. A potem się okazało, że terminy dwóch ważnych spraw, z powodu których musiała odwiedzić Warszawę, przedziwnym trafem zbiegły się w czasie.

*

Pisarka leżała zatem na luksusowym łóżu, gapiąc się w sufit i odsuwając od siebie myśli o czekającej ją następnego dnia rozwodowej przeprowadzce. Skupiła się na problemie mniej przytłaczającym, acz dla każdej kobiety zawsze i wszędzie aktualnym: w co ma się ubrać?

W Mikołowie nie miała nic, co pasowałoby do *dress code* zarówno eleganckiej gali, jak i sądu. Przeprowadzkę nad morze postanowiła wykorzystać jako okazję do radykalnej redukcji garderoby. Do czego miałyby się jej tam przydać stosy sukienek koktajlowych, formalne marynarki czy eleganckie kostiumy? W efekcie teraz nie bardzo miała z czego wybierać. Ale skoro była w Warszawie, to przecież pod nosem czekały niezliczone butiki. Sabina uznała, że zakupy będą doskonałym sposobem na zabicie czasu przed nadchodzącymi przeżyciami.

Galerię handlową z góry wykluczyła – nie chciała się narażać na taki wstrząs po oczyszczających tygodniach z dala od miejskich narzędzi tortur. Zdecydowała się na kameralny butik, w którym w ciągu ostatnich kilku lat bywała dość regularnie. Zgodnie z przewidywaniami znalezienie czegoś odpowiedniego z pomocą szczupłej aż do przesady młodej ekspedientki („Wysyła swoje zdjęcia do agencji modelek, była na castingu do *Top Model*, jest po kosmologii i szuka sensu życia w poradnikach Małazyńskiej oraz książkach Coelho”, pisarka odruchowo stworzyła w myślach jej hipotetyczny życiorys) nie zajęło dużo czasu.

Wieczorowa sukienka w głębokim szmaragdowym kolorze była naprawdę boska. Sabina dawno

nie miała na sobie czegoś tak ładnego i nie mogła się oprzeć pokusie, żeby ją kupić, mimo że przez moment zawahała się, czy w takim stroju nie będzie się za bardzo rzucała w oczy. Zwyciężyła jednak babska próżność, a może raczej przekora, która podpowiadała jej, że powinna pokazać wszystkim, że nie dała się pokonać wymierzonej w nią krucjacie. „Kit wam w ucho – podśmiewała się pod nosem. – A właśnie że będę wyglądać super”.

Z kolei dobrze skrojony kostium w klasycznym kolorze *navy blue* wydawał się idealny do sądu – na tyle poważny, by pasował do sytuacji, i na tyle dopasowany, by mogła się w nim czuć atrakcyjna i pewna siebie. Zadowolona, już miała opuścić przebieralnię i udać się do kasy, kiedy coś ją wbiło w podłogę i zatrzymało w pół gestu przed odsłonięciem kotary.

– Kochana, znajdź mi jakiś szalowy ciuch, ale żeby był też szykowny! – Po drugiej stronie zasłony rozległo się pokrzykiwanie, którego źródło stało się dla Sabiny oczywiste zaraz po pierwszym słowie.

„Psia jej mać, że też nie pomyślałam! – wyrzucała sobie pisarka. – Powinnam była przewidzieć, że mogę się tu na nią natknąć”. Butik znajdował się przy ulicy Mokotowskiej, ulubionym szlaku zamożnych pań z towarzystwa, sąsiadującym z placem Zbawiciela, a tym samym z biurem Lucyny, która również zaliczała się do stałych klientek tego przybytku mody na odpowiednim poziomie.

„Jasna cholera, że też właśnie teraz musiała przyprowadzić tu swój tyłek. Nie chcę jej widzieć”, myślała gorączkowo Sabina. Żal do agentki palił jak niegojąca się rana.

– Och, jaka precudna spódniczka! Oleńka! Piękna! Po prostu do zjedzenia, słowo daję. Masz wrodzony talent, kochana, nikt tak jak ty nie potrafi dobrać mi czegoś wystrzałowego – trajkotała Lucyna. W konkurencji włożenia w tyłek ludziom ruda zołza mogła liczyć na złoty medal. – To przymierzam, mam nadzieję, że się wcisnę w to cudo, ha ha ha! – Na te słowa Sabina, kuląca się w przymierzalni, znieruchomiała. Co zrobić? Wyjście oznaczało konfrontację, na którą nie miała najmniejszej ochoty.

– Jedną chwileczkę, w przymierzalni jest pani – powiedziała ekspedientka, a Sabina zagryzła palce ze zdenerwowania.

– Dobra, to zaczekam. A co tam, Ola, u ciebie, opowiadaj. Jak życie? Jakies dobrze wypełnione męskie spodnie na horyzoncie?

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie mówiłam pani, jak pani poprzednio pytała? Narzeczony mnie zostawił... miesiąc przed ślubem – odezwał się w końcu smutny głos.

– A, może faktycznie coś wspominałaś... – Lucyna jakby odrobinę wytraciła impet. – Ale nie ma się co zamartwiać, dziewczyno! Życie nie znosi próżni, jak nie ten, to następny. Powiem ci w sekrecie, że mnie też nie za ładnie potraktował taki jeden po ostatnim weekendzie... Ale co tam. Szkoda czasu na doła!

– Tylko że okazało się, że jestem z nim w ciąży – drzenie głosu ekspedientki zapowiadało, że za

chwilę poleją się łzy.

– Ojej, co tam tak długo w tej przebieralni? – Lucyna nie przepadała za przekraczaniem bezpiecznej granicy w small talku. Ludzie czasem naprawdę nie umieli się zachować. – Słuchaj, Olcia, nie ma sytuacji bez wyjścia. – Instynkt poszukiwania najlepszego rozwiązania zawsze brał u agentki doskonałą górę, nawet gdy w grę wchodziły tak nierokujące przypadki jak ten. – Dzieciaka dasz babci pod opiekę, a sama jeszcze poszalesz. Zobacysz, będzie dobrze, Oleńka!

– Ale moja mama nie żyje – ostatnie słowo sprzedawczynie zamieniło się w ryk. Dziewczyna nawet nie próbowała się powstrzymać.

– Ach, na śmierć zapomniałam! – oddalający się głos Lucyny ledwo było słycać przez głośnie zawrodozenie dziewczyny. – Klient już na mnie czeka, muszę pędzić! Wpadnę niedługo, pa pa, kochana!

Trzaśnięcie drzwi zasygnalizowało Sabinie, że jest uratowana. Odetchnęła głęboko i wyszła zza kotary z sukienką i kostiumem przewieszonymi przez ramię. Zerknęła niepewnie na zapłakaną ekspedientkę, nie wiedząc, jak ma się zachować.

– Przepraszam, to nieprofesjonalne, zwykle nie przynoszę swoich spraw do pracy, ale ta kobieta zupełnie mnie rozstroiła – pociągając nosem, tłumaczyła się Ola.

– Nawet się pani nie domyśla, jak dobrze panią rozumiem – odpowiedziała pisarka i zapłaciła za ubranie. – Wierzę, że da sobie pani radę. Proszę... – Od przeprowadzki w zasadzie nie używała wizytówek, ale w czeluściach torby udało jej się znaleźć kilka bilecików, z których jeden podała zaskoczonej dziewczynie. – Gdyby było bardzo źle, proszę zadzwonić. Postaram się jakoś pomóc – rzuciła, odbierając z rąk ekspedientki papierową torbę z nadrukiem nazwy butiku. Mimo że nie miała w zwyczaju angażować się w sprawy obcych ludzi, tym razem przyszło jej to zupełnie naturalnie. Zabrała zakupy i wróciła prosto do hotelu.

*

Kiedy pod wieczór gotowa do wyjścia – w długiej do ziemi szmaragdowej sukni, na którą narzuciła swoje ukochane futerko z nerek (pamiątka z wyprawy do Paryża; nie była w stanie się z nim rozstać, nawet przeprowadzając się nad morze), z włosami ułożonymi w hollywoodzkie fale – pojawiła się w recepcji, dyskretna zazwyczaj obsługa pozwoliła sobie na westchnienie zachwytu. Sabina naprawdę potrafiła świetnie wyglądać.

„I niech mi ktoś powie, że nie szata zdobi człowieka”, stwierdziła bez fałszywej skromności, patrząc na siebie w wielkim lustrze w holu.

Zamówiona taksówka przyjechała o czasie i pisarka ruszyła w drogę. Owszem, była trochę spięta. Nie co dzień twórczynie literatury dla kucharek i jednocześnie bohaterki portali plotkarskich mają okazję bywać na najważniejszych salonach stolicy. Sabina starała się jednak myśleć o sobie przede wszystkim jako o autorce głębokiej i poruszającej powieści – no, może przyszłej autorce – i tak

naprawdę jechała na galę, aby znaleźć motywację do pisania. Początkowo bała się, że natknie się gdzieś na Magdalenę Teleszko, przyczynę jej wszystkich zgryzot i trosk. Ostatecznie jednak, pomyślała, raz kozie śmierć. Przecież kiedy już napisze tę swoją powieść psychologiczną, środowisko będzie musiało ją zaakceptować. Poza tym może Róża będzie oglądać transmisję z gali i zauważy matkę wśród tych wszystkich ludzi, których tak bardzo podziwia... Tę ostatnią myśl Sabina starała się stłumić, ale gdzieś tam w głębi serca czuła igiełki żalu.

Wręczenie nagrody odbywało się z wielką pompą. Najpierw uroczysta gala, transmitowana przez telewizję, a potem bankiet, tartinki i szampan. Gdy taksówka Sabiny zatrzymała się przed wejściem do Teatru Narodowego, przez okno kobieta dostrzegła tłum fotoreporterów oblegających parę prezenterów telewizyjnych. Między nimi przeciskał się jeden z największych (również wzrostem) polskich pisarzy, nominowany za swoją kolejną powieść o podróży do Mongolii. Widać było wściekłość na jego twarzy, ręce włożył w kieszenie zielonej parki i taranował paparazzich niczym czarny baran.

Sabina wzięła głęboki wdech i wysiadła. Fotografowie natychmiast, jak szarańcza, rzucili się w jej stronę. Błyski fleszy momentalnie ją oślepiły, szła więc nieco po omacku przed siebie, by w końcu dotrzeć do drzwi wejściowych. Tam jednak czekała kolejna grupa uzbrojona w aparaty. Natychmiast porzucili największego autora, któremu zdjęcia robili tylko dlatego, że przywitała się z nim prowadząca galę dziennikarka znana z telewizji. Mężczyzna łypnął na Sabinę i powiewając połami parki, odszedł w głąb foyer. Sabina chwileczkę pozowała, zgodnie z zasadą: skoro już i tak robią zdjęcia, to niech chociaż na nich dobrze wyglądam, a potem ruszyła śladami poprzednika. Na widowni zajęła miejsce w siódmym rzędzie. Lucy posadziła ją obok redaktor naczelnej jednego z pism kobiecych, z drugiej strony usiadł popularny dziennikarz sportowy. Sabina kurtuazyjnie przywitała się z obydwójgiem i rozejrzała dookoła, szukając jakichś znanych (sobie) twarzy. Miała przy tym nadzieję, że przypadkiem nie zahaczy nigdzie wzrokiem o Lucynę ani tym bardziej o Magdalenę Teleszko, której, o dziwo, chyba musiało wypaść coś niespodziewanego, bo wydawało się, że nie zaszczyciła imprezy swą obecnością.

Och, kogo tam nie było – pisarze bardzo znani i bardzo starzy zarazem, właściwie stojący nad grobem, o których gazety już dawno przygotowały teksty pożegnalne na wypadek pogrzebu. Byli wciąż młodzi duchem, choć ich metryki mówiły co innego. Pisarze reportażyści tworzyli hermetyczny krąg, do którego niechętnie dopuszczali kogokolwiek nowego, niczym korporacja adwokatów nie lubiąca się dzielić prawami do wykonywania zawodu. Były modne warszawskie pisarki – działaczki i feministki – wyglądające jak wesołe kurki siedzące na grzędzie, w swoich kolorowych spódnicach i chustach zamotanych na głowach. Byli poeci, którzy na żadne nagrody nie liczyli, bo poezja miała znacznie gorszy PR niż proza. Byli pisarze geje, którzy honoraria przeznaczali na zabiegi odnowy biologicznej, przeszczepy włosów i ciuchy z mediolańskich butików. Wciśnięci gdzieś w tylne rzędy tkwili pisarze prowincjonalni, którzy psim swędem znaleźli zaproszenia na galę

w swoich skrzynkach pocztowych wiszących na bramach w odległych od świata miejscowościach typu Sejny, Wieluń, Gorzów, Pisz i pomniejsze. Nie brakło wreszcie najróżniejszej maści dziennikarzy, celebrytów, aktorów i filmowców. Śmietanka towarzyska, *crème de la crème*. Sabina w wieczorowej kreacji wyróżniała się jednak dość mocno na tle zubożałej kasty pisarzy. „Powinnam była mniej się wysztafirować – zbeształa się w myślach. – Przecież ci biedacy razem wzięci nie sprzedali tylu książek co ja jednego tytułu. Zaraz znowu ktoś się będzie czepiał, że coś mi się w życiu udało”.

Na szczęście zgasły światła i rozpoczęła się uroczystość. Długie filmy o każdym z nominowanych należały do gatunku nieznośnie pretensjonalnych produkcji, widywanych często w Kulturalnej Piątce. Kamera nieustannie się poruszała, wypowiadające się osoby były filmowane z niekorzystnych perspektyw, zazwyczaj od dołu, co dodawało wszystkim podbródków i cieni pod oczami. Bohaterowie – całkowicie bez związku – umieszczeni byli w karkołomnych lokalizacjach, również typowych dla ambitnych produkcji telewizyjnych: w wannie, lodówce, kanale, na dachu wysokiego budynku czy stole operacyjnym. Widać było po ich twarzach, że są zmęczeni i dezorientowani – najpewniej kazali im kręcić masę dubli. Kiedy projekcja dobiegła końca, na scenie pojawiła się piękna prezenterka telewizyjna – jedna z licznych w tej instytucji kobiet bez wieku – w towarzystwie przewodniczącego jury. Był nim nestor polskich krytyków, transseksualny Mistrz, z którego zdaniem liczyli się wszyscy wydawcy, przed którym drżeli pisarze, który od lat dzielił i rządził na polskim poletku literackim, wykluczając z niego większość kobiet (odkąd zmienił płeć, nie był ciekaw ich losów i punktu widzenia).

Zabrzmiały fanfary i oto Mistrz rozpierzętował kopertę kryjącą nazwisko szczęśliwca, który miał zgarnąć sto tysięcy złotych i cały splendor (z nadzieją, że choć odrobinę przełoży się on na sprzedaż książki).

– *And the Oscar goes to...* – Sabina tak jak wszyscy na widowni zastygła w oczekiwaniu – ... Jan Franciszek Butenko!

Burza oklasków rozpętała się w Narodowym. Prowincjonalni pisarze i poeci, których przedstawiciele odpadli w tym wyścigu, skurczyli się jeszcze bardziej, zapadając się w swoje najlepsze wyjściowe garnitury i sukienki z poliestru. „Butenko, co za niespodzianka!” Nawet Sabina poczuła zażenowanie po tych słowach pięknej prezenterki. Butenko od lat sypiał z Mistrzem, jeszcze w czasach, gdy ten był kobietą. Wiedzieli o tym wszyscy, choć nieoficjalnie (Sabinie plotki przekazała oczywiście niezawodna Lucyna). W tym roku jego powieść idealnie wpisała się w potrzeby społeczne – tak w każdym razie twierdził Mistrz w kilku artykułach, które napisał na temat roli twórczości Butenki w nowej polskiej prozie. Książka, oparta na eksperymentach z językiem polskim, portretująca środowisko konduktorów dolnośląskich kolei regionalnych, była zdaniem Mistrza „nowym tchnieniem w nieco zatęchłej atmosferze współczesnej polskiej literatury”.

„Czy naprawdę wypada w ten sposób przyznawać nagrody? – pomyślała Sabina z niesmakiem. –

I jakie szanse miałabym na przykład ja, gdybym została ambitną pisarką? Żadnych”.

– Wie pani, to jest jednak cyrk – usłyszała obok zmysłowy głos naczelnej pisma dla kobiet. – Mnie byłoby wstyd.

– To jest właśnie dobre w sporcie, że wynik to jest wynik, a nie jakiś tam plebiscyt – dodał filozoficznie dziennikarz sportowy.

– Coś w tym jest – przyznała Sabina. – Niezbyt pięknie się dziś prezentuje ten świat wielkiej literatury. A myślałam, że tylko na moim poletku stawia się na romanse.

Jej sąsiedzi zaśmiali się, rozbawieni tą uwagą.

– Ale za to pani, pani Soniu, nie musi startować w tym konkursie piękności dla marnych stu tysięcy. *Fuck you money* to najlepsza nagroda dla każdego – zauważyła redaktor naczelna.

Sabina przyjęła z pełnym godności milczeniem tę jakże bezlitosną, ale słuszną uwagę.

Gala dobiegła końca, na scenie montowała się grupa muzyczna – odkrycie roku Kulturalnej Piątki, neofolkowy duet, który Sabinie od pierwszych chwil skojarzył się z parą grajków smęcących nudnawe piosenki w *Czterech weselach i pogrzebie*. Najwyraźniej nie tylko ona nie czuła tego klimatu, bo oto dostojni pisarze i pisarki, poeci i reporterzy, zamiast kulturalnie wysłuchać propozycji dwójki młodych artystów, wstali z siedzeń i gremialnie ruszyli w stronę bufetu.

– No to czas na nas – skwitował dziennikarz sportowy i również wstał, a jego fotel zamknął się głośno. Na scenie dwójka biedactw rwała struny swych akustyków, śpiewając na głosy po angielsku, a sala szybko pustoszała.

W foyer natomiast działały się sceny dantejskie. Bardziej zaawansowani wiekiem ludzie, tacy jak Sabina, mogli poczuć się jak w odległych latach osiemdziesiątych, kiedy do mięsnego rzucali jakieś lepsze ochłapy. Tłum pisarzy, dziennikarzy i profesorów literaturoznawstwa przepychał się do suto zastawionych stołów, wrywając sobie co smakowitsze kąski i oblegając noszących tace z tartinkami zdeorientowanych kelnerów, którzy szeptali między sobą, że gorzej było tylko na kongresach Samoobrony.

Sabina czuła się coraz bardziej zażenowana. „I to jest ten świat, do którego aspiruję? – zadawała sobie otwarcie pytanie, które krążyło jej pod czaszką od początku tej imprezy. – Czy ja też będę się bić o roladki z łososia i kiepską wódkę na bankietach?” Obok niej przeszedł właśnie jeden z najważniejszych krytyków architektury, dzierżąc w dłoniach dwa talerze, na których piętrzyły się makarony, kanapki, kawałki szynki i kabanosów ułożone w fantazyjną kompozycję. Za nim kroczyła szefowa działu kultury w prestiżowym miesięczniku niosąca z wielkim trudem cztery pełne kieliszki wina.

Sabinę owionął zapach ciepłej wędliny. Poczwała, że ją mdli.

Nie spotkała Lucyny – tym lepiej. Na szczęście nigdzie też nie widziała Teleszko. Pora uciekać, nim ją pochłonie to piekło, zwłaszcza że kilku panów, którzy jako pierwsi dopadli do baru,

wykazywało już pierwsze objawy mocnego zmęczenia, co zwiastowało nadciągającą ogólną katastrofę.

Sabina dyskretnie zaczęła się wycofywać, kiedy nagle poczuła na biodrze czyjąś spoconą łapę.

– A dokąd to, piękna pani? – zionął jej do ucha cuchnący śledziem i wódeczką znany tłumacz literatury włoskiej i francuskiej. – Czy nie potrzebuje pani opieki, taka tu sama, w tym stadzie wilków?

– Nie! – niemal wrzasnęła Sabina, odpychając mężczyznę tak, że aż się zatoczył. Ruszyła z impetem w dół po schodach, nie zważając na porykiwania niechcianego towarzysza. Przedarła się do szatni i w biegu zakładając futro, dopadła pierwszej wolnej taksówki. – Na Nowe Miasto, poproszę – wysapała.

– Pani z tej imprezki? – Taksówkarz się odwrócił. – Bo ja nie wiem, czy panią brać.

– Proszę? – Sabina miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Bo koledze jeden stąd właśnie zarzygał taryfę. Do Wisłostrady dojechali i zaniemógł. Literat, taka jego mać. – Mężczyzna spojrział na Sabinę i wzruszył ramionami. – To się pani nie dziwi, że drażę.

– Nie, proszę pana, nie dziwię się. Ale ja nie z tej imprezki, nie mam z nią nic wspólnego.

– No dobra, to jadziem!

– Jadziem. – Sabina oparła się o tylne siedzenie. Czuła się jak wyżęta ścierka.

*

Jej obawy, że nie będzie mogła zasnąć, się potwierdziły. Czuła niesmak po tak rozczarującym wieczorze. Ale przede wszystkim do rozprawy zostało raptem kilka godzin i coraz bardziej ją to stresowało. Nie mogła się wprawdzie doczekać, kiedy będzie już rozwiedziona, ale perspektywa nadchodzącego dnia wcale nie była przyjemna. Nie pomogła pachnąca kąpiel w ogromnej wannie z szeroką ofertą opcji hydromasażu ani lampka znakomitego wina dostarczonego przez hotelowy *room service*. „Wiem! Zapiszę to, jak się czuję. Uchwycę ten stan, te emocje”, olśniło ją. Czy można sobie wyobrazić lepsze paliwo dla rozdzierającej trzewia powieści? Z nową nadzieją otworzyła komputer, ale skończyło się jak zawsze. „Nadaję się tylko do kiczu i chały”, pomyślała Sabina zrezygnowana i postanowiła wziąć pigułkę nasenną, żeby jakoś choć zmrużyć oko tej nocy.

*

Kiedy zbliżała się do budzącego respekt budynku sądu, o dziwo była spokojna. Nowy kostium dobrze spełniał swoje zadanie, w gładko związanych włosach i dyskretnym makijażu wyglądała świeżo i z klasą. Przekraczając próg świątyni Temidy, miała nadzieję, że rozprawa obejdzie się bez scen i będzie czystą formalnością. Jej adwokatka, obrotna babka, na oko korzystająca z usług tego

samego chirurga co Lucyna, od lat z powodzeniem rozwodziła warszawskie pary z towarzystwa. Pani mecenas była w stałym kontakcie z prawnikiem drugiej strony i zapewniała, że wszystko idzie doskonale. „Może zaproszę Andrzeja później na obiad? To będzie miły gest”, przyszło nawet Sabinie do głowy w przypływie optymizmu. Jednak jej całkiem niezłe jak na te okoliczności samopoczucie w jednej sekundzie legło w gruzach, gdy na korytarzu, na ławie pod ścianą obok Andrzeja, jego adwokata i młodej, dziwnie ubranej dziewczyny ujrzała... Lucynę. Zatopioną w rozmowie z jej za chwilę już byłym mężem. Kiedy spostrzegła wchodzącą Sabinę, zerwała się na równe nogi. Agentka miała na sobie bardzo kusą sukienkę z błyszczącymi aplikacjami, zbyt krótką i zbyt obcisłą, biorąc pod uwagę rozmiar jej dolnych partii ciała, a odpowiednią raczej na dyskotekę, na pewno jednak nie do sądu. Ekstrawaganckiej stylizacji dopełniały niebotyczne szpilki.

– Hej, kochana! – Szeroki (na ile pozwalał najwyraźniej świeży zabieg powiększający grubość warg do niebezpiecznych rozmiarów) uśmiech Lucyny był szczerzy niczym deklaracja prezydenta Rosji o wspieraniu niezależności podległych niegdyś republik.

– Co ty tu, do ciężkiej cholery, robisz? – warknęła Sabina, jeszcze nie otrząsnąwszy się z szoku.

– Świetnie, że już jesteś! Wspaniale wyglądasz. Jest dobrze, naprawdę super! – Agentka wyglądała na niezwykle zadowoloną.

Wszyscy jednocześnie podnieśli się z ławy, a Sabina patrzyła na nich z narastającym poczuciem, że wokół niej dzieje się coś bardzo dziwnego. Andrzej spoglądał na nią z miną zbitego psa. Co to za dziewczoja z płowym plecionym warkoczem? I co tu robiła Lucyna, ten senny koszmar? Co tu, do kurzej dupy, było grane?

– Sabinko, pozwól, to jest Dobrochna... – odezwał się wreszcie wciąż aktualny mąż, popychając lekko do przodu przewyższającą go o głowę dziewczynę. Ta wpatrywała się w pisarkę szeroko otwartymi oczami. Nie miała nawet śladu makijażu na twarzy, jednak nie można było odmówić jej kobiecości: spod czegoś w rodzaju skórzanego gorsetu, jaki blondyna włożyła na długą lnianą suknię w kolorze ziemi, wyłaniał się imponujących rozmiarów biust.

– O rany, prawdziwa Sonia Geppert... Przeczytałam wszystkie pani książki – wyszeptła z przejęciem, a prawdziwa Sonia Geppert uznała, że musi się uszczypnąć. Najwyraźniej wczorajsza pigułka nasenna wciąż działała i wywoływała stany psychodeliczne. Co to miało być, niestandardowy zlot fanów? Machinalnie podała rękę wpatrzonej w nią jak w obraz istocie i ledwo powstrzymała się od syku z bólu, bo jej dłoń znalazła się w imadle.

– Dobrochna jest... – głos Andrzeja załamał się, zanim zdążył dokończyć zdanie. Sabina popatrzyła na niego ponaglająco. – No więc my... spotykamy się od pewnego czasu... – wydusił szeptem, a posiadaczka oryginalnego imienia rozanieliła się w szerokim uśmiechu i objęła mężczyznę solidnym jak konar dębu ramieniem. Andrzej za to wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Ale numer, co? – odezwała się Lucyna. Chciała kulturalnie dać głównym aktorom możliwość

rozegrania między sobą tego spektaklu i aż się dusiła, powstrzymując się przed odpaleniem bomby własnymi rękami.

Sabina stała jak wryta. Patrzyła na to, co się działo, jakby przez szybę. Dopiero hałas za jej plecami przerwał ten stupor. Korytarzem sądowym biegło kilku facetów z aparatami fotograficznymi. Goniło ich dwóch strażników. Wszyscy kierowali się w ich stronę.

– Jest! – krzyknął jeden z nich, gdy zauważył Sabinę, a ona w szybkim przebiegu połączyła ich pojawienie się z obecnością Lucyny. Nic nie powiedziała. Wbiła w nią tylko rozwścieczony wzrok, ale ta nawet tego nie zarejestrowała. Bacznie obserwowała rozwój sytuacji, bynajmniej nie pozostawiając jej własnemu biegowi. Podskoczyła do Andrzeja i Dobrochny, by z inscenizatorskim błyskiem w oku pomóc im ustawić się do zdjęć: zbliżyła ich do siebie i jego ramię ulokowała na jej biodrze. O ile mężczyzna poddawał się tym zabiegom z energią bezwolnej pacynki, o tyle dziewczyna natychmiast wczuła się w wyznaczoną jej rolę i włożyła w to sporo własnej inwencji, wdzięcząc się do aparatów, bawiąc się warkoczem i wypychając zalotnie biodro z dłonią Andrzeja do przodu. Paparazzi już ich dopadli. Za nimi na korytarzu pojawiło się jeszcze stadko reporterów z mikrofonami i towarzyszący im operatorzy cyfrowych kamerek. Gdy rozpoczęła się kanonada fleszy, Sabina bezzwłocznie odwróciła się na pięcie i próbowała znaleźć miejsce, w którym mogłaby się schować. Niestety znajdowali się na samym końcu korytarza, a drzwi do sali rozpraw były jeszcze zamknięte.

– Sonia, Sonia! Jedno zdjęcie!

– Pokaż się!

– Sonia, puścisz męża z torbami?

– Z kim się teraz spotykasz?

– Sonia, nie uciekaj!

Fotografowie i pseudodziennikarze przekrzykiwali się jeden przez drugiego, a Sabina nagle pojęła, co czuje osaczone zwierzę.

– Panowie, spokojnie. Zaraz coś zorganizujemy, ale proszę się zachowywać! – donośny głos Lucyny górował nad hałasem. – Soniu, jedna wspólna foteczka i będzie po wszystkim, co? Zaraz dadzą nam spokój. No, podejdź, tylko na sekundkę. – Agentka podbiegła do niej, głośno stukając obcasami.

– Precz mi z oczu! – wydusiła z siebie Sabina, rzucając jej najbardziej mordercze spojrzenie, na jakie było ją stać. W odpowiedzi dostała jedynie minę wyrażającą urażoną niewinność. Jeden z fotografów zbliżył się na niebezpieczną odległość i wycelował w pisarkę groźnie wyglądający długi obiektyw. Nim zdążył ustawić kadr i zwolnić migawkę, jednym ostrym ruchem odepchnęła od siebie aparat. Instynkt obronny w połączeniu z przepełniającą ją furią wyzwolił w niej agresję.

– Hej, paniusiu, tylko bez takich! – zaprotestował atakujący ją fotograf, a w jego głosie zabrzmiała nagle złowroga groźba.

– Sonia, co ty wyprawiasz!?! Tak nie można! – krzyczała także Lucyna, hołdująca przekonaniu, że zadzieranie z jakimikolwiek przedstawicielami mediów, także tych najpodlejszego sortu, nigdy nie kończy się dobrze.

– Proszę się cofnąć! – do nerwowej wymiany zdań dołączył jeszcze jeden kobiecy głos i Sabina z ulgą stwierdziła, że przybyła odsiecz. Jej adwokatka przemierzała korytarz, torując sobie drogę wśród intruzów. – Radzę panom stąd zniknąć. Zaraz będzie tu policja wezwana z powodu zakłócenia porządku publicznego, które to wykroczenie, jak panowie zapewne wiecie, jest zagrożone karą aresztu, ograniczenia wolności lub grzywną. Rozumiemy się? – Zatrzymała się przy Sabinie, gromiąc surowym wzrokiem Lucynę. Ta tylko wzruszyła ramionami, fuknęła i wycofała się wraz z bandą niepewnie spoglądających po sobie facetów z aparatami.

Drzwi do sali rozpraw wreszcie się otworzyły i strony mogły wejść do środka. Rozwód orzeczono w niespełna pół godziny, nie dostarczając już Sabinie więcej gwałtownych wrażeń. Po wszystkim nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby zrealizować pomysł pożegnalnego obiadu z Andrzejem. Podziękowała tylko swojej prawniczce i nie zamieniając słowa z nikim więcej, od razu wsiadła do samochodu. Ruszyła w drogę nad morze, podczas której wielokrotnie przekroczyła dozwoloną prędkość.

ROZDZIAŁ 11

Obudził ją przeszywający ból głowy. Zaraz po nim pojawił się niesmak w ustach, a także pieczenie pod powiekami i ogólne rozbicie. Czuła się, jakby dopadł ją kac gigant, a przecież nie wypila wczoraj ani kropli alkoholu. Jej oczom ukazały się rozbebeszone walizki i worki pełne ubrań czekających na ułożenie we wciąż nieistniejącej garderobie. Na razie zajmowały każdy wolny kawałek podłogi.

– Nie dam rady wstać, jak Boga kocham. Nie mam siły – jęknęła.

Z dołu dochodziły odgłosy świadczące o obecności ekipy remontowej, choć chłopcy byli dziś wyjątkowo łaskawi – radio nie ryczało, a ścian nie rozsadzało żadne wiercenie ani kucie. Choć Sabina najchętniej zwinęłaby się w kłębek pod kołdrą i pozostała w tej pozycji przez cały dzień, koniec końców zwlekła się jednak z łóżka. Spojrzała na swoje odbicie w miniaturowym, popękany lusterku nad umywalką. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie w tym miejscu zawiśnie lustro na całą ścianę, a pod nim wygodna prostokątna umywalka ze śnieżnobiałego naturalnego marmuru.

– No to od wczoraj jesteś wolną kobietą – powiedziała do siebie.

Zupełnie inaczej wyobrażała sobie ten moment. Gdzie się podziały oczekiwane wrażenie wyzwolenia i satysfakcja? Zamiast tego czuła się ośmieszona, upokorzona i kompletnie pozbawiona kontroli nad swoim życiem. Zresztą nie pierwszy raz. Chcąc przemyć twarz, odkręciła kran. Niestety, nie pojawiło się w nim nic prócz kilku hałaśliwych bulgotów.

– Co do cholery...

Zeszła na parter.

– Panowie, co jest z wodą? – zawołała gniewnie.

Robotnicy siedzieli na odwróconych do góry dnem skrzynkach i popijali rozpuszczalną kawę z kubków, jakie musiała wyciągnąć dla nich z kartonów już pierwszego dnia remontu.

– Pan Zbych już tu jedzie, on powie co i jak – wyjaśnił wysoki blondyn z fatalną cerą.

– Świetnie, ale ja nie potrzebuję pana Zbycha, ja chcę się umyć! Teraz!

Blondyn rozłożył bezradnie ręce.

– Pan Zbych będzie rozmawiać. Nam nie kazał nic ustalać.

– Kurwaaaa! – W normalnej sytuacji na pewno nie pozwoliłaby sobie na takie zachowanie wobec robotników, ale puściły jej wszelkie hamulce.

Spłoszeni mężczyźni wbili wzrok w podłogę, nie wiedząc, jak zareagować na nieszablonowy tego dnia styl bycia zleceniodawczyni. Jeden z chłopaków zaczął dawać ukradkowe znaki blondynowi.

– Co jest? – spytała rozsierdzona Sabina. Będą tu sobie jeszcze urządzać wygłupy? Blondyn tymczasem usiłował niepostrzeżenie wsunąć pod skrzynkę, na której siedział, płachtę gazety.

– Co tam macie? – Stwierdziła, że nie da się robić w konia tym gówniarzom. Musiała odzyskać

władzę, jakąkolwiek, choćby i nad własną ekipą remontową.

– Niiic. Pani się nie denerwuje – wydukał speszony chłopak, a jego twarz pokryła się czerwonymi plackami.

– Dawaj to!

Blondyn, chcąc nie chcąc, podał jej gazetę drżącą dłonią. Na pierwszej stronie „Superfaktu” Sabina od razu zauważyła siebie. Bez słowa wyrwała mu z ręki brukowca i wreszcie uwolniła ekipę od swojej obecności. Na górze, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, przyjrzała się lepiej gazecie. Zdjęcie pokazywało jej twarz, wykrzywioną w grymasie niezadowolenia i częściowo zasłoniętą przez wyciągniętą w geście obrony przed fotografem dłoń. *Pogoniła go bez litości! Sonia już po rozwodzie* – krzyczał czerwoną czcionką tytuł. Pod nim, mniejszymi literami, można było przeczytać jeszcze: „Porzucony mąż pisarki leczy rany u boku młodej piękności – więcej na stronie 4”. Szybko znalazła to, co wydawcy tego chłamu śmieli nazywać artykułem, ale jej wzrok zatrzymał się na kolejnym zdjęciu z sądu. Andrzej w krzepkich objęciach krasnolicej, zalotnie uśmiechającej się blondyny. Sabina zakryła oczy. Co za żenada! Wiedziała aż za dobrze, kto był temu wszystkiemu winien. Wybrała numer mimo fizycznej wręcz niechęci, jaką odczuwała na samą myśl o rozmowie z agentką z piekła rodem, a także wczesnej pory (Lucyna zwykła zaczynać dzień w okolicach dziesiątej, teraz zaś dochodziła dopiero siódma rano). Nie czuła się w obowiązku przestrzegania konwenansów, wręcz przeciwnie. Tym razem chwilę trwało, zanim agentka odebrała.

– Sonia, to ty? Która godzina? – brzmiała jak nie ona, najwyraźniej rzeczywiście wybudzona z głębokiego snu.

– Nie zajmę ci dużo czasu. Zaraz będziesz mogła spać do woli. To koniec naszej współpracy. Moja prawniczka odezwie się do ciebie jeszcze dziś. Proszę, żebyś ustalała wszystko z nią, będzie miała wszelkie pełnomocnictwa. Do mnie już więcej nie dzwoń. To tyle z mojej strony.

W ciągu ich wieloletniej znajomości jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by Lucyna zapomniała języka w gębie. To był pierwszy raz.

– Sonieczko... – odezwała się po upływie dłuższej chwili, kiedy Sabina miała się już rozłączyć.

– Nie mów do mnie Sonieczko – ostro weszła jej w słowo. – Mam na imię Sabina.

– Tak, tak, oczywiście, Sabinko, jak sobie życzysz. – Lucyna grała na czas, gorączkowo szukając najlepszej strategii zażegnania kryzysu. – Rozumiem, że jesteś jeszcze trochę wkurzona...

– Nawet nie próbuj. Nie jestem na ciebie wkurzona. Byłam tysiące razy, kiedy mnie nie słuchałaś i robiłaś wszystko po swojemu. Tym razem po prostu przesarżowałaś. Nie widzę najmniejszej szansy porozumienia. Nie mamy już o czym rozmawiać. To koniec – powiedziała i po prostu się rozłączyła. Chwilę gapiła się na telefon, może spodziewając się, że Lucyna oddzwoni, ale nie.

„Dawno powinnam była to zrobić”. Podeszła do okna. Sosenka na skraju klifu chwiała się lekko na wietrze. Sabina wzięła głęboki wdech. Nie miała już męża. Córka z powodu jej niewyparzonego

języka wyprowadziła się do innego kraju w wieku dziewiętnastu lat i rozmawiały ze sobą może raz na dwa, trzy tygodnie. Rzuciła pracę, którą zajmowała się przez ostatnie osiem lat, a teraz jeszcze pozbyła się swojej agentki. Tak, chyba mogła uznać, że zdjęła z siebie uwierający ją i niepozwalający już swobodnie oddychać pancierz, ale co będzie dalej? Do czego zmierza? Czy teraz będzie lepiej? W tej chwili wcale nie była tego pewna. Wtedy usłyszała podjeżdżający pod dom samochód. „O nie, jeszcze ten...”, przypomniała sobie o panu Zbyszku.

– Dobry, proszpanią. – Gruby, rzecz jasna złoty łańcuch spoczywał dostojnie na golfie w zaskakującym, zważywszy na jego właściciela, kolorze wrzosowym. – Nie ma wody.

– Zdążyłam zauważyć. Od pana chciałabym się raczej dowiedzieć, dlaczego jej nie ma. – Sabina wyraźnie nie była w nastroju.

– Instalacja to złom, nie przetrzyma zimy. Możemy odciąć wodę na czas mrozów albo całkiem wymienić rury na nowe i wtedy może się pani myć, ile dusza zapagnie – poinformował ją bez emocji szef remontu.

Na czole Sabiny zaczęła gwałtownie pulsować jakaś żyłka.

– Wymieńcie – rzuciła i cofnęła się do swojego pokoju, by szybko się przebrać i natychmiast wyjść z domu. Nie chciała tu spędzić ani sekundy dłużej. Co jeszcze spadnie na jej głowę? Czy to się kiedyś skończy? Będzie mogła tu spokojnie mieszkać czy do końca życia pozostanie właścicielką uroczego, pełnego magii domku, posiadającego jeden drobny defekt: niezdatność do użytkowania.

Poszła prosto do „Afrodyty”, właściwie to prawie biegła, przełykając łzy. Na wszelki wypadek nakryła głowę kapturem. Wolała nie ryzykować, że znów ktoś strzeli jej zdjęcie, a potem sprzeda handlarzom tanich sensacji, którzy dopiszą idiotyczną historię w stylu: „A jednak rozpacza po rozwodzie” albo: „Płacze, bo musiała oddać mężowi mieszkanie” czy na przykład: „Wziął młodszą, a była żona leje spóźnione łzy”. Ledwo zdążyła usiąść przy stoliku, kiedy z tacą w ręku zjawił się przed nią Borys.

– Co dla pani?

– Coś ciepłego poproszę.

Zdała sobie sprawę, że zaczerwieniona od płaczu i zimna musi fatalnie wyglądać. Kiedy ich oczy się spotkały, poczuła uderzenie gorąca. „Pewnie różnica temperatur między przenikającym chłodem na zewnątrz a nagrzanym powietrzem w środku”, wytłumaczyła sobie nieco nerwowo, przeganiając spod powiek natrętne retrospekcje ze snu z Borysem w roli głównej.

– Proponuję grzane wino.

– Świetnie.

Rozglądała się za Kasią. Rozpaczliwie potrzebowała teraz wsparcia i instynktownie lgnęła do jedynej osoby, której ufała, a która w dodatku zawsze była pełna optymizmu i zarażała wszystkich pogodnym spojrzeniem na rzeczywistość. Nigdy wcześniej nie miała prawdziwej przyjaciółki.

Telefoniczne narady z Mariuszem Zygmuntowiczem być może stanowiły w jakimś stopniu substytut takiej relacji, jednak specyfika jego spojrzenia na świat, a także przepaść dzieląca ich doświadczenia sprawiały, że ta znajomość była przeciwieństwem typowo babskiej przyjaźni. Kasia naprawdę umiała słuchać, a choć była kilka lat młodsza, sporo wiedziała już o życiu i o ludziach. Już po paru minutach spędzonych w jej towarzystwie każdy czuł się o niebo lepiej. A tego właśnie potrzebowała teraz Sabina.

W restauracji nie było dziś gości. Dopiero zaczął się grudzień. Martwy sezon między ostatnimi śladami jesieni ze słabą, ale jednak nadzieją na odrobinę ciepła, a okresem świątecznym, kiedy zawsze znajdzie się grupa amatorów gotowych spędzić Boże Narodzenie z dala od domu, a zatem na przykład w pensjonacie nad morzem. Zamiast Kasi Sabina zauważyła tylko Teo. Stał na drabinie, pochłonięty przybijaniem do ściany haczyków i wieszaniem na nich wielkiego białego prześcieradła. Pomachał do niej z góry, a ona ucieszyła się, że jest zajęty i nie musi z nim rozmawiać. W tak podłym nastroju nie miała nawet ochoty na niezobowiązujące pogawędki z sympatycznym Grekiem. „Gdzie ta Kasia, do cholery?” Najwyraźniej wino, które przyniósł Borys, nie wystarczało, by poprawić jej humor. Potrzebowała się wygadać. W końcu nie wytrzymała i zapytała Teo.

- Kasza na górze, z dziećmiakami – odparł z wysokości przedostatniego szczebla drabiny.
- Muszę zamienić z nią słowo. Mógłbyś do niej zadzwonić, że jestem? Może zeszłaby na chwilę.
- To ty idź. Pogadacze u nas.
- Jesteś pewien? Nie chciałabym przeszkadzać. – Nigdy jeszcze nie była w prywatnej części domu, zajmowanej przez rodzinę.
- Pewien, pewien. – Machnął ręką, dając do zrozumienia, że dalsze obawy go nie interesują.

Sabina wspięła się na poddasze, gdzie urządzili się Zagorakisowie. Zapukała do drzwi, a kiedy usłyszała „proszę”, weszła do środka i znalazła się w przytulnym salonie o skośnych stropach. Najwięcej miejsca zajmowały dwie stojące naprzeciwko siebie kanapy, obłożone kolorowymi poduchami. Przy jasnym drewnianym stole siedziała Kasia, karmiąc Grzesia usadowionego w plastikowym foteliku. Asystowała im Oliwka z włosami zaplecionymi w dwa warkoczki.

– O, cześć! Wchodź, wchodź – gospodyni bez zbędnych ceregieli zaprosiła ją do środka, jakby czekała na jej wizytę, więc Sabina odetchnęła z ulgą.

– Kochana, przecież to żaden kataklizm. – Kasia z miejsca oceniła sytuację po wysłuchaniu historii o przedłużającym się remoncie. Sabina zaczęła od końca prezentację katalogu swoich nieszczęść. – Niech wymienią te rury, będziesz miała solidną instalację i spokój na lata, a póki co zamieszkać tutaj.

– Mogłabym? – Patrzyła na dziewczynę jak na wybawienie. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Na szczęście sezon świąteczny jeszcze się nie zaczął i wolnych pokoi nie brakowało.

– Jest tylko jeden problem... – Kasia zawiesiła głos, a Sabina z napięciem czekała na ciąg dalszy. –

Musisz wybrać pokój – dokończyła i obie się roześmiały, a mały Grześ, ochoczo do nich dołączył, machając przy tym radośnie rączkami i plując zupką.

– Jakoś sobie z tym poradzę – powiedziała Sabina.

Nie zwlekając ani chwili, wróciła do domu po rzeczy. Była z powrotem jeszcze przed porą obiadową. Mogła wybierać spośród większości pokoi w pensjonacie, rezerwacje zaczynały się dopiero w drugiej połowie miesiąca. Recepcjonistka doradziła jej narożny pokój z widokiem na las, na co chętnie przystała.

– Ile kosztuje doba? – spytała Sabina.

– Nic, jest pani naszym gościem.

– O, nie. Chcę wynająć pokój na zwykłych zasadach.

– To decyzja szefowej. Z nią proszę rozmawiać. – Dziewczyna wzruszyła ramionami i wręczyła jej klucz.

Sabina rozpakowała niewielki dobytek w nowym lokum, prostym, ale wygodnym. Wsłuchiwała się w szum wiatru za oknem, który wraz z nasilającymi się podmuchami coraz bardziej przypominał wycie. Aż wzdrygnęła się na dźwięk telefonu.

– Witaj, Soniu, jak się masz?

Gdyby głos mógł być wyprostowany jak struna, z pewnością przypominałby swoją właścicielkę, Monikę Kardas, żelazną damę telewizji, budzącą i respekt, i postrach szefową produkcji filmowej w najbogatszej i rozdającej karty na rynku stacji. Od jej widzimisię zależała dola lub niedola tysięcy śmiertelników z branży rozrywkowej. Ci biedacy nie znali dnia ani godziny swego triumfu lub upadku, gdyż ta zależała wyłącznie od decyzji garstki ludzi obdarzonych władzą, spośród których najmocniejszą, niekwestionowaną pozycję od wielu lat miała demoniczna producentka. Monika Kardas zawdzięczała to między innymi swojej bezbłędnej intuicji. Wśród filmowców różnej maści krążyły legendy o jej niezawodnym nosie, wyczuwającym na kilometr, co zaskoczy i spodoba się widzom. W ciągu kilkunastu lat kariery nie zaliczyła żadnej wpadki. Sabina była jednym z jej pierwszych wielkich odkryć. Przed laty Monika namierzyła Sonię Geppert i bez wahania zaoferowała jej oszałamiającą jak na tamte czasy kwotę za sprzedaż praw do ekranizacji pierwszej powieści. I niedługo później obie spijały śmietankę (choć bardziej adekwatny byłby tu szampan) po tym, jak żeńską część społeczeństwa opanowało istne szaleństwo na punkcie perypetii przebojowej wedding plannerki. Zagrało ją oczywiście odkryte przez ambitną producentkę dziewczę nie tyle zdolne, co naprawdę śliczne i obdarzone nieodpartym urokiem dziewczyny z sąsiedztwa. Od tamtej pory minęło jednak trochę czasu, a Monika Kardas nie zwykła osobiście dzwonić do osób, z którymi współpracowała. Miała od tego sztab ludzi.

– Dawno się nie pokazywałaś, Soniu. Czy to prawda, co mówią na mieście? Faktycznie wyniosłaś się na jakieś zadupie?

– To całkiem przyjemne miejsce – odparła ostrożnie Sabina. Zastanawiała się gorączkowo, skąd ten zaszczyt niezapowiedzianej i bezpośredniej rozmowy z władczą producentką.

– Pewnie tak – ton głosu Moniki był nieodgadniony – ale nie dzwonię, żeby pogadać o urokach, czy też jak powiedzieliby niektórzy, chujówce życia na prowincji. – Rzecz jasna bardzo ceniła swój czas i najwyraźniej właśnie przechodziła do rzeczy. – Kiedy wychodzi twoja nowa książka?

A jednak...

– Muszę sprawdzić w wydawnictwie, ale z tego, co kojarzę, chyba mamy lekkie przesunięcie. Wiesz, nic poważnego, kalendarz wydawniczy czy coś w tym rodzaju. – Starła się, żeby jej słowa brzmiały lekko, a jednocześnie rzeczowo.

– Oczywiście pamiętasz o nowej serii *Że cię nie opuszczę* na podstawie szóstej części książki? Jest wpisana w ramówkę przyszłorocznego jesiennego sezonu.

– Taaak, pamiętam, jasne, że pamiętam. – Od pamiętania o takich sprawach miała do tej pory Lucynę, poza tym na tyle oddaliła się od wszystkiego, co było związane z jej dotychczasową twórczością, że przy okazji zupełnie straciła z oczu podjęte już zobowiązania. Jak widać, przedwcześnie.

– Bardzo mnie to cieszy. Niedotrzymanie terminów byłoby dla Stacji – to słowo w ustach Moniki zawsze zaczynało się wielką literą – sporym kłopotem. A my nie lubimy kłopotów.

– Och, pewnie. Kto je lubi, ha ha ha! – zaśmiała się odrobinę histerycznie.

– Wiesz, jak bardzo nam zależy na komforcie pracy naszych autorów. – Sabina nie miała pojęcia, do czego zmierza Monika, dlatego na wszelki wypadek mruknęła tylko coś niewyraźnie w odpowiedzi.

– Dlatego wpadłam na pewien pomysł, który ułatwi ci pisanie. Rozumiem, że przeprowadzka i te wszystkie zmiany mogą rozpraszać, jednak produkcja czeka w blokach startowych. Dlatego przyślę ci pomoc. Dostaniesz asystenta. Bystry chłopak, będzie do twojej dyspozycji. Naturalnie ty i tylko ty jesteś autorką, ale Kamil ma doświadczenie w pracach literackich, więc także w tych kwestiach możesz liczyć na jego pomoc. Oczywiście wyłącznie w takim zakresie, jaki uznasz za stosowny.

– Przysyłasz mi cerbera!?

– Soniu, nie traktuj tego, proszę, w ten sposób. Podejdź do tego jak do ponadstandardowej formy wsparcia projektu, w który jesteśmy poważnie zaangażowani.

– To naprawdę zbędne. Szkoda fatygi, ale doceniam twój gest. I obiecuję uroczyście, że wywiążę się z umowy. Dostaniecie swój scenariusz, tak jak się umawialiśmy. – Nie mogła uwierzyć w to, co mówi, biorąc pod uwagę fakt, że nie napisała jeszcze ani jednego rozdziału. Ale nad tym zastanowi się później, teraz walczyła o swoją wolność, w poszukiwaniu której przeprowadziła się na drugi koniec Polski.

– Wiem, Soniu, oczywiście, że się wywiążesz. Inna opcja nie wchodzi w grę – zabrzmiało to dostatecznie złowrogo. – A Kamil przyjedzie w ciągu kilku dni. Odezwie się do ciebie dzisiaj,

dogadacie szczegóły. To tyle. Pozdrawiam cię ciepło. I trzymam kciuki za książkę! Nie mogę się już doczekać, aż znów padniemy na kolana przed twoim geniuszem! – Monika rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Sabina przez kilka dobrych minut siedziała bez ruchu ze wzrokiem wbitym tępo przed siebie. „To nie dzieje się naprawdę... – kołatało jej w głowie. – Musi być przecież jakaś granica, to za dużo jak na barki jednego człowieka”. Nagle boleśnie uświadomiła sobie swoją dotychczasową niefrasobliwość. Zostawiła za sobą wszystko, co ją uwierało, a i tak doszła do ściany. Była jak dłużnik, do którego drzwi właśnie zapukał komornik. Zaciągnięte pożyczki (w jej przypadku umowy, terminy, mnóstwo ważnych ludzi czekających na owoce jej pracy) domagały się spłaty. Czuła, jak ogarnia ją fala paniki. Perspektywa przejęcia kontroli nad jej życiem przez koncern telewizyjny była, delikatnie mówiąc, mało budująca. A przecież to nie wszystko. Wydawnictwo też nie odpuści, w końcu książki Soni Geppert stanowiły ekonomiczną podstawę jego egzystencji. A wszystko to dzieje się wtedy, gdy właśnie z hukiem rozstała się ze swoją agentką. Czyli musi radzić sobie sama. „Nie, nie, nie, nie, nie...” Zaczęła krążyć po pokoju. Miała wrażenie, że za chwilę eksploduje, więc żeby się uspokoić, zdecydowała się na sprawdzony już sposób i wybrała numer recepcji.

– Halo, poproszę butelkę wina do pokoju dwanaście.

*

Po południu i po paru wypitych kieliszkach usłyszała pukanie do drzwi.

– Hej, nie idziesz na obiad? Mamy pyszną wołowinę w warzywach – zachęcała Kasia.

– Dziękuję, może później zejdę. – Nie miała wcale zamiaru wychylać nosa z pokoju. Do końca życia. – Siadłam do pisania i chyba nawet złapałam wenę. – Czuła się nieskończenie głupio, okłamując Kasię, która właśnie pomogła jej w potrzebie, ale nie miała siły, by opowiadać komukolwiek o tym, jak spada w przepaść.

– O, świetnie, to nie przeszkadzam – ucieszyła się dziewczyna, a Sabinie zrobiło się jeszcze bardziej wstyd. – Ale gdybyś chciała się trochę rozerwać po pracy, to przyjdź do nas na dół wieczorem. Mamy dziś spotkanie klubu filmowego. Najpierw seans, potem wspólne gotowanie. Wpadnie parę osób z miasteczka. Dziś *Uczta Babette*, więc warto.

– Dzięki, może zajrzę, ale nie obiecuję. Męcę się z tą książką i nie chcę się rozpraszać.

– Jasne, rozumiem. Trzymam kciuki! – zawołała Kasia i wróciła do swoich spraw, a Sabina wypła duszkiem kieliszek wina.

– Jestem beznadziejna! – Chciała sobie dolać, ale nie było już czego. Zamówiła drugą butelkę.

Kiedy zaczęło się ściemniać, na dole zrobiło się gwarno. Dochodziły do niej odgłosy rozmów, a potem seansu filmowego. Popijała wino w pokoju sama jak palec, podczas gdy inni mogli się cieszyć codziennymi przyjemnościami. Ją czekała już tylko droga przez mękę. Skończy jako

pogrążona w obłędzie, potargana i przedwcześnie wysuszona staruszka w swoim nigdy niewyremontowanym domku na klifie. „Po co mi była ta cała rewolucja!? – popłakiwała, wycierając nos w narzutę na łóżko. – Żyłabym sobie dalej spokojnie, spa, fitness, masaż na zawołanie. Mijałoby się z Andrzejem w naszym wygodnym, dużym mieszkaniu, nie wchodząc sobie w drogę, jak dawniej. Bez awantur, zdrad i pretensji. Po bożemu. A ja trzaskałabym książkę za książką, następny tłusty przelew wpływałby na konto, wszyscy zadowoleni”. Po kolejnym łyku merlota utwierdziła się w przekonaniu, że popełniła wszystkie możliwe błędy i sprowadziła na siebie wszystkie możliwe plagi. „Naprawię to! Jeszcze nie jest za późno. Mogę to wszystko cofnąć. Na pewno. Andrzej się zgodzi. Przecież woli mnie od jakiejś wielkiej baby, nawet jeśli jest o piętnaście lat młodsza. Na bank. Muszę go tylko ładnie przeprosić. Zadzwońię do niego! Od razu!” Zeskoczyła z łóżka, by czym prędzej chwycić telefon i naprawić swoje życie, gdy niefortunnie zaczepiła o lampę. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Przerażona Sabina skuliła się na podłodze jak dziecko, które coś zbroiło i liczy na to, że jeśli zamknie oczy, nikt go nie zobaczy. Nie ruszyła się nawet, kiedy ktoś wbiegł po schodach i zaczął pukać do jej drzwi.

– Wszystko w porządku?

Tym razem podniosła głowę. Za drzwiami był Borys.

– Słyszałem hałas. Nic się pani nie stało?

Wpadła w popłoch. Rozejrzała się wokół – zbity klosz był oczywistym dowodem zbrodni. Zagryzła wargi.

– Będę musiał wyważyć drzwi, jeśli się pani nie odezwie.

– Wszystko okej – wybąkała. Trochę plątał jej się język.

– Mogę wejść?

– Po co?

– Chciałem sprawdzić, czy nic pani nie jest.

– Okej, okej – zapewniła ponownie, starając się brzmieć przekonująco.

Wtedy Borys nacisnął klamkę, a drzwi ustąpiły.

„Cholera, jak mogłam ich nie zamknąć!” Wiedziała, co kelner zaraz ujrzy: obraz nędzy i rozpaczy.

– Przepraszam. – Chłopak zajrzał do środka. – Nie chcę się narzucać, ale trochę dziwnie pani brzmi. To szkło...

Sabina wstała z podłogi, starając się przybrać minę pełną godności.

– Miałam mały wypadek. Nic poważnego. Oczywiście pokryję wszystkie straty. – Mimo wysiłków, by trzymać się prosto, lekko zniosło ją na prawo.

Borys omiół wzrokiem pokój, a potem spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony.

– Posprzątam to.

– Nie trzeba, naprawdę.

Ale chłopak wszedł i zaczął zbierać kawałki szkła. Znów miał na sobie podkoszulek z krótkim rękawkiem, odsłaniającym umięśnione ramiona, chociaż na dworze było nie więcej niż pięć stopni. Sabina patrzyła, jak grzywka opada mu na oczy, kiedy schylał się nad zbitą przez nią lampą. „Matko jedyna, jaki on jest seksowny...” Poszedł wyrzucić skorupy do kosza i kiedy był obok łazienki, stanęła mu na drodze. Był sporo wyższy, jej głowa kończyła się na wysokości jego brody. Szum w uszach przyjemnie przybrał na sile i kołysał nią jak w tańcu. „A co tam, popełniłam już tyle głupot, że jeszcze jedna nie robi różnicy”, rozgrzeszyła się i dotknęła jego torsu. Nie obawiała się klapy, jak wtedy z Jerzym. Całe jej ciało aż drżało z pragnienia. Borys jednak chwycił jej dłoń i zdjął ze swojej piersi. Popatrzył na nią i pokręcił przecząco głową. „Co!? Nie możesz mi tego zrobić!” Poczowała nieprzyjemny dreszcz rozczarowania. Ale nie mogła się już wycofać. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Chciała się w nim zatracić, pozwolić mu robić ze sobą wszystko, czego wstydziła się spróbować do tej pory. Rozpaczliwie pragnęła zapomnienia, jego rąk zmazujących z niej pamięć i świadomość. Borys wziął ją za ramiona i delikatnie odsunął od siebie.

– Lepiej nie – powiedział i wymijając ją, poszedł wyrzucić potłuczone szkło.

Sabina stała chwilę bez ruchu na środku pokoju, a kiedy wyrwała się ze stuporu, podeszła do sekretarzyka, na którym stało jej wino. Napiała się z butelki i położyła na podłodze. Była już mocno wstawiona, ale teraz chciała zalać się w trupa.

ROZDZIAŁ 12

Czy można umrzeć ze wstydu? Sabina z pewnością mogła. Jeszcze nigdy tak bardzo nie zatrąła się alkoholem. Po przebudzeniu była wciąż pijana i nie od razu dotarły do niej echa wczorajszego wieczora. A kiedy przebłąski: ona sama w pokoju – Kasia za drzwiami – zbita lampa – Borys – przebijały się raz za razem przez zasłonę zamroczenia, nie potrafiła nawet odróżnić, co wydarzyło się we śnie, a co na jawie. Ale bezlitosna prawda musiała w końcu do niej dotrzeć i wtedy torsje, dreszcze i ból całego ciała przestały być jej głównym zmartwieniem. „Matko święta, jak mogłam tak wrednie nakłamać Kasi!?” – skrzywiła się. – Jak ja jej teraz spojrzę w oczy? Czy ja naprawdę chciałam dzwonić do Andrzeja i namawiać go, żeby do mnie wrócił? – Nie chciało jej się wierzyć, że nawet nie w pełni władz umysłowych wpadła na taki pomysł. – Chryste Panie i wszyscy święci!!! Nie, błagam, tylko nie to! Niech to będzie tylko koszmary sen, błagam, błagam, błagam!”, powtarzała, kiedy jak zza gęstej mgły wróciły do niej w końcu także fragmenty sceny nieudanej próby uwiedzenia Borysa. Wtedy właśnie poczuła, że śmierć ze wstydu nie musi być tylko figurą retoryczną. „Na pewno wszyscy już wiedzą. Kto zachowałby taką historię dla siebie... – Bardziej jednak dręczyło ją coś innego. – Nie chciał mnie. Nie przepuści żadnej panience na swojej drodze, ale mnie zwyczajnie olał. Co ja sobie wyobrażałam!?” Jestem stara i żałosna. Podniecająca jak kupa zwiędłych liści”.

Tak, chciała umrzeć. „Najlepiej będzie, jeśli po prostu nie wstanę z łóżka. Nie będę jeść, nie będę pić, nie będę się ruszać. W końcu zapadnę w sen, z którego już się nie obudzę”, ułożyła sobie kuszący plan. I rzeczywiście spędziła w ten sposób kilka godzin. Niestety kiedy organizm spalił wreszcie resztki alkoholu, poczuła wilczy głód. Nie mogła dokonać swoich dni w tym łóżku, bezpiecznie odizolowana od kpiących spojrzeń. Musiała z tym dalej żyć, co więcej – wyjść w końcu ze swego pokoju. I prawie się udało. Była już przy samych drzwiach pensjonatu, przemknąwszy pośpiesznie pustym korytarzem i jakimś cudem nie spotkawszy po drodze nikogo. Już, już widziała się na zewnątrz, kiedy zatrzymał ją głos:

– Pani Soniu, nareszcie!

Mimowolnie się odwróciła. W Mikołowie nikt nie używał jej pseudonimu, wszyscy nazywali ją prawdziwym imieniem, co bardzo jej odpowiadało. Instynktownie zjeżyła się, słysząc imię, od którego zdążyła się odzwyczaić. Od strony restauracji energicznie podążał w jej kierunku chudziutki jak patyk młodzieniec w bardzo dopasowanym garniturze. Jego uda w wąskich spodniach miały pewnie obwód zbliżony do jej przedramienia.

– Przepraszam, my się znamy? – Najchętniej uciekłaby, ignorując nieznanego, ale coś jej mówiło, by dla odmiany zachować się ostrożnie.

– Ja panią jak najbardziej, można powiedzieć nawet, że jak własną kieszeń! Żarcik, oczywiście. –

Mrugnął, oczekując chyba wybuchu śmiechu. Nic takiego nie nastąpiło, Sabina patrzyła na niego ponaglająco. – Już się rehabilituję. Kamil Arens. Nawet pani nie wie, jak przeogromnie mi miło poznać panią osobiście. Właśnie przyjechałem. Nie mogę się doczekać wspólnej pracy. Jestem taki podekscytowany!

Potrzebowała chwili, by skojarzyć fakty. Wspólna praca? O co mu chodziło? Widziała człowieka pierwszy raz w życiu.

– Cóż za urokliwe miejsce! – ekscytował się dalej przybysz. – Twórczy klimat po prostu wisi w powietrzu! Chyba tylko ktoś o wrażliwości nosorożca nie wyczułby tego z daleka. Idealne warunki do stworzenia scenariusza, jakiego nasi widzowie nawet się nie spodziewają!

Sabina poczuła się jak balonik, z którego w szybkim tempie uchodzi powietrze. No tak. A więc to był jej nadzorca narzucony przez bezlitosną telewizję.

– Miał pan wcześniej zadzwonić. – Nawet nie próbowała ukryć niechęci.

– Oczywiście. Próbowałem. I to wielokrotnie – odparł niezrażony młodzieniec. – Chyba ma pani coś z telefonem. Notabene, trzeba się tym zająć. Musimy mieć z panią stale kontakt. – Twardemu w treści komunikatowi towarzyszył słodki jak wata cukrowa uśmiech.

Patrzyła na niego osłupiała. Tempo, z jakim wypluwał z siebie słowa, nie wpływało dobrze na jej system nerwowy.

– To co, kiedy możemy zacząć? Może od razu? – Twarz Kamila Arensa znów rozciągnęła się w uśmiechu.

– Nie ma mowy – wypaliła bez namysłu. Najwyraźniej chłopak przeszedł specjalistyczne szkolenia z technik wywierania nacisku i narzucania innym swojego zdania. Absolutnie nie mogła mu pozwolić, by przejął nad nią kontrolę. – Właśnie wyjeżdżam załatwić coś pilnego. Nie będzie mnie cały dzień.

– O, to wielka szkoda. Cały dzień do tyłu... – zmarkotniał Kamil. – W takim razie może wieczorem usiądziemy chociaż na dwie godzinki?

– Dzień dobry – usłyszała z tyłu i od razu zeszywniała. Nawet nie musiała się odwracać do wchodzącego do pensjonatu Borysa, by jej twarz oblał purpurowy rumieniec. – Będzie pani na obiedzie? – spytał. Doszukiwała się w jego głosie znaczących tonów, ale nie była w stanie ich rozpoznać. Odważyła się za to do niego odwrócić. Miał kamienną twarz, patrzył na nią jakby rozmawiali pierwszy raz w życiu, jakby nie odstawiła przy nim tego żenującego przedstawienia.

– Kamil – wtrącił się bezceremonialnie jej wyelegantowany prześladowca. Od momentu pojawienia się Borysa nie mógł oderwać od niego rozanielonego wzroku i właśnie wyciągał do niego dłoń, błyskając uśmiechem. Sabina zauważyła, że przytrzymał rękę Borysa nieco dłużej, niż trzeba.

– Właśnie wyjeżdżam, mam coś do załatwienia, zjem dziś poza pensjonatem – odpowiedziała kelnerowi. Chciała jak najszybciej zniknąć mu z oczu.

– A ja bardzo chętnie wrzuciłbym coś na ząb. – Arens nie należał do osób zadowolających się rolą obserwatora. – Może coś pikantnego, to pasowałyby do atmosfery, jaka tu u was panuje. – Mało brakowałyby, a otarłby się o Borysa jak łaszący się kot.

– To zapraszam następnym razem – Borys zwrócił się do Sabiny, ignorując wysiłki eleganta.

– Do zobaczenia – rzuciła w powietrze.

Borys skinął jej głową na pożegnanie. Żadnych uśmiezków, zero dwuznacznych spojrzeń. Kiedy wchodził do restauracji, Kamil powiódł za nim łakomym wzrokiem, po czym odwrócił się jeszcze do Sabiny z komiczną miną i poruszając wargami, bezgłośnie wypowiedział do niej: „Ale boski”. Sabina tylko uniosła brwi i czym prędzej wyszła z pensjonatu. Wsiadła do samochodu i ruszyła, nie wiedząc jeszcze, dokąd pojedzie.

*

„Ani kropli wina więcej. Koniec! Herbatę popijać, zająć się uczciwą pracą, a nie same ekscesy, jeden za drugim, w dodatku każdy następny gorszy od poprzedniego!” A jeśli rzeczywiście jej się upiecze? Borys zachowywał się, jakby nic się nie stało. Może udawał przed nią, a za plecami i tak robi z niej pośmiewisko? Chyba że opatrność da jej jeszcze jedną szansę, a on jest ostatnim w swoim pokoleniu okazem dżentelmena. Nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju, i nie chodziło tylko o strach przed ośmieszeniem. Kiedy strząsnęła z siebie najbardziej dokuczliwe wspomnienia poprzedniego dnia, spróbowała przeanalizować to, co się stało. Nigdy wcześniej, w całym swoim czterdziestotrzyletnim życiu nie zachowała się wobec faceta tak nieobliczalnie i tak odważnie jednocześnie. Nie mogła przypisać całej winy nadmiernej ilości alkoholu we krwi. To nie wino, a w każdym razie nie tylko, stało się przyczyną tego, co zrobiła. Ono jedynie wyzwoliło w niej to coś. Borys był tak nieznośnie przystojny, że działał na każdego, kto znalazł się w polu rażenia jego męskiego seksapilu. Jednak ona niepostrzeżenie dla siebie przekroczyła granicę niewinnego fantazjowania o nadmorskim playboyu. Kiedy wrócił do niej ten moment, gdy ich ciała się zetknęły, przeszył ją dreszcz. „Cholera jasna, co się dzieje? Muszę się jakoś opanować. To się staje coraz bardziej niebezpieczne. Mogłabym być matką tego dzieciaka, a patrzę na niego jak na faceta!”

Jej rozmyślania przerwał dźwięk sygnalizujący nadejście esemesa. Rzuciła okiem na wyświetlacz: Jerzy. Jak na zawołanie. Od dłuższego czasu zbywała go, wymawiając się rozwodem i wyświechtanym tekstem: „Daj mi trochę czasu”, a on wyrozumiale trzymał się z daleka, dyskretnie przypominając, że czeka cierpliwie, jest do dyspozycji, wystarczy tylko jedno jej słowo. Przeczytała wiadomość: „Jak się masz, Sabina? W Gdańsku dziś piękna pogoda, czy u Was też takie słońce?” i pomyślała z żalem, że u jego boku wszystko byłoby jak należy. „To taki miły facet. Co jest ze mną nie tak, że nic do niego nie czuję?” Wtedy w głowie zaświtała jej szatańska myśl. A może to jest sposób, by przepędzić z głowy Borysa? Spróbuje z Jerzym jeszcze raz, postara się coś z siebie wykrzesać. Przecież przez wieki mądrzy ludzie wiązali się ze sobą najpierw z rozsądku, a uczucie przychodziło z czasem. Może

trzeba zaufać sprawdzonym sposobom. Wybrała jego numer.

– Cześć, Jerzy. Właśnie jadę do Gdańska. Może się zobaczymy? – wyrzuciła z siebie szybko, jakby bała się, że wystarczy chwila zwłoki i się rozmyśli.

– Fantastycznie! – w głosie Jerzego słychać było autentyczną radość. – Kiedy będziesz?

– Za jakieś półtorej godziny.

– Na co masz ochotę? Może zaczekam na ciebie z obiadem? Zjemy coś dobrego.

Sabina wolała jednak możliwie najmniej zobowiązującą formę spotkania.

– A może wybierzemy się do kina? Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam coś na dużym ekranie. Trochę dziczeję w tej mojej enklawie.

– Dobry pomysł. Sprawdzę, czy grają coś ciekawego. Cieszę się, że zadzwoniłaś – zakończył ciepło.

I tak, prawie dwie godziny później, wysiadała z samochodu na parkingu galerii handlowej, gdzie mieścił się kinoplex. Jerzy zgodnie z umową czekał na nią pod kasami. W dłoni trzymał bukiet róż.

– To dla ciebie – powiedział, wyraźnie rozpromieniony. – Bardzo się cieszę z naszego spotkania.

Mile zaskoczona tym szarmanckim, staroświeckim gestem pocałowała Jerzego w policzek, powtarzając sobie w duchu: „To jest facet dla ciebie, to jest facet dla ciebie!”. Jeszcze niedawno z góry odrzucała myśl o jakimkolwiek nowym związku, ale życie, jak to często bywa, nie chciało dostosować się do jej planów i szło własnym torem. Zaskoczył ją bieg ostatnich zdarzeń i to, co się z nią działo w obecności Borysa. Chłopaka, który zdecydowanie nie był dla niej, w przeciwieństwie do tego mężczyzny. Idealnie pasowali do siebie z Jerzym, jak skrojone na miarę części garderoby w najlepszym gatunku. Gdy dyskretnie mu się przyglądała w kinowym korytarzu, zdawał się pozbawiony jakichkolwiek słabych punktów. Kiedy obracał w dłoniach bilety na francuską komedię, jeden z największych od kilku lat sukcesów kasowych nad Sekwaną, na chwilę skupiła wzrok na jego paznokciach. Były wypielęgnowane, ale nie przesadnie, na pewno nie przekraczał granicy, za którą nadmierna męska dbałość o wygląd staje się śmieszna. Jego klasa objawiała się w każdym szczególe. Mogła sobie bez trudu wyobrazić ich wspólne życie – zbliżone zainteresowania i podobny status społeczny sprzyjały harmonii, a do tego jeszcze te pożądane cechy jego charakteru: wrażliwość i uważność na potrzeby innych. Jej powieściowe bohaterki szukały właśnie kogoś takiego – Świętego Graala pod postacią mężczyzny z krwi i kości, atrakcyjnego i ulepionego z coraz rzadziej występujących w przyrodzie elementów.

– Myślałem, że nie chcesz mnie już widzieć – odezwał się znienacka, odwracając się do niej z paczką orzeszków w dłoni. – Odniosłem wrażenie, że unikasz mnie od czasu naszego ostatniego spotkania.

A do tego cenił szczerość i nie unikał konfrontacji, mimo że groziło to zepsuciem bezpiecznej atmosfery.

– Może rzeczywiście trochę tak było. – Sabina postanowiła nie przesadzać z unikami. – Ale nie bierz tego do siebie. Chyba po prostu przestraszyłam się tempa. Mówiłam ci, nie czuję się gotowa na nowy związek. – Niestety, przy jego prostolinijności ona wciąż zachowywała się niczym mała zakłamaną kombinatorka.

Jerzy patrzył na nią wzrokiem pełnym zrozumienia, a ją aż skręcało w środku z zażenowania. Na szczęście nadeszła pora rozpoczęcia seansu. Popołudnie to raczej nietypowa pora na wyjście do kina, więc byli jednymi z nielicznych widzów na sali. Zgasły światła i po irytująco długim bloku reklamowym rozpoczął się film. Oglądanie lekkiej jak puszysta eklerka komedii, celnie punktującej przywary mieszczańskiego społeczeństwa sprawiało Sabinie przyjemność. „Widzisz, jak miło? – klarowała sama sobie w myślach. – W dodatku mogę z nim normalnie wyjść do ludzi i nikt nie pomyśli, że zabrałam do kina syna”. Chwilę później poczuła, jak do jej ręki na oparciu fotela przysuwa się ręka Jerzego. To oczywiście mogło być przypadkowe dotknięcie, jednak momentalnie zeszywniała. Jego palec znalazł się na jej dłoni, delikatnie ją muskając. Sabina nadal siedziała bez ruchu, ale chciała wziąć nogi za pas. Gwałtownie rosła w niej niechęć do towarzysza. Sama była sobie winna – ściągnęła go tu, mając niewypowiedzianą, acz wiszącą w powietrzu obietnicą. Przecież dla niego oznaczało to oczywiste zaproszenie do dalszej gry, a na tę Sabina tak naprawdę straciła ochotę, gdy tylko go zobaczyła. I choć przez cały czas wkładała dużo wysiłku w desperackie próby oszukania samej siebie, miała teraz w głowie jedynie otaczający ją z każdej strony wielki czerwony napis: UCIEKAJ! Nie wytrzymała. Zerwała się z fotela pod pretekstem udania się do toalety. Czuła na sobie odprowadzający ją wzrok Jerzego, który aż palił ją w plecy. W łazience oparła się o zimne kafelki i oddychała głęboko z zamkniętymi oczami. Pomysł, by pogrzebać niegrzeczne myśli o Borysie za pomocą ognistej randki z Jerzym, stawał się coraz bardziej niedorzeczny. „Niech to szlag trafi – przeklinała się w duchu. – Aleś wymyśliła, ty durna babo!”

Kiedy wróciła, po prostu obejrzeli film do końca, choć urok francuskiej farsy znikł bezpowrotnie. Gdy wychodzili z sali, Jerzy zapytał:

– Jesteś głodna? Bo ja bardzo. Może zamówimy coś przez telefon i pojedziemy do mnie?

Wpadła w panikę. Tego się nie spodziewała. Wizyta u niego w domu oznaczała jednoznacznie zarysowaną perspektywę seksu. Jerzy chyba postanowił zagrać *va banque*. „Nie, nie mogę tego zrobić”, powiedziała sobie stanowczo. Po pierwsze, nie byłaby w stanie się z nim kochać. Za pierwszym razem kierowała nią jeszcze ciekawość i potrzeba eksperymentowania. Teraz nie pokonałaby oporu ciała. A po drugie, nie mogła zrobić tego Jerzemu – naprawdę niczym sobie nie zasłużył na takie traktowanie. To byłaby skrajna nieuczciwość. Niestety, miała w głowie pustkę. Nie wiedziała, jak miałyby mu to wszystko wytłumaczyć, żeby go nie zranić.

– Chyba jeszcze nie zgłodniałam – odezwała się wreszcie, nie wymyśliwszy niczego sensownego. Aż skurczyła się w sobie na myśl, jak żałośnie to zabrzmiało.

– Sabina, nie musisz się do niczego zmuszać. Przecież widzę, co się dzieje – odezwał się Jerzy po chwili nieznośnej ciszy, kiedy zjeżdżali ruchomymi schodami na parking, a jej zrobiło się jeszcze bardziej głupio. – Jestem dużym chłopcem, możesz powiedzieć mi wprost, że chcesz, bym się od ciebie odczepił.

Spuściła głowę. Poczula się fatalnie. Zachowywał się wobec niej jak dojrzały, świadomy swoich pragnień mężczyzna, a ona niczym rozchwiana, wysyłająca sprzeczne sygnały trzpiotka. Może kiedyś wydawałoby się to urocze, ale nie była już dziewiętnastolatką, której takie zachowania mogłyby uchodzić na sucho.

– Dobrze, nie będę naciskał. Dzięki za kino. Zadzwoń, jeśli naprawdę będziesz chciała się ze mną zobaczyć. Trzymaj się! – powiedział, dobijając ją ostatecznie.

Nie miała chyba jeszcze do czynienia z facetem z taką klasą. I pewnie już nie będzie miała, bo właśnie udał się sprężystym krokiem do swojego stalowego audi, zostawiając ją z przykrym poczuciem niezadowolenia z samej siebie. Gula w żołądku towarzyszyła jej przez całą drogę powrotną do Mikołowa. Po raz sto pięćdziesiąty roztrząsała przebieg randki, która w ogóle nie powinna się odbyć.

Do tego przypomniała sobie, że nie bardzo może wrócić teraz do „Afrodyty”, gdzie slalom między jej mrocznym obiektem pożądania a funkcjonariuszem koncernu medialnego był zdecydowanie ponad jej siły. Zamiast pełnego greckich aromatów obiadu zjadła odgrzaną w mikrofalach mrożonkę w przydrożnym zajeździe. Do późnego wieczora jeździła bez celu po okolicznych drogach. Zrobiło jej się sobie żal, bo to tak jakby była bezdomna – nie mogła mieszkać we własnym domu, a przez własną głupotę nie czuła się już swobodnie w ulubionym miejscu, które udzieliło jej gościny. Odważyła się wrócić dopiero przed północą, gdy życie pensjonatu powoli zamierało. Niezauważona przez nikogo dotarła do pokoju i chciała od razu pójść spać, ale przed położeniem się do łóżka otworzyła jeszcze laptopa. Ledwo zdołała połączyć się z internetem, zabrzmiał dzwonek Skype’a. RÓŻA – głosił napis na ekranie.

– Haj, jak samopoczucie?

W tym, zdawałoby się, niewinnym pytaniu wyraźnie pobrzmiwał prześmiewczy ton. Sabina już miała odpowiedzieć, kiedy założywszy okulary na nos, dostrzegła, że z ekranu patrzy na nią stworzenie o włosach w kolorach fuksji i bladego seledynu, z siwymi pasemkami, w dodatku wygolone z jednej strony nad uszami.

– Róża, coś ty ze sobą zrobiła!? Co to za fryzura?

– *Oh my fucking God!* – fuknęła dziewczyna. – To jest najważniejsze, twoje mieszczańskie upodobania! Tak, dobrze widzisz. Pozbyłam się tych anielskich loczków, wyglądałam w nich jak dziewczyna z sianokosów! Sabina, *sorry*, ale ja nie jestem *some fucking girl from the neighborhood*. A poza tym *seriously*, tylko to masz mi do powiedzenia? Co, nie podoba ci się mój *haircut*?

I znów straciła cały rezon, jak podczas każdej rozmowy z córką. Nie przestawało jej szokować, choć teoretycznie powinna się już była przyzwyczaić, że jej córeczka, kiedyś taka rozsądna, zmieniała się w nieznośną diabolicę.

– Róża, kochanie. – Rozłożyła bezradnie ręce, próbując załagodzić sytuację. – Wcale nie powiedziałam, że mi się nie podobasz w tych nowych włosach. Po prostu zaskoczyłaś mnie i tyle.

– *Oh, please.* – Różowo-zielona głowa kręciła się z dezaprobatą. – Uważaj, bo ci uwierzę. Poczekaj chwilę. – Dziewczyna odeszła od ekranu, sięgając najwyraźniej po komórkę. – O, moja nowa mama do mnie napisała – zaśmiała się ironicznie i przysunęła telefon do kamery w laptopie, tak by Sabina mogła zobaczyć wyraźny podpis: Dobruśka.

Serce ją zabolowało, aż dyskretnie się za nie chwyciła.

– No to mów wreszcie. – Róża bynajmniej nie zauważyła matczynego drżenia. – Mów, bo po to dzwonię. Jak znosisz taką fajną nową dziewczynę taty? Bo według mnie ta Dobrochna jest naprawdę świetna. Jest tak totalnie inna niż wszyscy. *Seriously*, moglibyście się od niej uczyć, jak być prawdziwym człowiekiem. Obserwuję ją teraz na fejsie, siedzimy godzinami na czacie i gadamy. Naprawdę jest *awesome*! Dobrze by ci zrobiło, gdybyś i ty poznała inny świat i wyjrzała poza czubek własnego nosa. Tam też są ludzie! *Helouuu!*

Po Sabinie od dobrych paru chwil było już widać narastające zirytowanie, ale fraza o „prawdziwym człowieku” przepełniła czarę goryczy.

– Róża – powiedziała, siląc się na spokojny ton – czy ty mi możesz powiedzieć, o co ci właściwie chodzi? Dzwonisz do mnie, by mi powiedzieć o człowieczeństwie pani Dobrochny?

– *Eem, yes.* Bo chyba powinnaś to wiedzieć? Że twoja córka jest mega *happy*, ponieważ jej ojciec związał się z kimś, kto jest totalnie ponad wami. Z osobą niezmanierowaną. Z autentyczną kobietą, która nikogo nie udaje. Czy ty nie życzysz nikomu szczęścia? Czy dla ciebie liczy się tylko twoje własne? – Im dłużej córka przemawiała tym natchnionym tonem, tym bardziej matka zapadała się w swoim krześle. – *But why so quiet*, Sabina? Boisz się przyznać, że przegrałaś ten pojedynek? Bo ojciec wybrał kogoś, kto się nie boi być sobą?

– Chyba już wystarczy. Rozumiem, że jesteś zadowolona z wyboru ojca. To wspaniale. Ale teraz, jeśli pozwolisz, rozłączę się. Mam robotę. – I nie czekając na protesty córki, z ulgą nacisnęła przycisk „rozłącz”.

Zapadła cisza. Sabina pociągnęła nosem. Było jej naprawdę bardzo przykro. Nie chodziło, rzecz jasna, o zazdrość. Nie miała żadnego problemu z tym, że Andrzej odnalazł szczęście u boku o połowę młodszej koleżanki z grupy rekonstrukcyjnej (co prawda zaskoczyło ją, że stało się to tak szybko, bo choć i ona nie dochowała wierności małżeńskiej do momentu rozwodu, to jednak uważała swojego męża za safandulę, nieatrakcyjnego dla płci przeciwnej). Jego romans był jej w gruncie rzeczy na rękę. Róża ubodła ją do żywego czymś innym. Córka konsekwentnie traktowała ją jak wroga

i wzbraniała się przed odzyskaniem utraconego kontaktu z matką, ale wystarczyło pięć minut, by jakaś panienska przyodziana w surowe płótno i skóry znalazła drogę do jej serca. Czym Dobrochna zasłużyła sobie na miano „autentycznej”? To niby w oczach własnego dziecka Sabina jest podróbą? To było ponad jej siły. Zrezygnowana zamknęła komputer i przez chwilę siedziała w ciemności, wsłuchując się w szum wiatru w gałęziach sosen, aż wreszcie usnęła.

ROZDZIAŁ 13

Myślała, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Że Zbych i jego ekipa już na zawsze zostaną w małym domku na klifie, a dźwięki ich młotów, wiertarek oraz przeboje z Radia Zet nigdy stąd nie znikną.

„A jednak Bóg istnieje”, myślała Sabina, stojąc przed wejściem do wyremontowanego domku i dzierżąc w ręce klucze, które Zbych jej oddał, wymieniając się z nią na ostatnią garść „kapuchy” potrzebnej tym razem na benzynę.

– Bierz pan, bierz pan wszystko. – Wręczyła mu plik banknotów i niemal wypchnęła go za bramę.

W gardle miała gulę. Nie wiedziała, czy to wzruszenie, czy raczej lekki przestрах na myśl o tym, co zobaczy w środku. Niespecjalnie przecież kontrolowała prace ekipy. Z zewnątrz dom wyglądał pięknie. A co jeśli Zbych wbrew jej zaleceniom dał upust swej fantazji i skłonności do złocen? Otworzyła drzwi z duszą na ramieniu. W nozdrza uderzył ją zapach schnącej farby i lakieru do drewna. Zapaliła światło i oniemiała. To, co ukazało się jej oczom, przeszło wszelkie oczekiwania. Świetliste, przestrzenne, ascetyczne wnętrze, ale wciąż przytulne, pełne jasnego drewna sprawiło, że aż zagwizdała z uznania. Ostrożnie stawiała kroki po nowym parkiecie, pachnącym świeżo ciętym drewnem, i rozglądała się naokoło. Salon i kuchnia były po prostu... piękne. Pozbycie się boazerii optycznie je powiększyło i nadało im lekkości. Proste, jasne i ograniczone do niezbędnego minimum meble z białego jesionu, w większości wykonane na miarę przez miejscowego stolarza, tworzyły nienachalnie elegancki, skandynawski klimat. Wystarczyło tylko dodać nieco drobiazgów, by dopełnić dzieła.

Przypomniała sobie o czymś. Zanim do domu weszła ekipa remontowa, schowała w piwnicy jedną jedyną rzecz, którą postanowiła zachować po poprzednich właścicielach. Trochę dla żartu, a trochę z powodu nieokreślonego sentymentu zatrzymała wiszący w przedsionku olejny pejzaż, przedstawiający zachód słońca nad morzem. Wielka kula słońca miała kolor ogniście pomarańczowy i chowała się we wzburzonych falach. Kicz w czystej postaci. Sabina wyciągnęła owinięty w gazety landszafcik, odpakowała go i uśmiechnęła się. Weszła z nim do salonu. Rozejrzała się i postawiła obraz na szczycie kanapy stojącej w centralnym miejscu pokoju, opierając go o ścianę. Odeszła kilka kroków. Przyjrzała się z różnych perspektyw. Tak, znalazła idealne miejsce. Trzeba będzie tylko wbić haczyk. Odetchnęła pełną piersią. Było dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła, aż do oczu napłynęły jej łzy.

– Nareszcie. Jestem w domu.

Usiadła na drugiej ze stojących w pomieszczeniu kanap, tej ustawionej naprzeciwko przeszklonej ściany z wyjściem na taras i widokiem na jej własny kawałek morskiego krajobrazu. Zasluchana w sztormowe odgłosy, przymknęła oczy. Później wyszła na werandę, która powiększona i oszklona

stanowiła teraz najpiękniejszy ogród zimowy. Zbychu wstawił tu biurko i tym samym przygotował Sabinie pokój do pracy, jakiego nie ma nikt na świecie. Morze widoczne w oddali przez wielkie szyby głośno szumiało. Usiadła na chwilę w skórzanym fotelu i bębniąc palcami w biurko, pomyślała: „No to chyba pora zacząć coś pisać...”. Weszła też na górę, by zobaczyć, jak majster poradził sobie z sypialnią, i doznała szoku. Biła się w piersi, że nie doceniała profesjonalizmu swojej ekipy. Może urzędowali tu trochę dłużej, niż powinni, może kosztowało ją to dwa razy drożej, niż się umawiali, ale efekt był zachwycający. „Lucyna zaraz zrobiłaby tu sesję zdjęciową dla wnętrzarskich magazynów – doszła do wniosku, ale szybko odgoniła tę myśl. – To już na szczęście przeszłość!”

Kartony z ubraniami, talerze, kubki, gary – całe wyposażenie domu czekało na rozpakowanie. Sabina, promieniejąc szczęściem, zakasała rękawy, nastawiła wodę na ulubioną herbatę, włączyła płytę z ulubioną operą na takie radosne okazje, czyli *Weselem Figara*, i fałszując niemiłosiernie, podśpiewywała i ustawiała kubki na nowych półkach. Tak, życie czasami bywa znośne!

Kiedy zaczęło się ściemniać, zapaliła lampy i dom od razu się rozjaśnił. Sięgając do kartonu po kolejną partię talerzy, spojrzała nagle w czarny kwadrat okna. „A jeśli tam ktoś jest?”, przeleciało jej przez głowę i natychmiast zaciągnęła białe kotary, tak by nikt nie mógł zajrzeć do jej królestwa. Przebiegła przez cały dom, starannie zasłaniając wszystkie okna, po czym zeszła na dół. Sprawdziła ponownie, czy zamknęła drzwi, i nalała sobie kieliszek wina.

– Jasna cholera – mruknęła. – Czemu nic nigdy nie może być proste?

Mozart się skończył i w domu zapanowała cisza. Sabinie wydało się nagle, że słyszy kroki na zewnątrz. Stanęła bez ruchu i wstrzymała oddech. Chciało się jej płakać. „A jeśli tam jest ten domorosły paparazzo? Jeśli się skrada? Jeśli w nocy włamie się do domu?” Sięgnęła do szuflady i wyjęła wielki nóż do krojenia chleba. Tak, nie przesłyszała się! Ktoś tu łazi! Poczowała, jak żołądek podjeżdża jej do gardła, a serce łomocze w piersiach. Na palcach podeszła pod drzwi wejściowe. Ktoś tam stał, słyszała chrobot i szuranie. I nagle rozległ się dźwięk dzwonka. Sabina wrzasnęła, następnie szybkim ruchem, nie zastanawiając się, otworzyła drzwi i wymierzyła w ciemność długi ząbkowany nóż.

– Aaaa, zabiję cię! – wychrypiała. – Zabiję!

Z ciemności wyłoniła się przerażona twarz.

– Niech mi pani nic nie robi, proszę, błagam, proszę mi darować – wyjąkał pobladły człowiek. – Ja tylko chciałem polecony dostarczyć.

Sabina wstrzymała na chwilę oddech i zmrużyła oczy. „Nie, to jakiś sen – pomyślała, czując w dłoni trzonek noża. – Czyżbym właśnie przed chwilą zaatakowała listonosza nożem do chleba?” Szybkim ruchem schowała broń za siebie i zrobiła przeproszającą minę.

– Niech mi pan wybaczy, myślałam, że to ktoś inny.

Zdenerwowany i przestraszony mężczyzna niepewnie wyciągnął dłoń z kopertą.

– Ja tylko polecony chciałem.

– Proszę do środka, niech pan się nie boi – dodała, otwierając szerzej drzwi.

– E, nie. – Przystąpił z nogi na nogę. – Nie, ja tylko tu podpis poproszę... – Sabina postanowiła jednak działać, zanim listonosz stąd wyjdzie i pójdzie w świat przekonany, że słynna pisarka jest chora psychicznie i atakuje ludzi nożem do chleba.

– Proszę pana – zaczęła – to wszystko nie tak. Nie witam w taki sposób każdego, kto tu przychodzi, przysięgam. Ja naprawdę myślałam, że pan jest psychopatą z aparatem fotograficznym i chce mi robić zdjęcia. – Mężczyzna nadal patrzył na nią z rezerwą, ale najwyraźniej lody zostały przełamane. – Bo wie pan, ktoś mnie tu już śledził i nagrał pod własnym domem, i... – Sabinie zrobiło się żal samej siebie, aż zaszklily się jej oczy. – Przepraszam, muszę wytrzeć nos.

Listonosz sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął paczkę chusteczek higienicznych.

– Proszę, niech pani weźmie.

– Dziękuję. – Sabina bezskutecznie usiłowała wyjąć chusteczkę jedną ręką.

– Pani da ten nóż. – Listonosz wyciągnął dłoń. – Potrzymam.

Wytarła nos i popatrzyła na stojącego w progu człowieka z torbą listonosza i z nożem w dłoni. I nagle zachichotała. Listonosz też poczuł komizm tej sytuacji i w jednej chwili oboje parsknęli śmiechem.

– Niechże pan wejdzie dalej, podpiszmy te papiery jakoś wygodnie – powiedziała Sabina, gdy już się uspokoił.

Listonosz zagwizdał na widok wnętrza:

– Ależ pani się tu urządziła!

Spojrzała na niego z lekkim przestraczeniem, czy z torby zamiast listów nie wyciągnie aparatu i nie cyknie fotek. Może to fałszywy listonosz?

– Co mi się pani tak przygląda?

Zrezygnowana pokręciła głową.

– Wiem, zaczynam się zachowywać jak wariatka, ale od czasu tego nagrania czuję się jak na celowniku. Ciągłe mi się wydaje, że ktoś mnie śledzi.

– Tja... Ktoś wyciął pani niezły numer. Słyszałem od bab w sklepie – dodał, drapiąc się po głowie.

– A nie mówiły przypadkiem kto? – spytała z lekkim przekąsem.

– Ano nie. Same się zastanawiały, kto tu taki durny w tej naszej wsi.

– Też jestem ciekawa – mruknęła.

– Wie pani, nam to głupio jest z tego powodu. Ja mówiłem nawet wtedy w sklepie, że pani to nasza duma powinna być, bo mamy taką znaną osobę na wiosce.

Uśmiechnęła się tylko i machnęła ręką.

– Takie życie. Podpisane. – Podała mu karteluszek. – To wszystko?

– Tak. – Schował go do przepastnej torby, po czym spojrzał uważnie na kobietę. – Pani Sabino, pani się nie martwi. Ja się tym zajmę.

Kiedy za listonoszem zamknęły się drzwi, usiadła ciężko na krześle w kuchni i spojrzała na nóż do chleba leżący na stole.

– Muszę się uspokoić. Po prostu.

Telefon piknął sygnałem nadejścia wiadomości: „Sabina, zawijaj się do nas, za pół godziny zaczynamy warsztaty”.

Kasia i Teo uparli się, by poza sezonem animować życie kulturalne mieszkańców okolicy. Wymyślili dyskusyjny klub filmowy połączony z gotowaniem. Dziś w planie była kolacja w stylu *Ojca chrzestnego*. O dziwo, chętnych na tę zabawę nie brakowało. Sabina, choć początkowo wcale nie miała takiego zamiaru, po incydencie z listonoszem postanowiła wyjść do ludzi, nim popadnie tu w całkowitą paranoję. „A co, jeśli spotkam Borysa?”, zatrzymała się w progu, ubrana już w kurtkę i ciepłą czapę. Co prawda wciąż czerwieniła się na wspomnienie pijackiego wysokoku, ale zważywszy na zachowanie chłopaka, miała nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach. Gdyby z powodu idiotycznej sytuacji między nimi musiała ograniczyć wizyty w „Afrodyce”, chyba strzeliłaby sobie w łeb.

Prowizoryczna sala kinowa urządzona w restauracji była prawie pełna. Właśnie kończyła się rozmowa o filmie. Sabina przysłuchiwała się dyskusji, stojąc nieco z boku, by nie wpaść na Borysa. Nie zauważyła go jednak i mimo wszystko odetchnęła z ulgą. Kiedy poczuła znużenie dyskusją, ruszyła na poszukiwanie Kasi i znalazła ją wreszcie w biurze pochyloną nad fakturami. Zastukała we framugę.

– Chodź, zróbmy sobie przerwę, opowiem ci, co dziś odstawiłam.

Tymczasem w sali kinowej prowadzący spotkanie lokalny redaktor Krys Konrad (prywatnie wielki fan serii i Ala Pacino) podniósł kwestię lojalności i odpowiedzialności za członków „rodziny”.

– A skoro o tym mowa. – Podniosła się nagle ruda głowa Janeczki ze sklepu. – To przyznać się, kto nagrał naszą pisarkę!

– Właśnie! Żeby się człowiek we własnym domu nie mógł czuć bezpiecznie! No kto to widział!? – dołączyła do niej kolejna osoba.

– A to nie był jakiś patałach z aparatem, co z Warszawki przyjechał? – Krys Konrad postanowił zasiać ziarno wątpliwości.

– A nie był! – odcięła się ruda. – Bo to amatorskie nagranie komórką, a poza tym sami w gazecie o tym napisali.

– Może zarobić chciał.

– Kto?

– No, nagrywacz.

– Donosiciel!

– Znajdźmy go! Przecież dzisiaj ona, a jutro my. Nas też nagra i poleci do gazety.

– Waldek, a kto by ciebie tam chciał. – Redaktor aż zatrząsł się ze śmiechu.

– Może by i nie chciał, ale ja tam wolę gówniarza przytrzymać na chwilę.

– A skąd wiesz, że gówniarz?

– A kto poważny by wpadł na taki pomysł?

Wszyscy jak jeden mąż pokiwali głowami. Ruda Janeczka wstała i nieznoszącym sprzeciwu głosem zarządziła:

– Znajdziemy go i już. Niech każdy się rozejrzy wokół siebie.

– A kara?

– Jest zbrodnia, będzie i kara. – Kobieta przybrała srogi wyraz twarzy. – Popamięta gagatek! Już ja coś wymyślę.

Tymczasem do sali wszedł Teo, niosąc miskę pełną mąki, i zapowiedział:

– Gotujemy! Gnocchi *à la* Ociec Szesztny!

Sabina, wychodząc od Kasi, zerknęła w stronę rozbawionego tłumku – towarzystwo pałaszowało z apetytem godnym włoskiej rodziny ziemniaczane kluseczki w rozmaitych sosach. Pensjonat rozbrzmiewał wybuchami śmiechu. „Następnym razem muszę do nich dołączyć”, pomyślała, uświadamiając sobie chwilę później, że jeszcze kilka miesięcy temu, w Warszawie, nigdy nie przyszedłby jej do głowy pomysł wspólnego gotowania z obcymi ludźmi.

*

Pierwszy poranek w wyremontowanym domu nie mógł rozpocząć się lepiej. Zaparzenie kawy we własnej, lśniącej nowością kuchni okazało się prawdziwą rozkoszą. „Co za szczęście, że się ciebie nie pozbyłam”, zwróciła się w myślach do swego kosztownego ekspresu. Była naprawdę w znakomitym humorze. Ogrzewanie działało bez zarzutu i mogła przechadzać się po domu tylko w lekkim szlafrocisku. Ciągłym zachwytem nie było końca. „Prędko mi się to raczej nie znudzi”, uznała, włączając na całą głośność płytę z hitami Arethy Franklin.

Najpierw przezornie wyjrzała przez okna, upewniając się, czy komuś przypadkiem znowu nie przyszło do głowy jej odwiedzić, i dopiero wtedy wykonała szalony taniec radości na środku pokoju. Kiedy się trochę uspokoiła, postanowiła dobrze wykorzystać ten dzień. Taki symboliczny nowy start. Może nie wszystko, od kiedy się tu przeniosła, poszło po jej myśli, ale teraz będzie już tylko lepiej. „Zaczynam normalnie funkcjonować. Wreszcie będę mogła skupić się na pisaniu. W takich warunkach nie może się nie udać”, układała w głowie plan działania. I naprawdę w tej chwili w to wierzyła. Była w końcu na swoim, więc blokada też odpuści, a ona znajdzie właściwe słowa, by opisać to, co w niej

drzemie. Tak, siadała teraz w swojej oszklonej pracowni z najbardziej luksusowym widokiem pod słońcem ze świeżym entuzjazmem i wiarą, że tym razem zacznie.

Wyszło jak zwykle. Przez głowę przelatywały jej setki myśli i obrazów – na pierwszy plan wysuwały się przyjemne fantazje o kolejnych dniach ze zmieniającymi się kolorami morza za oknem. Jednak nie znalazła nic, co mogłaby przekuć w swoją powieść. Nosiło ją. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Tyle miała jeszcze do rozpakowania, poukładania i wypróbowania: czy nie przestawić fotela bardziej na prawo, a stół odrobinę przesunąć pod ścianę. Po kilku godzinach takiej krzątany była trochę zmęczona, ale wciąż pełna energii. „Dobiję się przebieżką”, postanowiła, bo ostatnio trochę się zaniedbała. Ubrała się na cebulkę i wyszła na rzeńskie powietrze.

Mróz porządnie szczypał w policzki. Sabina już po kilku pierwszych metrach pokonanych lekko przyprószoną białym pyłem plażą poczuła, że krew w żyłach płynie jej szybciej. Trasa brzegiem morza przeniosła jej umysł w inny wymiar. Biegła przed siebie, nie licząc czasu. Po drodze spotykała tylko pojedyncze mewy, idealnie dopasowane kolorystycznie do biało-szarawego podłoża. Zanurzona w rozmyślaniach, nie zauważyła, gdy śnieg nagle zaczął wirować wokół niej. Dopiero gdy zamieć weszła jej w drogę, utrudniając posuwanie się do przodu i wciskając się w odsłonięte fragmenty twarzy, rozejrzała się bardziej przytomnie. Ciemna chmura wisiała nisko nad powierzchnią morza, a wiatr wyraźnie zwiększył siłę. Postanowiła zawrócić – raczej nie uniknie nawałnicy, ale przynajmniej będzie biegła z wiatrem. Miała przed sobą kawałek drogi, więc przyspieszyła. Świst wichury zagwizdał jej w uszach bardziej przenikliwie niż dotąd i wtedy się potknęła. Jej stopa boleśnie wykręciła się w grząskim piasku. Próbowwała rozmasować kostkę i pobiec dalej, ale nie mogła. Przy każdym kroku przez całe jej ciało przechodził prąd bólu. „Żeż, kurewka”, zaklęła w myślach i rozejrzała się zaniepokojona. Przyroda wokół nie wydawała się skora do współpracy – złowroga chmura właśnie zaczynała wysypywać z siebie swoją zawartość i wyglądało na to, że Sabina nie ma szans uciec przed burzą śnieżną. Kuśtykała z wysiłkiem, szacując odległość dzielącą ją od domu. Na pewno ponad kilometr, a w takich warunkach i ze skrzyconą nogą dystans wydawał się co najmniej dwa razy dłuższy. „Nie miała baba kłopotu...”, dokuczała sobie nieco rozpaczliwie, wspominając doskonały poranny nastrój. Z nogą było coraz gorzej, a do tego zaczęła tracić siły, walcząc z wiatrem i zacinającym śniegiem. Właśnie wtedy na horyzoncie dostrzegła niewyraźną postać. Zbliżała się w jej kierunku, chyba biegła. „Nie wierzę, by jeszcze ktoś oprócz mnie wpadł na genialny pomysł joggingu w taką pogodę”, zdążyła pomyśleć, kiedy ze zdziwieniem rozpoznała biegacza. Był to... Borys. Rzadko spotykała tu innych amatorów biegania, a jeśli już, to zazwyczaj turystów z „Afrodyty”, którzy pojawiali się na chwilę i znikali szybko w swoim świecie. Nikt stąd nie zdradzał do tej pory inklinacji do uprawiania sportów na świeżym powietrzu, a tu proszę, dziś spotyka właśnie jego. Nie miała jednak czasu, by to dalej roztrząsać.

– Idealna pogoda do biegania, co? – zawołał Borys, machając do niej. Ledwo go słyszała wśród zawodzenia wiatru.

– Ładna jest dla mięczaków – próbowała zabrzmieć wesoło, ale nie do końca jej się to udało.

– Coś się stało? – zapytał, gdy dobiegł do niej i zauważył, że nie porusza się normalnie.

– Chyba skręciłam kostkę.

– Pomogę pani. – Bez wahania podszedł bliżej i zanim zdążyła zaprotestować, oparł jej ramię na swoim. – Możemy? – upewnił się, ruszając ostrożnie.

Wsparta na nim, poczuła ulgę. Ból nie był już tak dokuczliwy.

– Dzięki. Chyba nie wyostałabym się sama z tej plaży – odezwała się wreszcie, kiedy schodzili już ścieżką przy wydmach prowadzącą do jej domu.

– Nie ma sprawy. Dobrze, że akurat tamtędy biegłem.

Gorączkowo zastanawiała się, czy powinna go teraz zaprosić do domu. Wypadałoby. W końcu jej pomógł, a na dworze szalała zamieć. Miała go tak zostawić? A jeśli coś sobie pomyśli? Że ona znowu będzie chciała się na niego rzucić?

– To ja spadam. Mam nadzieję, że z nogą to nic poważnego. – Borys zaczął się wycofywać, kiedy odprowadził ją pod same drzwi. Śnieg sypał z uporem godnym lepszej sprawy.

– To może... zapraszam na herbatę. Przeczeka pan u mnie tę nawałnicę. Proszę się nie obawiać, jestem trzeźwa. Będę grzeczna – rzuciła jeszcze szybko, nie patrząc na niego, a on się roześmiał.

– Obiecuje pani? Na pewno jestem bezpieczny?

Spojrzała na niego, upewniając się, że z niej nie kpi. Jego śmiech rozbijał niesławny wieczór w „Afrodyce” z wstydliwego ciężaru. Ona też uśmiechnęła się półgębkiem.

– Jak ładnie. – Borys rozglądał się po kuchni, szczękając zębami z zimna. Oboje przemokli do suchej nitki.

– Ojej, może znajdę dla pana coś do przebrania. – Gdy tylko usłyszała własne słowa, zaklęła w myślach. „Cholera! I po co to powiedziałam? Znowu wyjdzie na to, że chcę go rozbierać”. Skierowała się na piętro, by poszukać czegoś suchego i ciepłego – dla nich obojga. Mniej więcej pośrodku schodów znowu odezwała się kontuzja kostki. Samodzielne chodzenie najwyraźniej jej nie służyło. Jakoś dokuśtykała do sypialni i przylegającej do niej garderoby. Wyciągnęła dwie pary dresów – w jedne od razu się przebrała, a drugie zabrała ze sobą. Schodziła, trzymając się poręczy i skacząc na zdrowej nodze. Kiedy tak balansowała, wypadło jej z rąk ubranie dla Borysa, a gdy próbowała je podnieść, jęknęła z bólu.

– W porządku? – Borys wyjrzał na korytarz i zobaczył ją, jak bezradnie rozmasowuje kostkę. – To rzeczywiście może być coś poważnego. Mogę spojrzeć?

Brzmiał pewnie, jakby codziennie miał do czynienia z urazami ortopedycznymi. Pokiwała głową, nie miała wyjścia. Usiadła na schodku, a on ukląkł przy niej i delikatnie podniósł jej stopę.

– Zna się pan na tym? Jak pan pozna, co zrobiłam sobie z nogą? – Czują przymus prowadzenia rozmowy. Podniósł na nią wzrok.

– Nie męczycy już pani trochę to pan-pani?

Zaskoczył ją. Sama nawet wcześniej pomyślała, by zaproponować mu przejście na ty, ale ostatecznie postanowiła się nie wyrywać.

– Sabina. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Borys – odpowiedział jej tym swoim oszłamiającym uśmiechem i od razu, zanim zdążyła go odwzajemnić, skupił się na jej stopie.

Jego dotyk, zdecydowany i delikatny jednocześnie, sprawił, że oblała ją fala gorąca.

– Hmm, chyba nie jest skrecona, to tylko lekki uraz, pewnie do jutra przejdzie. – Ręce Borysa sprawnie przesuwały się po jej skórze, wyczuwając pod nią każdą kostkę. Wyglądał jak skoncentrowany na badaniu lekarz, a ona z przerażeniem czuła przechodzące przez jej ciało dreszcze. – Na moje oko wystarczy to rozmasować. – Spojrzał na nią, jakby upewniał się, czy się zgadza. Sabina nie mogła zareagować w sensowny sposób, bo właśnie wkładała całą energię w to, by nie dać po sobie poznać, co się z nią dzieje.

– Mhmm – mruknęła tylko, starając się usilnie, by zabrzmiało to jak coś w rodzaju normalnej odpowiedzi.

– Może przeniesiemy się w wygodniejsze miejsce – zaproponował, ale tym razem nawet nie czekał na jej odpowiedź. Po prostu wziął ją na rękę, a ona nie mogła ani nie chciała protestować.

Co tu się działo? Czy on tylko pomagał jej pozbierać się po drobnym wypadku, a ona reagowała niewspółmiernie do okoliczności, samotna kobieta wariująca w obecności wyjątkowo przystojnego faceta? Niósł ją jak duże dziecko do salonu. Sabina objęła go za szyję. Widziała, jak pulsuje mu na niej żyła, kiedy się porusza. Czuła lekko piżmowy zapach jego skóry i bijące od niej ciepło.

– Przecież ty jesteś cały mokry.

– Rzeczywiście – odparł i ułożył ją na kanapie. Stał nad nią i zdjął bluzę przez głowę. Jego mocny, wyrzeźbiony tors poruszał się miarowo w rytm oddechu. Nie mogła oderwać wzroku od jego ust, chciała poczuć, czy są tak miękkie, na jakie wyglądają. Usiadł przy niej i ujął jej stopę w dłoń. Zaczął masować okrężnymi ruchami w górę i w dół. Popatrzył jej przy tym w oczy i nie było to niewinne spojrzenie. Poprowadził rękę wyżej, pieszcząc jej łydkę. Odbywała się tu jakaś gra, od której kręciło jej się w głowie. Jeszcze chwila i nie będzie dla niej odwrotu.

– Co ty robisz... przecież nie chciałeś. – Ledwo panowała nad oddechem.

– Wtedy byłaś pijana. Miałaś potem żal do siebie i do mnie.

I w tej chwili poddała się temu. Odnaleźli swe ciała bez trudu, idealnie dopasowani. Borys nie potrzebował podpowiedzi. Nie miał w sobie nic z nieśmiałego kochanka. W jednej chwili przestała widzieć w nim chłopca. Jego ręce bez wstydu sięgnęły pod jej bluzę, znajdując nabrzmiałe oczekiwaniem piersi. Całował jej szyję, a ona odchyliła głowę, by odsłonić więcej miejsca jego wargom. Ale to jej nie wystarczało. Musiała sama spróbować jego ust, przyssała się do nich

niecierpliwie. Jego język stał się jej językiem. Wpijali się w siebie łapczywie, by po chwili smakować też innych miejsc. Czujny na każdą jej reakcję, bezbłędnie, jakby prowadzony za rękę, a przecież bez podpowiedzi, rozpoznawał najbardziej wrażliwe punkty. Objął ustami jej sutek, a ręką zjechał do podbrzusza i niżej. Usłyszała jego głębokie westchnienie, gdy poczuł w niej lepką wilgoć. Rozszerzyła nogi, wpuszczając jego palce do środka. Pieścił ją, doprowadzając na skraj omdlenia – drażnił się z nią, penetrując jej wnętrze głęboko, by po chwili się cofnąć i zatrzymać w pół ruchu, zostawiając ją drżącą w oczekiwaniu na więcej. Ściągnął z niej spodnie i rozsunął nogi szerzej. Pozwoliłaby mu teraz na wszystko. Jej piersi falowały coraz szybciej. Przywarł do niej ustami i zlizywał jej soki, nie mając wciąż dosyć. Rozwierała się przed nim coraz bardziej, jej uda drżały. Kołysała biodrami, jakby jego język wprawiał je w ruch. Straciła kontakt z rzeczywistością – cały wszechświat wypełniła omdlewająca rozkosz. On sięgnął ręką do jej piersi i nie cofając głowy spomiędzy jej ud, ścisnął sutek aż do granicy bólu. Wtedy przez jej ciało przeszedł wstrząs silniejszy niż poprzednie, który po chwili rozpadł się na milion impulsów rozchodzących się promieniście po jej skórze. Wyładowanie trwało długie sekundy i wstrząsało jej ciałem raz za razem.

Nie wiedziała, ile to trwało, ale kiedy ocknęła się z czegoś w rodzaju omdlenia, zobaczyła Borysa przytulonego do jej brzucha. „Co ja zrobiłam?”, pomyślała, a on, wyczuwając jej spojrzenie, podniósł głowę. Uśmiechnął się do niej i podniósł na ramionach, by ją pocałować, a potem zrobili jeszcze wiele rzeczy, na których wspomnienie Sabina oblewała się później rumieńcem wstydu.

ROZDZIAŁ 14

Nie poszła biegać. Mimo pięknego słońca i lekkiego tylko mrozu. To było do niej całkowicie niepodobne. Wskazywało jasno, że coś jest nie tak. I nie chodziło wcale o stopę, bo po bólu nie było już śladu. Kiedy obudziła się tego ranka, poczuła dreszcze. Zmierzyła temperaturę – niby nic wielkiego, zaledwie stan podgorączkowy, ale czuła się naprawdę słabo. Mieszała herbatę z cytryną i miodem, oparta biodrem o wypolerowany na błysk blat swojej nowej kuchni, gdy zakreśliło się jej w głowie. Opadła na jedno z białych drewnianych krzeseł z głośnym westchnieniem. Wiedziała doskonale, że ta nagła niemoc nie jest żadnym atakiem wirusa, tylko reakcją organizmu na ogromny wstrząs, jakiego właśnie doświadczyła. „To było... mój Boże!”, myślała, przewijając przed oczami klatki z wczorajszej, oszałamiającej nocy z Borysem. Kiedy przypominała sobie, co robili razem i jakie to było wspaniałe – dojmujące, czułe, pełne pasji – doświadczenie, dreszcze gorączki przechodziły ją od stóp do głów. „Co ja robiłam przez całe życie?”, myślała Sabina, wspominając, co wyprawiali przez długie godziny od poprzedniego popołudnia. Zręczność i pomysłowość chłopaka zadziwiały ją, jego miłosny kunszt w tak młodym przecież wieku wydał jej się zupełnie wyjątkowy. „Stara baba, a jakbym dopiero odkryła Amerykę”, wzdychała.

W życiu Sabiny było kilku facetów przed Andrzejem. Seks raz lepszy, raz gorszy, jednak wielkie wow zostało jej dane dopiero teraz, na osłodę po wszystkim, czego zaznała do tej pory. Nie mogła usiedzieć w miejscu, niemal czując dłonie Borysa na swoich piersiach i między udami. Gorączka i wypięki nie wzięły się znikąd – oszołomiona hormonami szczęścia i aż obolała od łózkowych wyczynów, przeraziła się tym, co się stało. Tęskniąc już za nim, jednocześnie odsuwała od siebie myśli o tym, co się teraz stanie. „Kto to widział, by ktoś taki jak ja miał o dwadzieścia lat młodszego kochanka! – powtarzała sobie w myślach. – Kobieta na skraju menopauzy i taki ogier... Jak z taniego pornosa dla mamusiek. Jawna kpina. Ucieleśnienie stereotypu o bogatej starszej pani i młodym bawidamku. O rany boskie, w co ja się wpakowałam!?”

Borys wymknął się o świcie, żegnając ją długim, pełnym czułości pocałunkiem.

– Muszę lecieć. Wcześniej dziś zaczynam, mam ranną zmianę – szepnęła jej do ucha. – Dziękuję, Sabina – to ostatnie wypowiedział tak, że zrobiło się jej ciepło.

Nie miała zielonego pojęcia, co ma o tym wszystkim myśleć. Jak traktować tę wspólną noc – jakby do niej nie doszło? Przecież o dalszym ciągu nie mogło być mowy... Choć ta konkluzja wywoływała w niej dziwny, nieprzyjemny skurcz. Chwilę później jej żołądek ścisnął kolejny skurcz. Strachu. „Przecież ja kompletnie nic o nim nie wiem. A jeśli on o tym rozpowie? Wykorzysta przeciwko mnie?” Już raz przekonała się, że musi uważać na to, co robi, także wśród miłych tutejszych ludzi, których złe intencje teoretycznie nie powinny się imać. „A jeśli to on mnie wtedy

nagrał!?! – wpadła w popłoch. – Pograżyłamby się na całego. Po czymś takim już bym się nie podniosła, to pewne!” Ale drugi głos uspokajał: „Nie wariuj. Czy to, co on wczoraj ci robił, da się w ogóle udawać?”. Nie, niepotrzebnie się zadręcz. Ta bliskość była prawdziwa, choćby miała pozostać jednorazowym szaleństwem.

Podeszła do okna i odetchnęła głęboko. Na razie przegoniła rozmyślenia o przyszłości. Każdy milimetr jej ciała przepełniał błogostan. Wróciła do sypialni, teraz w końcu odgruzowanej, z rzeczami porozwieszanymi w jasnych, świeżo zamontowanych przez stolarza szafach, z wielkim łóżkiem, miękkimi białymi kotarami, zza których wyglądało niskie zimowe słońce. Usiadła na łóżku i owinęła się w pachnącą czystością kołdrę. Nie spieszyło jej się do jakichkolwiek zajęć, odwlekała nawet wzięcie prysznic. Nie chciała zmywać z siebie śladów, jakie on pozostawił na jej skórze. Z rozmyślań wyrwał ją nagły i mocny dźwięk dzwonka do drzwi. Piip piiiip piiiipiiiiip. Ktoś się do niej dobijał jak oszalały. Sabina opatuliła się szlafrokiem i ruszyła w stronę korytarza. Do dzwonienia dołączyło walenie w drzwi.

– Chwileczkę! – zawołała, przekręcając klucz i nagle pożałowała, że nie spojrzała przez wizjer przed otwarciem. Albowiem w tej samej sekundzie obuta w kolorowy trzewik stopa Kamila Arensa wcisnęła się między drzwi a próg, skutecznie blokując możliwość zamknięcia mu ich przed nosem.

– Soniu, Soniu, Soniu! – zawołał, a chmura jego perfum odebrała Sabinie dech. – Wreszcie cię złapałem! Taka późna pora, a ty jeszcze w piżamie? – głos brzmiał z pozoru słodko, ale wyczuła czającą się w nim zawołaną groźbę. Nie bacząc na dobre maniery, chłopak bezceremonialnie wkroczył do jej domu i stanął w korytarzu, rozglądając się. – No bardzo tu u ciebie miło, taki przytulny wiejski styl. Idealny dom pracy twórczej. Ha ha ha! – Wyciągnął przed siebie torbę z laptopem. – To gdzie mogę podpiąć się do prądu?

Sabina oniemiała i jednak mimo wszystko osłabiona gorączką zbierała przez chwilę siły, by mu odpowiedzieć. Uczyniła to zachrypiałym głosem, osiągając maksimum swoich aktorskich możliwości.

– Panie Kamilu. – Nie umknęło jej, że telewizyjny natręt zwrócił się do niej po imieniu, więc postanowiła demonstracyjnie i uparcie tytułować go panem. – Niech się pan tak do mnie nie zbliża, bo jak pan słyszy, nie jest ze mną za dobrze.

Kamil Arens spojrział na nią bacznie, mrużąc przy tym oczy. Przypominał hienę z filmu na Discovery Channel, która czeka, aż lwy nażarte do syta zostawią jej nieco padliny.

– Co się dzieje? Jesteś chora?

– Oj tak, rozbiera mnie wyjątkowo paskudna grypa – wychrypiała, gratulując sobie w duchu, że nie nałożyła na twarz ani odrobiny makijażu. Cera naczynkowa i zaczerwieniona, oczy podkrążone, jakby zapuchnięte, bo bez mascary na rzęsach, pryszczki widoczne, pory powiększone. Czyż nie tak wyglądają osoby chore?

Chyba podziałało, bo asystent cofnął się dyskretnie dwa kroki, nadal wnikliwie mierząc Sabinę

wzrokiem. Zaniósła się suchym kaszlem, nie zakrywając przezornie ust. Kamil z trudem ukrył obrzydzenie i odsunął się jeszcze dalej.

– Hmm... czyli dziś nie popracujemy?

– Nie ma pan pojęcia, jak żałuję – charczała ze zboląłą miną. – Myślałam, że dziś ruszymy choć trochę z materiałem. – Zbliżyła się do niego, pokaszując.

– Oj, chyba rzeczywiście nic z tego. – Otworzył sobie drzwi i wyszedł na dwór. – Jutro zadzwonię spytać, jak się czujesz. Wyślę ci mailem rozpiskę prac, które zaplanowałem. Zapoznaj się z nią, proszę, jak najszybciej. – I czmychnął ze swoim laptopem pod pachą.

Sabina zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami.

„Jasna cholera, jeszcze to. Będę potrzebowała pomocy, sama sobie z nim nie dam rady na dłuższą metę”. I wybrała numer Kasi w telefonie.

– Kasiu, mam do was bardzo nietypową prośbę. Tylko wy możecie mi pomóc.

Następnego ranka, kiedy Kamil Arens obudził się po całkiem sympatycznie spędzonym dniu (bo choć bardzo mu zależało na rozpoczęciu pracy ze swoją nową podopieczną, koniec końców zyskał sporo wolnego czasu, więc najpierw wybrał się do spa, by dać się wymasować, a także wydepilować tu i ówdzie, a potem w restauracji pensjonatu „Afrodyta” cieszył się z idealnej perspektywy swojego stolika wdziękami obłędnie przystojnego kelnera Borysa). Przede wszystkim sprawdził uważnie, czy aby Geppert nie sprzedała mu jakiegoś paskudnego wirusa. Wszystko jednak było w porządku, żadnej gorączki, łupania w krzyżu ani kataru. Przeciągnął się więc rozkosznie w miękkiej pościeli i sięgnął po smartfona. Odpowiedział na maile, zajrzał na Facebooka, gdzie wczoraj zamieścił zdjęcia ze spaceru po plaży (zebrały pięćdziesiąt cztery lajki, nawet się nie spodziewał). Wreszcie uznał, że pora na prysznic. „Koniec tego lenistwa, trzeba wrócić do pionu, a zwłaszcza ustawić w tej pozycji tę niesubordinowaną literatkę, obdarzoną przesadnie wysokim mniemaniem o sobie, która współpracuje w stopniu wysoce niezadowolającym”, zdefiniował swoje priorytety. Poprzedniego wieczora padł bez życia do łóżka i zapomniał o ablucjach. Jego misterna na co dzień fryzura teraz wyglądała, jakby piorun strzelił w stóg siana. Ale Kamil był na to zawsze doskonale przygotowany – pękata niczym kuferek lekarski kosmetyczka zawierała pełno stosownych ujarzmiaczy włosów, bez których nigdzie się nie ruszał. Kiedy więc wszedł do łazienki i odkręcił kurek, a z kurka nie poleciał strumień ciepłej wody, tylko rozległ się syk pustej rury, Kamil zdębiał.

– Nie, nie, nie... – powtarzał. – To niemożliwe.

Stojąc nagi pod prysznicem, z którego nie leciała woda, spojrzął na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Wyglądał straszliwie. Nie tylko fryzura prezentowała się żałośnie, ale co gorsza na twarzy zauważył to, czego nienawidził najbardziej: rudawy zarost.

– Koszmar! – wykrzyknął. – Co za koszmar!

Wypadł z łazienki owinięty w ręcznik i natychmiast wybrał numer recepcji.

– Halo, tu pokój siedemnaście. Nie leci u mnie woda – powiedział żalosnym tonem. Po chwili zrobił niezadowoloną minę. – Co? Do popołudnia? Ale jak to możliwe? Pękły? Przecież nie ma mrozu. – Znowś słuchał wyjaśnień recepcjonistki. – Jezus Maria, mam zrujnowany dzień! Czy pani wie, ile mnie te przestoje w pracy kosztują!? – ciskał się przy telefonie. – Proszę dać mi znać. Tak! – Rzucił słuchawkę teatralnym gestem i padł na łóżko. – Przecież w tym stanie nie mogę pokazać się ludziom. Gdzie ja wylądowałem!? Co za dzicz! Stacja powinna mi płacić dodatek za pracę w trudnych warunkach – utyskiwał, przepełniony szczerą rozpaczą.

W tym samym czasie Teo wyszedł z piwnicy pensjonatu z kompletem kluczy francuskich.

– Dobra robota – powiedziała do niego Kasia i pocałowała w policzek. – Idę zadzwonić do Sabiny. Misja zakończona sukcesem. Wiedziałam, że ten goguś nie wyjdzie bez porannego prysznica. Pokojówka wspominała o jego kosmetykach. Aż tylu nie widziała u żadnego z naszych gości.

– Kasza, ty jesteś Bond, James Bond – zaśmiał się Teo i poszedł odnieść klucze do pomieszczeń gospodarczych.

*

Kolejny tydzień Kamila Arensa obfitował w przedziwne wypadki. Z jednej strony był przerażony tym, że w ogóle nie udało mu się dopaść swej ofiary i zmusić jej do pracy (a natrętne telefony od asystentki Moniki Kardas zbywał ogólnikowymi opowieściami o tym, jak dobrze im idzie współpraca), z drugiej jednak, po feralnym dniu bez wody, nie zdarzyło się mu już nic nieprzyjemnego – bo czy propozycja spędzenia całego dnia u boku boskiego kelnera Borysa mogła być dla niego niemiała? Najpierw tak się jakoś złożyło, że Sonia Geppert zapadła na kolejną chorobę (o czym zaświadczała właścicielka pensjonatu, pani Kasia, która donosiła chorej autorce posiłki), a gdy już miała się lepiej, bo wypatrzył ją, gdy biegła rankiem po plaży, to Borys poprosił go o pomoc w tym, na czym oprócz telewizji Kamil znał się najlepiej – w zakupach. Otóż ów nieziemski przystojniak potrzebował stroju – jak to ujął Kamil, usiłując uchwycić sens słów Borysa tłumaczącego, o co mu konkretnie chodzi – będącego w połowie drogi między elegancją a casuałem. Dzięki temu udali się we dwóch (Kamil w roli osobistego shopping guru) do Trójmiasta, gdzie spędzili przemiły dzień w licznych butikach centrum handlowego. Nie zepsuł go nawet osobisty kontakt z Moniką Kardas, która zwyzywała Arensa od tępych palantów zawalających najprostsze zadanie. Zresztą i tak zbliżały się święta, a Kamil za dwa dni wyjeżdżał do rodziców pod Rzeszów. I nikt – nawet Monika Kardas – nie mógł mu w tym przeszkodzić.

Kiedy chłopcy wsiadali do samochodu, odjeżdżając w stronę Wejherowa, Sabina sięgnęła po telefon i wysłała Borysowi esemesa: „Nawet nie wiesz, jak jestem Ci wdzięczna”.

Po chwili dostała odpowiedź: „Chyba wiem, jak możesz się zrewanżować... Powtórka?”. I uśmiezek na końcu. Zrobiło się jej gorąco. Przez ten tydzień, który minął jej na udawaniu obłożnie

chorej, z rozmysłem trzymała się z daleka od „Afrodyty”, nie tylko ze względu na straszliwego Kamila, ale również po to, by spróbować wygasić nieco płomień, jaki wybuchł między nią i Borysem. Odpowiadała dość zdawkowo na jego esemesy, gdy pytał o jej zdrowie i o to, kiedy się znowu zobaczą. Fama o chorobie szła przez Mikołowo, bo Kasia i Teo nie wtajemniczali nikogo w te niewinne kłamstewka. A przekonanie, że Sabina dogorywa na łożu boleści, hamowało nieco jego zapędy do kolejnych spotkań, co było jej na rękę. Usiłowała jednak się ograniczać. W efekcie jednak co noc miała nieprawdopodobne erotyczne sny z nim w roli głównej i nie mogła myśleć o niczym innym.

Kiedy Kasia powiedziała jej, że z braku lepszych pomysłów wtajemniczyli także Borysa w spisek przeciwko Arensowi, Sabina nieco się stropiła. Jednak po tym esemesie musiała przyznać, mimo strachu przed konsekwencjami, że niczego tak bardzo nie pragnęła, jak znowu się z nim zobaczyć. A nazywając rzecz po imieniu: kochać się z nim do utraty tchu. Tu i teraz, natychmiast. Nie wiedziała, co robić. Rozum i serce (czy może raczej zgoła inny organ) toczyły w niej zażartą walkę. Jeden raz jeszcze nic nie znaczy – analizowała – można go uznać za przypadek, chwilowe zaćmienie umysłu, coś, co wymknęło się spod kontroli i więcej nie powtórzy. Ale jeśli znów się z nim spotka, sprawa zrobi się poważniejsza. „Nie mogę mieć przecież romansu z młodocianym kelnerem!” W dodatku nie mogła pogadać o tym z Kasią. Z kimś jednak musiała.

– Halo, Mariusz? Cześć, tu Sabina.

Po drugiej stronie odezwał się głos Zygmunta:

– Dobrze cię słyszeć! Co u ciebie, jak tam remont?

Sabina potoczyła wzrokiem po swojej zachwycającej sypialni i powiedziała, wzdychając:

– Remont na szczęście za mną. Już wiem, że nie nadaję się na bezdomną, to był prawdziwy koszmar.

– Mieszkanie z ekipą remontową? Mogę to sobie tylko wyobrazić. Od lat nawet nie malowałem ścian w domu.

Sabina wyobraziła sobie szare od brudu ściany katowickiego mieszkania, zavalonego książkami od góry do dołu, pełnego walających się śmieci i sierści kotów bezustannie drapiących fotele. Nigdy nie widziała tego miejsca, ale takie obrazki podpowiadała jej wyobraźnia, karmiona mizantropią Zygmunta.

– Być może to jest słuszna droga – roześmiała się mimo wszystko. – Choć powiem ci, że przyjemnie jest teraz zjeść śniadanie w lśniącej nowością kuchni. Albo poukładać ubrania w szafach, w których wszystko się mieści.

– No a co poza tym? Jak pisanie?

– Daj spokój – zachnęła się. – Beznadzieja i nawet nie chce mi się o tym gadać.

– To tak jak mnie – zaśmiał się tym razem pisarz. – Mój wydawca niedługo naśle na mnie ruską

mafię, żeby mi połamali kolana, jeśli nie siądę do kolejnej części.

Śmiali się przez chwilę, po czym zapadła cisza.

– Słuchaj, Mariusz, właściwie dzwonię, by poradzić się ciebie w pewnej bardzo, hmm... nietypowej sprawie.

– I nie chodzi ani o pisanie, ani o remonty? – zapytał z lekko wyczuwalną ironią. – To ja nie wiem, o czym ty chcesz ze mną rozmawiać.

– O seksie – wypaliła po chwili wahania, a w słuchawce zapadła dość wymowna cisza. – Halo, Mariusz? Jesteś tam? – Sabina musiała przyznać sama przed sobą, że może troszkę przegięła z tą bezpośredniością. W końcu Zygmuntowicz jest facetem, a nie jej fryzjerką.

– Ekhm, jestem, jestem – odezwał się, po czym znów zamilkł.

– Dobra, słuchaj, nie będę owijać w bawełnę, zrobiłam coś strasznie głupiego.

– Aha...

– I zrobiłabym to znów.

– Aha...

– Przespałam się z facetem na moje oko gdzieś o połowę ode mnie młodszym.

– ...

– Halo, jesteś tam? Mariusz? Halo?

– Jestem, jestem... Ekhm, kot mi wskoczył na stół, musiałem go zrzucić.

– No dobra, ale co ty na to?

– Że kot?

– Nie! Że seks!

– No wiesz... – Zygmuntowicz nabrał powietrza w płuca, długo i przeciągle. – Wiesz... No ja myślę, że... ymmm, no... w sumie... Bo tu chodzi tylko o seks?

Zaskoczona tym pytaniem Sabina szybko przytaknęła.

– Zatem nie powinnaś się zadręczać. Powiem ci więcej, to jest nawet zdrowe. Wskazane. Odrobina młodego mięsa jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Młodego mięsa? Wow... Ciekawie to ująłeś.

– Błagam cię, nie bądźmy dziećmi. Przecież tu nie chodzi o sentymenty, o romantyczne porywy serca, tylko o spółkowanie dla relaksu, tak? No to w czym problem? Jesteś wolną kobietą, atrakcyjną, a kopulacja to przyjemna rozrywka, jak sport.

Na tyle, na ile Sabina poznała Mariusza Zygmuntowicza przez te wszystkie lata, mogła z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że ani seks, ani sport nie należały do jego typowych rozrywek. Jednak jako pisarz miał na pewno bujną wyobraźnię, bo w jego powieściach aż roiło się od wyuzdanych scen najrozmaitszych seksualnych ekscesów, orgii i wygibasów.

– Czyli nie powinnam się czuć jak śmieszna podstarzała uwodzicielka młodocianych?

– Nie powinnaś. Seks bez zobowiązań to naprawdę nie jest koniec świata, zwłaszcza po czterdziestce. Bez urazy, rzecz jasna. Proszę cię, dlaczego ja ci muszę tłumaczyć takie rzeczy?

– No właśnie – zastanowiła się przez chwilę. – Sama nie wiem.

Rozmawiali potem jeszcze długo. Mariusz cierpliwie przekonywał ją, że (jeśli to tylko czysta fizyczność) seks z młodszym kochankiem jest wręcz korzystny dla zdrowia. Sabina po tej rozmowie nabrała nieco pewności siebie. „Właściwie czemu nie? – powtarzała sobie, chodząc po domu w szlafroku i kapciach. – Czemu odmawiać sobie przyjemności, w imię czego? Ponad cztery dychy na karku i powinnam wciąż czekać? Mówić: nie, dziękuję, wolę samotne wieczory z książką, gdy na mojej drodze staje bóg seksu? Tak jest, Mariusz ma rację. Trzeba korzystać z życia. Czysta fizyczność i już”.

Było wszak jedno ale. W przeciwieństwie do siedzącego wśród kotów i książek pisarza Sabina nie wiedziała, czy potrafi tak łatwo postawić granicę. Za nic nie przyznałaby się ani jemu, ani nawet przed sobą, że prócz fizyczności w tle czaiło się też zauroczenie. Pragnęła rąk tego za młodego dla niej chłopaka na swoim ciele, ale chciała też wiedzieć o nim coś więcej. Jaki jest i skąd biorą się u niego te czułe gesty, gdy na przykład lekko dmuchał w tył jej szyi, kiedy odpoczywali między jedną utratą tchu a następną. Komplikacji było zresztą więcej i nie mogła ich całkiem wyprzeć ze świadomości. Zastanawiała się, jak ma się właściwie teraz zachowywać, ot, choćby wobec Kasi i Teo w obecności Borysa. Jakby nic między nimi nie zaszło? Doszła do wniosku, że to jedyne sensowne rozwiązanie, ale wcale nie takie łatwe. Nie czuła się biegła w takich grach w chowanego. Dlatego była bardziej niż pewna, że nie ucinając w zarodku tej nierozważnej przygody, wchodzi na bardzo grząski grunt.

ROZDZIAŁ 15

Zima znowu zaatakowała znieńcka. Jeszcze przed chwilą lało, teraz już tylko sypało. Mokre i ciężkie płatki śniegu spadały z nieba, osiadając Sabinie na ramionach i głowie. Niosła świeże pieczywo ze sklepu Janeczki zakutana w wiele warstw, a i tak przejmujące zimno ogarniało ją od stóp do głów. Miasteczko opustoszało jeszcze bardziej niż zazwyczaj, fatalna aura trzymała ludzi w domach. Jak w Dolinie Muminków, gdy wszystko, co żywe, siedzi gdzieś pod śniegiem. Tym większe było zdziwienie Sabiny, kiedy nagle wyrosła przed nią postać w moherowym berecie z antenką i w futrze pachnącym naftaliną tak mocno, że nawet nadmorski wiatr nie mógł rozwiać tego aromatu.

– Poznaje mnie pani? – zapytała starczym głosem, wbijając w nią intensywne spojrzenie zza grubych szkielek.

W głowie pisarki kotłowały się myśli. Nie miała pojęcia, na kogo patrzy. W zimowych ubraniach, pod szalikami i czapami wszyscy wyglądali podobnie.

– Przepraszam, ale nie – powiedziała, wyrzucając biały obłoczek pary z ust.

– Nic dziwnego, tyle lat, tyle lat – odparła starsza pani, nadal wpatrując się w jej twarz.

Kobiecie wyraźnie nie spieszyło się do wyjaśnienia zagadki, a Sabina czuła narastającą powoli irytację.

– Przepraszam bardzo, ale zamarzam – odezwała się po chwili, nie znajdując nic lepszego do powiedzenia. Zresztą mówiła prawdę.

– Tak, tak, zima trzyma – zachichotała cicho staruszka. – No nic, tyle pani powiem, że mi przykro, że ten mój wnuk taki durny. My to sobie z nim załatwimy, niech się pani nie martwi. I to nie tylko przez wzgląd na stare czasy, tylko tak w ogóle. I nie zatrzymuję pani. Też mi zimno, bo to futro to mi mole mocno przeżarły. – Chichot tym razem był donośny. Dziwaczna kobieta odwróciła się na pięcie i podpierając się laską, ruszyła w swoją stronę.

Sabina spojrzała odruchowo na zegarek, a gdy podniosła wzrok, staruszka już zniknęła. Pisarka stała na chodniku, trzymając siatki z pieczywem. Poczowała się bardzo niepewnie. Śnieg zacinał coraz mocniej i widoczność ograniczyła się jeszcze bardziej. Właściwie nie widziała już dalej niż na kilka metrów do przodu. Przyspieszyła kroku. „Skąd mam niby znać tę kobietę?”, zastanawiała się. Nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. I jaki wnuk? I czemu durny? Pograżona w myślach teraz już niemal biegła, uciekając przed nieprzyjazną pogodą. Zrobiło się szaro, jakby nadchodził zmierzch, a przecież dzień dopiero co się rozpoczął. Wicher wzbijał tumany śniegu w niebo, morskie bałwany wyły w oddali, za wydmami, a ona marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w ciepłym zaciszu swego domu. Zwłaszcza że planowała pracę na ten dzień!

Odkąd jej prześladowca, potworny asystent Kamil, zawiązał się na święta na drugi koniec Polski, rozkoszowała się myślą o nowo odzyskanej wolności. Postanowiła ją uczcić sesją przy komputerze. Na pohybel wszystkim upierdliwcom! Zręby pomysłu już miała. Biegając teraz przez zadymkę, usiłowała sobie przypomnieć, o co jej dokładnie chodziło, gdy nocą obudziła się przekonana, że wie, o czym pisać. Kiedy jednak zasiadła w końcu przed swoim pięknym, nieco zakurzonym laptopem, a na ekranie pulsował kursor, aż skurczyła się w środku. Jakby zasysała ją jakaś pustka, czarna dziura braku pomysłów. Wstała od komputera. „Herbata. Nie napiszę nic bez dobrej herbaty”. Czekać na wrzątek, patrzyła przez okno wychodzące na ogród. Zmrok już powoli nadciągał, dni były teraz naprawdę krótkie. Nagle na ścieżce prowadzącej do domu zobaczyła dwóch mężczyzn. Szli w stronę wejścia.

„Ki diabeł?”, pomyślała nie bez lęku. Czajnik bulgotał, więc natychmiast go wyłączyła, by słyszeć odgłosy z dworu. Podeszła na palcach pod drzwi wejściowe i przyłożyła ucho. Niestety szum wiatru zagłuszał głosy. Pomna swej przygody z nożem wymierzonym w listonosza, czuła się trochę głupio, sięgając do torebki po gaz pieprzowy zakupiony ostatnio w wejherowskim markecie. „Po prostu go potrzyamię”. Usłyszała tupanie na ganku, widać tajemniczy goście odśnieżali sobie buty. Nim rozległ się sygnał dzwonka, postanowiła zaskoczyć intruzów i szybkim zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Kiedy zobaczyła zastygłego w pozie obronnej listonosza, zaczęła się śmiać, niemal histerycznie.

– Czy, czy pan wie, że ja, że... że... że ja pana właśnie znów chciałam uszko... uszko... uszkodzić? – zanosila się śmiechem, wymachując zdezorientowanemu mężczyźnie przed nosem pojemnikiem z gazem.

Zza pleców listonosza wychynął tymczasem drugi gość.

– Yyyy, to może ja powiem, Staszku. – I wyciągnął dłoń do ocierającej łzy śmiechu Sabiny. – Czudejko Wiesiek, sąsiad. Mnie się pani przedstawiać nie musi – dodał szybko. – Moja żona ma wszystkie pani książki. – Błysnął złotym zębem. – Była nawet na tym spotkaniu w bibliotece, autografy pobrała, mówiła, że zawsze się pani kłania na wiosce.

Sabina faktycznie przypomniała sobie kobietę zaopatrzoną we wszystkie tomy serii o Amelii Kruk, które przyniosła na spotkanie w dużej ceratowej torbie w kratę. Widywała ją potem od czasu do czasu w Mikołowie, zawsze rozpromienioną na jej widok.

– Bardzo mi miło, panowie, wejdźcie. – Zaprosiła ich gestem do środka.

– Nie, nie, to my chcemy panią gdzieś zabrać. – Wiesiek wskazał na wiszący przy wejściu płaszcz. – Pani autorka się ubiera i jedziemy. Mamy ważne sprawy.

Kiedy zapinała pas na tylnym siedzeniu skody Wieśka Czudejki, pomyślała o sytuacji, w jakiej się właśnie znalazła, i doszła do wniosku, że instynkt samozachowawczy zostawiła w domu, razem z telefonem. Poczula się nieswojo, a Wiesiek jakby to zauważył, bo odezwał się niemal w tej samej chwili:

– Spokojnie, nie jedziemy daleko.

Wcale jej to nie uspokoiło. Próbowwała dopytać, o co chodzi, ale żaden z mężczyzn nie chciał „psuć niespodzianki”, więc nie puszczali pary z gęby. Opadła w końcu zrezygnowana na siedzenie i obserwowała drogę, choć niewiele widziała poza tym, że jechali w stronę ośrodka kempingowego. Na dworze szalała zamieć, a w dodatku w skodzie szwankował system nawiewu powietrza i gdy tylko wsiedli, szyby samochodu natychmiast pokryły się parą. Kiedy zaparkowali i Sabina wysiadła z auta, zobaczyła dobrze jej znane miejsce. Pensjonat „U Hanny”, gdzie spędziła tyle cudownych wakacyjnych chwil w dzieciństwie.

– Chodźmy. – Wiesiek pokazał na bramę. – Czekają na nas.

Drzwi do dawnego pensjonatu były otwarte. Sabina przestąpiła próg z lękiem, nie wiedziała, co tym razem na nią tu czeka. Przeszli przez hol, w którym jakby nic się nie zmieniło przez te lata, nawet gipsowy żółw wciąż stał na stoliku kawowym. Doskonale go pamiętała, pani Hanna zawsze zabraniała im bawić się tym żółwiem. Dlatego wszyscy o tym marzyli. Tuż obok stolika znajdowały się drzwi do jadalni, a za nimi Sabina ze zdziwieniem zauważyła zgromadzenie. Na widok pisarki wszyscy ucichli. Przed nią nagle jak spod ziemi pojawiła się zaś staruszka, która tego ranka zaczepiła ją na drodze w Mikołowie. Pozbawiona beretu i zaparowanych okularów wyglądała zupełnie jak...

– Pani Hanna? – Sabina w końcu odzyskała głos. – To pani?

– No a jak, kochaneczko, pewnie że to ja! – Dawna gospodyni poklepała ją w ramię w geście powitania. – Siadaj, kochaneczko! – Wskazała wzrokiem fotel w głębi sali i zwróciła się do Staszka i Wieśka: – Panowie, opowiadajcie! – Po czym usiadła na krześle obok gościa honorowego. – Słuchaj, kochana.

– Pani Sabinko... – zaczął listonosz nieśmiałym tonem.

– Staszek, ja powiem. – Wiesiek jak zwykle przejął inicjatywę. – Pani Sabinko, mamy go!

– Kogo? – Wpatrywała się w nich z osłupieniem. Z każdą chwilą czuła się coraz dziwniej.

– No jak to kogo? Nagrywacza!

– Kogo?

– Sabinko, ja chciałam cię osobiście przeprosić. – Hanna spojrzała na nią i położyła jej dłoń na kolanie.

– Ale za co?

– Za naszego Bartka. Bo to jest większy osioł, niż zakładałam.

– Dobra, poddaję się – westchnęła Sabina. – Nic nie rozumiem.

Nagle spomiędzy tłumu wyłoniła się łysa głowa młodzieńca w bluzie z kapturem.

– Zaraz zrozumiesz – szepnęła Hanna porozumiewawczo, po czym zwróciła się do chłopaka: – Gadaj, co masz gadać.

Młody spojrzał na wszystkich spode łba i z bardzo skwaszoną miną bąknął coś niewyraźnie pod

nosem.

– Nie rozumiem – głos Hanny był spokojny, ale stanowczy.

– Przepraszam panią Sabinę za to, co zrobiłem. To już się więcej nie powtórzy.

Przepraszona wpatrywała się w niego wyczekująco, ale nie doczekała się słowa wyjaśnienia.

– Ale co? – powiedziała w końcu, wciąż nie pojmując, o co w tym wszystkim chodzi i czego od niej chcą.

Z tłumu wystąpił Wiesiek i tradycyjnie wziął sprawy w swoje ręce.

– Weź no się posuń, młody. – Popchnął delikatnie nastolatka, przesuwając go na bok. – Po kolei, bo nam się pani autorka pogubiła. Pani pamięta te filmy w internecie o bogaczce, co to się do nas sprowadziła?

– Jak mogłabym nie pamiętać – odparła z przekąsem.

– No właśnie. Kiedyś spotkałem w sklepie u Janeczki Staśka i sąsiadów jeszcze – wskazał ręką na małżeństwo Czechowskich, właścicieli warsztatu samochodowego, którzy skłonili się uprzejmie – i żeśmy zaczęli gadać. Że skąd to ktoś wiedział, że to kręcone tak, a nie inaczej, że to i owo. I wie pani, myśmy zawiązali grupę śledczą.

Oczy Sabiny zrobiły się wielkie jak pięciozłotówki.

– Bo to przecież nie może tak być, żeby ludziom spokoju nie dawać. I myśmy, pani Sabinko złota, dotarli do winnego. Bartek, wyprostuj się, jak o tobie mówię.

Młody z nosem na kwintę wpatrywał się intensywnie w czubki swoich adidasów.

Hanna westchnęła i powiedziała:

– Sabinko, ja cię tu od małego przyjmowałam, z matką twoją się przyjaźniłam, pocztówki sobie na święta słałyśmy, wszystkie twoje sukcesy znam, książki też zbieram, a tu mój własny wnuk taki durny numer wycina. Wybaczysz nam? Bo to też moja wina jest, ja przy obiedzie rodzinnym kiedyś powiedziałam, tak dla żartu, że się nam tu gwiazda do wsi sprowadziła i muszę cię odwiedzić. I ten młokos poleciał w krzaki pod twój dom i nagrał.

Sabina miała wrażenie, że występuje w jakimś filmie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Na szczęście Wiesiek znów uratował sytuację.

– No a skoro jest wina, musi być i kara. Tak uradziliśmy – powiedział i szturchnął łokciem pod żebro młodego, bo ten zaklął pod nosem.

– Najlepiej dotkliwa – wtrąciła pani Czechowska.

– Tak jest – potwierdził. – Chcieliśmy więc zapytać, co pani na to, by Bartek musiał teraz aż do ustania opadów śniegu co rano odśnieżać kawałek pani chodnika? A poza tym będzie nam robił za darmo, na tym swoim nieszczęsnym komputerze, program każdego spotkania w ramach filmowych wieczorków. Musi zobaczyć wszystkie filmy, zrobić streszczenia i wydrukować menu.

Sabina mimo woli się zaśmiała. Nastolatek wyglądał na tak pogrzebionego, jakby to on stał się

ofiara hejtu w sieci.

– Będzie musiał zobaczyć *Smażone zielone pomidory? Julię i Julię?* I w dodatku ten straszny, straszny film *Wielkie żarcie*? To znakomity pomysł – powiedziała, po czym zwróciła się do czerwonego jak burak chłopaka: – Bartek, a tak serio, to mam nadzieję, że to cię czegoś nauczyło. Szanujmy się nawzajem, szkoda życia na takie głupie uczynki. Hej, popatrz na mnie – dodała, gdy pociągnął nosem, i podeszła do niego.

– No?

– Wybaczam ci, bo jesteś mądrym chłopakiem, prawda?

– No...

– No to super – chciała zakończyć sprawę, ale gdy wokół rozległy się oklaski, rozejrzała się po pokoju i dodała: – Bardzo państwu dziękuję. To dla mnie naprawdę wiele znaczy. Ja zawsze wiedziałam, że w Mikołowie mieszkają najfajniejsi ludzie na świecie.

*

Wigilia zbliżała się wielkimi krokami. Sabina zastanawiała się, jak to będzie – spędzić święta samotnie. Obrażona na cały świat Róża nie zamierzała wracać do Polski, a Andrzej miał jechać z Dobrochną pod Grójec do jej rodziców sadowników. Wyglądało więc na to, że w tym roku Boże Narodzenie po raz pierwszy od urodzenia Sabina spędzi sama ze sobą. „No i może z Borysem – podpowiadał jej niesforny wewnętrzny głos i choć wtedy starała się odłączyć mu fonię, wykazywał się prawdziwie oślim uporem. – Chłopak będzie co prawda w pracy, bo pensjonat na święta miał pełne obłożenie i nie było mowy o wolnym na ten gorący czas, ale od czego są noce...” Najpierw zrobiło jej się trochę przykro na myśl o świętach w pojedynkę, ale potem pomyślała, że to nie jest wcale najgorsze rozwiązanie. Zamiast obżerać się przy wigilijnym stole i wysłuchiwać gorzkich żalów rodziny, będzie mogła pobyć sama ze sobą. Popisać (tak, wciąż miała na to nadzieję), poczytać, zobaczyć film. Może tak wyjątkowy czas spędzany inaczej niż zwykle sprawi, że blokada puści i białe kartki wypełnią się treścią.

Od jakiegoś czasu jedyne, co udawało się Sabinie zrobić jako pisarce, to notatki – czytała kolejne książki z kategorii „arcydzieła literatury o traumatycznych doświadczeniach: od rozwodu po najokrutniejsze ludobójstwa XX wieku” i podkreślała, notowała, wypisywała. Kapuściński na jedną napisaną stronę miał zawsze sto przeczytanych, więc ona postanowiła pójść drogą mistrza i obłożyła się dołującymi lekturami. „Święta z najbardziej depresyjnymi pisarzami świata – a czemu by nie?”, żartowała sobie, kupując na straganie w Wejherowie gwiazdę betlejemską, jedyny symbol bożonarodzeniowy, jaki postanowiła mieć w domu.

Od kiedy Kamil Arens wyjechał z Mikołowa (miał wrócić tuż po Nowym Roku), Sabina znów zaczęła chodzić co dzień do „Afrodyty”. Już pierwsze spotkanie oko w oko z Borysem zakończyło się

uroczymi pieszczotami w schowku na szczotki obok kuchni, gdzie ukryli się przed oczami wszystkich, a potem poszło już z górki. W każdym razie obydwójce chodzili ogromnie niewyspani. Sabina wpadała w panikę na samą myśl, że ktoś ich nakryje, ale Borys na szczęście okazał się rozsądnym i pełnym dyskrecji kochankiem, do tego zdolnym konspiratorem. „Co za ironia losu – sama zamieniam się w bohaterkę taniego romansu”, myślała Sabina, jedząc śniadanie w restauracji. Nie zwracała w ogóle uwagi na gości, którzy zaczęli się już tłumnie pojawiać w pensjonacie, zbyt zajęta rozważaniami o dreszczyku emocji, jaki wiązał się z ryzykiem złapania kochanków na gorącym uczynku. Nie miała nic przeciwko, bo to jeszcze bardziej podkreślało i tak już wystarczająco gorącą atmosferę.

– Jutro zaczynamy o godzinie dwudziestej – usłyszała głos Kasi, która właśnie dosiadła się do jej stolika. – Wigilia – dodała dziewczyna, widząc zdziwione spojrzenie Sabiny. – Przyjdź do nas na górę. O osiemnastej jest dla gości w restauracji, my siądziemy, jak już się trochę rozluźni.

– Ale, Kasiu...

– Jakie ale? Jakie ale, kochana? Przecież to chyba oczywiste, że przychodzisz do nas. Weź ze sobą, kogo chcesz.

Sabina milczała, gapiąc się w bułkę na talerzu, a Kasia pogłaskała ją po rękę.

– Okej, tym bardziej. Nie wyobrażam sobie, żebyś do nas nie przyszła na kolację wigilijną. Nasz dom jest twoim domem – dodała, nachylając się i całując ją w policzek, a potem pognęła do kuchni szykować kolację.

W wigilijny poranek Sabina odsłoniła zasłony w sypialni i zobaczyła przepiękny widok – w porannym zimowym słońcu las i plaża skrzyły się tysiącami diamentów, śnieżna kołderka spoczywała na gałęziach, przykrywała ziemię i dachy widocznych w oddali domów. Było jak w bajce. Aż do wieczora towarzyszył jej cudowny nastrój, a wtedy ubrana w elegancką czerwoną sukienkę, dzierżąc w dłoni paczki z prezentami i butelkę szampana, udała się do przyjaciół. W ozdobionej dekoracjami jadalni, z wielką choinką ubraną od dolnych gałęzek po sam szczyt w kolorowe bombki, stał świąteczny stół, jarząc się od płomieni świec. Czekali już na nią Teo i Kasia w uroczystych strojach, trójka ich dzieci – Yanis i Jorgos w białych koszulach pod muszkami, Oliwka w ślicznej sukieneczce ze śnieżynkami, a także rodzice Teo, którzy przyjechali na Boże Narodzenie z Grecji, ojciec Kasi, wdowiec, ze swoim nieodłącznym towarzyszem – kundelkiem Łatą oraz pracująca dziś na dyżurze obsługa pensjonatu, w tym Borys. Wszyscy wyglądali elegancko i pięknie. Powitano Sabinę głośnymi okrzykami, ojciec Teo, Stavros, rzucił się do całowania jej po rękach, aż jego pulchna i uśmiechnięta czarnooka żona Eleni musiała go skarcić wzrokiem.

– No co? Przecież to jest wielka pisarka, Eleni! – zachnął się zażywny Stavros i puścił oko do rozbawionej Sabiny.

– Uwadzaj, to sztary uwodziciel. – Teo ujął ojca pod rękę. – Czaruje kobitki raz dwa i ani się obejrzysz... Prawda, mama?

Mama Teo pocałowała syna w czoło.

– Prawda. Mnie zaczarował.

Rozmawiali w łamanym języku polskim, wtrącając co rusz greckie i angielskie słowa, ale mimo pewnych trudności z komunikacją wszyscy wyglądali na zachwyconych. Na wigilijnym stole oprócz tradycyjnych polskich potraw – śledzi w najróżniejszych wersjach, barszczu, kapusty i makowca – znalazło się też specjalne danie greckie, czyli chleb Chrystusa, christopsomo, ciasto przygotowane z dodatkiem drożdży, wina, oliwy, bakalii i przypraw korzennych. Na jego wierzchu Teo wykroił nożem znak krzyża.

Po sutej kolacji obsługa pensjonatu wróciła do swoich zadań, a Sabina odprowadziła wzrokiem Borysa, który dyskretnie posłał jej całusa na odchodne, a po chwili wysłał esemesa: „Za dziesięć minut w naszym schowku?”. Do Zagorakisów akurat zaczęli napływać kolejni goście – najpierw wpadła gromadka dzieciaków z Mikołowa przebranych za kolędników. Tradycyjne kolędy w ich wykonaniu brzmiały nieco fałszywie, ale uroczo. Z życzeniami przychodzili też zaprzyjaźnieni z gospodarzami miejscowi – na co dzień każdy zajmował się swoimi sprawami, ale w taki dzień ludzie chcieli być razem, a polsko-greckiej parze szybko udało się uczynić ze swego pensjonatu miejsce, do którego w naturalny sposób lgnęli wszyscy. Tłum zgęstniał i zrobiło się naprawdę głośno, więc Sabina postanowiła niepostrzeżenie czmychnąć na chwilę z przyjęcia. Zdjęła ze stóp wysokie szpilki i pobiegła boso na dół, po czym, sprawdzając czujnie, czy nikt jej nie widzi, udała się w stronę pomieszczenia gospodarczego, gdzie miał na nią czekać Borys.

Kiedy dopadli do siebie, wcześniej starannie zamykając za sobą drzwi schowka na klucz, niemal zerwał z niej piękną czerwoną suknię. Wpiła się w jego usta, czując na ciele jego błędzące dłonie. Nagle rozległ się straszliwy huk i wystrzały, jakby ktoś najpierw rzucił w okolicy bombę, a teraz ostrzeliwał „Afrodytę” z pancerfaustów.

– Co to jest, do jasnej cholery!?! – krzyknęła przestraszona Sabina, odrywając się od Borysa.

Wtedy usłyszeli krzyki. Spojrzeli po sobie, po czym naprędce doprowadzając się do porządku, wybiegli ze schowka i skierowali się w stronę, z której dochodziły hałasy – do magazynu, gdzie Teo przechowywał fajerwerki kupione z myślą o świątecznych pokazach. Ich oczom ukazały się płomienie liżące ściany budynku, a także wystrzelające raz za razem w niebo kolorowe race. Z daleka dochodził już dźwięk syreny straży pożarnej. Na śniegu, otoczony ludźmi, leżał Teo. Ledwo można było go poznać – ciało miał czarne, pokryte resztkami spalonych ubrań. Mężczyzna wył z bólu.

– Boże, Kasia! – Sabina dopadła do zrozpaczonej przyjaciółki. – Co tu się stało!?

Błada jak śmierć dziewczyna spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem i powiedziała:

– Wybuchło wszystko! Wybuchło, kiedy wszedł do środka. Chciał nam zrobić pokaz sztucznych ogni. – Łzy spływały jej po policzkach.

Pogotowie podjechało w następnej minucie. Lekarze zajęli się poparzoną Teo, a strażacy zaczęli

walkę z rozprzestrzeniającym się pożarem. Nikt już nie wrócił do wigilijnego stołu. Dorośli starali się przede wszystkim trzymać dzieci z daleka od palącej się części budynku. Nie dało się jednak uniknąć chaosu, trudno było komukolwiek zachować zimną krew w obliczu dramatu, jaki rozgrywał się na ich oczach. Niedługo potem Kasia, która pojechała razem z mężem do szpitala, wysłała rodzinie wiadomość, że lecą helikopterem pogotowia lotniczego do specjalistycznego szpitala oparzeniowego na Śląsku. Stan Teo został oceniony jako bardzo poważny.

ROZDZIAŁ 16

To były najgorsze święta, jakie można sobie wyobrazić.

– Po jaką cholere on ruszał te przeklęte fajerwerki!?! – krzyczał Stavros, na zmianę wznosząc i opuszczając ręce.

– Teraz to się mądry znalazł! Mogłeś mu to powiedzieć, zanim zaczął odpalać to gówno, zamiast cały dzień podniecać się jak półgłówek i nakręcać dzieci gadaniem o wielkim bum z tysiącem gwiazdek na niebie. Stary idiota! – Wygrażała zaciśniętą pięścią mężowi z nie mniejszym temperamentem Eleni.

Gdyby nie jej gest pewnie nikt nie domyśliłby się, o co się kłóca, bo wzburzeni rodzice Teo rozmawiali ze sobą po grecku. Hałaśliwe utarczki, jakie prowadzili bez chwili przerwy od samego rana, mogły wydawać się nie na miejscu w tej sytuacji, ale tak naprawdę były tylko próbą zagłuszenia strachu. Nie tylko oni wpadli w rozpacz. Pan Włodek, ojciec Kasi, trzymał się z daleka od greckich awantur i próbował sobie radzić z zatrującym krew napięciem, krążąc godzinami wokół ogrodzenia pensjonatu z niestrudzeniem drobiącą przy jego nodze Łatą.

Sabina też od rana siedziała w pensjonacie. Poprzedniego wieczora opuściła go późną nocą, kiedy razem z Eleni udało im się wreszcie utulić do snu całą trójkę przerażonych, zanoszących się płaczem dzieci. Kiedy nazajutrz dotarła do „Afrodyty”, zaczęła od zgromadzenia wszystkich dziadków przy dużym stole w głównej sali i zarządziła kryzysową naradę. Główne i tak naprawdę jedyne pytanie, na jakie musieli znaleźć odpowiedź, brzmiało: jak mogą pomóc w opanowaniu tej katastrofy? Na razie wyglądało na to, że nikt nie ma dobrego pomysłu. Choć z pogorzelnika nie unosił się już dym, smród spalenizny przenikał wszystko, wgrzył się w ściany, meble i ubrania. Świąteczne ozdoby w restauracji wyglądały w tej sytuacji co najmniej absurdalnie. W „Afrodyce” zapanowała atmosfera przygnębienia. Nieszczęście, jakie spadło na nich w chwili radości i świątecznych emocji, przygniotło wszystkich. Do tego trzeba było jeszcze zająć się gośćmi, którym wypadek też przecież zepsuł święta. Niektórzy mieszkańcy pensjonatu od razu zdecydowali się na wyjazd, a obsługa oferowała pomoc w znalezieniu innego miejsca, aby nie stracili całkiem świąt nad morzem. Trzy rodziny, niezrażone pechowym finałem wigilii, postanowiły jednak zostać na resztę zaplanowanego pobytu. Na szczęście spiżarnię wypełniały zapasy zgromadzone przez Teo, a Stavros (który co prawda do gotowania brał się tylko od wielkiego dzwonu, ale za to jego potrawy wprowadzały wszystkich w błogostan) bez wahania podjął się roli tymczasowego szefa kuchni. Do pomocy zgłosił się też Borys, bo lubił zaglądać w garnki i miał już okazję podpatrzeć, w jaki sposób powstają małe dzieła sztuki podawane na talerzach w „Afrodyce”. I tak małymi fastrygami starali się załatać wielką dziurę powstałą po wypadku. Wiedzieli jednak, że te chwilowe rozwiązania nie przywrócą równowagi na planecie

Zagorakis.

Całe Mikołowo było poruszone tragedią gospodarzy pensjonatu, lubianych tu powszechnie, choć przyjezdnych. Mieszkańcy przychodzili i pytali, jak można pomóc, a Sabina w tym wszystkim miała poczucie, że zarządza sztabem kryzysowym. Nim się zorientowała, wzięła na siebie rolę kierowniczkę tego bałaganu. Kiedy sąsiedzi z Mikołowa zjawili się z kocami i butelkami wody gazowanej dla pogorzalców, musiała na przykład wyjaśnić im, by zabrali je ze sobą, bo tu raczej przydadzą się za chwilę ręce do pracy przy remoncie.

– Ach, bo wie pani, co człowiekowi do głowy pierwsze przychodzi, gdy widzi pożar – zaśmiała się gorzko starsza pani z domu przy głównym mikołowskim skrzyżowaniu, która razem z mężem przyniosła dwie zgrzewki wody. – Woda i koce.

– To jest naprawdę miłe z państwa strony – Sabina z uśmiechem zwróciła się do wszystkich sąsiadów. – Jeśli chcecie państwo pomóc, to zapraszamy od jutra na plac budowy. Trzeba uprzątnąć to pogorzeliśko.

Sąsiedzi od razu ustalili między sobą dyżury, a ona z notesem biegała między ludźmi i wpisywała nazwiska na listę. To pospolite ruszenie tak cholernie ją wzruszało, że miała ochotę całować wszystkich po kolei. Chodziło w końcu o jej przyjaciół, a do tego sytuacja Teo nie wyglądała najlepiej. Poparzenia były rozległe – w niektórych miejscach zostały zakwalifikowane jako trzeciego stopnia. Lekarze unikali odpowiedzi na pytanie o rokowania pacjenta. Kasia co chwilę dzwoniła ze szpitala i zdawała relację, ale nie mogła długo tam zostać. Musiała wrócić do dzieci – dziadkowie, mimo najlepszych chęci, nie byli przygotowani do całodobowej opieki nad trójką szkrabów i pensjonatem. Dotarła do domu pod wieczór w pierwszy dzień świąt, ledwo trzymając się na nogach ze zmęczenia. Wszyscy w napięciu wpatrywali się w nią, bladą jak najdelikatniejszy pergamin, z podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami. Usiadła przy stole i zdołała powiedzieć tylko:

– Będą dzwonić, bo kiedy wyjeżdżałam, stan był niestabilny. – Chciała opowiedzieć coś więcej, ale nie dała rady. Łzy same zaczęły płynąć jej z oczu.

Sabina spojrzała na zebranych, a potem na przyjaciółkę.

– Natychmiast kładź się do łóżka! – zaordynowała głosem nieuznającym sprzeciwu, aż wszyscy spojrzeli na nią nieco zaskoczeni. – Przede wszystkim musisz się przespać, bez dyskusji. Wszystko jest pod kontrolą, dopiero gdy odpoczniesz, pogadamy, co dalej.

Kasia nie miała nawet siły protestować i posłusznie dała jej się zaprowadzić do sypialni.

– Co z dziećmi? – spytała tylko, kiedy wchodziły na górę.

– Julka i Patrycja – Sabina miała na myśli dziewczyny łączące funkcje pokojówek i recepcjonistek – zmieniają się jako opiekunki przy starszych, a babcia Eleni i dziadek Włodek z wydatną pomocą Łatki zajmują się małym.

– Jestem twoją dłużniczką, Sabina. – Kasia się rozpłakała.

– Daj spokój. A ja twoją, od kiedy tu do was trafiłam.

Sabina mocno ją uściśnęła i zamknęła za sobą drzwi, wychodząc z sypialni. Nazajutrz wczesnym rankiem wszyscy spotkali się znowu w restauracyjnej sali. Kasia, wciąż blada, ale opanowana, usiadła u szczytu największego stołu, wokół którego się zgromadzili.

– Dzwonili z Centrum Oparzeniowego. Będzie miał przeszczep – zaczęła słabym głosem, jednak w kompletnej ciszy, jaka zapanowała, był on doskonale słyszalny. – Trzeba usunąć martwe tkanki, żeby nie doszło do zakażenia, a usuniętą skórę zastąpić zdrową. Dwadzieścia pięć procent powierzchni skóry na klatce piersiowej i rękach... – urwała i opuściła głowę. Nikt nie odważył się odezwać. Po chwili upiła łyk wody ze szklanki dyskretnie postawionej przed nią przez Borysa, który wycofał się do kuchni, i zaczęła mówić dalej: – Przeszedł wstrząs w wyniku gwałtownej utraty wody i elektrolitów, ale jest już stabilny. Trudno w tej chwili powiedzieć, czy i kiedy wróci do pełnej sprawności – głos jej się łamał, ale oczy miała suche.

„Chce być twarda”, pomyślała Sabina i ścisnęło jej się serce. Do jakich zasobów sił Kasia musiała sięgnąć w takim momencie? Na ile ich starczy?

Po obiedzie wyciągnęła ją na spacer.

– Musisz się dotlenić. Już nie raz przetestowałam tutejszy wiatr jako uniwersalny środek leczniczy do zadań specjalnych. Jest najlepszy.

– Posłuchaj jej, bo mądrze mówi. – Eleni dołączyła do perswazji swoim polsko-angielskim łamańcem. – Ja położę Jorgosia na drzemkę.

Szły we dwie przez sosnowy las w stronę plaży, a śnieg chrzęścił im pod podszwami. Sabina narzuciła energiczne tempo. Miała nadzieję, że ruch i świeże powietrze rzeczywiście wzmocnią psychicznie Kasię – na nią to podziałało już wielokrotnie, ale czy jakikolwiek jej kłopot mógł równać się z tym, z czym zmagala się jej przyjaciółka? Z pewnością nie.

– Od kiedy jesteśmy razem, nie zostawił mnie samej na dłużej niż dwa tygodnie – odezwała się w końcu Kasia, kiedy prawie dotarły do wydm. – I to chyba nie było dobre. Zawsze trzeba mieć w tyle głowy, że twoje szczęśliwe życie, do którego przywykłaś i nie wyobrażasz już sobie żadnego innego, może się skończyć. W jednej sekundzie. I mieć jakiś plan awaryjny. Ja naprawdę powinnam to dobrze wiedzieć... – rzuciła to zdanie takim tonem, jakby za tymi słowami kryło się coś znacznie więcej.

– Nie mów tak – zaprotestowała Sabina. – Życie w ciągłym strachu i rozmyślanie, co okropnego może ci się zdarzyć, stałoby się koszmarem. – Jeszcze tylko małe wzniesienie dzieliło je od wyznaczonego z obu stron drewnianymi ogrodzeniami zejścia na plażę. – Chyba nawet nie wiesz, ile pozytywnej energii mi dałaś, odkąd tu mieszkam. Od początku jesteś dla mnie oparciem. Teraz ty potrzebujesz pomocy. I masz wokół siebie całe mnóstwo ludzi, którzy chcą ci ją dać. W tym mnie.

Kasia wyciągnęła z kieszeni goreteksowej kurtki chusteczkę i wytarła nos. Trudno powiedzieć, czy zrobiła to z powodu płaczu, czy może jednak wiatru hulającego wokół nich ze świstem. Wyszły na

pustą, rozciągającą się w nieskończoność białą plażę. Zupełnie jakby nagle teleportowały się z Mikołowa na biegun północny.

– Dobra, to na czym stoimy? – zagaiła Sabina po chwili marszu na otwartej powierzchni. Bez osłony drzew było trudniej iść, ale wysiłek wkładany w pokonywanie oporu powietrza dobrze robił im obu. – Co mogę dla was zrobić, co jest najpilniejsze?

– Na czym stoimy? Dobre pytanie. – Kasia głęboko wciągnęła powietrze. – Po pierwsze, muszę jak najszybciej zrobić remont. Pożar uszkodził dach głównego budynku. Trudno będzie przyjmować gości w zniszczonym pensjonacie, zresztą w remontowanym też – musiała podnosić głos, żeby przekrzyczeć szum morza i wiatru. – Pytanie, za co go zrobić.

– Ludzie z Mikołowa zobowiązali się do pomocy – weszła jej w słowo Sabina, ale dziewczyna machnęła tylko ręką.

– Daj spokój, przecież każdy ma swoje życie, naprawdę myślisz, że ktoś mi tu remont zrobi?

– No ale przecież...

– Nie bądź naiwna. Czym ja im zapłacę? Właściwie nie mamy oszczędności. „Afrodyta” całkiem nieźle zarabia jak na pensjonat w tak małej miejscowości, ale nie zdążyliśmy jeszcze nic odłożyć. Bieżące dochody szły na utrzymanie poziomu, na którym nam zależało. A poza sezonem największy zysk przynosiła restauracja. Która została bez szefa kuchni...

– Czyli na pewno trzeba znaleźć kogoś na zastępstwo. A tata Teo? Nie mógłby zostać? Radzi sobie naprawdę super – podsunęła Sabina, bo przekonała się już, po kim mąż Kasi odziedziczył swój talent.

– Dziadkowie Zagorakis nie będą tu siedzieć w nieskończoność. Stavros prowadzi w Salonikach firmę przewozową i nie może jej zostawić na zbyt długo. A poza tym on jest chory, musi być pod stałą kontrolą swojego lekarza. Nie chcę go mieć na sumieniu. Mój tata też jest po ciężkiej operacji, nie mogę go prosić o pomoc. To są starzy i schorowani ludzie. Słyszałam, jak wczoraj rozmawiali o przedłużeniu pobytu, ale wiem, że to tylko na chwilę. I trudno im się dziwić... – Kasia znowu zaczęła chlipać.

Zafrasowana Sabina podrapała się po nosie.

– Kurczę, kurczę... No dobra, popytam znajomych w Warszawie. Teraz wszyscy fascynują się dobrym jedzeniem, a każdy szanujący się snob musi znać się z najważniejszymi szefami kuchni w mieście. Na pewno znajdziemy kogoś dobrego.

– Wątpię, by ktoś taki chciał tu przyjechać. Zresztą nie byłoby mnie na niego stać.

– Najpierw spróbujmy, inaczej się nie przekonamy. – Sabina starała się robić dobrą minę do złej gry. – Okej? Pesymizm w ogóle do ciebie nie pasuje, więc nie zgrywaj mi tu czarnowidzki, bo nie dam się nabrać.

Kasia westchnęła i otarła łzy. Szły w milczeniu dłuższą chwilę.

– Wiesz – odezwała się nagle. – Cały czas mnie dręczy, że on jest sam w tym cholernym szpitalu.

Nie zna dobrze języka, ma wokół obcych ludzi. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli umrze w ten sposób... – powiedziała to głuchym, niemal spokojnym głosem.

– Kasia! Nie mów tak! On nie umrze!

– Skąd możesz to wiedzieć? – Patrzyła na srebrne fale morskie. Mewy nad ich głowami darły się wniebogłosy. Sabinę przeszedł dreszcz. Miała wrażenie, że obok niej idzie ktoś inny niż osoba, z którą jeszcze przed chwilą prowadziła całkiem normalną i racjonalną rozmowę. Nigdy wcześniej nie widziała tak mrocznej strony przyjaciółki.

– Wracajmy już, dobrze? – odważyła się zaproponować po chwili. – Dzieci pewnie czekają. – Miała nadzieję, że przypomnienie o nich nieco rozjaśni ponure myśli Kasi.

– Wracajmy – przytaknęła ze spokojem, który jednak wcale nie uspokajał Sabiny.

*

Dzień minął nie wiadomo kiedy. Sabina wracała wieczorem do domu przez wyludnione Mikołowo, oświetlone tylko białą poświatą śniegu pokrywającego ziemię kilkucentymetrowym dywanem, i intensywnie myślała. Na krótką metę sytuacja była mniej lub bardziej opanowana. Ale te awaryjne rozwiązania, jakie wcielili w życie wspólnymi siłami, nie załatwiały sprawy – główny problem i lukę nie do zastąpienia stanowiła nieobecność Teo. Pomoc dziadków miała się wkrótce skończyć, na razie jednak byli. Prowizorka wciąż działała.

Kiedy Sabina leżała już w łóżku, dostała wiadomość od Borysa: „Może wpadnę?”. W tym kołowrocie nieszczęść jego obecność działała na nią kojąco. Jak zwykle, kiedy dawał jej znać, że o niej myśli, zrobiło jej się ciepło. Powstrzymała się jednak od odpisania mu od razu. Ostatnie dni, wypełnione krzątaniną i zmartwieniami, zastopowały nieco szaleństwo, jakie wybuchło między nimi. Widywali się codziennie w „Afrodyce” i kiedy tylko okoliczności na to pozwalały, nie odmawiali sobie drobnych figli w przelocie. W innej sytuacji takie zachowanie pewnie wydałoby się jej szczeniackie i niepoważne, jednak teraz było podniecające i pełne uroku. W tych dniach na pierwszy plan wysunęła się jednak akcja ratunkowa w pensjonacie, co pozwoliło Sabinie złapać odrobinę dystansu. To z kolei oznaczało, że wróciły jej rozterki, choć te skutecznie zagłuszał Borys i wiążące się z nim całkiem przyjemne doznania. Nie mogła jednak zignorować czających się w tyle głowy znaków zapytania, przede wszystkim związanych z przyszłością, bo skoro to wariactwo ciągle trwało, a nawet zyskiwało na sile, nie mogła nie myśleć, do czego ich doprowadzi.

Kiedy byli razem, żadne z nich nie próbowało tego definiować, działo się i tyle. Przede wszystkim w łóżku, choć nie ograniczali się bynajmniej do tego tradycyjnego mebla, wykorzystując też kreatywnie inne elementy scenografii. A więc związek czysto fizyczny, jak podpowiadał jej Zygmuntowicz? Łatwo powiedzieć. Z pewnością tak byłoby prościej. Tyle że Sabina chętnie zapłaciłaby słoną sumkę temu, kto mógłby jej zdradzić, jak niby ma odłączyć emocje i traktować jak

„młode mięso” kogoś tak wobec niej szczodrego i otwartego, kto za każdym razem sprawia, że czuje się wspaniale. Wiedziała jednocześnie, że związek między nimi dwojgiem, w ogólnie rozumianym znaczeniu tego słowa, nie miał najmniejszej racji bytu. Był niemożliwy.

Następne piknięcie. „Jeśli Cię zaraz nie dotknę, źle się to dla mnie skończy”.

Wystukała odpowiedź: „Chodź” i wyciągnęła się na łożku. Jej rozmyślania sprzed chwili rozpięzły się niczym stado owieczek rozpędzone przez psa pasterskiego. Ciało napięło się w pulsującym oczekiwaniu i nie mogła już się skupić na niczym innym. „Sekretny kochanek bez zobowiązań”, przemknęło jej jeszcze przez głowę echo analizy statusu ich relacji. Chwilowo nie miała żadnych zastrzeżeń do takiej definicji, bo zaledwie jakieś dwadzieścia minut dzieliło ją od erupcji tego, co w niej narastało i gwałtownie podnosiło temperaturę ciała.

Przywitała go całkiem naga i także tym razem nie udało im się dotrzeć na górę, do sypialni, w każdym razie nie przed zaliczeniem przez nią trzech orgazmów. Zziajani wylądowali w końcu w łożku, ale już tylko po to, by skorzystać z jego podstawowej funkcji. Wciąż dziwiło ją, że zasypia przy Borysie jak dziecko. Właściwie od pierwszego razu. Zwykle sporo czasu zajmowało jej przyzwyczajenie się do nowego miejsca, a co dopiero do nowego człowieka, z którym dzieliła łożko. Wspólne spanie zawsze było dla niej czymś bardzo intymnym. Przez pół życia sypiała obok tego samego męża, więc miała aż nadto czasu, by przywyknąć. Ale już z Jerzym, podczas ich niefortunnej wspólnej nocy, nie zmrużyła nawet oka. Tymczasem Borys działał na nią niczym przytulne i znajome legowisko na niemowlę. Zaspokojona i rozluźniona, ledwo tylko przymknęła powieki, zapadała w głęboki, zdrowy sen. Tak było i tym razem.

Kiedy dzień zaczynał już wstawać, w jej nieświadomość wsączyło się doznanie, które jeszcze przez kilka chwil kołysało ją między snem i jawą. Rozkosz promieniowała w górę i w dół. Chwilę trwało to cudownie słodkie zawieszenie, nim jej umysł zinterpretował jej źródło. Leżała na boku, obrócona do niego tyłem, z nogami rozrzuconymi luźno na prześcieradle. Borys, obudziwszy się pierwszy, wykorzystał tę pozycję i niespiesznie gładził wejście do jej wnętrza. Zamruczała gardłowo i rozszerzyła nogi, nie odwracając się do niego. On drażnił najbardziej wrażliwe miejsca, zwiększając nacisk, to go zwalniając.

– Kocham, jak jesteś tam cała mokra – szepnął, gryząc ją lekko w kark.

Wcisnęła głębiej twarz w poduszkę. Zacisnęła zęby na jej materiale, by nie krzyknąć. Wyprężyła się w jego stronę i poczuła na udzie jego podniecenie. To, że nigdy nie miał dosyć, nakręcało ją jeszcze bardziej, a krew w jej żyłach zamieniała się w żywy ogień. Fizyczne reakcje nie kłamały – jej czterdziestotrzyletnie ciało rozpalało go tak, jak ją jego... No właśnie, ciągle nie wiedziała, ile on ma właściwie lat. W tej chwili jednak było to najmniej ważne.

Kiedy brała prysznic, Borys zszedł do kuchni i przygotował solidne śniadanie, na jakie każde z nich uczciwie zasłużyło. Przewiązał sobie w pasie fartuszek w kolorowe paseczki, pod którym nic na

sobie nie miał. Mogła więc podziwiać w pełnej krasie jego kształtne pośladki. W nozdrza połąskotał ją aromat kawy. Czy można było sobie wyobrazić lepszy poranek? Po wchłonięciu jajeczniczy z pomidorami i do niej trzech (Borys) i dwóch (Sabina) obficie posmarowanych masłem pajd chrupiącego chleba przygotował im jeszcze po grzance z dżemem figowym.

– Ile ty właściwie masz lat? – wypaliła znienacka. Może to ta poranna dawka endorfin dodała jej odwagi, by wreszcie wypowiedzieć na głos to pytanie.

Borys spojrział na nią spod oka.

– Czas na kontrolę dowodu osobistego?

– Przecież to oczywiste, że jesteś dużo młodszy. Po prostu jestem ciekawa, jak bardzo – odparła, siląc się na lekki ton. Ot, najzwyczajniejsza w świecie pogawędka przy śniadaniu.

– Spokojnie, jestem pełnoletni.

– Powiedz, bo zaczynam się bać, że dziewiętnaście.

– A gdyby nawet?

Aż się zakrztusiła swoją grzanką.

– Żartujesz, prawda? Powiedz, że żartujesz.

Patrzył na nią przez chwilę bez mrugnięcia okiem, a ona coraz natarczywiej wpatrywała się w niego. „Ja pierdolę, to prawie podpada pod pedofilię!”

– Dwadzieścia sześć – odezwał się w końcu, a ona powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Na litość boską, ja tu prawie dostałam zawału!

– Nie wiem, po co się tak tym przejmujesz. Co to zmienia? – Roześmiał się beztrósco.

– Jednak zmienia.

– To tylko szufladki potrzebne do szczęścia nudnym ludziom. Mnie nie interesuje data twojego urodzenia, interesujesz mnie ty – ostatnie słowa wypowiedział niezbyt wyraźnie, bo przechylił się przez stół i przywarł ustami do jej ust.

„I całe szczęście – pomyślała Sabina, oddając pocałunek. – Zdecydowanie wolę, żebyś się tym nie interesował”.

– Powinieneś mieć dziewczynę w swoim wieku – rzuciła jeszcze niby od niechcenia, kiedy razem wkładali naczynia do zmywarki.

– Gdybym chciał, tobym miał – odpowiedział z lekko łobuzerskim uśmiechem. – Co cię dziś napadło? Czuję się jak w teleturnieju „sto pytań do”.

Wzruszyła tylko ramionami. Lubiła w nim tę wrodzoną pewność siebie, dzięki której nie czuła się z nim jak z uczniem, ale po prostu z facetem. Nawet zazdrościła mu tego mocnego przekonania, że wszystko jest tak, jak być powinno, przekonania pozbawionego wszelkich wątpliwości. Ona miała ich mnóstwo.

– Wolę spędzać czas z tobą, co w tym złego? – ciągnął Borys. – Ale jeśli masz mnie dosyć, powiedz słowo i już mnie nie ma. Najgorsze to robić coś na siłę.

Oczywiście nie mogłaby tego sobie zrobić. Pozbawić się jego i tego, co jej dawał. „Co ma być, to będzie”, myślała, kiedy zamykała za nim drzwi.

ROZDZIAŁ 17

Nie wyglądało to dobrze. Nic nie wyglądało dobrze. Remont zniszczonej części pensjonatu nie posuwał się zbyt spektakularnie. Pełni dobrych chęci sąsiedzi rzeczywiście przychodzili w systemie zmianowym, by naprawić zniszczoną część domu, ale same intencje niestety ciężko przekuć w profesjonalizm. Rodzice Teo, ponaglani przez współników ojca i przede wszystkim przez jego diabetologa, ostatecznie musieli kupić bilety powrotne do Aten. Eleni była zdruzgotana tym, że nie zobaczy swego ukochanego syna przed wylotem do Grecji, a Stavros, choć starał się nadrabiać miną, też miał fatalny nastrój. W dodatku sam coraz gorzej się czuł. Kasia zaś nagle zaczęła jakby zapadać się w sobie. Coraz częściej brakowało jej sił na ogarnianie rzeczywistości, która wymykała się normalnemu porządkowi. Siedziała bez ruchu, wpatrzona w odległy punkt, a z tego marazmu nie były jej w stanie wyrwać nawet dzieciaki.

„Ten statek pozbawiony kapitana niedługo zacznie dryfować”, myślała Sabina, martwiąc się coraz bardziej o przyjaciółkę. W dodatku tuż po świętach powróciła z mora pisarki – jej osobisty i nieodmiennie upierdliwy do bólu asystent Kamil.

– Soniu, moja droga, głowa aż mi pęka od pomysłów! Tobie pewnie też! Przez święta miałaś mnóstwo czasu na kreatywne rozmyślenia. To taki ekscytujący etap twórczości, zgodzisz się? – zarzucił ją słowotokiem na powitanie, do którego musiało w końcu dojść w „Afrodyce”. Miał na sobie na oko o rozmiar za mały sweterek w romby będący wzorcem z Sèvres szampowego prezentu gwiazdkowego.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym niesmaku. Pochłonięta tragedią przyjaciół, nie poświęciła ani jednej myśli niecierpliwemu oczekiwaniu przez stację telewizyjną scenariuszowi, istniejącemu zresztą tylko w wyobraźni jej nawiedzonych pracowników.

– A więc, Soniu, musimy na nowo coś ustalić. Koniec z wymówkami. Trzeba bezwzględnie ruszyć z kopyta, żarty się skończyły. Wisi nad nami *deadline*, a to oznacza jedno: dy-scy-pli-nę. Jestem u ciebie jutro o dziewiątej i omawiamy grafik naszej pracy – Kamil mówił to z uśmiechem, ale napięcie na jego twarzy świadczyło o tym, że wcale nie traktuje swojej przemowy lekko.

– Zgadza się. Musimy coś ustalić. Przede wszystkim zależałoby mi na tym, żeby pozwolił mi pan – Sabina wyraźnie zaakcentowała to słowo, aby zaznaczyć swój sprzeciw wobec zwracania się do niej po imieniu bez jej zgody – decydować o własnym czasie. Proszę też nie wyznaczać mi spotkań, bo nie jest pan moim szefem. Ciężko zapracowałam na to, by go nie mieć.

– Soniu, to w ogóle nie jest nam potrzebne – kontynuował niezrażony Kamil. Duża część jego determinacji miała swoje źródło we wrażeniu, jakie wywarł na nim niespodziewany telefon od jednej z asystentek Moniki Kardas w drugi dzień świąt. Ustami cedzącej słowa przez zaciśnięte zęby

dziewczyny szefowa przekazywała mu głębokie niezadowolenie z powodu jego dezercji. To oburzające, że miał czelność przerwać misję i wyjechać z Mikołowa, nie przedstawiając żadnych, najmniejszych nawet efektów powierzonego mu zadania. Telefon zakończył się komunikatem, że w drodze wyjątku dostanie drugą szansę, jednak na trzecią nie może już liczyć. Kamil, kiedy tylko uporał się z nagłym atakiem problemów gastrycznych, wsiadł w pierwszy pociąg na Wybrzeże z walizką wypchaną po brzegi świeżą porcją garderoby i mocnym postanowieniem, że tym razem ani o milimetr nie odpuści tej leniwej babie, którą zesłało mu chyba samo piekło. – Nie ma mowy o żadnym szefie, skąd w ogóle taki pomysł – klarował pozornie spokojny asystent. – Poza tym nie jestem twoim wrogiem. Gramy do tej samej bramki, Soniu, nie zapominaj o tym. Ja mam swoje zobowiązania, ty masz swoje. Pamiętasz o nich, prawda?

– Możemy przełożyć tę rozmowę na jutro? – spytała z braku lepszego pomysłu na ripostę. – Czuję się nieco osaczona pańskimi nagabywaniami.

Kamil westchnął głęboko.

– A zatem do jutra. Będę, jak już wspomniałem, o dziewiątej. – Jej postawa była co najmniej nie na miejscu, ale nie zamierzał tego teraz analizować. Ważne, że jutro muszą zacząć pracę i on do tego doprowadzi, choćby babsko miało się zapierać rękami i nogami. Od tego jest profesjonalistą, by zrealizować swój plan zgodnie z wytycznymi.

Sabina naprawdę się wściekła. Dawno nikt jej tak nie wkurzył jak ten wyperfumowany, namolny chudzielec. Kiedy więc nazajutrz rano znalazła w swojej poczcie mail zatytułowany: „grafik”, aż się wzdrygnęła ze złości. Przebiegła wzrokiem tekst, napisany, zgodnie z informacją w nagłówku, o godzinie 0:42.

Witaj, Soniu,

mam nadzieję, że dobrze spałaś (bo przeczytasz to pewnie rano – ktoś musi pracować, by odpoczywać mógł ktoś ☺). W załączeniu przesyłam opracowany przeze mnie grafik prac, który pozwoli nam na efektywne i optymalne wykorzystanie najbliższych dwóch tygodni. Ten to okres chcielibyśmy wraz z Szefostwem zakończyć przedstawieniem Stacji gotowego pilota nowego sezonu „Że cię nie opuszczę”. Wierzę (a nawet jestem pewien!), że wspólnie uda nam się zrealizować ten cel. Rzuć okiem, proszę. Jestem otwarty na negocjacje, jeśli chciałabyś wprowadzić jakieś niewielkie modyfikacje do załączonego grafiku.

Widzimy się już niebawem ☺

Pozdrawiam serdecznie

K. Arens

Pełna jak najgorszych przeczuć otworzyła załącznik. Zawierał tabelkę w Excelu z godzinową rozpiską każdego dnia. Kamil użył wielu kolorów i nie poszedł na łatwiznę, układając poszczególne

cegiełki tabeli – były rozmieszczone w różnej kolejności, tak by schemat poniedziałku różnił się od wtorkowego i tak dalej. Niezależnie od ich rozmieszczenia w czasie powtarzały się za to główne elementy, z jakich zdaniem Kamila miały się teraz składać jej najbliższe dni. Na zielono zaznaczył pozycję „*brainstorm* – S. + K.”. Łososiowy przypadł „czasowi na samodzielne pisanie – S.”. „*Feedback*, dalsze wskazówki – S. + K.” miał kolor żółty. Niebieski należał do „Poprawki: naniesienie – S.”. Natomiast „czas na łapanie inspiracji – S., opcjonalnie + K.” fantazyjnie podkreślał kolor lila. Sabina złapała, ale nie inspirację, tylko ból głowy. Niewiele myśląc, kliknęła „odpowiedz” z zamiarem napisania mu od serca, co sądzi o „załączonym grafiku”. Nie zdążyła jednak tego zrobić, bo usłyszała dzwonek. Nie mógł to być nikt inny niż autor wiadomości, która doprowadziła ją do ślepej furii. Zbiegła po schodach i dopadła do drzwi. Otworzyła je z takim impetem, że Kamil cofnął się o krok. Nim zdążył otworzyć usta, wykrzyczała:

– Nie masz tu czego szukać, ty... ty korporacyjny pomioście!

Asystent stał wbity w ziemię. Jedyne jego żywej reakcji na atak Sabiny stanowiło mruganie powiek w niewiarygodnym tempie.

– Pakuj manatki i wracaj do swojej pierdolonej stacji!

Chłopak aż pobladł i mało brakowało, by zakrył uszy w odruchu obronnym, słysząc takie bluźnierstwo.

– Chyba upadliście na głowę! Jestem wolnym człowiekiem! Nie macie takiej władzy, żeby mnie ubezwłasnowolnić! Precz mi z oczu! Wynocha! – I zatrzęsła drzwi, aż te zadrżały w futrynie. – Idiota! Czy oni się tacy rodzą, czy ci bardziej ważni tak piorą im mózgi!?! – Zza ściany budynku dochodziły do niego jeszcze jej gniewne okrzyki.

Kamil stał pod drzwiami całkowicie zdruzgotany.

– Ależ, Soniu... – kiedy spróbował wydobyć głos, skulił się w sobie jeszcze bardziej, bo zabrzmiało to jak żalosne popiskiwanie. Postać tak jeszcze chwilę, wyglądając i czując się jak kupka nieszczęścia, aż wreszcie ruszył w drogę powrotną do pensjonatu. W jej trakcie dokonał psychologicznej wolty – zniechęcenie przekuł w mocne postanowienie, że ta niepoczytalna idiotka, przereklamowana autorka od siedmiu boleści, popamięta sobie do końca życia, z kim zadarła.

Sabina natomiast nie miała czasu, by roztrząsać scysję z w gruncie rzeczy Bogu ducha winnym wyrobnikiem stacji. Nie przemyślała tego, po prostu musiała to uciąć, bo inaczej nie dałby jej spokoju. A przecież unikanie pracy nad niemającym nigdy powstać scenariuszem nie było tylko kaprysem zmęczonej sukcesem pisarki. Sabina miała przed sobą nowy cel, któremu chciała się poświęcić na sto procent.

Poprzedniej nocy tuż przed zaśnięciem zaświtało jej w głowie rozwiązanie kryzysu w „Afrodyce”. Tak proste, że aż się zdziwiła, że dopiero teraz na nie wpadła. To ona zajmie się pensjonatem. Przejmie obowiązki Kasi, dopóki ta nie poczuje się lepiej. Borys na pewno pomoże jej w prowadzeniu

kuchni, w końcu zdążył się napatrzeć na szalejącego w niej Teo. Jakoś sobie poradzą. Muszą. Przepęłniała ją energia. Chciała działać. „Niesamowite, jak wszystko staje się cudownie proste, kiedy wiesz, że to, co robisz, jest dobre”, myślała, wspominając swoje katusze nad pustym pierwszym rozdziałem nieistniejącej powieści. Teraz, chociaż nie miała bladego pojęcia o zarządzaniu pensjonatem i nie wiedziała nawet, od czego zacząć, ogarnął ją entuzjazm, o jaki nawet się nie podejrzewała. Nie mogła się już doczekać siebie w nowej roli. Szybko się ubrała i pobiegła do „Afrodyty”. Wpadła prosto do mieszkania Zagorakisów.

– Kasia, już wiem, co zrobimy! – zawołała w progę, ale nikt jej nie odpowiedział. Weszła dalej.

Powitały ją spojrzenia trójki dzieci siedzących obok siebie za dużym stołem.

– Mamusia jest chora – pierwsza odezwała się pszenicznowłosa Oliwka.

– Zrobiłem kanapki, ale mama nie chciała – poinformował poważnie najstarszy z rodzeństwa Jaś.

– A dziadek pojechał z babcią do Gdańska, po lekarstwo.

Wszystkie dzieci miały przed sobą talerze z grubo pokrojonymi kromkami z żółtym serem.

– Zaraz zrobię wam kakao. Chcecie? – spytała Sabina, starając się, by jej głos zabrzmiał wesoło, choć wcale nie było jej do śmiechu. Kasia najwyraźniej nie miała nawet siły, by zajmować się dziećmi, a to znaczyło, że jest z nią naprawdę kiepsko.

– Am am, kakało! – Grześ zamachał nogami, ożywiając się na propozycję cioci.

– Dobra, to za minutę jestem z powrotem, zajrzę tylko na chwilkę do waszej mamy.

Zauważyła, jak Janek odprowadził ją zaniepokojonym wzrokiem. „Biedne szkraby – myślała. – Pewnie niewiele z tego rozumieją, ale na pewno strasznie się boją. Najpierw ten pożar, potem tata znika w szpitalu, a teraz jeszcze mama zamienia się w zombie...”. Zapukała do sypialni i nie doczekawszy się zaproszenia, ostrożnie otworzyła drzwi. Kasia leżała w łóżku, zawinięta w koc. Sabina przysiadła koło niej.

– Hej, kochana. – Poglądziła ją po dłoni leżącej na poduszce.

Jedyną reakcją jej przyjaciółki było otwarcie oczu.

– Może wstaniesz i zjemy śniadanie razem z dziećmi? – spróbowała, ale ta tylko słabo pokręciła przecząco głową. – Słuchaj, wymyśliłam coś. Zajmę się pensjonatem. – Wypatrywała na twarzy Kasi jakiegokolwiek reakcji, ale nic nie zobaczyła. – Nie musisz się o nic martwić. To znaczy nie spodziewajmy się, że zdobędę dla was gwiazdkę Michelin – cały czas starała się przełamać jej smutek i wyrwać choć na chwilę z apatii – ale zrobię wszystko, by to jakoś funkcjonowało. W remontach mam już doświadczenie, a prowadzenia hotelu i restauracji po prostu się nauczę. Metodą prób i błędów – paplała, coraz bardziej zaniepokojona. Naprawdę spodziewała się, że Kasia przynajmniej się ożywi i poprowadzi ją trochę, podpowie, co zrobić, na co zwrócić uwagę. Bo mimo ogromnych chęci Sabina nie miała zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Daj sobie spokój. To na nic – powiedziała zamiast tego Kasia.

– Nie dam. Nie zostawię cię. Wypadki się zdarzają, ale to nie koniec świata. „Afrodyta” musi to przetrwać. Teo wyzdrowieje, ty poczujesz się lepiej. Znowu będzie jak dawniej.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

Aż ją przeszły ciarki. Nie poznawała swojej przyjaciółki. Czy leżąca na łóżku osoba była tą samą tryskającą optymizmem i zarażającą wszystkich wokół dobrym humorem Kasią? Czy to, co się stało, mogło ją złamać na dobre?

– Chcę tylko, byś wiedziała, że „Afrodyta” będzie pod opieką. Nie zamkniemy jej. A ja zrobię wszystko, żeby oddać ci ją w dobrym stanie, kiedy będziesz gotowa – powiedziała i pocałowała ją w czoło, a potem wróciła do dzieci.

Przygotowując obiecane kakao, a dodatkowo jeszcze naleśniki z dżemem, próbowała jakoś zabawić tę gromadkę i choć na chwilę odciągnąć ich uwagę od rodzinnej katastrofy. Jednocześnie główkowała, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Pojęła, że stoi przed nią zadanie bardziej skomplikowane, niż sądziła: musi nie tylko w ekspresowym tempie przyswoić sobie wiedzę o zarządzaniu pensjonatem, ale też zapewnić opiekę dzieciom. Moment wyjazdu Eleni i Stavrosa nieubłaganie nadchodził, a ich dzisiejsza chwilowa nieobecność odbiła się od razu na sytuacji domowej. Kasia właśnie straciła kontrolę nad życiem rodzinnym i swoim własnym chyba też. „Dzwonię do Janeczki ze sklepu”, postanowiła Sabina. Jak już miała okazję się przekonać, społeczność Mikołowa umiała zewrzeć szeregi, gdy ktoś był w potrzebie.

Janeczka nie zawiodła i wkrótce po ich rozmowie w „Afrodyce” zjawiała się Oleńka – właścicielka świetnie prosperującego w sezonie największego plenerowego baru w lesie, tuż przy zejściu na plażę. Energiczna pięćdziesięciolatka z siwym warkoczem mogła dziś zabrać do siebie dzieciaki na cały dzień. Było to oczywiście tymczasowe rozwiązanie, ale Janka miała wpaść pod wieczór, po zamknięciu sklepu, by wspólnie naradzić się w sprawie grafiku zajmowania się małymi Zagorakisami przez dłuższy czas.

Zatem ku wielkiej uldze Sabiny od razu okazało się, że Mikołowo stanie na wysokości zadania i chętnych do pomocy nie zabraknie. Przynajmniej teraz mogła rozeznaczyć się w sprawach „Afrodyty”. Spędziła wiele godzin w kantorku przy recepcji służącym za prowizoryczne biuro, gdzie na podstawie faktur, kopii zamówień i innych dokumentów zebranych w kilku segregatorach próbowała odtworzyć, jak to wszystko działa.

– Zjedz coś. – Borys przerwał jej studia, wchodząc z ciepłym obiadem.

– Kochany jesteś – powiedziała z wdzięcznością. Zupełnie straciła poczucie czasu. Gdyby jej nie przerwał, siedziałaby tak, zagrzebana w papierach i bez jedzenia, do wieczora.

– Pomóc ci?

– Tak, na pewno. Tylko najpierw muszę się zorientować, z czym to się w ogóle je. I jakiej pomocy i od kogo będę potrzebować.

– Tylko nie siedź tu do nocy. Widzimy się dziś?

– Dam ci znać, jak skończę. Może tak być?

Kiwnął głową i spojrzał na nią tak, że poczuła się pokrzepiona. Nie musieli sobie wszystkiego tłumaczyć, bo najwyraźniej było między nimi porozumienie, które nie wymaga wielu słów. Doceniała to, zwłaszcza teraz.

Kiedy po kilku kolejnych godzinach nad biurkiem przestała już rozróżniać cyfry na oglądanych dokumentach, stwierdziła, że przesadziła. Spojrzała na zegarek. Było grubo po dwudziestej drugiej. „O nie, jeśli coś ma z tego wyjść, muszę trochę przystopować, bo w przeciwnym razie zamiast prężnej menadżerki będą tu wkrótce mieli wrak człowieka”, uznała. Przed wyjściem wysłała jeszcze wiadomość Borysowi, że musi się wyspać i że dziś wolałaby sobie odpuścić spotkanie. „W porządku, odpocznij” – odpisał, a jej zrobiło się ciepło na sercu. Zabierał ją na erotyczne wyprawy, o jakich się jej nie śniło, a teraz jeszcze pokazywał nową twarz. Nie spodziewała się i nawet nie oczekiwała tego od młodocianego kochanka, a tymczasem on umiał też być dla niej oparciem.

Dotarła do domu na ostatnich nogach. Przed samym pójściem spać postanowiła jeszcze sprawdzić maile i szybko tego pożałowała. Pobieżnie przejrzała listy od dziennikarzy w sprawie wywiadów, usunęła całą górę spamu, aż wreszcie na samym dole zauważyła niepokojąco zatytułowaną wiadomość: „W sprawie odszkodowania”. Mail został wysłany w ciągu dnia przez kogoś z działu prawnego stacji telewizyjnej, której produkcją filmową i serialową trzęsła Monika Kardas. Sabina poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. „O nie.. ”, jęknęła w duchu i z największym lękiem kliknęła w wiadomość. Z treści maila od mecenasa Karola Bonikowskiego reprezentującego stację PolTV wynikało, że Sabina jest w bardzo poważnych tarapatach. Jeśli prawdą było to, co pisał Bonikowski, pisarka swoim upartym odmawianiem współpracy przy tworzeniu scenariusza nowego sezonu serialu złamała warunki umowy zawartej ze stacją, za co grozić jej miały surowe konsekwencje finansowe. Krótko mówiąc, była winna im kupę forsy. „Najwyraźniej ten pajac Kamil nie zwlekał z donosem...”, stwierdziła, żałując swego może nie do końca przemyślanego zachowania. Musiała napić się wody.

Jeszcze raz uważnie przeczytała treść maila. Tego ciosu się nie spodziewała, choć nikt przecież bezkarnie nie robi idiotki z Moniki Kardas. Sabina chciała wolności – to ją miała, tyle że nie za taką cenę. Jeśli dojdzie do sprawy sądowej i ona przegra (a wszystko, zdaniem mecenas, na to wskazywało), wówczas pieniądze, jakie jej zostały, oraz kolejne zyski z nadal sprzedających się książek o Amelii przejmie komornik działający w imieniu stacji PolTV.

– Niech to jasna cholera! – Padła na łóżko, czując, jak ogarnia ją atak paniki. – I co ja mam teraz zrobić?

Jej plan zagrzebania się w ciepłą pościel diabli wzięli. Była zbyt rozdygotana, by zasnąć. Zaparzyła sobie melisy na uspokojenie i usiadła z telefonem w ręce. Późna pora nie stanowiła

przeszkody, Zygmuntowicz nigdy nie kładł się spać wcześniej niż o drugiej w nocy.

– Mariusz? Możesz gadać? Masz chwilę?

Zygmuntowicz miał chwilę, dla Sabiny zawsze miał chwilę, a nawet wiele chwil.

– No pewnie, co tam? – odparł całkiem wesołym tonem.

– Wpadłam po uszy w bagno. Masakra.

– Brzmi poważnie. Czy to w związku z twoim lowelasek?

– Co? – Sabina jakby nie zrozumiała, o czym mówił. – Nie, nie, to w ogóle inny kaliber.

– Ale nadal się z nim spotykasz? – nie dawał za wygraną, najwyraźniej ogromnie ciekaw tego, co obecnie działo się w życiu uczuciowym przyjaciółki.

– Mariusz, to w tej chwili jest akurat bez znaczenia. Słuchaj, mam wielki, naprawdę wielki kłopot.

– Przybliżyła mu w skrócie treść maila od prawnika nasłanego na nią przez Monikę Kardas. – Załatwiła mnie na cacy. Na amen. Wszystko, co mam, pójdzie na to odszkodowanie, bo podobno taki paragraf widnieje w umowie. Ja nic nie pamiętam, nawet jej tu nie mam. Wszystko jest u Lucyny! Masakra. Będę musiała iść do sądu, walczyć. Boże, czy oni naprawdę mogą mnie oskubać? Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji? – Zbierało się jej na płacz.

Zygmuntowicz milczał przez chwilę. To naprawdę nie były przelewki. Suma, o której mówiła, robiła wrażenie.

– Wiesz co, jesteś roztrzęsiona – zaczął po chwili. – Pewnie też bym był, ale powiem ci jedno: Kardas po prostu chce cię złamać. Nie powinnaś się poddawać. To ty jesteś pisarką. To w twojej głowie żyją bohaterowie. To od twojego talentu zależy ich powodzenie. Jeśli nie masz już sił, by stworzyć ten świat, nie powinnaś tego robić. Coś ci powiem. Twoja decyzja, by tym wszystkim pieprzyć, jest dla mnie wielką inspiracją i motywacją do tego, by się nie poddawać. Mój wydawca też mnie straszy konsekwencjami, ale patrząc na ciebie, widzę, że mogę mu się postawić. W końcu to jest moje życie, nie?

Sabina słuchała jego słów z wielką uwagą.

– Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę – głos Mariusza brzmiał poważnie i uroczyście. – Walcz w sądzie o swoje, jeśli trzeba, ale nie rezygnuj z raz obranej drogi.

– W końcu to moje życie – chlipnęła cicho Sabina, wzruszona słowami swojego telefonicznego przyjaciela.

– I nikt go za ciebie nie przeżyje – dodał.

– No właśnie.

Po rozmowie z pisarzem poczuła się nieco podniesiona na duchu. W jej głowie wciąż brzmiały słowa: „Jesteś dla mnie inspiracją”. Sabina spróbowała dla odmiany na chłodno przeanalizować swoją sytuację. „To walka Dawida z Goliatem. Ja sama naprzeciw wielkiej korporacji mającej do dyspozycji

całą armię prawników. Puszczą mnie z torbami bez trudu. Czy będę umiała zacząć wszystko od nowa? Zarabiać przysłowiową średnią krajową, choćby w »Afrodycie«, i cieszyć się, że naprawdę nic nie muszę?” Była to w pewien sposób nawet kusząca wizja, ale na myśl o tym, że na jej wszystkich oszczędnościach ma położyć łapę ktoś, kto w żaden sposób na to nie zasłużył, aż trzęsła się ze złości.

I wtedy coś jej zaświtało w głowie. Był ktoś, kto mógłby poradzić sobie w tej sytuacji. Jej była agentka. Nikt tak jak ona nie umiał doprowadzić Sabiny do szału, jednak nikt inny nie umiał też okręcić sobie wokół palca tych wszystkich grubych ryb, od których zależała jej zawodowa przyszłość. Cokolwiek by o niej mówić, ta szurnięta baba nie bała się takich wyzwiań. Nikt, nawet najpotężniejszy rozgrywający z branży nie stanowił dla niej przeszkody nie do pokonania. „Hmm, tylko czy ona będzie chciała jeszcze ze mną gadać... – zawahała się. – No i czy ja rzeczywiście jestem gotowa, by znowu się z nią użerać?” Rozważając różne za i przeciw, z pewnym zaskoczeniem uświadomiła sobie, że trochę się stęskniła za Lucyną. Fakt, ta ruda zołza zalała jej za skórę jak mało kto, Sabina nie знаła bardziej irytującej osoby, a jednak...

Przecież tyle razem przeszły. Przez wiele lat widywały się niemal codziennie, spędzała z nią pewnie więcej czasu niż z własnym (byłym) mężem. O ile za część swoich kłopotów po aferze z pisarką Teleszko obarczała winą właśnie Lucynę, o tyle nie mogła jednak zapomnieć, że za jej sukcesem w całkiem sporej części również stała agentka. Zresztą i tak musiała się z nią skontaktować, bo Lucyna ciągle miała u siebie wszystkie jej umowy.

Sabina obgryzała skórę przy paznokciu, zachodząc w głowę, jak sformułować maila do Lucyny. Może po prostu skopiuje treść listu od prawników stacji z pytaniem: „Czy coś z tym w ogóle możemy zrobić?” i wyśle z nadzieją, że Lucy po prostu zakasze rękawy i szybko odpisze: „Tak, kochaniutka, oczywiście, zaraz to załatwię”. Nie, chyba jednak nie. W końcu ich zainicjowane przez Sabinę rozstanie wymagało jednak czegoś bardziej spektakularnego. Ale nie będzie przeproszać, co to, to nie! Bez przesady, nie ma zresztą za co. I wtedy ją olśniło. Rozegra to pokerowo. Niech to wygląda jak szansa rehabilitacji dla Lucy. Agentka powinna mieć pełną świadomość, jak wielkie szczęście ją spotyka. To da Sabinie przewagę i kartę przetargową w pacyfikowaniu jej w przyszłości, co zapewne prędzej czy później okaże się konieczne. Lucyna musiała tylko przestrzegać pewnych zasad, żeby nowa odsłona ich współpracy miała sens.

Postanowiła zabrać się do sprawy metodycznie i sporządzić listę. Agentka, do której obowiązków należało między innymi pilnowanie umów, będzie musiała respektować ustalenia ujęte w sposób właściwy dla dokumentów, które mają moc prawną. Sabina potrzebowała mniej niż pięciu minut, by spisać swoje postulaty.

1. Surowo zabronione jest robienie czegokolwiek wbrew mojej woli.
2. Uznanie, co jest, a co nie jest wbrew mojej woli, leży wyłącznie w mojej gestii.

3. Wszelkie zobowiązania podejmowane w związku z moją działalnością zawodową wymagają mojej osobistej akceptacji.
4. Akceptacja winna się odbyć PRZED ewentualnym podjęciem zobowiązania.
5. Koniec z podszywaniem się pode mnie!!! Nieautoryzowane profile lub wystąpienia w portalach i innych mediach istniejących obecnie lub tych, które powstaną w przyszłości (pamiętała, że w każdej z jej umów długie akapity poświęcono zabezpieczeniu na okoliczność zjawisk, które dopiero mogą zaistnieć w przyrodzie), są bezwzględnie zakazane.
6. Udostępnianie komukolwiek informacji dotyczących mojego życia prywatnego jest z zasady niedopuszczalne i będzie SUROWO karane!!!
7. Życie prywatne obejmuje także: zdjęcia jedzenia, które rzekomo jem, wskazywanie miejsc, w których rzekomo przebywam, publikację „moich” cytatów z rzekomymi przemyśleniami natury ogólnej oraz codziennej.
8. Mam na imię Sabina. Tak też należy się do mnie zwracać w ramach codziennych kontaktów. Sonia jest pseudonimem, a ja jestem CZŁOWIEKIEM!
9. Nie wolno do mnie dzwonić przed godziną dziewiątą rano i po godzinie osiemnastej. Dopuszczalne są nieinwazyjne formy kontaktu, jak e-mail – o dowolnej porze.

Uważnie przyglądała się swojej liście. Punkty brzmiały chyba wystarczająco groźnie. Czy zapisała wszystko, co da jej szansę na poskromienie niesubordynacji jedynej w swoim rodzaju agentki? Cóż, nie miała wyjścia. Potrzebowała Lucyny.

Jej telefon zadzwonił minutę po dziewiątej rano.

– Dziewiąta minęła, znaczy mogę dzwonić, ha ha ha! – Aż odetchnęła z ulgą, słysząc lekko zachrypnięty głos Lucy. – Kochanie, ale mnie przetrzymałaś! Już myślałam, że nigdy się nie odezwiesz! A co do meritum sprawy, moja piękna i mądra SABINO – wymówiła jej imię ze specjalnym naciskiem, aby podkreślić, jak bardzo wzięła sobie do serca nowe zasady – będzie, jak sobie życzysz. Akceptuję twoje warunki w stu procentach! Tak, nie przesłyszałaś się, skarbie, w całych calusieńkich stu procencikach. Wiesz przecież, że jestem człowiekiem kompromisu. – Sabina słuchała tego słowotoku, uśmiechając się. Nie sądziła, że to kiedykolwiek się stanie, ale afektowany do przesady głos Lucyny działał na nią kojąco. – Słuchaj, pomysły aż wylewają mi się z głowy. Nie myśl sobie! Wchodzę w to ze stuprocentowym entuzjazmem, chociaż powieści o traumach i dramatach to nie moja specjalność. Ale co tam, z tobą mogę promować choćby nowoczesną poezję! I twojej nowej powieści się nie ulęknę, ha ha ha! Takie nowe otwarcie to wielka szansa dla nas obu. Szansa na rozwój. Zmiana jest zawsze dobra, czytałam u Osho. Ale, ale! Czemu nic nie mówisz, Sabinka?

– Dziękuję ci, że zadzwoniłaś, Lucyna – Sabina aż lekko zadrżał głos. – Bo widzisz, mam poważny problem i będę potrzebować twojej pomocy.

Streściła pokrótce skomplikowany wywód mecenasa wynajętego przez Monikę Kardas, starając się zrobić to możliwie rzeczowo i nie dać się ponieść emocjom. Wreszcie zamilkła, czekając z nadzieją, aż Lucy powie coś w rodzaju: „I o to tyle zachodu? To dla mnie pestka, maleńka”. Ale nic takiego nie usłyszała. Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

– Lucyna, jesteś? – odważyła się wreszcie zapytać.

– Jestem, jestem... Wiesz, trochę mnie zatkało.

– Aż tak źle? – Sabina się skuliła.

– Kochana, masz podpisane umowy. Nie miałyśmy ostatnio najlepszej passy, więc nie za bardzo było jak pogadać o przyszłości, ale ja się bardzo niepokoiłam. Czym innym jest ta twoja nieszkodliwa powieść o depresji, a czym innym konsekwentne odmawianie dalszego pisania ślubnej serii... Wiesz, szczerze mówiąc, myślałam, że tak się tylko odgrażasz. Kryzysy twórcze dopadają każdego. Ale ty nie blefowałaś?

– Nie. Cieszę się, że to wreszcie do ciebie dotarło.

– Zawsze byłam pacyfistką, a ty chcesz wojny! I to z kim! Kardas nie bierze jeńców, chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. Wiesz o tym doskonale! Jako twoja nowa-stara agentka mogę doradzić jedyne dobre rozwiązanie. Napisz im to. Odbębniś książkę i ten głupi scenariusz w dwa miesiące, co to dla ciebie. Dobra, niech będą trzy miesiące, przedłużenie terminów biorę na siebie. I wszyscy będziemy żyć długo i szczęśliwie.

– To niemożliwe, Lucy. Jestem już gdzie indziej. Mam tu coś cholernie ważnego do zrobienia. Coś, co zajmie cały mój czas przez najbliższe tygodnie, albo i dłużej. Jeśli nie możesz mi pomóc, po prostu powiedz. Zrozumiem.

– O rany... – zafrasowała się Lucyna. – Daj mi chwilę – dodała poważnym, a przez to dziwnym w jej ustach głosem. – Zastanowię się, czy możemy wykonać jakikolwiek ruch.

– Dziękuję ci.

Sabina dobrze wiedziała, że to jeszcze nic nie znaczyło. Nie mogła zakładać, że jej agentka dokona cudu. Mimo to czuła się znacznie lepiej. Nie była już sama z problemem i nawet jeśli pójdzie na dno, przynajmniej będzie pewna, że wykorzystwała wszystkie możliwości – jeśli Lucy nie da rady, to nikt nie da.

ROZDZIAŁ 18

– Pani Soniu – odezwał się głos w słuchawce – no nareszcie się do pani dodzwoniłem!

Sabina, zrozumiałwszy, kto do niej mówi, odruchowo pacnęła się dłonią w czoło. Tyle razy powtarzała sobie, by nigdy nie odbierać telefonów od nieznanych numerów! Jednak teraz, w restauracyjnym ferworze, zupełnie zapomniała o swoich żelaznych regułach, które pozwalały jej unikać namolnych dziennikarzy, akwizytorów, maklerów i przedstawicieli operatorów komórkowych dzwoniących z kolejną znakomitą ofertą. Nieodbieranie telefonów od dyrektora wydawnictwa było zaś strategią przyjętą jeszcze przed przeprowadzką do Mikołowa i jak dotąd przynoszącą dobre rezultaty. Tyle że ten wziął ją sposobem i zadzwonił z nieznanego numeru.

– Dzień dobry, panie Wiktorze! – powiedziała przymilnym tonem. – Kopę lat!

– Droga Soniu, zniknęła nam pani z radarów niemal całkowicie na tej swojej prowincji. – Wiktor Hołodźko ze swoim tubalnym głosem, dwoma metrami wzrostu i pięcioma podbródkami nie wyglądał jak typowy mól książkowy, wydawca i promotor czytelnictwa. Jego fizjonomia znacznie bardziej pasowałaby do szefa kuchni w modnej knajpie albo aktora charakterystycznego. A tymczasem za tą zwalistą posturą krył się człowiek, który trząśł rynkiem książki w Polsce. To on tworzył mody czytelnicze, on ściągał do kraju zagranicznych autorów, a ci chwilę potem sprzedawali gigantyczne nakłady swoich powieści o magicznych krainach albo seksualnych ekscesach. Wiktora usiłowali naśladować wszyscy inni pomniejsi gracze, ale rzadko komukolwiek udawało się go ubiec. Był on również odkrywcą serii o Amelii Kruk. Bardzo sobie cenił lekkie pióro Sabiny i od lat starał się robić wszystko, by jego „perła w koronie”, jak ją czasem żartobliwie nazywał, nie przeszła przypadkiem do konkurencji. Złota klatka, w jakiej ją trzymał, była wygodna jak muślinowa piżama.

Sabina przełknęła ślinę.

– Hmm... no sam pan wie, Wiktorze, jak to na prowincji. Czas biegnie, ani się człowiek spostrzeże – zaczęła pleść trzy po trzy. Wiedziała, że ta rozmowa nie będzie jednak kurtuazyjną pogadanką o urokach życia za miastem.

– Taaaak – zadudnił basem Hołodźko. – Taaaak... – Na chwilę zapadła dość krępująca cisza, po czym wydawca odezwał się ponownie: – Pani Soniu, pani wie, dlaczego ja dzwonię. Dlaczego dzwonię do pani osobiście, prawda?

Sabina, stojąc w holu „Afrodyty” i trzymając w jednej ręce plik faktur, oparła się z rezygnacją o ścianę i odparła:

– Domyślam się.

– Soniu – głos wydawcy zdawał się zasmucony – nasi prawnicy szykują już pisma. Pani łamie wszystkie warunki naszych umów. Nie możemy tego tak zostawić.

Ciarki przeszły jej po plecach. A więc to, co nieuchronne, musi jednak nadejść.

– Odczuwam wielki smutek, że sprawy przybrały taki obrót, ale stawia nas pani w ogromnie trudnej sytuacji. Pani agentka zapewnia nas ciągle, że to chwilowa niedyspozycja, jednak nie możemy czekać w nieskończoność.

– Tak, ja wiem.... – niemal szeptem powiedziała Sabina. – Jestem świadoma konsekwencji.

Choć tak naprawdę chyba nie do końca była. Telefon od wydawcy, który poinformował ją z żalem, że albo zabierze się natychmiast do pracy, albo zrywają z nią umowę, żądając zwrotu zaliczki oraz odszkodowania, przyprawił ją o dygot. Zwłaszcza gdy pod koniec tej nieprzyjemnej rozmowy padło nazwisko Moniki Kardas. Wtedy stało się jasne, że straszliwa producentka zgodnie z obietnicą robi wszystko, by zaszkodzić Sabinie. Widmo totalnego bankructwa znów zajrzało jej w oczy. Kiedy spłaci wszystkie kary, nie będzie miała już nic, żadnych oszczędności na przyszłość.

Gdy Wiktor się rozłączył, zsunęła się po ścianie i usiadła na podłodze. Poczowała nagłą słabość. Drżącymi palcami wybrała numer Lucyny. Ta odebrała, jak za starych dobrych czasów, po pierwszym sygnale.

– Cześć, Sabinko, dobrze cię słyszeć! – dobry humor agentki wydawał się przychylnym znakiem.

– Lucyna, nie zrozum mnie źle, nie chodzi mi o żadne pospieszanie, ale czy może udało ci się znaleźć jakiś sposób? No wiesz, na wyplątanie mnie z tych nieszczęsnych umów.

Cisza w słuchawce nie wróżyła jednak żadnych rewelacji.

– Pfff – sapnęła Lucy po chwili. – Nie ukrywam, Sabciu, że to najtrudniejsza sprawa, z jaką zetknęłam się w swojej karierze.

– Okej, rozumiem – powiedziała, starając się brzmieć lekko. – Nie mogę oczekiwać cudu, byłam na to przygotowana.

– Czekaj, czekaj, przecież nie skończyłam. Chyba nie sądzisz, że powiem, że się nie da!? No błagam!

– Naprawdę? – Serce Sabiny zaczęło szybciej bić. – Czyli jednak coś wymyśliłaś?

– Wciąż myślę... – Lucyna teatralnie zawiesiła głos. – Ale dobrze, powiem ci, co mogę zaproponować. *Ghostwriter*.

– Co?

– Znajdziemy kogoś, kto napisze tę przekłętą szóstą część za ciebie. I całą resztę utworów, do których się zobowiązałaś. Zrobiłam już nawet rozeznanie. Jest taki obiecujący chłopaczek, bardzo napalony na jakiegokolwiek prawdziwe zlecenie, a podobno naprawdę utalentowany. Wieść gminna niesie, że nie tylko literacko...

– Wykluczone – ucięła szybko Sabina.

– Co? – Tym razem agentka była zbita z tropu.

– Nie zgodzę się na takie kombinowanie. Nie dość, że pisałam tę chałę pod pseudonimem, to

jeszcze teraz pod Sonię Geppert ma się podszywać ktoś inny?

– A czemu by nie?

– Nie, to niemożliwe. Może nie szanuję tego, co pisałam, ale szanuję swoje czytelniczki. To by było oszustwo wobec nich.

– No cóż – zaczęła Lucyna obrażonym tonem – chcę pomóc, ale jeśli ty nie będziesz współpracować...

– Wiem i przepraszam cię – weszła jej w słowo. – Doceniam to, co dla mnie robisz, naprawdę. Jednak chyba musimy po prostu odpuścić.

– Odpuścić? Chyba żartujesz?

– Jestem świadoma konsekwencji. Trudno. Dokonałam pewnych wyborów i będę musiała za to zapłacić.

– No coś ty, Sabinko! To dopiero pierwszy pomysł, czemu od razu tak dramatycznie do wszystkiego podchodzisz? Przecież ja coś wymyślę, na bank! Od razu ci się spodoba i będziesz czuła się z tym komfortowo, no i w ogóle...

– Kochana jesteś, ale czuję, że ta walka jest z góry skazana na przegraną. Szkoda twojego czasu i energii.

– Ale mnie nie szkoda, skarbie! Nic a nic! Mam mnóstwo czasu i energii!

Sabina z trudem skończyła rozmowę, starając się przekonać Lucynę do zaniechania misji, którą ją wcześniej obarczyła. Zrozumiała, że to ślepa uliczka. Nie chciała mnożenia coraz bardziej egzotycznych pomysłów. Nie czuła się na siłach, by się w to bawić. To ona sama musiała wziąć za to odpowiedzialność. Nikt inny. Postanowiła zrobić ostateczny bilans zysków i strat. Może więc jednak powinna przestać się wygłupiać (jak wbijała jej do głowy Lucyna), sięść do komputera, machnąć tę cholerną książkę, dać im ją i mieć święty spokój? Co to za problem napisać kolejną głupią bajkę o kolejnym głupim ślubie? Jednak już na samą myśl o powrocie do tego różowo-cekinowego świata robiło się jej niedobrze. Poza tym kiedy niby miałyby się tym zająć? Przecież nie rzuci teraz tego, co zaczęła, i nie zostawi na lodzie Kasi, zmagającej się wciąż ze swoimi demonami. Nie, nie miała żadnych wątpliwości, co powinna zrobić.

– Spłacę ich wszystkich i już. Po to są oszczędności na czarną godzinę, żeby ich w czarną godzinę użyć. A ona właśnie nadeszła. Zarabiać na życie można na tysiąc innych sposobów – powiedziała na głos, siedząc wciąż na podłodze w pustym holu „Afrodyty”. – Nie dam się zastraszyć! Nikt mnie do niczego nie będzie zmuszał! Koniec tego! Wystarczy.

Właśnie podjęła jedną z najtrudniejszych decyzji w swoim życiu. Choć w głębi duszy nie była tak niewzruszenie pewna, czy dobrze robi, postanowiła wytrwać przy niej bez względu na wszystko. Wierność sobie – czy to nie było jednak najważniejsze? Postanowiła skupić się na codziennych obowiązkach wynikających teraz z trudnej sytuacji jej przyjaciół i żyć z dnia na dzień, tak jak chce,

i czerpać z tego przyjemność. „Nie ma sytuacji bez wyjścia – dodawała sobie otuchy. – Najwyżej będę goła i wesoła. Mam dwie ręce, na życie jakoś zarobię. Teraz trzeba pomóc Kasi, pożyczmy, zobaczymy. Zabiłam kurę znoszącą złote jajka, ale to wcale nie znaczy, że nie mogę być szczęśliwa! Z całą tą kupą forsy jakoś nie byłam”.

Po takiej autoterapii, w całkiem dobrym – zważywszy na okoliczności – nastroju, rozpoczęła nowy etap życia świeżo upieczonej bankrutki. Wstała i poszła w stronę maleńkiego biura tuż za recepcją, gdzie stała grupka gości z Krakowa, którzy co roku odwiedzali „Afrodytę” w czasie ferii zimowych. Taka zima jak tegoroczna, kiedy nawet nadmorskie plaże zasypane były śniegiem, działała na turystów jak magnes, więc znacznie chętniej niż zwykle pojawiali się w Mikołowie i okolicach. Krakowiacy przywieźli ze sobą narty biegowe i właśnie wybierali się na przechadzkę.

– Dzień dobry państwu! – przywitała ich. – Piękny dzień na sport!

Zażywny mężczyzna w zielonym kombinezonie łypnął na nią łakomym okiem.

– A, to pani! Widziałem rano, jak biegała pani na plaży!

Sabina natychmiast poczuła na sobie zaniepokojone spojrzenie dużej blondyny w futrzanej czapie. „Kobieta na skraju menopauzy, kiedyś lokalna piękność, dziś żyjąca w nieustannym lęku, że mąż zamieni ją na nowszy model, uzależniona od botoksu i swojego chirurga plastycznego. Rozważa sugerowaną przez niego waginoplastykę”, natychmiast ruszyła wyobraźnia pisarki.

– A tak, tak, to mogłam być ja – odpowiedziała, uśmiechając się przede wszystkim w stronę blondynki. – Biegam co rano, przynajmniej staram się.

– Widać od razu, że forma jest. Pęciny to ma pani jak u młodej klaczy! – Zielony kombinezon wyprężył się z zadowoleniem.

Sabina zakrztusiła się, starając się nie parsknąć śmiechem. Blondyna łypnęła na nią wrogo, więc ta postanowiła pożegnać się i zniknąć w swoim biurze. „Młoda klacz – pomyślała, opadając ciężko na krzesło. – Obawiam się, że raczej stara szkapą”. O dziwo, wrażenie osaczenia, jakie dopadło ją po rozmowie z wydawcą, rozpięchło się gdzieś bez śladu. „Może na tym właśnie polega dojrzałość? – zastanowiła się jeszcze, zanim na dobre pochłonęło ją zamówienie z hurtowni owoców morza. – Kiedy jesteś w stanie zapłacić bardzo dużo za to, by nikt nie mówił ci, co masz robić...”

Mijały dni, a Sabina przestała nawet myśleć o czekających ją nieprzyjemnościach związanych z roszczeniami zleceniodawców. Tyle miała do zrobienia! Kiedy wracała do domu, zwykle późnym wieczorem, rzucała się prosto do łóżka i dosłownie w kilka sekund zapadała w głęboki sen. Było warto, bo wyglądało na to, że „Afrodyta” nie pójdzie na dno. Goście nie wyjeżdżali przed czasem, pojawiały się wciąż nowe rezerwacje, a Sabina nadspodziewanie dobrze radziła sobie z pensjonatem. Z czeluści pamięci wydobyła nawet resztki wiedzy ze szkoleń, które robiono im sto lat temu, gdy pracowała jeszcze w gazecie – między innymi o zarządzaniu zespołem. Te strzępy informacji okazały się teraz bardzo przydatne. W dodatku wydawało się, że ma po prostu talent w tej niełatwej przecież

dziedzinie.

Zespół od razu ją zaakceptował, polubił i – co najważniejsze – bardzo szanował. Umiała tak do nich przemówić, niczym kapitan na statku w czasie sztormu, że poczuli się wspólnotą walczącą z przeciwnościami losu. Bo przecież tak w gruncie rzeczy było – płynęli razem przez niezły sztorm. Poza tym remont ruszył z kopyta, kiedy poprosiła o pomoc Zbycha, szefa ekipy, któremu zawdzięczała metamorfozę swojego domu. Fachowiec, wysłuchawszy apokaliptycznej historii o finale wigilijnego wieczoru, nie zastanawiał się długo.

– Proszpanią, zrobimy tak. Ja mam teraz parę robót w okolicy, bardziej wykończeniówka, bo to zima. Ale jak ze dwóch czy trzech chłopaków pošlę tam do was, żeby to ogarnęli, to mnie nie zbawi. Na koszt firmy. Trza się wspierać, tak czy nie?

Sabina uściskałaby go z całej siły, gdyby nie to, że rozmawiali przez telefon.

Dwójka starszych dzieci wróciła do szkoły i przedszkola po świątecznej przerwie, a małego Grzesia na całe dni zabierała do siebie pani Hanna, szczęśliwa, że znowu ma pełne ręce roboty – długie lata prowadzenia pensjonatu odzwyczaiły ją od bezczynności i teraz nie umiała wypełnić tej pustki. Jednak logistyka dnia codziennego nie była wcale prosta. Ktoś przecież musiał to towarzystwo rozwozić i przywozić. Sabina nie chciała eksploatować zbyt mocno swoich pracowników, bała się, że nie zniosą tempa i, nie daj Boże, odejdą. Przecież bywały już takie sytuacje, gdy nagle w środku sezonu zniknęła dopiero co zatrudniona kelnerka. Zazwyczaj zniknęła zresztą z dnia na dzień, bez słowa wyjaśnienia.

Na szczęście dzięki pomocy cudownych mieszkańców miasteczka, a przede wszystkim niezawodnej Janeczki, która ofiarnie sama albo z pomocą swoich bliskich zabierała dzieci Kasi ze szkolnej świetlicy, jakoś to się udawało. Poproszony o pomoc Borys również stanął na wysokości zadania – co rano pakował całą trójkę do samochodu i wiozł do placówek oraz do oddalonego o kilka kilometrów domu pani Hanny, pilnując ich kanapek, kapci, plecaków i zabawek. Mimo przeciwności, a może właśnie w związku z ich pokonywaniem, Sabina każdego dnia coraz bardziej wsiąkała w klimat „Afrodyty”. Czuła się potrzebna i przepełniało ją nieznane wcześniej poczucie, że to, co robi, ma sens. Naprawdę uwielbiała nową pracę i pracowników. Zwłaszcza jednego.

Zastanawiała się od czasu do czasu, czy ten zapach, z jakim co rano brnęła przez zasy do pracy, nie był tak silny przede wszystkim ze względu na endorfiny wydzielane przez jej mózg na myśl o spotkaniu z Borysem. Bo gdy na siebie wpadali w pracy, atmosfera aż skrzyła się od seksualnego napięcia, które rozładowywali gdzieś pokątnie, kryjąc się przed niepowołanym wzrokiem. Sztukę kamuflażu opanowali do perfekcji. Jak dotąd nikt się nie zorientował, a przynajmniej tak jej się zdawało, że te delikatne muśnięcia jej ramienia, kiedy ją mijał, nie są wynikiem niezdarności Borysa, a czymś na kształt odprawianego w tajemnicy tańca godowego. Była tylko jedna rzecz, która zakłócała jej codzienny entuzjizm. Stan Kasi.

Nie było widać żadnej poprawy. Sabina odwiedzała ją codziennie i zdawała relację, jak wszystko zaczyna wychodzić na prostą. Nie robiło to na pogrążonej w apatii dziewczynie żadnego wrażenia. Praktycznie nie wstawała z łóżka, zmuszała się tylko do tego, by rano pożegnać dzieci. Sabina zaczynała się naprawdę bać. To już nie wyglądało na chwilową niedyspozycję, odreagowanie szoku wywołanego traumatycznym zdarzeniem. Ciągłe nie było też wiadomo, co będzie z Teo. Jego stan po operacji określano jako ciężki. Widmo najgorszego wisiało nad nimi jak ciężka, czarna chmura.

„To chyba typowa depresja – martwiła się Sabina, myśląc o Kasi. – Nie wygląda na to, by mogła sobie sama z tym poradzić. Tu, zdaje się, potrzebne jest leczenie. Tylko jak to przeprowadzić?” Już kilka razy próbowała delikatnie zasugerować, że Kasia powinna porozmawiać z kimś, kto mógłby jej pomóc. Oczywiście nic nie działała. W żaden sposób nie umiała dotrzeć do swojej przyjaciółki. Wiedziała jedno: nie było na co czekać, z Kasią stało się coś bardzo złego i nie mogła zostawić jej samej sobie. „Może skontaktuję się z Jerzym? – przyszło jej do głowy. – Przyjaźnią się, więc na pewno będzie chciał pomóc, a przecież on na pewno zna najlepszych specjalistów”. Uznała, że to dobry pomysł i że nie do końca wyprostowana sytuacja między nimi w obliczu tak poważnego problemu nie ma żadnego znaczenia. Niestety telefon Jerzego nie odpowiadał. „Niech to cholera! A jeśli ma mnie już serdecznie dosyć i nie chce nawet odebrać ode mnie telefonu? Nie, oby tylko nie to! Będę jeszcze próbować”, postanowiła.

Idąc do pracy, Sabina brnęła w zaspach, bo wąskich mikołowskich drózek nie odśnieżano regularnie, tak więc droga do „Afrodyty” zajmowała jej teraz mniej więcej dwa razy tyle czasu co zwykle. Taka trasa w śniegu po kolana naprawdę dawała w kość, bardziej nawet niż poranna przebieżka po plaży. Gdy dotarła na miejsce, była mokra od potu. W recepcji nieco krzywym spojrzeniem powitała ją Patrycja. Wyposażona chyba w jakiś babski radar, od razu wyczuła w niej rywalkę, choć Sabina w „Afrodyce” zawsze bardzo się pilnowała, by nie zdradzić się z zażyłością łączącą ją z jednym z pracowników. Borys zresztą niezmiennie odnosił się do innych kobiet z tą swoją łobuzerską kokieterią na granicy flirtu, co – i owszem – wywoływało w Sabinie ukłucia zazdrości, starała się jednak tłumić je w zarodku (poniżej jej godności byłoby okazywanie, że rości sobie do niego jakiegokolwiek prawa, poza tym dopóki on podrywał te wszystkie baby – byle nieszkodliwie! – dopóty ona pozostawała poza jakimkolwiek podejrzeniem).

– Dzień dobry! Ale zima, co? – przywitała skwaszoną dziewczynę, ignorując jej humory.

– Mhm. Myślałam, że dziś nie dotrę do roboty. – Patrycja mimo wszystko znała swoje miejsce w szeregu i wiedziała, jak być uprzejmą wobec tymczasowej szefowej. – Cała droga na Wejherowo zasypana i ugrzęzły aż trzy auta. Ma-sa-kra!

Sabina, otrzepując śnieg z butów na wycieraczce, powiedziała:

– No naprawdę, nie pamiętam takiego śniegu! Mojego płotu już prawie nie widać z za tych zasp. A podobno ma znowu padać wieczorem.

Za to goście nie narzekali. Taki śnieg w czasie ferii to naprawdę dar od losu. Przecież zazwyczaj pada deszcz, w najlepszym razie deszcz ze śniegiem i wieje wiatr, który urywa głowę. Krakowiacy z biegówkami znikali na długie godziny, eksplorując okoliczne atrakcje. Młodzi Szwedzi z dwójką małych dzieci lepili bałwany i igloo w ogrodzie za budynkiem, a dwie pary gejów z Poznania ochoczo ruszały na zabiegi spa. Pensjonat był obłożony mniej więcej w połowie, ale w obecnej sytuacji ta liczba gości i tak angażowała wszystkie moce przerobowe w dwustu procentach. Sabina bała się, że jeśli zjawią się kolejni niezapowiedziani turyści, nastąpi prawdziwa katastrofa. I nie będzie to piękna katastrofa.

Śnieg wciąż sypał, jakby ktoś rozerwał pierzynę nad całym Wybrzeżem. Sabina patrzyła przez okno pensjonatu z lekkim przerażeniem – jeszcze trochę i zasypie ich po dach. „Muszę zrobić zapasy jedzenia dla restauracji – pomyślała. – Bo za chwilę, żeby się stąd wydostać, trzeba będzie jechać ratrakiem”.

– Słuchajcie, jadę do marketu po zakupy – oznajmiła pracownikom. – Zróbcie, proszę, listę potrzebnych produktów. – Rozdała im kartki i długopisy. – I koniecznie napiszcie, ile czego, bo nie mam pojęcia o aprowizacji.

Kiedy przebrnęła przez zaspy i dotarła pod swój coraz bardziej znikający pod zwałami śniegu dom, wzięła łopatę i zaczęła odkopywać wjazd do garażu, gdzie stało jej śliczne ukochane białe mini, auto zrywne, ale bezpieczne, jak podkreślał przed rokiem sprzedawca w salonie, namawiając Sabinę do jego kupna. Miał rację – samochód sprawdzał się w każdych warunkach. Jak dotąd. Postanowiła wyruszyć nim do Wejherowa na porządne zakupy, nim zima odetnie ich od reszty świata. Gdy udało się jej odśnieżyć wjazd na swoją posesję, odetchnęła z ulgą, bo na ulicy pierwszy raz od dawna zobaczyła odśnieżarkę. Wyjechała powoli na drogę, czując, jak jej auto szuka przyczepności na śliskiej nawierzchni.

– Tylko nie panikuj. Spokojnie, jedziesz! – powtarzała sobie, zaskoczona tym, jak ciężko jeździ się po dopiero co odśnieżonej drodze. A śnieg nadal zacinał tak, że wycieraczki ledwo radziły sobie ze zbieraniem zmarzniętej brei z szyb. Droga do Wejherowa, która normalnie zajmowała z pół godziny, trwała i trwała. Kiedy w końcu zaparkowała pod supermarketem, od nerwowego zaciskania rąk na kierownicy bolało ją całe ciało.

W sklepie zapakowała wózek po brzegi mąką, ryżem, puszkami soczewicy, oliwą, cytrynami i papryką, bo mięso, ryby i greckie sery i tak dostarczali bezpośredni dostawcy. Dorzuciła jeszcze dla siebie francuskie sery, wino, bagietki i winogrona. Ledwo dopchała wózek do samochodu. Na tylne siedzenie wrzuciła rzeczy, które nie zmieściły się do bagażnika, odprowadziła wózek na miejsce i ruszyła w powrotną drogę.

Po przejeździe pługa śnieżnego i solarki nie było śladu. Sabina czuła, jak mini tańczy na zakrętach zaśnieżonej drogi. Zwolniła i modliła się, aby z naprzeciwka nie jechał nikt choć odrobinę szybciej niż

ona. Nagle, kiedy wchodziła w ostry zakręt przed Rybienkiem, zobaczyła pędzące ku niej światła samochodu, który wpadł w poślizg i parł jej pasem prosto na nią! Przyhamowała ostro, skrzyła kierownicą w lewo, by uniknąć zderzenia i chwilę później przy akompaniamencie własnego głośnego wrzasku znalazła się dwoma kołami w rowie. Auto zgasło. Winny wszystkiemu samochód jadący z naprzeciwka jakby nigdy nic zniknął za zakrętem.

Sabina dopiero po chwili odważyła się odetchnąć. Zakupy z tylnego siedzenia walały się teraz po całym aucie. Ona sama szybko zrobiła bilans strat. „Nie, nic mi się nie stało – pomyślała z ulgą. – Po prostu wjechałam do rowu przez tego palanta, który teraz uciekł!” Próbowwała wyjść z samochodu, jednak stał przechylony na stronę kierowcy, a przywalonych śniegiem drzwi nie dało się ruszyć nawet na milimetr. Odpięła pas i przecisnęła się na stronę pasażera. Tutaj drzwi działały normalnie. Całe szczęście! Sięgnęła pod fotel w poszukiwaniu torebki. Zajęło jej to dłuższą chwilę, bowiem przechylone o trzydzieści stopni auto uniemożliwiało swobodne poruszanie się po jego wnętrzu. Kiedy w końcu wygrzebała telefon, na wyświetlaczu pokazała się informacja o niskim wskaźniku baterii. Sabina była bliska płaczu. Szybko wybrała numer Borysa, ale nie odbierał. Tymczasem bateria zmierzała prostą ścieżką w otchłań ciemności.

– Neeeeee! – wrzasnęła Sabina, czując się, jakby spadała głową w dół z dużej wysokości.

I tak już nigdzie by się nie dodzwoniła, ale miała szansę na wysłanie esemesa. „Jestem w rowie przed Rybienkiem, RATUNKU!!! Sabina” wysłała do wszystkich możliwych znajomych z okolicy – od Kasi począwszy, przez dziewczyny z recepcji, kuchni, nawet (mimo lekkiego zawahania) Jerzego, aż po szefa swojej budowy Zbycha. Ktoś z nich musi odczytać tego esemesa, zanim szlag ją tu trafi i zamarznie na śmierć.

„Wiadomość została wysłana”, poinformował uprzejmie jej telefon, po czym padł.

– Panie Boże, jeśli mnie uratujesz, przysięgam, że od dziś będę zawsze miała przy sobie ładowarkę do telefonu, w tym samochodową – wyszeptwała, opatulając się szczelniej szalikiem. Zaczynało jej być naprawdę zimno. W dodatku była głodna. Sięgnęła do rozwalonych toreb z zakupami i wyjęła leżący na wierzchu camembert. Urwała sobie kawałek bagietki i zagryzając ją serem, klęła cicho:

– Trzeba było otwieracz do wina kupić, to może bym tu nie zamarzała.

Dwa kawałki bagietki później na pustej drodze zobaczyła światła samochodu. Który ją minął! A potem kolejny.

– Nie wierzę! No żeż jasna cholera, ludzie!!! – Zatrąbiła z całych sił klaksonem. – Przecież ja tu nie siedzę dla przyjemności!!! Co za znieczulica, psiakrew!

Powoli zaczynała wpadać w panikę. „Chyba muszę wyjść na drogę i biec po pomoc”, pomyślała. Z tylnego siedzenia wzięła koc, otuliła się nim porządnie, po czym zaczęła gramolić się na zewnątrz samochodu, co wcale nie było takie proste, bo drzwi przechylonego na lewo auta wciąż zamykały się pod własnym ciężarem. Kiedy w końcu udało jej się wydostać, od razu wpadła w głęboki śnieg, który

nasypał się jej do butów.

– Aaaaaa! Niech to diabli!!! – ryknęła płacząco. Sięgnęła do buta, by wyjąć ze środka topiący się błyskawicznie w zetknięciu z ciałem śnieg. Łzy wściekłości i bezsilności napływały jej do oczu. – Ja nie chcę umierać w lesie na mrozie, jeszcze nie teraz, nie przed menopauzą – łkała.

Nagle zza drzew dostrzegła światła samochodu jadącego od strony Wejherowa. Wypadła na środek drogi i zaczęła machać, mając jednocześnie nadzieję, że auto wyposażone jest w dobre hamulce. Kiedy zwolniło, poznała je od razu – to było audi Jerzego!

– Jestem uratowana! Panie Boże, ładowarkę masz jak w banku – wyszeptała, wznosząc oczy do nieba.

– Sabina! Żyjesz!?! – Mężczyzna wyskoczył z samochodu, niemal przewracając się w kopny śnieg. – Zaczekaj, już cię wyciągam!

Gdy otworzył drzwi od strony pasażera, a z wnętrza mini buchnął zapach odpakowanego sera pleśniowego, zaczęła się śmiać, aż przysiadła na przyzbie śniegu. Jerzy spojrzał na nią i stuknął się w czoło.

– Ty jesteś totalną wariatką!

Wtedy zza zakrętu dostrzegli światła nadjeżdżającego samochodu, a ona rozpoznała jeepa Kasi i Teo. Spojrzała pytająco na Jerzego.

– No, wstała – powiedział, uśmiechając się półgębkiem. – Tak ją nastraszyłaś, że aż wzięła i wstała.

Miała ochotę rzucić mu się na szyję. Kasia tymczasem zatrzymała samochód na poboczu i wyskoczyła na śnieg.

– Szalona kobieto, mało ci nieszczęść!?! Kto to widział takim autem jeździć przez zasy! Wsiadaj do mojego, ale już!

Sabina spojrzała na Jerzego, a ten kiwnął głową.

– Leć, ja to załatwię.

Zawinięta w koc brnęła w śniegu w stronę jeepa, patrząc na Kasię jak na ducha.

– No już się tak na mnie nie gap, będę żyć – powiedziała dziewczyna, łapiąc jej wzrok, kiedy obie wsiadły do ciepłego wnętrza. – Kryzys zażegnany. Dzwonili lekarze Teo – dodała szybko na widok dziwnej miny Sabiny. – Najgorsze za nami. Jest stabilny, z godziny na godzinę coraz silniejszy. Poczułam, jakby mi znowu ktoś włączył w głowie światło, wiesz? Wystarczył ten jeden telefon. – Zaczęła pociągać nosem.

Po chwili w szybę po stronie kierowcy zapukał Jerzy. Był zaniepokojony tym, że dziewczyny tak długo nie odjeżdżają. Zajrzał do środka i zobaczył je obie, jak zapłakane ze szczęścia się do siebie tulą. Wycofał się chyłkiem w stronę swojego auta, uśmiechając się pod nosem. Niebawem ruszyły, a on został, by poczekać na pomoc drogową, która miała wyciągnąć samochód z rowu.

Godzinę później stanął w drzwiach biura pensjonatu, w wyciągniętej dłoni trzymając kluczyki z odholowanego na miejsce mini. Nikogo poza nimi nie było – Borys tego dnia pojechał do Gdańska, a reszta działała w kuchni.

– Na szczęście nic się nie stało. Panowie odholowali, bo nie miał kto prowadzić – powiedział. – Masz tylko lekkie pęknięcie na przednim zderzaku. Drobiazg.

Wzięła od niego kluczyki i pociągnęła go do środka.

– Wejdz, proszę, musisz się ogrzać! Przeze mnie strasznie zmarzełeś.

Jerzy wszedł, lekko się opierając, ale na widok Kasi się rozluźnił.

– Kochani, jak ja się wam odwdzięczę!?! – Dopiero co uratowana przed zamrożeniem w śnieżnej zawiei patrzyła z wdzięcznością to na jedno, to na drugie.

– Może po prostu staraj się minimalizować ryzyko i nie szalej wśród zamieci tym swoim warszawskim autkiem – powiedziała poważnie dziewczyna.

Sabina przyglądała się jej dyskretnie, gdy siedzieli jeszcze chwilę we trójkę, i nie mogła uwierzyć w to, co widzi. To było jak cudowne ozdrowienie. Przecież jeszcze rano jej przyjaciółka leżała bez życia, a teraz rozmawiała z nimi jak gdyby nigdy nic. „Niesamowite! Oni są niczym system naczyń połączonych – Teo jest na granicy życia i śmierci, Kasia też spada w czarną dziurę. Z Teo robi się lepiej, Kasia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otrząsa się z depresji”. Piękne, ale i straszne zarazem. „Ale najważniejsze, że ten koszmar się skończył”, stwierdziła, ciesząc się na myśl, że teraz wszystko stanie się znacznie prostsze.

Wreszcie dziewczyna wstała i pożegnała się.

– Wiecie co, zostawię was. Mam sporo do nadrobienia... Pojadę po dzieci. Kochana, dasz sobie radę?

– Jasne. Kasia! – zawołała za nią jeszcze, kiedy ta była już w drzwiach. – Cieszę się jak cholera, że wstałaś. Warto było rozwalić sobie samochód.

Kasia pokręciła głową z uśmiechem, który delikatnie rozjaśnił jej twarz.

– My to sobie jeszcze porozmawiamy. – Spojrzała ciepło na Sabinę, a potem ucałowała Jerzego w oba policzki na pożegnanie i zniknęła w korytarzu.

– Ja też będę leciał, nic tu po mnie – powiedział mężczyzna, podnosząc się z miejsca.

– Jerzy – zaczęła cicho. – Słuchaj...

– Tak?

– Jestem ci winna rozmowę – westchnęła. – To dość niesamowite, że tu dziś jesteś. Wiem, nie potraktowałam cię najlepiej, ale naprawdę uważam cię za świetnego faceta. Twoja przyjaźń ogromnie dużo dla mnie znaczy.

– Ale... – podpowiedział jej, patrząc na nią swoimi brązowymi oczami.

– No tak, ale. Masz rację – pokiwała głową – ale chyba nic więcej poza przyjaźnią nie jest nam

pisane.

Jerzy spuścił na chwilę wzrok, po czym spojrzał poważnie na Sabinę.

– Trudno było się nie domyślić, ale dzięki, że mówisz mi to wprost. Nie ma o czym gadać, po prostu przyjmuję to do wiadomości. Rozumiem. Żałuję, ale rozumiem. A więc przyjaźń? – Uśmiechnął się, może odrobinę gorzko.

Przytaknęła, a on podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

– A zatem od tej pory wszystko jasne.

Kiedy patrzyła przez okno, jak Jerzy wyjeżdża na drogę prowadzącą do miasteczka, poczuła żal i ulgę jednocześnie. W końcu przypomniała sobie, by podładować telefon. Zobaczyła, że usiłowali się do niej dobijać wszyscy po kolei. Od Borysa miała dwadzieścia esemesów i piętnaście nieodebranych połączeń. Nieźle. Zadzwoiła do niego i opowiedziała mu o swojej przygodzie.

– Wiesz, ale najlepsze jest w tym wszystkim to, że Kasia wyszła wreszcie z domu. Może taki był boski plan – zaśmiała się. – Zobaczymy się dziś? – Była naprawdę stęskniona, bo ostatnio, w związku z akcją ratowania „Afrodyty”, znacząco zmniejszyła się częstotliwość ich rozkosznych schadzek.

Śnieg nie przestał padać nawet na chwilę, więc kiedy wieczorem otworzyła drzwi, zobaczyła na swoim progu postać bardziej podobną do bałwana niż do człowieka.

– Wchodź – zaśmiała się, strzepując śnieg z jego ramion.

Bagietki i zmrożone w zimnym samochodzie sery ułożyli w lodówce, by odtajały. I po tych wszystkich wrażeniach, które solidnie dały jej w kość, spędzili ze sobą cudowną, pełną namiętności noc.

Od: Krzysztof.werner@superfakt.pl

Do: Borys.Barczyk@superfakt.pl

Temat: Kiedy tekst?

Borys, czekamy na materiał o Soni Geppert. Mam nadzieję, że wkrótce zaszczyisz nas swoją obecnością w redakcji i podrzucisz w końcu coś konkretnego. Pozdr. KW

ROZDZIAŁ 19

Kiedy śnieg padający nieustannie przez kilka tygodni zaczyna topnieć, jest źle, a może nawet fatalnie. Zwłaszcza jeśli usiłuje się dotrzeć gdziekolwiek sportowym niskim samochodem, który normalnie mknie jak marzenie. Ale nie w tych warunkach! Zwały mokrego śniegu na poboczach dróg, woda w koleinach zalewająca błękitne porsche niemal po dach! A przecież nie po to Bozia dała człowiekowi samochody sportowe, żeby jechać czterdzieści na godzinę po niezabudowanym, do jasnej cholery!

Z każdym kilometrem coraz bardziej wściekła zatrzymała się na stacji benzynowej, by skorzystać z łazienki. Kiedy otworzyła drzwi swojej zabaweczki i wysiadła ze środka, stając na niebotycznych obcasach i w krótkim srebrnym futrze z lisów, głowy wszystkich mężczyzn na stacji odwróciły się w jej kierunku. Benzyna z dystrybutora, który trzymał w ręce pracownik stacji, zaczęła się lać na ziemię żwawym strumyczkiem. Lucyna przeszła koło niego, wskazując na kałużę.

– Pocięło panu z węża.

Facet oblał się żywą czerwienią. Agentka zarzuciła rudymi puklami i w asyście spojrzeń przeszła w stronę wejścia do toalet.

„Ach, ta prowincja – pomyślała. – Człowiek jest w stanie zrobić wrażenie byle czym, no serio”. Wyjęła z torebki szminkę i pomalowała usta na czerwono. W sklepie kupiła trzy puszki napoju energetycznego bez cukru i gumy do żucia. Unosząca się wokół niej chmura perfum wywabiła z zaplecza bladą pracownicę stacji.

– Oszalał ktoś z tym odświeżaczem?

Wiotki sprzedawca wzruszył ramionami i wskazał ruchem głowy oddalającą się rudą kobietę na obcasach. Dziewczyna pokręciła głową i wzniosła oczy do nieba, a kiedy za Lucyną zamknęły się automatyczne drzwi, spojrzała na kolegę.

– prostytutka, mówię ci, Krzysiek. – A gdy ten znów tylko wzruszył ramionami, dodała: – A skąd niby miałyby kasę na takie auto, jak nie od jakiego sponsora? – Popukała w ekran, na którym widać było w kamerze przemysłowej, jak Lucyna pakuje się do swojego ściągacza oraz wyciąga z torby flakon perfum i spryskuje się nimi po włosach.

Krzysiek burknął coś niezrozumiale i dziewczyna, nie znalazwszy w nim chętnego do konwersacji, zniknęła na zapleczu. Chwilę później usłyszeli potężny ryk silnika – to Lucyna, wciskając pedał gazu do dechy, ruszyła przed siebie, włączając się do ruchu tuż przed wielką ciężarówką, która zaczęła głośno trąbić. Kobieta otworzyła okno i pokazała środkowy palec, po czym pomknęła w siną dal.

– Jazda po polskich drogach to jak seks z prawiczkiem. Nie, chociaż chyba raczej jak seks ze starcem, bo z prawiczkiem to ciach pach i już jesteś. Choć w sumie to raczej ciach pach i on jest. Och,

no tak czy owak, powinnam żyć na Lazurowym Wybrzeżu, a nie w tej ciemnej piwnicy zwanej Polską, gdzie przez dziesięć miesięcy w roku jest mrok. Marcopad. Listorzec. Syf. Malaria. Reumatyzm. Zgnilizna.

I tak, konwersując sama ze sobą, gnała przez Polskę, wciskając pedały obuwiem, za które powinna dostać wysoki mandat, wyprzedzając na trzeciego, trąbiąc na samochody nauki jazdy, spychając z drogi skutery i motocykle, aż GPS monotonnym głosem zmęczonej kobiety w końcu przemówił: „Za. Dwieście. Metrów. Skręć. W. Lewo. Jesteś. U celu”. Zaparkowała w topiącej się pryzmie śniegu, otworzyła drzwiczki i zobaczyła wielką kałużę.

– No i jak ja mam teraz niby wysiąść? – Wyciągnęła nogi, jak najdalej mogła. Obcas natychmiast wbił się w śniegowo-błotną breję. Ledwo utrzymała równowagę. – Neeee!

Obeszła samochód dookoła, walcząc z przyciąganiem ziemskim, i otworzyła drzwi, aby wyjąć dużą czarną szanelkę, złożoną uroczyście na siedzeniu pasażera. Zarzuciła ją na ramię i chybotliwym krokiem przeszła w stronę furtki. „Widoczek zaiste niczego sobie – pomyślała, wspinając się po schodkach prowadzących do domu i rozglądając się po urokliwym zakątku. – Ale z nudów dostałabym tu chyba hysterii macicy po trzech dniach”. Wcisnęła dzwonek, usłyszała kroki i głos wołający:

– Sekundę!!!

Po chwili otworzyły się drzwi. Sabina Czerniak w dresie i bez makijażu, dzierżąca w ręce mopa – to trochę za dużo jak na Lucynę.

– Teraz to powinnam ci fotkę strzelić na fejsa! Klikalność mega! – powiedziała, podnosząc ze zdziwienia brwi.

– Lucyna? – Oczy Sabiny były wielkie jak spodki. – Co ty tu robisz?

– Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, nie? – Lucy popchnęła ją w głąb przedpokoju. – No to posuń się, kochaneczko. Przecież nie mogłam cię z tym wszystkim tak po prostu zostawić. Walczymy dalej, tak czy nie? – I zatrzasnęła za sobą drzwi, wyciągając jednocześnie z wielkiej torby butelkę czerwonego wina. – Przywiozłam swoje, bo na tej wsi to pewnie tylko samogon macie. A ja mam po tym zgałę.

Sabina byłaby mniej zdumiona, gdyby Mikołowo zostało zaatakowane przez stado wygłodniałych pawianów, niż widząc na swym progu Lucynę w czarnych kozakach na szpilce od Jimmy’ego Choo, w srebrnych lisach i z wielką torbą Chanel na ramieniu. Najpierw padły sobie w ramiona – jedna cała we łzach, jak zwykle reagująca emocjonalnie oraz wykończona psychicznie i fizycznie koszmarną podróżą przez pół Polski, a druga wzruszona postawą agentki, która, mimo wiatru wiejącego w oczy, nie zostawiła jej na pastwę losu, okazując się prawdziwą przyjaciółką. Ściskając wciąż kij od mopa, obejmowała pachnącą niczym perfumeria Lucy. Szepnęła jej do ucha: „Dziękuję”, a Lucyna, potrząsając rudą treską, kapała czarnymi od tuszu łzami na ramię niższej od niej, bo stojącej boso Sabiny. Po wylewnym powitaniu zrzuciła z siebie futro i opadła na kanapę w salonie, wyciągając rękę

z winem w stronę gospodyni.

– Otwieraj, trzeba oblać spotkanie!

Sabina ochoczo sięgnęła po kieliszki. Ubzdryngolenie się z Lucyną i odreagowanie ostatnich doświadczeń było dokładnie tym, czego potrzebowała. Zachowała jednak na tyle przytomności umysłu, by zanim na dobre zaczęła posiedzenie, dyskretnie wysłać esemesa Borysowi: „Przyjechała moja agentka z Warszawy. Dziś celibat”. Uśmiechnęła się, kiedy po kilku sekundach przyszła odpowiedź: „Jak możesz? Czekam na noc tortur. Całuję. Cierpię”. A po chwili kolejna: „A może poznam twoją agentkę? I namówię, by przeniosła się do pensjonatu? ☺”.

– Nie powiem, całkiem przyjemnie się tu urządza – pochwaliła Lucy, kiedy już zlustrowała pomieszczenia parteru. – A co się tak cieszysz, jakiś sympatyczny korespondent na horyzoncie? – Jej czujnemu wzrokowi nic nie mogło umknąć.

„To nie jest dobry pomysł” – odpisała szybko Sabina, myśląc jednocześnie, że musi na nią uważać. W odpowiedzi machnęła lekceważąco ręką.

– Powiedz lepiej, co tam w Warszawie. Podobno Matyjewska-Glanc zmienia wydawnictwo? – Postarała się wydobyć z zakamarków pamięci jakąkolwiek branżową informację, na jaką natknęła się ostatnio, gdy z przyzwyczajenia przeglądała w internecie newsy z literackiego światka.

Lucyny nie trzeba było dwa razy namawiać na ploteczki. Nie szczędząc zakulisowych smaczków i pikantnych szczegółów, zrelacjonowała najważniejsze wydarzenia z udziałem co bardziej znaczących postaci rynku wydawniczego. Elektryzujące transfery, wywołujące dreszcze podniecenia krytyków debiuty, kto z kim się pokłócił, a kto kogo bzyknął, kto komu obrabia tyłek, kto wylądował na odwyku – nie trwało to długo, a Sabina była już z grubsza wprowadzona we wszystkie przetasowania zawodowo-towarzyskie, jakie nastąpiły od czasu jej wyjazdu. W dodatku bolała ją przepona ze śmiechu, bo barwna narracja Lucyny rozbawiała ją do łez.

– To co, otwieramy drugą? – zapytała, kiedy ostatnia kropla wina z butelki została rozlana do kieliszków. Musiała się upewnić, czy Lucy po długiej podróży nie chce już położyć się do łóżka.

– Też pytanie! Otwieraj!

– Czy ty jeszcze wierzysz, że damy radę mnie z tego wypłatać? Bo ja już naprawdę pogodziłam się z myślą, że muszę ich pospłacać. – Sabina po odkorkowaniu nowej butelki zadała w końcu to pytanie.

Agentka nie bez trudu podniosła się z fotela i nie do końca trzymając się linii prostej, przeniosła się na kanapę, siadając obok swojej ulubionej klientki.

– Kochana, nie ma sytuacji bez wyjścia, dobrze mówię? No, dobrze? Cioteczka Lucy coś wymyśli, nie takie przypadki się dzwigało. – Gospodyni pokiwała tylko głową z powątpiewaniem. – Spookojnie, skarbie, będzieee dobrzeeee – słowa Lucyny wchodziły już w fazę bełkotu, zmęczenie po podróży chyba faktycznie nadwątliło jej siły. Sabina nie zdążyła już nic odpowiedzieć, bo przyjaciółka opadła na jej ramię i donośnie zachrapała. Ostrożnie wysunęła się spod słusznego ciężaru agentki

i ułożyła ją wygodnie na kanapie. Na szczęście kosmiczne kozaki były na suwak, więc nie musiała ich zdzierać z jej łydek. Przykryła mamroczącą agentkę ciepłym kocem.

„Jesteś kochana, że dajesz mi nadzieję, ale to chyba zbyt piękne, żeby było prawdziwe”, pomyślała jeszcze, gasząc światło.

*

Dobudzenie Lucyny i skłonienie jej do wstania następnego ranka okazało się nie lada wyzwaniem. Poskutkowało dopiero groźba, że zostawi ją samą w domu, skazaną na samodzielne zorganizowanie sobie śniadania, podczas gdy Sabina będzie się raczyła pysznościami w uroczym lokalnym pensjonacie. Lucyna od lat nie miała do czynienia z tak przestarzałym elementem ludzkiej egzystencji jak własnoręcznie przyrządzone jedzenie. Stołowała się na mieście i dzień zaczynała najczęściej od wizyty w jednej z modnych warszawskich śniadaniowni. Poza niewątpliwą korzyścią wynikającą z dobrze wydanych pięćdziesięciu złotych (niskokaloryczny, acz pełen wartości odżywczych posiłek, zgodny z najnowszymi trendami żywieniowymi – wszak jesteś tym, co jesz), nie należało zapominać o wizerunkowym aspekcie sprawy. Popijając bezlaktozowe latte nad świeżym wydaniem codziennej gazety, zawsze spotkało się kogoś ważnego, a przynajmniej atrakcyjnego na tyle, by afektowaną wymianą serdecznych cmoknięć w policzek zasygnalizować światu, że nasze relacje personalne kwitną.

To na pewno nie był dzień, w którym chciałyby zmienić swoje zwyczaje.

– Daleko to? – zachrypiała z trudem z kanapy.

– Parę kroków, spacer dobrze ci zrobi.

– Jeśli trzeba iść dalej, niż na drugą stronę ulicy, to bierzemy samochód.

– Chyba na głowę upadłaś! Samym wydychanym przez ciebie powietrzem można się upić!

– A kto mnie tu będzie sprawdzał? Święta Sabino, nie bądź taka święta!

– Wstawaj, raz-dwa! – ucięła w końcu gospodyni, bo od dłuższego czasu burczało jej już w brzuchu.

Futro i lakierowane kozaki także tutaj robiły wrażenie. Od kiedy Lucyna przekroczyła próg restauracji, niemiecka para po pięćdziesiątce wyglądająca jak rodzeństwo, która spędzała w „Afrodyce” tydzień ferii zimowych, nie mogła oderwać od niej wzroku. Sabina zostawiła ją przy stoliku, zmęczona drogą do pensjonatu, i schroniła się w swoim pokoiku biurowym. Towarzystwo skacowanej Lucy to nie przelewki. Z trudem utrzymująca równowagę na oblodzonej powierzchni i łapiąca się wciąż jej ramienia, niezamykająca buzi nawet na pół sekundy, by choć na chwilę dać jej odpocząć od potoku nieprzerwanego marudzenia – ta strona przyjaźni z agentką nie była łatwa. Musiała spędzić choć minutę w ciszy, by nie zacząć krzyczeć.

Kiedy wróciła do jadalni, nie mogąc już wytrzymać skręcającego jej kiszki głodu, zastała Lucynę

w pozycji zwierzątka futerkowego, które w nowym otoczeniu wystawiono na zbyt wielką liczbę bodźców. Z szyją wyciągniętą do granic możliwości i rozszerzonymi nozdrzami bezustannie rozglądała się wokół siebie.

– Sabinka, co to jest za miejsce!?

– Pensjonat „Afrodyta”, mówiłam ci przecież. Najpierw byłam tu stałym gościem, a teraz... pracuję tu.

– No niby mówiłaś, ale... To jedzenie, ten kelner! Nie zdawałam sobie sprawy...

Lucy trwała w stanie oszołomienia. Sfatygowana kacem, nie mając siły na wyegzekwowanie dietetycznego śniadania, musiała skapitulować i zjeść jego pełnokaloryczną wersję, przygotowaną zgodnie z najlepszymi praktykami Teo Zagorakisa. Zestaw z jajkami sadzonymi na grzance z lekko zrumienionym boczkiem i salsą awokado oraz wypiekany na miejscu bułeczkami nadziewanymi kozim serem, zwieńczony niespodzianką dnia – bananowym budyniem jagłanym z mięszem ze świeżej marakui – dostarczył kobiecie haju, który nie dał się porównać z żadnym odlotem po substancjach psychoaktywnych, na jakie kiedykolwiek się skusiła, by nie pozostać w tyle w kwestii używek będących *en vogue* na warszawskich salonach.

– Ale to ciacho! Jak mogłaś nic nawet o nim nie bąknąć!?! Nie powiem, żebym dziś była w szczytowej formie, a wystarczyło, by ten... ten Apollo tylko podszedł – tu na szczęście o jeden ton ściszyła głos – i moja myszka spociała się jak... norka na pustyni!

– Jezu, Lucy – jęknęła tylko Sabina. – Gdzieś ty widziała norkę na pustyni? – wymsknęło się jej niemal bezwiednie, jakby jej radar nastawiony na wykrywanie absurdów nie mógł się wyłączyć nawet w tym momencie. Oczywiście nie o to chodziło. Po prostu nie przewidziała zawczasu możliwej reakcji swojej wrażliwej na męskie przymioty agentki na Borysa.

– No co Jezu, co Jezu? Nie gadaj, że na ciebie nie działa, bo pomyślę, że już na dobre odstawiłaś warsztat do piwnicy.

Sabina wiele by dała za odpowiedź, jak mogłaby skierować rozmowę na inne tory. Niestety, los jej nie sprzyjał, bo właśnie wtedy Borys wyszedł na salę, by zabrać naczynia ze stolików. Kiedy sprzątał po śniadaniu Lucyny, ta synchronicznie wypięła pierś do przodu, zarzuciła rudymi lokami i wygięła usta w łuk, jednocześnie wydymając je w kształt kaczego dzioba, co miało przedstawiać uwodzicielski uśmiech.

– Smakowało? – zapytał.

– Dawno nie miałam czegoś tak pysznego w ustach. A to zapewne dopiero gra wstępna... – obniżyła głos do granic możliwości.

– Zgadza się, nasza kuchnia nie da się porównać z niczym innym. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Chyba że z dobrym seksem. – Lucyna przedkładała konkret nad subtelność, tymczasem Sabina, będąc świadkiem szarzy przyjaciółki, kuliła się z zażenowania.

– Polecamy się.

– Na pewno skorzystam!

Odchodząc, mrugnął do nich seksownie.

– Oż ty w życiu, co za perła! Co ja gadam, jaka perła? Czysty diament wśród najlepszych towarów, z jakimi miałam do czynienia, a z paroma, nie chwając się, miałam. Skąd on się tu wziął, jak babcię Felicję świętej pamięci kocham?

Sabina odchrząknęła.

– To fakt, jest bardzo przystojny. I bardzo młody. A my po to mamy rozum i zdolność podejmowania decyzji, żeby zachowywać się jak rozsądne, dojrzałe osoby, jakimi jesteśmy.

Pełen politowania wzrok agentki wyrażał dobitnie, co myśli na temat takiego podejścia do sprawy.

– Gdybym siedziała tu tyle czasu co ty, już dawno bym sprawdziła, co za potwór kryje się w tych spodniach.

Sabina poczuła, że musi natychmiast znaleźć się gdzie indziej. Przyjazd Lucyny miał również złe strony, z czego właśnie zdała sobie sprawę.

– Ojej, muszę coś jeszcze sprawdzić w kuchni – rzuciła zatem zaaferowanym głosem.

– Ależ zjedz śniadanie, jak ty w ogóle dajesz radę jeszcze utrzymać się na nogach! – upomniała ją nie bez racji Lucyna.

– Tak, tak, za chwilę – odpowiedziała niewyraźnie i umknęła, by jak najszybciej zniknąć jej z oczu.

– Dajcie mi coś do zjedzenia, cokolwiek, choć kawałek bułki, zanim padnę! – Wkroczyła do kuchni, rzeczywiście ledwo trzymając się już na nogach.

– Szefowo, szefowa usiądzie jak człowiek przy stoliku, przecież podamy – z lekkim zaśpiewem odpowiedziała Marysia znad patelni, mieszając jajecznicę z dziesięciu jaj.

– Może później usiądę, teraz tak tylko coś złapię. – Nie chciała się wdawać w tłumaczenia.

Na szczęście na kuchnię i jej zaopatrzenie zawsze można było liczyć – na blasze stygły świeżo upieczone bułeczki. Od razu wpakowała sobie do buzi jedną i złapała kolejne dwie.

– Nooo, widzę, że apetyt dopisuje. – Z aprobatą pokiwała głową Marysia, której postura zdradzała, że też lubi sobie porządnie podjeść.

– Była może już u was Kasia? – spytała Sabina. Nowy porządek w kuchni na tyle okrzepł, że ze śniadaniem ekipa doskonale radziła sobie sama, jednak poprawę samopoczucia Kasi i jej powrót do pracy wszyscy przyjęli z ulgą.

– Tak, tak. Błada i wychudła, ale za to już w lepszym nastroju – konfidencko odezwała się Marysia. – Tylko poszła porozmawiać z tym panem z Gdańska, tym, co wygląda jak jaki aktor czy prezenter... – w jej głosie można było wyczuć nabożny podziw.

– Z Jerzym? – zdziwiła się Sabina. Opis nie pozostawiał zbyt dużego pola do domysłów.

Przeszła do biura i rzeczywiście zastała tam Kasię w towarzystwie Jerzego. Dziewczyna wyglądała na zakłopotaną.

– Witaj, Sabina! – Jerzy ucieszył się na jej widok.

– Cześć! – odpowiedziała, przełykając ostatni kęs swojej bułeczki. Nareszcie mogła rozmawiać z nim normalnie, bez tej przygniatającej presji oczekiwań związanych z jej osobą. Bez dwóch zdań był fantastycznym facetem i ulżyło jej, że atmosfera między nimi się oczyściła. – A co ty tu robisz? – spytała wprost.

Właścicielka pensjonatu westchnęła i uśmiechnęła się.

– No właśnie, Jerzy, przyznaj się, co cię napadło.

– Chciałbym się dorzucić do kosztów naprawy budynku – wyjaśnił, rozkładając ręce – i już.

– A ja oczywiście uważam, że to zbędne – weszła mu w słowo Kasia.

– Dlaczego? Nie mogę pomóc przyjaciołom w potrzebie?

– Bo to za dużo. Jako przyjaciel możesz odwiedzić Teo w szpitalu. Będzie wniebowzięty, widząc znajomą gębę. Możesz też w każdej chwili tu wpadać, żeby pozabawiać mnie historiami z wielkiego świata. Przynajmniej trochę się rozerwę.

– Myślisz, że chcę się wykpić kasą, co? – Jerzy udał oburzenie.

– Ojej, nie to chciałam powiedzieć. Po prostu pieniądze to zobowiązanie – zmitygowała się dziewczyna.

– Zaraz, zaraz – Sabina włączyła się do rozmowy – jeśli chcesz wiedzieć, to ja też uważam, że pożyczka bardzo by nam pomogła. – I nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie przyjaciółki, dodała: – Pan Zbyszek wykonał już kawał roboty, ale zostało jeszcze trochę do zrobienia. Nie chciał pieniędzy, jednak moim zdaniem trzeba mu zapłacić, choćby za materiały. Nie wyrobimy się z uregulowaniem wszystkich rachunków z bieżących środków. – Aż sama się zdziwiła, słysząc w swoich ustach słowa pasujące raczej do księgowej. – W grę wchodzi więc albo kredyt, albo deszcz forsy z nieba. Tego drugiego za bardzo bym się nie spodziewała. Wolisz wziąć pieniądze od banku na jakiś kosmiczny procent?

Jerzy tylko kiwnął głową, z miną wyrażającą pełne poparcie dla argumentacji Sabiny.

– Ciągle jeszcze spłacamy kredyt inwestycyjny, który musieliśmy wziąć na samym początku... – powiedziała dziewczyna, ale jej opór zdecydowanie tracił na sile.

– Sabinaaaa! – w ich rozmowę wdarł się gromki okrzyk dochodzący z korytarza. Sabina zmartwiła. Ona jedna wiedziała, i to aż za dobrze, do kogo należał ten głos. Pozostali spojrzeli na nią pytająco.

– Słuchajcie, jest tu ze mną moja agentka, przyjechała właśnie z Warszawy. Nie zdziwcie się, jest trochę... ekhm... ekscentryczna – gorączkowo usiłowała przygotować ich na wstrząs, jakiego niechybnie doznają, gdy tylko dotrze do nich nadciągające tornado. Otworzyła drzwi biura, pokazując

się Lucynie. – Tu jestem.

– No gdzie ty się podziewasz cały dzień!? Boskie ciało też gdzieś przepadło, więc nie mogę podziwiać jego smakowitego tyłeczka... – Kobieta wpadła do kantorka. – A ileż można się gapić na sosny za oknem, ha ha ha! – Co było do przewidzenia, nie straciła rezonu na widok nieznanymych. – Tym bardziej że w głowie aż mi buzuje! Nie spodziewałam się! Jestem w szoku głębokim jak Rów Mariański!

– Co się stało? – spytała Sabina słabym głosem.

– Jestem pod wrażeniem tego miejsca! Tu mieszka magia! Aż pulsuje ze ścian! – Jej okrzykom towarzyszyły zamaszysta gestykulacja i energiczne machanie lokami. – Oooooo, dzień dobry – przyhamowała nieco, kiedy lepiej przyjrzała się Jerzemu. – Lucyna Korab-Olszańska, bardzo mi przyjemnie. Po prostu Lucy. – Skierowała się do niego z zabójczym uśmiechem i wyciągniętą dłonią, całkowicie ignorując Kasię.

Jerzy, choć nieco oszołomiony tym frontalnym atakiem, zachowywał się jak dżentelmen i nie dał po sobie poznać zaskoczenia.

– Jerzy Witulski. Po prostu Jerzy. – Mrugnął z błyskiem w oku, a Lucyna przytrzymała jego dłoń znacznie dłużej, niż to konieczne.

– Miło nam słyszeć, że się pani u nas podoba – wtrąciła Kasia, obserwująca z rozbawieniem zjawisko, jakim była ta nieprawdopodobna kobieta.

– Czy mi się podoba!? Moja droga – płynne przejście od traktowania dziewczyny jak niewidzialnej do skierowania na nią strumienia serdeczności nie stanowiło dla Lucy żadnego problemu – z każdą sekundą coraz bardziej! – Tu znacząco spojrziała w stronę Jerzego. – Właścicielka, żona Greka? – ponownie skupiła się na Kasi, ustalając fakty.

– To właśnie ja – odparła, a zeszywniała Sabina, która od momentu pojawienia się rudowłosego tornada obserwowała ich reakcję, lekko się rozluźniła.

Wyglądało na to, że Kasia z Jerzym traktowali jej agentkę jak ciekawostkę przyrodniczą, budzącą raczej sympatię niż irytację.

– Nigdy nie byłam w bardziej czarownym miejscu! No i poziom obsługi, powiem ci... Pardon, że tak od razu mówię na ty, ale wyczuwam dobre fluidy, nie ma się co bawić w a ę, no nie? – Kasia bez słowa energicznie przytaknęła, ledwo powstrzymując się od parsknięcia śmiechem. – No więc obsługa i ogólnie wasza oferta restauracyjna: tip-top, fenomenalna, światowy poziom! – ekscytowała się Lucyna. – Pewnie myślicie, że przesadzam. Wiem, ludzie czasem nie traktują poważnie tego, co mówię. – Nie miała oczywiście ani krzty zrozumienia dla takiej reakcji. – Ale mówię to z pełną odpowiedzialnością. A jeśli mówię to ja, która bywałam w najlepszych hotelach i pensjonatach na wszystkich kontynentach, no może poza Antarktydą, to... wiem, co mówię! Dodam tylko, to będzie całkiem *à propos*, raz na Mykonos trafił mi się apartament ścianę w ścianę z Lagerfeldem! Wspaniały

człowiek, naprawdę niebywały, z niesamowitą aurą! – wykrzykiwała z pasją. – Ale do rzeczy. Uwierzcie mi, można nawet wyłożyć basen kafelkami z masy perłowej, dać do dyspozycji konsjerża dwadzieścia cztery godziny na dobę, puścić szampana kranem do wanny... Można wszystko. Co jednak liczy się tak naprawdę? – Powiodła wzrokiem po wszystkich po kolei. – At-mo-sfe-ra! Tak, kochani! A wy ją macie, zupełnie niepowtarzalną!

Sabina zauważyła, że Kasia, niezależnie od nieodpartego komizmu tego wywodu, jest dumna i chyba nawet wzruszona, słysząc takie pochwały.

– Lucyna ma rację, „Afrodyta” jest jedyna w swoim rodzaju – dodała, patrząc na gospodynię.

– Tak! I ludzie muszą się o tym dowiedzieć! – triumfalnie spuentowała agentka. – W całej Polsce, ach, co też ja głupia gadam! Celujemy w światowy zasięg! Macie stronę internetową? – zapytała, ale wcale nie po to, by usłyszeć odpowiedź. – Macie, nie macie, zrobi się nową. Nowe otwarcie, nowa strona. Na pewno trzeba tu będzie zaprosić kilku wpływowych, znanych ludzi z towarzystwa i zaangażować ich do promocji. Rzecz jasna tak, żeby to wyszło spontanicznie...

Sabina słuchała tej tyrady z mieszanymi uczuciami. W końcu postanowiła zainterweniować i przerwać ten niepowstrzymany potok pomysłów, zanim Lucy rozpędzi się na dobre. Spojrzała przepaszająco na oszołomioną Kasię. Musi jej później wytłumaczyć, że nie powinna traktować tego wszystkiego zbyt poważnie. Na razie chciała jednak przede wszystkim ostudzić osiagający już niepokojące rejestry zapał Lucy.

– Spokojnie, nie szalej. Chodź lepiej na spacer.

– Co? Zagalopowałam się troszkę? – u Lucyny pojawił się przebłysk przytomności umysłu.

– Mhm – przytaknęła znacząco.

– Okej, okej, już się zamykam, ale, kochani, mówię poważnie, potencjał tego miejsca można wozic wagonem towarowym!

– Idziemy. – Sabina traciła cierpliwość.

– Musimy jeszcze kiedyś porozmawiać – odezwał się Jerzy. – Podoba mi się twoja niespożyta energia. Może mnie też coś doradzisz.

Lucy nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Rozmawiajmy! Czemu kiedyś, skoro możemy teraz?

– Lucyna!!! – Sabina zaczęła niemal siłą ciągnąć ją do wyjścia. Ta, po chwili oporu, pokornie jej się poddała.

– Dobrze, dobrze, no już. Ty mówisz, ja robię – powiedziała, choć nie bez rozczarowania w głosie. – On też tu pracuje? – zapytała, gdy tylko wyszły z pensjonatu.

– Jerzy? Nie, skąd. Przyjaźni się z właścicielami. Jest dentystą. To znaczy ma kliniki stomatologiczne – wyjaśniła cierpliwie Sabina. I tak nie miała co oczekiwać, że Lucyna choć na chwilę zamknie buzię.

– Dentystą... – Lucyna wypowiedziała te słowa z prawdziwym podziwem. – Zawód doskonały. Taki konkretny. Ludzie zawsze będą leczyć zęby. No i te zarobki. Wiesz, ile potrafią kosztować głupie licówki? Sabina! – Znienacka przystanęła w miejscu i stanęła naprzeciwko niej. – Coś mi tu śmierdzi.

– Co? – Zbita z tropu Sabina zastanawiała się, czy agentka wywęszyła jakiś przekręt w działalności Jerzego.

– Od kiedy przestąpiłam próg tej całej „Afrodyty”, najpierw widzę kipiącego seksem młodego byczka, za chwilę natykam się na żywe wcielenie ideału, bo obrączki nie zauważyłam, w sam raz dla kobiety z pozycją, takiej jak, nie przymierzając, ja czy ty. To jakieś pieprzone zagłębienie facetów marzeń? I teraz powiesz mi, że nic a nic nie skorzystałaś, mając pod nosem takie skarby?

Sabina poczuła, że traci grunt pod nogami. Przyjazd agentki oznaczał nie tylko szansę na wybawienie z kłopotów finansowych, ale też zdecydowanie narażał ją na tarapaty zgoła innego rodzaju. Musiała natychmiast uciąć dywagacje nazbyt dociekliwej przyjaciółki.

– Dopiero co się rozwiodłam, pamiętasz? Nie w głowie mi faceci. Od kiedy tu przyjechałam, cały czas coś się dzieje. Mam co robić.

– Taaak, jasne. – Wyraz jej twarzy nie pozostawiał cienia wątpliwości. Lucyna nie kupowała tych niezbornych tłumaczeń.

– Zaraz minie nam cały dzień, a jak do tej pory nie zrobiłyśmy jeszcze nic w mojej sprawie. – Sabina w desperacji chwyciła się ostatniej deski ratunku, a Lucy tylko się uśmiechnęła niczym lisek chytrusek.

– Racja. Sprawy. Telewizja. Umowa. To jest najważniejsze.

– Właśnie – pisarka przytaknęła z poczuciem, że jej wiarygodność spadła do zera.

– Sabinko, jestem do twojej dyspozycji. Zróbmy tak: ja wrócę do domu i pogłówkuję trochę, a ty zajmij się swoimi sprawami. Spotkamy się wieczorem. Pasuje?

Sabinie ulżyło. Faktycznie agentka trochę namieszała swoim pojawieniem się w mikołowskim mikroklimacie. Na jej szczęście nikt poza uczestnikami zdarzeń o tym nie wiedział. I za żadne skarby nie chciała tego zmieniać. Była tak spięta pilnowaniem przyjaciółki, że dopiero teraz, kiedy uwolniła się od jej towarzystwa, zauważyła nieodczytane esemesy. Od Borysa. Pytał, czy wszystkie koleżanki ma takie ciekawe i kiedy będą mogli się zobaczyć. Poczuła nieodpartą ochotę, by się do niego przytulić. Tak po prostu. Mieć jego ciepłe, silne ciało przy swoim.

„Dasz radę wymknąć się na pół godzinki? Pokój 16 jest wolny. Mogę dyskretnie przejąć klucze” – wystukała. Odpowiedź przyszła od razu: „Cholera, właśnie wydajemy zamówienie dla 9 osób, nie mam jak. Cholera! I jeszcze raz cholera!”.

„Ech, to będzie ciężka próba. Lucyna musi szybko wyjechać” – napisała, choć zwykle raczej unikała jasnych deklaracji, że zależy jej na jego towarzystwie.

„A po co właściwie przyjechała? Żeby nam popsuć zabawę?”

„Pomaga mi w pewnej przeprawie. Wydawcy, umowy, nuda”.

„Nic, co wiąże się z Tobą, nie jest nudne ☺. Chętnie posłucham przy okazji”.

„Mam inny pomysł na wspólny wieczór, kiedy już będzie możliwy ☺. Dam znać” – odpisała, kończąc konwersację. Był już najwyższy czas, żeby zrobiła tego dnia coś konstruktywnego.

Z kolei Lucyna, sama w pustym domu na klifie, zaczęła pracę od przeszukania zawartości lodówki. Ugryzła kawałek kabanosa z lokalnej wędzarni. „Cholera, mój styl odżywiania tutaj to katastrofa. Po powrocie do Warszawy radykalny detoks!”, pomyślała, łapiąc za drugi kawałek. Był po prostu pyszny. Jej ręka sama trafiła na napoczętą butelkę wina z wczoraj. „Chłapnę sobie odrobinę, na kreatywność”. Po drodze wzięła kieliszek i usiadła przy stole w salonie. Nalała sobie wina, wypła solidny łyk i zapatrzyła się w widoczek za oknem, utrzymany w wyblakłych biało-szaro-niebieskich kolorach. „W życiu bym się nie spodziewała, że to powiem, ale ta Sabinka całkiem nieźle się tu ustawiła. Kto by pomyślał...”

Otworzyła swego cieniśnieńkiego laptopa w panterkę, popiła kabanosa winem i marszcząc brwi, wczytywała się w kolejne otwierane w mailach dokumenty. Co jakiś czas z jej ust wydobywał się syk, jakby coś ją nagle zabolalo. W pewnym momencie zamarła. Aż przybliżyła twarz do ekranu. „Nie wierzę...” Zamknęła komputer i podniecona chwyciła za telefon ozdobiony aplikacją z kryształków Swarovskiego. Po kilku rozmowach i osuszywszy zawartość butelki („I tak nie mogłoby długo stać otwarte, szkoda dobrego winka”), zarzuciła na siebie futerko, znalazła gdzieś kalosze Sabiny, które z obrzydzeniem wciągnęła na nogi zamiast swoich lakierowanych kozaczków („Koniec świata, dobrze, że nikt ze znajomych mnie tu nie zobaczy”) i pognęła do pensjonatu.

– Sabinkaaaa! – krzyknęła na całe gardło, kiedy tylko z impetem zatrzęsnęła za sobą drzwi wejściowe. Znalazła swoją podopieczną w sali restauracyjnej. Niespecjalnie przejęła się tym, że pisarka rozmawiała właśnie z grupą turystów oblegających trzy złączone stoły. Obok stał Borys, który notował zapewne ustalenia czynione przez Sabinę. Lucyna miała jednak ważniejsze rzeczy do zakomunikowania. – Sabinka, chyba to mam! – obwieściła triumfalnie. – Kardasowa i cała ta zgraja jej przydupasów ze stacji będzie mogła ugryźć się w tyłek! A ty, jak dobrze pójdzie, nie wylądujesz pod mostem, kochana! Czy to nie cudowne?

– Co? Lucyna, może za chwilę...

Wszyscy bez wyjątku wpatrywali się w tej chwili w rudowłosą kobietę, wciśniętą w przyciasny zakiet, uśmiechniętą promiennie i kiwającą raz po raz zamasyżycie głową dla wzmocnienia siły werbalnego przekazu. Borys patrzył na Sabinę pytająco.

– Szczegóły sprawdza mi jeszcze jeden młody wilczek z kancelarii Pusiak & Hładki, całkiem do rzeczy swoją drogą, i to nie tylko w kwestiach paragrafów, choć z drugiej strony pobyt tutaj chyba zweryfikuje moje dotychczasowe standardy. – Rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku kelnera.

– Przepraszam państwa na chwilę. – Sabina zdecydowała się przerwać ten krępujący spektakl

przed piętnastoosobową grupą podróżujących po Wybrzeżu chirurgów naczyniowych, którzy po oszłamiającym obiedzie zdecydowali się zmienić plany i zostać dłużej, co wymagało od niej i całego personelu natychmiastowej mobilizacji. – Lucyna, bardzo się cieszę, bo rozumiem, że coś wykombinowałaś, ale wstrzymaj się sekundkę, ja tu pracuję. – Odciągnęła na bok rozgorączkowaną agentkę, ryzykując, że ta może być zawiedziona taką reakcją. Wyglądało na to, że Lucy ma nowy pomysł na uratowanie klientki z opresji, więc tym bardziej nie chciała być niewdzięczna. Jednak, po pierwsze, Sabina nie była pewna, czy najnowszy pomysł ma więcej sensu niż poprzednie, a po drugie, nie mogła pozwolić na to, by jej goście (tak, w jej głowie byli to już jej goście) poczuli się nieodpowiednio potraktowani. Posadziła zdezorientowaną agentkę przy schowanym w kącie stoliku.

– Zaraz pogadamy, okej?

– Zaraz pogadamy? Ja chyba mam omamy po tym winie. – Lucy patrzyła na nią ze szczerym osłupieniem.

Sabina puściła mimo uszu informację o winie, czując się naprawdę głupio.

– Kochana, jesteś moim skarbem, ale daj mi chwilę, błagam. – Pobieгла do gości, by już dłużej nie patrzeć na rozczarowaną minę Lucyny.

Kiedy wreszcie doszła do ładu z wymaganiami dietetycznymi, konfiguracjami osobowymi w pokojach i życzeniami dotyczącymi dodatkowych atrakcji ze strony niezapowiedzianej wycieczki, pełna wyrzutów sumienia wróciła do agentki. Nie zastała jej jednak tam, gdzie ją zostawiła. Rozejrzała się bezradnie, po czym ruszyła na poszukiwania. Lucy nie było w holu recepcyjnym ani żadnym innym ogólnodostępnym miejscu. „No, ładnie, obraziła się. Jestem najgorszą klientką pod słońcem”, wyrzucała sobie. Weszła jeszcze do kuchni.

– Nie widzieliście może.... – zaczęła, ale nie dokończyła, bo zobaczyła Lucynę opartą o metalową wyspę kuchenną w takiej pozycji, że jej dorodny biust stanowił istic barokową oprawę dla spożywczej martwej natury rozłożonej na blacie. Lucy bombardowała swymi wdziękami Borysa, który opowiadał jej coś z tym swoim ujmującym zaaferowaniem i zmiękczającym nogi uśmiechem. Sabina poczuła ukłucie w brzuchu. Kiedy zdała sobie sprawę z przyczyny, niepokój rozlał się po jej ciele. Była o chłopaka zazdrosna! I niby jak ma teraz tłumaczyć sobie, że traktuje to wciąż jako niezobowiązujący romans?

Kiedy Lucyna ją zobaczyła, natychmiast wyprostowała się i zmieniła wyraz twarzy.

– O, jesteś. Załatwiłaś już wszystkie swoje ważne sprawy?

– Przepraszam cię. Po prostu trafiłaś na zły moment. Nie chciałam cię zbywać, naprawdę.

– Jasne, jasne – odparła agentka, choć jej mina nie pozostawiała wątpliwości, że tak głęboko urażona duma nie zadowolili się byle czym. – To ja znikam, by doprowadzić sprawę do końca i wypłatać cię z bagna, w które się wpakowałaś. Nie będę ci już przeszkadzać. Pa, królewiczu! – rzuciła jeszcze do Borysa i skierowała się do wyjścia.

– Hej, jak to znikasz? Lucyna! – zaprotestowała zdezorientowana Sabina.

– Nic tu po mnie. Jadę do Warszawy. Zawiadomię cię, jeśli moje przypuszczenia co do umowy się potwierdzą.

– Proszę, nie obrażaj się! Nie możesz teraz wyjechać. Powiedz mi, co wymyśliłaś! Piłaś alkohol! Nie możesz wsiąść za kółko! – wołała za nią. Na próżno. Jej agentka czasem potrafiła zaskoczyć swoim, wbrew pozorom, niezłomnym charakterem. W kuchni pozostał jedynie aromat jej ciężkich perfum.

– O co chodzi? Masz jakieś kłopoty? Z czego ona ma cię wyplątać? – spytał Borys.

– Nic, nic, muszę ją zatrzymać... – odpowiedziała nieuważnie. Kiepsko to wyszło. Czuła się nieskończenie głupio.

ROZDZIAŁ 20

Lucyna wyjechała. Sabinie nie udało się jej udobruchać. Lucy była maksymalistką pod każdym względem. Jak foch, to konkretny.

„Dlaczego tak okropnie potraktowałam ją po tym, gdy okazała mi tyle serca? Jeszcze się zrazi na dobre i da sobie ze mną spokój. I co gorsza, będzie miała do tego święte prawo...”. Z niewesołych myśli wyrwał ją telefon.

– Nie uwierzysz! – zawołała Kasia. W jej głosie było słychać, że musiało się stać coś wyjątkowego. – Teo ma wypis! Jutro wraca do domu!

– Tak szybko? Wspaniale! – Sabina ucieszyła się szczerze, bo dzięki tej naprawdę dobrej wiadomości na chwilę zapomniała o swoich problemach.

– Wszystko pięknie się goi. Lekarze wyrazili zgodę, żeby rehabilitował się dalej poza szpitalem. Jerzy przywiezie go po południu – Kasia wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

– Fantastycznie! Musimy go dobrze przywitać. Już do ciebie biegnę, zaplanujemy coś ekstra. – Sabina poczuła przyływ energii i zaczęła się szykować do wyjścia. „Później zadzwonię do Lucy i będę ją błagać o wybaczenie aż do skutku”, postanowiła i nagle zdała sobie sprawę, że oto nastąpiła między nimi nieoczekiwana zamiana ról. Jeszcze niedawno to ona nieustannie miała, uzasadnione zresztą, pretensje do agentki, a ta musiała ją raz za razem rozbrajać, przebłagiwać i obłaskawiać. „Dużo się zmienia w moim życiu, zmieniło się i to”, skonstatowała nie bez ironii.

Kasia była skołowana perspektywą powrotu męża. Miotła się chaotycznie po całym pensjonacie i wszystko leciało jej z rąk. Sabina, widząc ją w tym stanie, przede wszystkim kazała jej usiąść w miejscu.

– Nie powiedziałam jeszcze dzieciom, chyba powinnam, co? – bezradność w głosie dziewczyny zaalarmowała jej przyjaciółkę, która bacznie ją obserwowała, niepokojąc się, czy przypadkiem nie wracają objawy psychicznego kryzysu.

– Raczej tak. Ucieszą się, a poza tym chciałyby chyba przygotować się na przyjazd taty.

– No właśnie. Nie wiem, co się ze mną dzieje, mam jeden wielki mętlik w głowie.

Sabina zamówiła w kuchni uspokajającą herbatę ziołową dla właścicielki pensjonatu i mocną kawę dla siebie.

– Nie wierzę, że znowu będzie jak dawniej. – Kasia pokiwała głową nad parującą filiżanką. – Będiesz mogła wreszcie trochę odetchnąć, co?

– Chyba nie było tak źle? – Sabina się uśmiechnęła. Ten czas, od kiedy zdecydowała się wejść w buty menadżerki pensjonatu, okazał się dla niej nieoczekiwanym źródłem satysfakcji i odświeżającą

odmianą. Odkryła, że próbowanie zupełnie nowych rzeczy działało na nią jak balsam odmładzający.

– No skąd, było fantastycznie! I będę to powtarzać do końca moich dni. Nikt jeszcze nie zrobił dla mnie tyle, co ty. Uratowałaś mnie, dosłownie. – Kasia z powagą patrzyła jej w oczy.

– Daj spokój, nie zrobiłam niczego nadzwyczajnego. Od tego są przyjaciele, prawda?

– Nadzwyczajni przyjaciele. Tacy jak ty. – Kasia upiła łyk herbaty ziołowej zmieszanej ze łzami.

– Hej, nie będziemy się tu mazać, mamy robotę! – Sabina mrugnęła do niej wesoło. Nie sądziła, by nadmiar wzruszeń był teraz dla Kasi wskazany. Spędziły ponad godzinę, planując jutrzejszy dzień. Kiedy skończyły, dziewczyna czuła się dużo lepiej.

– No dobrze. Niech już wreszcie przyjedzie.

Przyjechał nazajutrz wieczorem. Kiedy wspierając się na ramieniu podtrzymującego go Jerzego, pokazał się w drzwiach, liczny komitet powitalny (poza rodziną byli tu pracownicy „Afrodyty”, Janeczka, Hanna i Oleńka, które bardzo zżyły się z dziećmiakami podczas nieobecności ich taty, kilku mieszkańców Mikołowa i paru przypadkowych gości zwabionych panującą od rana atmosferą przygotowań) wydał z siebie serię nie do końca skoordynowanych, ale pełnych autentycznego entuzjazmu okrzyków. Na rozwieszonych na suficie i ścianach holu wstęgach widniały kolorowe rysunki oraz napisy w języku polskim i greckim, wykonane niewprawnym dziecięcym pismem. Wyrażały radość z powrotu do domu głowy rodziny Zagorakisów. Teo zatrzymał się w progu i obserwował to wszystko przez chwilę, a jego krzaczaste brwi podnosiły się coraz wyżej.

– Parthènos Maria! – Całe wnętrze wypełniło się jego tubalnym okrzykiem. – Witajcie, kochani! – nie mógł powiedzieć, a właściwie wykrzyczeć nic więcej, bo wzruszenie odebrało mu głos. Kasia i dzieci przypadły do niego, cała piątka rzuciła się sobie w ramiona i długo nie mogła się od siebie oderwać. Ktoś zaczął klaskać i po chwili reszta osób obserwujących scenę powitania urządziła powracającemu rekonwalescentowi gromką owację.

– Hej, dajcie mu odetchnąć! On musi usiąść. – Jerzy w końcu interweniował, bo trójka dzieciaków, spragniona obecności taty, chciała jak najszybciej dostać się w jego ramiona, a podnoszenie kilkulatków to nie był wysiłek, na jaki Teo mógł sobie teraz pozwolić.

– Tak, racja, tata musi odpocząć po podróży – zarządziła Kasia i wszyscy przenieśli się do restauracji, gdzie stał długi stół z przekąskami. Honorowe miejsce u jego szczytu czekało na Teo.

– Jak dobrze bycz w domie – powiedział, kiedy zajął swoje krzesło i powiódł wzrokiem po komitecie powitalnym. – Dziękuję wam wszystkim, moi drodzy psyjaczjele.

Powitalna fiesta nie trwała zbyt długo. Choć Teo tryskał humorem i mniej więcej co pięć minut wznosił nowy toast, mieszając ze słowotwórczą fantazją grecki z polskim (Kasia mimo jego protestów kategorycznie zabroniła mu używać w tym celu czegokolwiek, co miałyby choćby śladową zawartość alkoholu, więc wznosił je wodą), wszyscy zdawali sobie sprawę, że przede wszystkim potrzebuje odpoczynku i czasu z rodziną. Sabina umówiła się z Kasią na rozmowę o pensjonacie, kiedy już Teo

chwilę odsapnie, i poszła do biura. Kolejni goście dyskretnie oddalali się do swoich spraw, aż wreszcie Zagorakisowie udali się na piętro. Sabina zamknęła za sobą drzwi biura.

Marzyła jedynie o tym, by nacieszyć się Borysem. Najazd Lucyny ograniczył niemalże całkowicie ich kontakty. Ta przymusowa abstynencja uświadomiła jej, jak bardzo go potrzebuje, ale trudno jej było się do tego przyznać. Choć ciągle się przed tym broniła, przeraźliwie tęskniła za jego dotykiem, ale także za samą obecnością, za tymi wspólnymi chwilami, kiedy czas się zatrzymywał, a oni, nie spiesząc się nigdzie, robili zwyczajne rzeczy: jedli coś, gadali albo czytali gazety przy stole. Coraz lepiej zdawała sobie sprawę z tego, że nie chodzi już tylko o seks. Pragnęła po prostu, by Borys był blisko niej, co zdecydowanie komplikowało sytuację, bo przecież wciąż nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek mogli stworzyć prawdziwy, pełnoprawny związek. *Coming out* nie wchodził w grę, co to, to nie. Z wielu powodów. Choćby ze względu na tabloidy, które pożarłyby ją żywcem!

„Masz chwilę? Jestem w biurze” – wysłała mu wiadomość i czekała na odpowiedź jak na szpilkach, ale telefon tym razem nie dawał żadnych oznak życia. „Niedobrze – pomyślała. – Zaraz się okaże, że to ja za nim ganiam”. Postanowiła wziąć się w garść i zająć fakturami, kiedy drzwi do jej miniaturowego pokoiku otworzyły się i pokazała się w nich głowa Borysa, błyskającego zębami w uśmiechu.

– Szefowa wzywała?

Natychmiast się rozchmurzyła.

– Chyba czas na odrobinę molestowania w miejscu pracy.

– Nareszcie! Już miałem składać skargę do inspekcji pracy.

Podeszła i przywarła do niego, opierając go o drzwi. Nie mogli przestać się całować. Łaknęła jego ciała całą sobą. Wsunęła rękę pod jego koszulkę, przesuwając palcami po znajomym kształcie łuku kręgosłupa. Wtulali się w siebie z taką pasją, jakby chcieli wnikać nawzajem w swoje ciała. Kiedy jego dłoń przekroczyła granicę jej spodni, zmusiła się do tego, żeby go powstrzymać.

– Czekaj. Ktoś tu może w każdej chwili wejść. Przyjdź wieczorem. Zjemy coś dobrego.

Zamknął jej usta pocałunkiem i długo nie pozwolił nic więcej powiedzieć.

– Albo i nie zjemy – zaśmiała się, kiedy wreszcie odkleili się od siebie.

Powrót do faktur okazał się wyzwaniem ponad jej siły. Nie umiała już skupić się na niczym poza fantazjami dotyczącymi nadchodzącej nocy. A czekało ją jeszcze kilka bezlitośnie długich godzin. Niemal zapomniała, że umówiła się z Kasią i Teo na rozmowę.

– Ja wracam do pracy, normalna sprawa – zapewniał Teo z wyczuwalną nutą desperacji w głosie, jakby z góry spodziewał się protestu. Nie mylił się.

– Tak, jasne – Kasia z kolei nie kryła poirytowania. Najwyraźniej ich dyskusja rozpoczęła się już wcześniej i teraz, przy Sabinie, odbywała się jej kolejna odsłona. – Masz nie w pełni sprawne ręce, które cały dzień muszą być zabezpieczone opatrunkiem uciskowym, codzienne zabiegi rehabilitacyjne

w Gdańsku, nie mówiąc już o tym, że lekarze kazali ci się bardzo oszczędzać, ale tak, oczywiście, będziesz szefował kuchni i codziennie wydawał trzy posiłki. Świetny pomysł, no rzeczywiście bardzo mądry.

– Tyle czasu ja odpoczełem w szpitalu, a ty miałaś czarna rozpacz. Przez nas Sabina ma harowanie zamiast pisanie.

Sabina mimo powagi sytuacji nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Ale, Teo, nic mnie ostatnio bardziej nie ucieszyło niż to, że nadaję się do czegoś jeszcze poza pisaniem.

– Czo ty gadasz? Ty pisarka, nie hotelarka.

– Bardzo mi się spodobała praca hotelarki. Zdaje się, że ta zmiana była mi potrzebna. Jeśli tylko nie masz nic przeciwko temu, chętnie zostanę, dopóki całkiem nie wydobrzejesz.

Teo patrzył na nią i mrugał z niedowierzaniem.

– Ty tak na serio?

– Najzupełniej serio.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem wstał, rozłożył szeroko ramiona i podszedł do niej.

– Ty jesteś teraz rodzina.

Sabina wyszła z „Afrodyty” z poczuciem, że mikołowski wszechświat wraca do równowagi, co więcej, znalazło się w nim miejsce dla niej. Stała się jego pełnoprawnym członkiem, nie tylko przybyszem, kimś pomiędzy letnikiem a prawdziwym mieszkańcem. Jej świetny nastrój wzmagająca przybliżająca się z minuty na minutę perspektywa spotkania z Borysem.

Jak można było przypuszczać, nie zaczęli od kolacji. Mieli ważniejsze zaległości do nadrobienia. Dopiero kiedy zaspokoiли prawdziwy głód, mogli się zająć jedzeniem.

– Sabina, o co chodziło z tym ratowaniem przez Lucynę? Co się dzieje? – spytał Borys, krojąc cebulę do sosu.

Nigdy dotąd nie wtajemniczała go w swoje sprawy zawodowe. Uważała, że dla zachowania zdrowego dystansu nie powinna go wpuszczać do wszystkich sfer swego życia. Skoro to romans bez zobowiązań, nie należy przekraczać bezpiecznej granicy schadzek wyrwanych z porządku codzienności, zawieszonych gdzieś pomiędzy rzeczywistością a ucieczką od niej. Ale dziś jej mechanizmy obronne uległy osłabieniu. Może sprawiła to ta tęsknota za nim, a może dzień wypełniony emocjami w „Afrodycie”. Opowiedziała mu pokrótce o swoich ostatnich przejściach – przesileniu pisarskim, wiszących na niej umowach i trudnej decyzji o podcięciu gałęzi, na której całkiem wygodnie siedziała. Borys nie po raz pierwszy udowodnił, że był uważnym słuchaczem, a Sabina dziwiła się, że tak młody chłopak ma tyle cierpliwości do wysłuchiwanie tego, co miała do powiedzenia. Co więcej, wydawał się tym prawdziwie zainteresowany. Czy w dzisiejszych czasach ktokolwiek jeszcze umiał angażować się w słuchanie innych? W Warszawie otaczający ją ludzie

walczyli przede wszystkim o to, by przebić się przez wszechogarniający szum informacyjny, by to ich głos został wysłuchany. Mikołowo stanowiło enklawę także pod tym względem, a Borys, choć tak jak ona przyjezdny, najwyraźniej zdążył się już zarazić tą odchodzącą do lamusa cechą. A może po prostu taki był.

– Więc naprawdę nie napiszesz już żadnej książki? – Wyglądał na przejętego.

– Mam nadzieję, że napiszę. Ale na pewno nie będzie to już ta niestrawna papka z Amelią w roli kości stojącej w gardle.

– Nie do wiary, przecież twoja saga to jak biblia dla tych tysięcy czytelniczek. Co z nimi?

– Będą musiały się z tym pogodzić. Nie mogę być dłużej niewolnikiem czyichś oczekiwań.

– Telewizja musiała się nieźle wkurzyć... Chyba zdążyli już zapowiedzieć nowy sezon twojego serialu? – Borys zaskoczył ją znajomością tematu i zupełnie niepotrzebnie przypomniał jej o tym, co chciała z jego pomocą wyrzucić z głowy.

– Dość już o tym. To ma być miły wieczór, nie chcę gadać o pracy. – Objęła go od tyłu w pasie i oparła brodę na jego ramieniu. On odchylił głowę i pocałował ją w okolice skroni, nie przerywając mieszania na patelni przyprawionych już ziołami pomidorów.

Po nocy, która spełniła jej oczekiwania aż z nawiązką, trudno było wrócić do przyziemnych spraw. Najchętniej spędziłaby z nim cały leniwy dzień, nie wychodząc z łóżka bez ważnej potrzeby. Ale tego dnia żadne z nich nie mogło sobie na to pozwolić i Borys wymknął się wcześniej rano z ich gniazdka miłości. Na szczęście ona musiała zjawić się w pensjonacie dopiero koło południa.

– A czy nie mogłabyś jednak wejść na Skype'a? – Sabina bezskutecznie szukała po całym domu ładowarki do telefonu. – Mam pięć procent baterii i zaraz całkiem padnie mi komórka.

Po wysłaniu licznych przymilnych wiadomości i próbach nawiązania kontaktu z obrażoną agentką wreszcie się udało i dziś to sama Lucy zaszczyciła ją telefonem. Pech chciał, że Sabina, mimo obietnic dawanych Bogu po tym, jak wjechała w zaspę, znów zgubiła ładowarkę. Teraz zaś Lucyna z niejasnych dla Sabiny przyczyn unikała pokazania się na ekranie komputera.

– Och, no poszukaj dobrze. Zawsze coś, zawsze jakiś kłopot, nie rozumiem cię, Sabina! Najpierw nie mogłaś dla mnie znaleźć czasu. Znajdujesz czas na wszystko i wszystkich, tylko nie na swoje własne sprawy – trajkotała jak najęta. Wtem głos w słuchawce ucichł. Sabina zerknęła na wyświetlacz telefonu: był czarny. Martwy. *Finito*.

– Trudno – powiedziała i usiadła przed komputerem. Po siedmiu długich sygnałach twarz Lucy ukazała się w pełnej krasie. Wyglądała jakoś nieswojo. W dodatku siedziała po ciemku, jej twarz oświetlała jedynie błękitna poświata komputera.

– Co ty tak w ciemnościach? – spytała od razu Sabina. – Prąd ci odcięli?

Lucyna zignorowała pytanie i z miejsca zaczęła nawijać jak przekupka w dzień targowy.

– No dobrze! Choć oczywiście jestem na ciebie zła, to i tak muszę ci wszystko opowiedzieć. Bo ja

oczywiście od początku wiedziałam, że tak będzie, bo główka pracuje, ciocia Lucy ma łeb nie od parady, to wie każdy, kto się nie bał mej charyzmy i pozwolił mi dla siebie pracować. Tak jak ty! Ale że jestem aż tak skuteczna, to, kochana, powiem ci, nawet mnie zaskoczyło. Mamy to! Mamy! Załatwiłam ich na cacy. Na glanc! Na amen w pacierzu.

– Naprawdę, udało ci się?

– I owszem – agentka przytaknęła skromnie.

Sabina zrobiła wielkie oczy i na dłuższą chwilę zaniemówiła, a serce podjechało jej do gardła.

– Yyyyy – wydusiła z siebie w końcu. – Ale jak? Jak to zrobiłaś? Przecież ta umowa to był sznur na moją szyję.

– Tym bardziej podziwiał geniusz mistrzyni. Która niemożliwe zamienia w wykonalne. Która stanie na głowie i robi szpagat, by doprowadzić sprawę do szczęśliwego finału. Ku zadowoleniu klienta i własnej satysfakcji...

– Lucyna! Błagam, powiedz to w końcu! – Sabina wiedziała, że Lucy może tak ciągnąć w nieskończoność.

– Tak, już mogę? Naprawdę, nie masz chwilowo nic ważniejszego? – Pisarka z pokorą znosiła te złośliwości. Należało jej się. – Tak więc gdybyś znalazła dla mnie wtedy chwilę i na pięć minut oderwała się od obsługiwania swoich chirurgów naczyniowych, dowiedziałabyś się, jaką bombę znalazłam. Otóż w naszej umowie z telewizją wymieniono z nazwiska dwóch członków zarządu jako reprezentację strony. I oni dwaj powinni byli złożyć swoje podpisy. Tymczasem wiceprezes Muszyński w dniu podpisania dokumentu bawił na Szeszelach i w rezultacie podpis złożył tylko jeden z panów, znaczy się członków. Na nasze szczęście o tym, by po powrocie z rajskich wakacji podpisał się również ten drugi, ktoś w firmie zwyczajnie zapomniał. Dostałyśmy dokument z jednym podpisem. I, jak potwierdził mi nieoceniony mecenas Pusiak, dzięki temu nasza umowa jest nieważna! Fachowo mówiąc, z prawnego punktu widzenia możemy ją uznać za niezawartą. Jesteś wolna!

Sabina zaniemówiła. „Nie wierzę – pomyślała. – Nie wierzę w moje szczęście!!!” W tej samej sekundzie na ekranie komputera Lucy przemknął jakiś cień, a zdumionej Sabinie ukazała się twarz... Jerzego, który zajrzał Lucynie przez ramię, po czym ujrawszy rozdziawioną ze zdziwienia buzię jej rozmówcy, cofnął się jak oparzony.

– Jerzy? – spytała niepewnym głosem Sabina.

Lucy zrobiła minę niewiniątka.

– No cóż... – powiedziała bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Jak to mówi młódzież, taka sytuacja...

Sabina nagle zaczęła się śmiać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej i głośniej, aż łzy popłynęły jej z oczu. Jerzy i Lucyna spojrzeli po sobie, najpierw dość niepewnie, po czym oboje parsknęli. Kiedy się w końcu uspokoili i złapali ponownie oddech, agentka na prośbę swej klientki raz jeszcze

opowiedziała o tym, co udało się jej zdziałać na polu walki z medialną korporacją, która zamierzała pogrążyć niesłowną autorkę. Kiedy krok po kroku omówiła prawniczy szacher-macher, jakiego dokonała z pomocą niezastąpionych panów z kancelarii Pusiak & Hładki, Sabina opadła na oparcie krzesła.

– To jest po prostu niesamowite – powiedziała, trzymając się za głowę. – Ja naprawdę mam więcej szczęścia niż rozumu. Przez całe życie...

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – zaśmiała się promiennie Lucy i poprawiła opadający na czoło zalotny rudy pukiel.

Sabina postanowiła już o nic więcej nie dopytywać, czekając na bardziej stosowny moment, choć oczywiście pytania (Jak? Kiedy to się stało? Jak to w ogóle możliwe?) mnożyły się w jej głowie. Wydawało się jej jednak, że między tymi dwojgiem, mimo że na pierwszy rzut oka pochodzili z zupełnie innych planet, może nawiązać się coś, czego oboje pragną, i szczerze ją to ucieszyło. „Niezbadane są ścieżki ludzkich serc...”, przypomniała sobie jedną z częściej powtarzanych przez świętej pamięci Amelię Kruk złotych myśli i z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Najważniejsze, że kolejny kłopot rozwiązany i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. Ona na pewno. Dzięki sprytowi swej agentki wyplątała się ze strasznej kabały. Zupełnie jakby zdjęto jej z pleców szesnastotonowy ciężar.

Kiedy zamknęła laptopa, zostawiając Lucynę i Jerzego samym sobie, wstała z krzesła i podeszła do okna. Zimą na tej wysokości geograficznej słońce stało nisko nawet w południe. Na śniegu kładły się cienie tak długie jak podczas letnich zachodów słońca. Śnieg topił się coraz bardziej. Z wielkich zasp, które niedawno niemal zasłaniały widok na plażę, prawie nic nie zostało. W powietrzu coraz wyraźniej czuć było nadciągającą wiosnę, Sabinie wydawało się nawet, że wróciły już ptaki, których głosu nie słyszała od miesięcy. Mewy najwyraźniej też czuły nadchodzące zmiany, bo baraszkowały wesoło wśród fal, głośno pokrzykując. Sabina postanowiła uczcić swoją świeżo nabytą wolność tradycyjną przebieżką po plaży. Wskoczyła w strój do biegania i ruszyła w stronę morza. Biegła przed siebie, śmiejąc się w głos. Wiatr szarpał jej włosami, a ona pędziła, żartując w duchu, że powinna teraz słuchać muzyki z filmu *Rydwany ognia*, tak podniosły był to moment.

Koniec – na zawsze koniec z udręką pod tytułem Amelia Kruk! Nigdy więcej wstrętu do siebie samej, że produkuje pod presją literaturopodobne gnioty. Nigdy więcej surowego tonu Moniki Kardas w telefonie. Nigdy więcej ciągnących się w nieskończoność zebrań z produkcją filmową, nigdy więcej idiotycznych rozmów z idiotkami z telewizyjnych programów o szołbiznesie ani propozycji z *Tańca z Gwiazdami*. Koniec wywiadów dla kolorowych pism, koniec męki. Od tej pory Sabina może sobie robić, co chce! I co najważniejsze – ominęła ją kara za to wszystko! Naprawdę jej się upiekło. Groźba drakońskich odszkodowań, które pozbawiłyby ją oszczędności gromadzonych przez lata, odpłynęła w siną dal.

Oblała ją fala ciepłych uczuć do Lucyny. Naprawdę dużo jej zawdzięczała. A dodatkową wisienką na torcie było to, że kiedy odzyskała już wolność, mogła wreszcie bez żadnych obciążeń zasiać do pisania prawdziwej, wielkiej powieści, którą z powodu ostatnich wydarzeń całkowicie odłożyła na bok. Miała wrażenie, jakby się upiła, jakby zamiast herbaty piła dziś musującego szampana. Wreszcie korowód klęsk w jej życiu zmienił się w spełnienie, wszystkie przeciwności zostały pokonane. W Mikołowie znalazła prawdziwych przyjaciół, poczucie sensu i emocje, jakich się nie spodziewała. Dochodziła do tego wyboistą drogą, ale niczego nie żałowała. Tak, czuła się szczęśliwa.

*

Od: Krzysztof.werner@superfakt.pl

Do: Borys.Barczyk@superfakt.pl

Temat: Co jest do jasnej cholery z Twoim tekstem!?

Borys, to moje ostatnie ostrzeżenie. Dajesz materiał w tym tygodniu albo koniec współpracy. Nie jesteśmy NFZ, żeby Cię wysłać do sanatorium nad morze. Straciłem już pewność, czy ten tekst może być wart tego, co w Ciebie wpakowaliśmy przez te dwa miesiące!

Od: Borys.Barczyk@superfakt.pl

Do: Krzysztof.werner@superfakt.pl

Krzysztofie, wiem, że długo czekacie, ale sprawa jest rozwojowa. Mam tu naprawdę dobry materiał, muszę jednak jeszcze chwilę nad tym popracować, żeby nie spalić wszystkiego. Proszę o jeszcze trochę czasu, nie zawiedziecie się.

Borys

ROZDZIAŁ 21

Wzięła prysznic, podśpiewując radiowe hity, wysuszyła włosy, zrobiła lekki makijaż i wyciągnawszy ze spiżarni butelkę musującego hiszpańskiego wina (szampana niestety nie znalazła), jak na skrzydłach pognała do pensjonatu. Niezauważona przez nikogo weszła po cichutku do kuchni. Już miała się odezwać, kiedy dyskretnie wycofała się za drzwi. Kasia z miną wyrażającą najwyższy stopień irytacji mieszała w rondlu mięso na musakę, waląc drewnianą łyżką o garnek tak, jakby ten był naprawdę czemuś winien. Obok pieca na drewnianym krześle siedział skrzywiony Teo, który dyrygował wszystkimi znajdującymi się w kuchni osobami:

– Kasza, ale to jeszt niedobre sposób, ty to źle robisz, ja czy tile raży mówiłem. Baranina nie może być w musace, tylko jagnięcina. Dla Greka to jeszt jak zdrada! Jakbyś robiła pierogi z kapusztą, ale nie z kapusztą tylko z paprocią! A ty – zwrócił się do struchlałej nagle pomocy kuchennej – daj mi tu szpróbować tego avgolemono.

Marysia drżącą dłonią podała szefowi łyżkę zupy cytrynowej. Teo w rękawiczkach uciskowych wciąż nie mógł brać niczego do rąk, siorbnał więc zupę z łyżki i skrzywił się. Kobieta pobladła. Teo zaczął cmokać, niczym kiper na degustacji wina. Po dłuższej chwili, która nieszczęsnej podkuchennej wydawała się całą wiecznością, Teo orzekł:

– Dodaj pieprzu cayenne, inaczej ja tego nie widzę!

Kasia walnęła łyżką o pokrywkę, rzuciła w stronę męża spojrzenie bazyliuszka, po czym wytarła ręce w fartuch i powiedziała:

– Wychodzę.

– Gdzie idziesz!?! Nie teraz, kiedy musaka niegotowa! – Teo kompletnie nie wyczuwał, że atmosfera w kuchni gęstniała niczym konsystencja beszamelu na zapiekankach w piekarniku.

Dziewczyna przewróciła tylko oczami i bez słowa wyszła z kuchni, wpadając na czającą się za drzwiami Sabinę, która była ogromnie rozbawiona tym, co przed chwilą zobaczyła w kuchni.

– Zabiję go – bez zbędnych wstępów powiedziała Kasia. – Zaraz osobiście go ukatrupię. Chodź ze mną. Muszę się przewietrzyć, nim dźgnę go widelcem w oko. Odkąd wrócił, nieustannie siedzi w kuchni i wszystkich poucza! Tak jakby ta cholerna restauracja nie dawała sobie rady, gdy siedział w szpitalu. Nie mogę znieść tego ciągłego narzekania! Och!!!

Sabina posłusznie, tłumiąc chichot, ruszyła za przyjaciółką. Dopiero kiedy stanęły za drzwiami, Kasia dostrzegła w jej rękach zieloną butelkę.

– A to z jakiej okazji? – zapytała ze zdziwieniem.

– Chciałam od razu wejść z nowiną, ale zobaczyłam Teo w akcji i zaczęłam się tak śmiać, że aż musiałam się uspokoić. Nakryłaś mnie.

– Ja naprawdę nie ręczę za siebie, jeśli on się nie uspokoi. – Dziewczyna westchnęła, wznosząc oczy do nieba. – No ale mów, kochana, co świętujemy?

– Moją wolność! Chodź, wino należy się dziś wszystkim.

Po godzinie butelka została opróżniona przez obecnych w kuchni – z wyjątkiem Teo, który miał zakaz sięgania po trunki – i na prośbę Kasi otwarto następną. Atmosfera uległa rozluźnieniu, wszyscy ogromnie się cieszyli ze szczęścia Sabiny. Wiedzieli doskonale, jak bardzo przygnębiały ją ostatnio kłopoty.

– Widzisz, trzeba wierzyć w to, że będzie dobrze, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. – Kasia mocno uściskała przyjaciółkę.

Nagle Teo chrząknął wymownie i wszyscy spojrzeli w jego kierunku.

– Wibaczycie, że nie mam kieliszka w ręce i nie wstaję do toastu, wibacz, Szabinka – zaczął, po czym gestem uciszył protestującą Sabinę. – Chciałbym wznieszczyć toast za naszą najlepszą przyjaciółkę Szabinę. Ona, chociaż tzymała na swojej głowa masie ciężkie kłopoty, nie zostawiła nas w potrzebie. U nas w Grecji mówi się o takich ludziach *axiopisto filo*.

– Niezawodny przyjaciel – wtrąciła Kasia.

– Właśnie – potwierdził Teo. – Szabina, kochamy cię i na zawsze pozostaniemy twoimi dłużnikami. Niech cię Bóg prowadzi. *Yia mas!* – Podniósł zabandażowaną dłoń do góry, jakby trzymał w niej kieliszek.

– Na zdrowie! – odpowiedzieli mu wszyscy zebrani, stukając się szkłem.

Sabina upiła łyżeczkę, po czym nagle potoczyła wzrokiem po znajdujących się w kuchni osobach.

– Zaraz, zaraz – odezwała się. – Dlaczego ja mam wrażenie, że my się żegnamy?

– No jak to? – powiedziała Kasia niepewnie. – A nie żegnamy się?

– A dlaczego mielibyśmy się żegnać? – Jej mina wyrażała najwyższe zdumienie. – Wyrzucacie mnie czy co?

Zagorakisowie spojrzeli po sobie.

– Czyli nawet teraz, kiedy jest już po kłopotach i nie stracisz swoich pieniędzy, i Teo już wrócił, nadal chcesz u nas pracować? – z głosu Kasi przebijało radosne niedowierzanie. – Sabina! Super!

– O rany, naprawdę pomyśleliście, że mogłoby być inaczej? – Pisarka zmarszczyła brwi i roześmiała się perliście. – Oczywiście, że z wami zostaję! Ktoś musi pilnować, by Teo nie zaglądał wszystkim do garnków, dopóki nie wyzdrowieje do końca!

Tego wieczora Sabina wracała do domu z lekkim sercem. Na koniec dnia do „Afrodyty” wpadł jeszcze Borys, któremu wszystkie dobre wiadomości zdążyły przekazać dziewczyny w kuchni.

– Brawo, Sabina! – zawołał na jej widok. – I jak ci się udało odkręcić to wszystko?

– Ma się swoje sposoby. – Tajemniczo się uśmiechnęła, a kucharze tręcili się łokciami.

– Pani Sabinka w ciemności nie jest bita, co nie?

Borys spojrział na nią oczami tak maślanymi, że aż dała mu niemy sygnał, by się nieco opamiętał. Kiedy już pożegnała się ze wszystkimi i zamykała za sobą drzwi, usłyszała sygnał wiadomości. Wyjęła z torby telefon i zobaczyła esemesa od Borysa: „Jesteś taka seksowna, kiedy zwyciężasz”.

„Chcesz ze mną poświętować?”

„Będę po 22. Całuję tam gdzie zawsze”.

„Ja też”.

Z uśmiechem schowała telefon do torebki i niemal tanecznym krokiem ruszyła w stronę domu. Znów rozkoszowała się tym, że wszystko w końcu układało się po jej myśli. Po pierwsze, szła wiosna. Po drugie, spotykała się z młodym bogiem seksu. Po trzecie, pracowała wśród świetnych ludzi i uwielbiała swoją pracę. Po czwarte, była wolna! Miała ochotę podśpiewywać z radości.

Droga ze wsi tuż przed jej domem zakręcała nieco w stronę plaży. Kiedy Sabina minęła zakręt, zobaczyła kogoś na ganku. Ponieważ mrok zapadł już dobrą godzinę temu, nie mogła dostrzec z oddali, kim jest owa tajemnicza postać. Niepokój podszedł jej do gardła. „Co znowu, do cholery?” Zdążyła już zapomnieć o lękach z początków pobytu w Mikołowie, kiedy zdawało jej się, że wszyscy ją śledzą. Kimkolwiek był przybysz, jego obecność nie oznaczała niczego dobrego. Przyspieszyła kroku. Postać ruszyła się z miejsca i wtedy włączyła się wisząca przed wejściem lampa na fotokomórkę, a Sabinę opuścił strach. Widmo kłopotów bynajmniej jednak nie zniknęło – na ganku czekała Róża. Prosto z USA.

*

Córka przestała się do niej odzywać jakiś czas temu. Właściwie od pamiętnej rozmowy, podczas której poinformowała ją, że uwielbia Dobrochnę, ograniczyła się do wysyłania maili ponaglących matkę w kwestiach finansowych. Regularnie w skrzynce mailowej Sabiny lądowały listy zatytułowane na przykład „1487 \$” o treści: „Prześlij asap”. I to właściwie było na tyle. Sabina czasem próbowała jeszcze dobić się do swego jedyne dziecko – a to przez Skype’a, a to łapiąc ją na czatach internetowych – niestety Róża pozostawała nieugięta i uparcie nie gadała z matką. Tym większym szokiem była jej obecność na ganku domu w Mikołowie.

– Róża? – wybąkała niepewnie Sabina, jakby zobaczyła ducha.

– No a kto, *God damn it?* – Dzięki tej odzywce nawet w kompletnych ciemnościach rozpoznałaby swoją córkę. – Marznę tu od *fucking hour*.

– Róża, ale dlaczego mnie nie uprzedziłaś? – Zaczęła nerwowo szukać kluczy po kieszeniach, dodając już w myślach: „Jeśli sądziłam, że teraz będę sobie w spokoju pisać książkę, to grubo się pomyliłam”.

Dziewczyna spod wielkiej wełnianej czapy, naciągniętej na czoło, rzuciła matce spojrzenie pełne bezbrzeżnej pogardy i najwyraźniej postanowiła niczego nie tłumaczyć. Stała, wbijając ręce

w kieszenie płaszcz, modnego zapewne w New York City, niekoniecznie jednak pasującego do okoliczności przyrody w małej nadmorskiej miejscowości, bo jego długie wystrzępione poły zamiatały z ziemi wszystko, co znalazło się na drodze. Nadawało to Róży wygląd osoby bezdomnej i jeszcze bardziej zasmuciło serce matki. Podczas gdy Sabina nerwowo szukała kluczy, które akurat z typową złośliwością rzeczy martwych postanowiły schować się na samym dnie torby, dziewczyna patrzyła na nią z taką intensywnością, że ta aż czuła, jakby ktoś jej wypalał w plecach dziurę.

„I nawet się nie uściskałyśmy! – myślała Sabina, wkładając klucz do zamka. – Nie widziałyśmy się tyle miesięcy, a nawet nie dałyśmy sobie po buziaku”. Kiedy jednak spojrzała na córkę w świetle korytarza, myśli o całusach i przytulaniu natychmiast odpłynęły. Róża miała tak skrzywioną minę, jakbyssała właśnie najkwaśniejszą z cytryn. Zdjęła czapkę i namokły od spodu płaszcz, po czym podając go matce, bez słowa weszła do salonu. Sabina, patrząc za nią coraz bardziej zdumionym wzrokiem, zobaczyła, że pod białą cieniutką koszulką nie ma biustonosza, a na barku wyłaniającym się spod bluzeczki widnieje tatuaż – zwierzęcy kształt, łączący cechy kozła, węża, nietoperza i chyba tygrysa. Idąc z dołu pleców przez ramię, kończył się na karku – tam gdzie normalnie ludziom rosną włosy. Niestety Róża kwestionowała także ten banalny fakt. Wygoliła sobie głowę dookoła i zostawiła tylko włosy z przodu i na czubku, spinając je w koczek. W kolorze zielonym. Sabina westchnęła – jej śliczna córeczka wyglądała jak skrzyżowanie kozackiego wojownika i postaci z komiksu o Batmanie. Czyli nie najlepiej. Powiesiła ubrania na wieszaku w przedpokoju i nadal robiąc dobrą minę do złej gry, postanowiła jakby nigdy nic dać im kolejną szansę.

– No to opowiadaj, kochanie, co u ciebie słyhać. – Usiadła na kanapie naprzeciw fotela, na którym rozwaliła się Róża.

Dziewczyna podniosła wymownie brwi.

– *That's unbelievable*. Nic się nie zmieniałaś – rzekła wyniośle, a Sabina poczuła, jak opuszczają ją wszystkie siły. – A może byś zapytała, czy nie mam ochoty na jakiś *food*? Może umieram z głodu? *But for you it doesn't matter*. Klasyka. – Teatralnie wznosiła wzrok do sufitu, podczas gdy jej matce przewracały się wnętrzności.

– A jesteś głodna? – spytała słabym głosem.

– Nie. – Zielonowłosa osoba na fotelu wzruszyła ramionami. Sabina ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się od tego, by rzucić się na nią i wytargać ją za te paskudne kudły.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, podczas której matka zastanawiała się, co teraz, a córka z beznamiętnym wyrazem twarzy rozglądała się po domu.

W końcu odezwała się ta pierwsza.

– Dobrze, to może powiesz, skąd się tu wzięłaś. Z tego co wiem, powinnaś być w Stanach. Kilka dni temu przelałam kupę forsy na konto twojej szkoły. – Aż sama skuliła się na te słowa. Wcale nie chciała, by zabrzmiało to tak, jakby robiła córce wyrzuty, że przyjechała. Ale z powodu jej irytującego

zachowania traciła kontrolę nad tym, co mówi.

– Och, *for fuck sake*, ty jak zwykle tylko o jednym: kasa, kasa, kasa. – Róża wstała i zaczęła chodzić po salonie, przyglądając się z taką miną zdjęciom i bibelotom, jakby te zrobiono z psich odchodów. – A przecież, Sabina, są inne wartości. Na przykład sztuka. – Wymierzyła w nią oskarżycielski wzrok. – Przyjechałam do Polski, żeby grać. *That's that*. Roman Polanski? Mówi ci to coś? – zawiesiła pytanie w próżni, najwyraźniej nie oczekując wcale odpowiedzi.

Ciśnienie krwi jej matki właśnie dochodziło do krytycznych poziomów. Miała wrażenie, że jest czerwona jak burak, a mała pulsująca na czole żyłka zaraz pęknie i tak oto zakończy swój marny żywot.

– Mr. Polanski szuka w kraju aktorki do roli nastolatki do swojego nowego filmu.

– Mhm... – tyle była w stanie wydusić z siebie Sabina.

– To jest *story about sex*.

– Aha, to ciekawe...

– O *teenage girl*, która na siłę wpycha się do łóżka dojrzałemu artyście. Rozumiesz, kariera za seks. – Sabinie pociemniało przed oczami. – Casting jest w Warszawie *next week*. To znaczy już był, tylko tak średnio się na mnie poznali, *stupid bastards*. Nie dali mi szansy po prostu, wciskają jakiś *bullshit*, że niby startować mogą tylko zaproszone przez reżysera aktorki. – Róża z miną gwiazdy filmowej na czerwonym dywanie ciągnęła monolog bez zmrużenia oka. – Ale ja tak łatwo nie odpuszczę. I tu mogłabyś mi pomóc. Wreszcie do czegoś się przydasz, *you know*. Ta twoja Lucyna w końcu zna wszystkich, *doesn't she?* Niech mi załatwi jakieś dojsie, *right?* – Dziewczyna posiadała niewiarygodną umiejętność bezproblemowego przechodzenia od besztania matki do wysuwania wobec niej najbardziej wymyślnych żądań.

Sabina wyczerpała wszystkie dostępne w tej chwili siły, by zachować resztki równowagi. Udało jej się nie podnieść głosu.

– Cieszę się, że cię widzę, naprawdę. Ale czy musiałaś od razu jechać tyle kilometrów aż tutaj? Nie prościej byłoby zatrzymać się w Warszawie, u ojca? Mogłaś zadzwonić, przecież bym przyjechała na parę dni.

Róża mrużąc oczy, przyglądała się jej tym swoim świdrującym wzrokiem.

– Ty słyszysz, co ty w ogóle mówisz? Miałabym się kisić w tej ciasnocie na Chomiczówce? Ile tam jest metrów? Trzydzieści? *Are you joking?*

Przeszła do kuchni, rozejrzała się, podeszła do lodówki i wyjęła butelkę wina.

– Korkociąg masz gdzie? – spytała jakby nigdy nic, po czym nie czekając na odpowiedź oniemiałej matki, otwierała po kolei szuflady i znalazłszy potrzebny sprzęt, odkorkowała butelkę, wyjęła kieliszek, nalała sobie do pełna, po czym wróciła z powrotem do salonu. Miętko opadając na fotel, spojrzała na Sabinę, w której gotowały się najróżniejsze emocje i pomysły, w większości

karalne. Patrząc na tę bezczelną gówniarę, co to wlewała w siebie wielkimi łykami jej schowane na specjalną okazję wino, czuła, że jako matka zawiodła na całej linii. „Zaraz, zaraz, specjalna okazja?”, przez opary absurdu, jakie spowiły jej dom wraz z pojawieniem się Róży, dobiła się boleśnie prawdziwa myśl. „Borys! Trzeba go koniecznie odwołać!”. I w tej właśnie chwili, gdy rzuciła się w poszukiwaniu telefonu, rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

– O kurwa, w mordę – zaklęła pod nosem i popędziła do przedpokoju.

Uchyliła drzwi i na widok Borysa jęknęła:

– Jezu...

– Pomyłka, to tylko ja, Borys. – Uśmiechnął się, zupełnie nie zdając sobie sprawy z zagrożenia.

– Borys, nie teraz, przepraszam cię, musisz zniknąć, bo...

I właśnie wtedy zza jej pleców wynurzyła się Róża, która na widok Borysa zawołała:

– Kogo ty tu chowasz? *Let him in!*

Sabina wiedziała, że za wszelką cenę musi jakoś wybrnąć z tej kosmicznie niewygodnej sytuacji. Odsunęła się od drzwi, uchyliła je szerzej i starając się przybrać możliwie neutralny wyraz twarzy, powiedziała:

– Borys, poznaj moją córkę Różę. Rózo, to jest Borys, mój pracownik.

Dziewczyna obrzuciła go badawczym spojrzeniem. On, zaskoczony jej obecnością, nie bardzo wiedział, jak się zachować, ale tylko przez moment. Niezręczną chwilę natychmiast pokrył szerokim uśmiechem.

– Zostawiłaś to w „Afrodyce”. – Przeniósł wzrok z córki na matkę i jakby nigdy nic podał nienależące do niej klucze. – A pewnie ci się przydadzą.

Dziękując mu w myślach za ten całkiem zgrabny wybieg, natychmiast wcieliła się w wyznaczoną rolę:

– O rany, właśnie już się bałam, że je gdzieś posiałam. Dzięki!

Róża jednak nie odpuszczała łatwo.

– Nie wpuścisz pana?

– Nie, leczę, wpadłem po drodze oddać klucze i pędzę dalej. Miło było cię poznać. To na razie! – powiedział, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach. Sabina z ulgą zamknęła drzwi.

– Niezłych masz pracowników – zauważyła córka z głupim uśmieszkiem. – Andrzej go widział? – I nie czekając na odpowiedź, oddaliła się w poszukiwaniu łazienki, którą następnie okupowała przez dwie godziny.

Sabina pościeliła jej łóżko w pokoju gościnnym i poszła spać, nawet bez zmywania makijażu. Była wykończona.

ROZDZIAŁ 22

Sabina prawie nie zmrużyła oka. Obecność śpiącej w sąsiedniej sypialni Róży budziła w niej skrajne uczucia. „Przecież to moja rodzona córka – próbowała tłumić przenikający ją niepokój. – Powinnam się cieszyć, że przyjechała, tak długo się nie widziałyśmy”. Nie mogła się jednak oszukiwać, od dawna nie były sobie bliskie, a wydarzenia sprzed kilku miesięcy – afera z brukowcami i to, co się z nią wiązało – oddaliły je od siebie jeszcze bardziej, każda zaś próba porozumienia kończyła się przygnębiającym fiaskiem. Wkroczenie Róży w jej uporządkowany świat nie mogło skończyć się inaczej niż kłopotami. Sama nie wiedziała, dlaczego pojawienie się jej dziecka wywoływało u niej taki popłoch i burzyło poczucie bezpieczeństwa. Które życie było prawdziwe – to dawne, kiedy miała rodzinę, czy to nowe, zbudowane w opozycji do przeszłości?

Ciemność spowijająca sypialnię zaczęła się lekko rozjaśniać. Świt delikatnie przenikał przez gęstą zasłonę nocy. Dopiero minęła piąta. Sabina, choć czuła się jak z krzyża zdjeta, a pod powieki ktoś chyba musiał jej wsypać po garści piasku, postanowiła zmusić się do treningu. Wiedziała, że to doda jej energii i jest jedynym sposobem, by jakoś przetrwać ten dzień. Kiedy zeszła na dół, na kanapie ujrzała okrytą kocem Różę. Siedziała po turecku, a jej twarz rozświetlał blask tabletu.

– Też nie możesz spać?

Dziewczyna podniosła na nią mało entuzjastyczny wzrok.

– U nas nie ma jeszcze *midnight*. To nie mój *time to sleep*.

„U nas, no proszę, ktoś tu jest urodzoną nowojorczańką”, pomyślała z przekąsem i z miejsca się zganiła. „Nie, w ten sposób to naprawdę będzie jeden wielki koszmar. Nie możemy się łąpać za każde słówko. Musimy spróbować być dla siebie miłe, w każdym razie ja spróbuję, niezależnie od wszystkiego”.

– Może pójdziesz ze mną pobiegać na plażę? – spytała, dbając o to, by jej głos nabrał przyjaznego brzmienia, ale córka spojrzała na nią tak, jakby właśnie zaproponowała jej meduzę na śniadanie. – Okej, pójde sama – rzuciła wesoło. Postanowiła wytrwać i nie poddawać się denerwującemu zachowaniu Róży. Będzie funkcjonować normalnie i nie pozwoli zepsuć sobie humoru.

Po powrocie zastała ją w tym samym miejscu i w tej samej pozycji.

– Mogłabyś mieć tu lepszą sieć! – zawołała dziewczyna. – Dwa razy zerwało mi połączenie. – I to było wszystko, co miała do powiedzenia.

„Raz, dwa, trzy, cztery...”, liczyła w myślach do dziesięciu Sabina. „Nie będzie lekko, ale dam radę”, zagrzewała się do boju, jakim bez wątplenia miał być najbliższy czas – no właśnie, ciekawe jak długi – kiedy miały mieszkać razem.

– Idę do pracy, może pójdziesz ze mną? Pokażę ci pensjonat, zjesz najlepsze śniadanie w swoim

życiu. – Wcale nie marzyła o towarzystwie córki przez cały dzień, ale starała się z całych sił wcielić w życie plan ułożenia sobie z nią poprawnych stosunków.

– Chodzisz do pracy? To jakaś nowość – usłyszała odpowiedź z kanapy.

Właściwie był to całkiem zabawny i, jej zdaniem, wart poważnego naukowego opracowania paradoks – jak dzieci, same mające pretensje do buntu i życia pod prąd, wymagają od rodziców konwencjonalnych zachowań i wpisywania się w panujące powszechnie schematy. Róża, która tylko z czasów wczesnoszkolnych pamiętała ją wychodzącą codziennie do roboty, nigdy nie uznała za prawdziwe zajęcie tego, czym matka zajmowała się przez następne kilka lat, czyli pisania, bo głównie polegało to na siedzeniu w domu przed komputerem. Jakby nie umiała połączyć w logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy dwóch elementów: tych godzin, kiedy Sabina wystukiwała palcami tysiące znaków (to nic, że czasem odbywało się to w szlafroku na kanapie) oraz owoców tej czynności, dzięki którym żyli na takim a nie innym poziomie. Dla Róży ich piękne mieszkanie w świetnej dzielnicy, wakacje kilka razy w roku w dowolnym miejscu na świecie oraz spełnianie kolejnych zachcianek było po prostu czymś danym z góry. Sabina uważała to za jedną ze swoich największych porażek wychowawczych.

Poza tym do białej gorączki doprowadzało ją to, że córka lekceważyła wszystko, co udało się osiągnąć jej matce, ale zarazem korzystała z tego bez najmniejszych skrępułów. I cóż, choć w głębi duszy Sabina może nawet byłaby skłonna przyznać, że sukces przyszedł jej dość łatwo i sama nie umiała do końca zrozumieć jego fenomenu, nie mogła jednak pogodzić się z niewdzięcznością Róży. Dziewuszysko dostało na tacy wygodne życie wyłącznie dzięki matce i jej „siedzeniu w domu z kawką i papieroskiem pod nosem” i w ogóle tego nie szanowało. Sabina nie mogła tego pojąć i z pewnością stanowiło to jeden z głównych powodów ich konfliktów.

– Dobra, mogę iść z tobą do tego pensjonatu – ku jej zaskoczeniu zdecydowało dziecko, nie odrywając nawet wzroku od tabletu.

„No to się doigrałam”, mruknął złośliwy głos w jej głowie. Czekał ją dzień pod okiem krytycznej do bólu córeczki.

To była kolejna ciężka próba. Róża, którą mimo wszystko chciała się pochwalić przed przyjaciółmi, zachowywała się jak naburmuszona księżniczka, chociaż wszyscy okazywali jej serdeczność i nikomu nie wypsnął się najmniejszy nawet komentarz na temat – delikatnie rzecz ujmując – nietypowego wyglądu dziewczyny. Oczywiście wzgardziła ocieplaną parką, którą podsunęła jej Sabina, nie zamierzała rezygnować ze swojego artystowskiego płaszcza, nie mówiąc o całej reszcie szokujących elementów stylizacji.

– Nie wkręcać mnie tu poproszę, ty nie córka, ty może szjostra? – powitalnym okrzykiem Teo towarzyszyło poklepywanie po plecach. Dziewczyna odsunęła się o krok. – Co chcesz jeszcze? – spytał niezrażony gospodarz.

– Pytał pan, czy chcę coś zjeść? – odpowiedziała, celowo wymawiając głośno i wyraźnie każdą głoskę, czym podkreślała niezdarność językową Teo. – Dziękuję, nie jestem głodna. Zresztą nie spodziewam się, że macie tu cokolwiek, co mogłabym zjeść. Jadam tylko *organic food*, a ostatnio coraz bardziej podążam w kierunku *raw food* – klarowała z wyniosłą miną.

– O, prawda, *raw* to u nas nie za bardzo – zafrasował się Teo. – Chyba że lubisz jagnięcina na surowo, ha ha ha! To podamy z miłą chęcią.

Róża nie uznała za stosowne odnieść się do tej propozycji, a krzątająca się po sali Kasia posłała Sabinie znaczący uśmiech. W lot zrozumiała, z czym musi się zmagać. Ta zza pleców córki przewróciła do Kasi oczami i nawet przyniosło jej to pewną ulgę.

Po chwili zaprowadziła swoje dziecko do biura. Chciała uwolnić całą resztę od męczącego towarzystwa, bo dziewczyna zachowywała się niczym umordowana trudami życia, upierdliwa do bólu staruszka.

– Co ty tu właściwie robisz? – spytała Róża, rozglądając się po minigabiniecie.

– Pomagam przyjaciołom prowadzić to miejsce. Planuję grafik pracy, zakupy, pilnuję płatności, takie organizacyjne rzeczy. No i dużo rozmawiam z gośćmi, by wiedzieć, co im się podoba, a co niekoniecznie. Razem z Kasią i Teo ciągle coś wymyślamy, żeby ulepszyć to, co jest.

– *Boring!* – Dziewczyna zamarkowała ziewanie. Patrzyła na matkę z niedowierzaniem. – Ale ci odpaliło. Skąd nagle taka jazda na zabawę w gosposię? Przecież ty nigdy w życiu nic nie robiłaś w domu.

Zatkało ją. Nic nie robiła w domu? Może rzeczywiście trudno byłoby ją nazwać perfekcyjną panią domu, ale jak ta smarkuła miała czelność wysuwać wobec niej takie zarzuty? Odkąd wkroczyła w trudny wiek, dosłownie nie kiwnęła nawet palcem w żadnej wykraczającej poza czubek jej nosa sprawie! Istotnie, kiedy Sabina była jeszcze zabieganą dziennikarką, w ich domu panował pewien chaos – do sprzątanía brała się zazwyczaj wtedy, gdy stosy przedmiotów zaczynały się niebezpiecznie chwiać. Często zdarzało się również, że jadalni gotowe dania, ale te bądź co bądź nie przychodziły same do lodówki. Gdy już została popularną pisarką, nie musiała sama zajmować się domem – mogła sobie pozwolić na płatną pomoc i nie miała oporów, by z tego korzystać. Oczywiście kiedy samemu się tego nie załatwia, nie ma się nawet świadomości, że ktoś to jednak musi zorganizować.

– Tyle lat siedziałam w domu, w towarzystwie tylko moich fikcyjnych bohaterów, więc teraz praca ciągle w ruchu to czysta przyjemność. – Postanowiła nie dać się sprowokować i spokojnie wytłumaczyć Róży, czemu tak to polubiła. – Ciągle coś się dzieje, każdy dzień jest inny. I, co najważniejsze, bardzo zaprzyjaźniłam się z ludźmi, z którymi pracuję. – Cały czas miała nadzieję, że w końcu obudzi w córce jakiegokolwiek ludzkie odruchy. Była to jednak złudna nadzieja. Dziewczyna wydeła usta.

– Chyba że z tym *lover boy*? – Uśmiechnęła się niezbyt przyjemnie.

– Daj spokój. – Udało się jej wytrzymać wzrok córki. Gdyby tylko okazała choćby cień słabości, byłoby po niej. – Mogłabyś czasem choć trochę odpuścić z tym cynizmem. Jeśli dalej będziesz miała wszystko i wszystkich w nosie, będzie ci bardzo ciężko w życiu. – A gdy Róża wzruszyła ramionami, Sabina poczuła gwałtowny spadek energii. – Wiesz co, nie ma sensu, żebyś się cały dzień męczyła, skoro tak ci się tu nie podoba. Możesz wrócić do domu albo nie wiem, idź na plażę, chociaż plaża to pewnie dla ciebie zbyt banalne. Zrób po prostu cokolwiek, na co masz ochotę. Ale nie chcę, żebyś zachowywała się tak wrednie wobec ludzi, którzy są mi bliscy.

– A nie, jednak zostanę. W sumie to mogę zjeść *breakfast*. – Córka znowu ją zaskoczyła, odwracając się na pięcie i zostawiając ją samą w kanciapie.

„Ta dziewczyna mnie wykończy! To będzie cud, jeśli do końca dnia nie trafi mnie szlag”.

Przez chwilę napawała się ciszą, jaka zapadła po wyjściu Róży. Wiedziała jednak, że nie może odetchnąć pełną piersią. Dopóki córeczka z piekła rodem jest w pobliżu, ona stąpa po polu minowym. „Muszę jej znaleźć jakieś zajęcie, żeby nie kręciła się tu przez cały czas. Nic dobrego z tego nie wyniknie – myślała. – Wiem, zadzwonię do Andrzeja. Niech każe jej wracać. Skoro tak słodko jedzą sobie z dziubków, a Dobrochna jest taka wspaniała, niech mieszka z nimi”. Musiała jednak odrzucić ten plan, zanim na dobre wzięła go pod uwagę – wygodnictwo Róży nie dawało dużych szans na jego realizację. „A może faktycznie użyć Lucyny? Niech załatwi ten idiotyczny casting, przecież i tak nic z tego nie wyjdzie, a smarkula przynajmniej nie będzie mi tu siedzieć na głowie i zatruwać życia”. Kiedy tylko o tym pomyślała, od razu zalała ją fala palącego wstydu. „Jestem najgorszą matką na świecie. A że ona w konkurencji najgorszych córek radzi sobie całkiem nieźle, po prostu jesteśmy sobie warte!”

Wtedy kolejna myśl poderwała ją zza biurka. Musi czym prędzej wyjaśnić Borysowi sytuację. Dopóki ona tu jest, absolutne embargo nie tylko na schadzki w domu, ale także na wszelkie konspiracyjne sam na sam w pracy, ukradkowe muśnięcia czy skradzione w biegu pocałunki, kiedy nikogo nie ma w pobliżu.

Skierowała się do kuchni, specjalnie wybierając wejście od zaplecza, tak by nie przechodzić przez restaurację i nie natknąć się na Różę. Pierwszą osobą, którą zobaczyła w kuchni, była jednak... Róża. Stała tuż za Borysem, zachowując niepokojąco z punktu widzenia Sabiny mały dystans, to znaczy prawie się na nim pokładając. Chłopak układał talerz przystawek „*de marisco*” – autorską kombinację przekąsek pochodzących z Bałtyku oraz basenu Morza Śródziemnego.

– Z taką twarzą i ciałem? Bezproblemowo widzę cię na plakatach na Times Square – perorowała mu nad uchem. – Klein cały czas stawia na tradycyjną męską urodę, olewa te zniewieściałe klimaty. Mocna szczęka, wyrazista oprawa oczu, perfekcyjnie wyrzeźbiona klateczka, no i konkrety w spodniach, bo wiesz, mówimy o *underwear commercial*. Wszystko się zgadza z tego, co widzę. Masz szansę, *bro*.

„Jezu, czy ja to naprawdę słyszę!?” Patrzenie na te mało subtelne zaloty w wykonaniu własnej córki to było zbyt wiele.

– Mówisz? – Czyżby w głosie Borysa usłyszała nutę kokieterii? – Nigdy nie próbowałem pozować przed aparatem. Raczej bym się nie nadawał.

– Nie spróbujesz, nie użyjesz, *darling*. Siedzę tam już jakiś czas, obracam się wśród tych ludzi. Wiem, kto się nadaje. *New York is the center of universe*, stary. *Fame* albo kasa otwierają ci wszystkie drzwi. A jak jesteś w dużej kampanii, masz jedno i drugie. Imprezujesz z najpiękniejszymi i najzdolniejszymi ludźmi świata. Wszyscy chcą cię poznać. *Exciting, isn't it?*

– Pewnie tak. – Odwrócił się do niej z uśmiechem i mrugnął, a Sabina poczuła ukłucie w sercu. Róża nie cofnęła się, by zrobić mu przejście.

– Kalmara? – spytał, kiwając głową w kierunku talerza, który miał w ręku. Dziewczyna z miną kusicielki ujęła w palce grillowanego głowonoga i powoli, zmysłowo wsunęła go sobie do ust. Borys uśmiechnął się szerzej i ominął ją, kierując się na salę. Popatrzyła za nim i machnęła swoją zieloną kitą, związaną dziś na czubku głowy w coś w rodzaju kucyka. Uśmiechnęła się pod nosem.

– Pani Sabinko, wprowadzamy coś nowego na obiady w przyszłym tygodniu? – zawołała Marysia, przechodząc od paleniska do spiżarni. Zerkała w stronę Róży, wyraźnie niezadowolona z obecności na swoim terytorium tej dziwacznej dziewczyny, panoszącej się od rana, jakby była u siebie. Sabina aż podskoczyła, bo nie zwróciła wcześniej uwagi na obecność kogokolwiek innego w kuchni.

– Tak, to znaczy tak mi się wydaje. Pogadam jeszcze z Kasią i Teo, ale masz rację, już najwyższy czas coś zaplanować – odpowiedziała całkiem składnie, choć jej tętno szalało, a nogi miała z waty.

Róża patrzyła w jej stronę.

– O, *hi*. Długo tu jesteś?

– Wystarczająco.

– Fajny ten Borys. Marnuje się na takim zadupiu – powiedziała z bezczelnym uśmiechem.

– Róża... – Sabina czuła, że traci kontrolę nad sobą. – Masz przestać i to już.

– *What's the matter?* Może znowu zapomniałaś, ale *hello!* Jestem *adult, right?* – dziewczyna uniosła wysoko brwi.

– Róża! – Sabina mimowolnie podniosła głos. – Jesteś moim gościem! Przyjechałaś tu zniecka, nie racząc nawet się zapowiedzieć i jedyne, co cię interesuje, to jak by tu namieszać! On jest moim pracownikiem. Takie zachowanie jest... jest absolutnie nie do przyjęcia! – Wyrzucała z siebie słowa bez cienia przekonania, że trafią do córki.

– Pracownikiem... Okej. – Róża uśmiechnęła się kpiąco. – Nie rozumiem, czemu tak się denerwujesz. Ma naprawdę zajebiste ciało. Czemu miałabym się trochę nie rozerwać? Sabina – nagle zmieniła ton na poważny – ty chyba nie jesteś *shocked*, że ja uprawiam seks? Nie myślałaś przecież, że jestem jeszcze *virgin*, co?

– Proszę cię tylko o jedno. Trzymaj się od niego z daleka. – Nie miała sił na dalszą rozmowę.

Wyszła z kuchni z poczuciem obezwładniającej bezradności.

Do biura wstąpiła tylko po kurtkę. Musiała natychmiast odetchnąć świeżym powietrzem.

– Pani Sabino, mogę na słówko? Obejrzałem ten kran w dwunastce. – Jak na złość napatoczył się jeszcze hydraulik, który od paru dni robił przegląd instalacji po niedawnym remoncie dachu.

– Nie teraz, panie Heniu, pogadamy później – rzuciła, mijając go. Bała się, że zaraz wybuchnie tu płaczem.

Pędziła przed siebie. Miała mroczki przed oczami. „Nie, tylko nie to! Błagam, tego już za wiele. Czy to jakaś pieprzona kara za to, że wszystko zaczęło się układać? A może raczej za to, że nie powstrzymałam prymitywnego popędu? Myślenie waginą, a nie rozumem prędzej czy później musiało się zemścić”. Wystarczyła jej jedna chwila, gdy zobaczyła ich razem, by stracić całą pewność siebie. Nie mogło być gorzej. Wizja tego, co mogło się wydarzyć między tymi dwojgiem, odbierała Sabinie resztki panowania nad sobą. „Ona jest młoda, świeża i mimo tych wszystkich dziwactw na łbie bardzo atrakcyjna. Na pewno podoba się chłopakom. Tym bardziej jeśli zachęca w tak bezpośredni sposób. Tylko głupi by nie skorzystał – myślała rozpaczliwie. – Przecież mają ze sobą więcej wspólnego niż ja z nim. A my w końcu nie jesteśmy nawet parą, niczego sobie nie obiecywaliśmy...” Czuła, że spada w najczarniejszą otchłań. Nie wiedziała, co bardziej ją przeraża – uświadomienie sobie, jak wielki ból sprawia jej sama myśl o zdradzie Borysa, czy raczej groteskowość sytuacji konkurowania z własną córką. To było takie żałosne! „Mam, kurwa, za swoje!” I choć bardzo się starała, nie mogła dłużej powstrzymać łez. „Gdybym od początku używała mózgu i ucięła to, zanim cokolwiek się wydarzyło, oszczędziłabym sobie tego koszmaru. Skończona idiotka!”, wyrzucała sobie.

Zrozpaczona, nie zauważyła nawet, jak przeszła całą drogę przez las i znalazła się przy zejściu na plażę. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Tylko fale i lekki wiatr. Weszła na piasek, w którym zapadały się jej buty, i potykając się, parła do przodu. Z gardła wyrwał jej się stłumiony szloch. Stała na środku szerokiego pasa plaży i rozplakała się na dobre. Płakała głośno, coraz głośniej. Wreszcie nabrała powietrza w płuca i wrzasnęła na całe gardło. I jeszcze raz. Chciała wykrzyknąć z siebie to duszące uczucie upokorzenia. Oparła dłonie na kolanach i darła się z głębi trzewi.

Po tym seansie poczuła się odrobinę lepiej, na tyle, by wrócić do ludzi. Nie wiedziała jednak wcale, co dalej robić. Jeśli Róża czegoś chciała, to powstrzymanie jej przed tym przypominałoby raczej próbę spacyfikowania huraganu. Przecież nie będzie jej błagać, żeby zostawiła w spokoju jej chłopaka. Do czegoś takiego nie zniży się, póki żyje. Postanowiła zachowywać się normalnie (jasne, łatwo powiedzieć!). Było to tym trudniejsze, że na drodze do biura zatrzymał ją – a jakże – głos Borysa.

– Hej, gdzie się podziewałaś? Od rana cię szukam.

Weszła do pokoiku, a on za nią. Sabina szukała czegoś, czym mogłaby zająć ręce. Podniosła klapę

laptopa, przełożyła segregator z biurka na półkę. Unikała jego wzroku.

– Jak wiesz, przyjechała moja córka – zaczęła wreszcie i odchrząknęła. Jej głos brzmiał zaskakująco obco. – Musimy przestać się kontaktować. Kompletnie. Zero spotkań, zero rozmów, nawet tutaj. Chyba że czysto służbowych.

– Nie przesadzasz trochę? – Borys podszedł bliżej i sięgnął do jej włosów, by odgarnąć kosmyk za ucho.

– Nie! – Odsunęła się. – Mam wrażenie, że ona wszystko wyczuła.

– Sabina... – powiedział ostrożnie. – A może nic się nie stanie, jeśli pozna prawdę?

– Nie, nie... Chyba żartujesz! – Czuła się kompletnie zagubiona. Nie wiedziała, jak ma się wobec niego zachowywać. – Widziałam was! – wyrwało jej się w końcu, chociaż wcale nie chciała się przed nim odsłaniać.

– Co? Kogo?

Zamknęła oczy. Ta rozmowa stawała się nie do wytrzymania. Nie mogła jednak już się wycofać.

– Ciebie i ją. Flirtowaliście.

– Nie mówisz serio? – Popatrzył na nią rozbawiony, a ona zagryzła wargi i zaczęła przekładać papiery na biurku. – Przecież to śmieszne. Róża jest zabawna, te jej teksty jak z serialu o zblazowanych panienkach z New York City. Ale przecież ja w życiu...

Do Sabiny powrócił widok ich dwojga, stojących tak blisko siebie, i jego, strzelającego iskierkami uwodzicielskiego spojrzenia w jej stronę.

– Powinniśmy dać sobie chwilę oddechu – powiedziała bez namysłu, może pod wpływem rozżalenia, które właśnie zdominowało jej emocje. – To wszystko chyba potoczyło się za szybko.

Borys spoważniał.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak – odpowiedziała, choć serce rozpadało się jej na tysiąc małych kawałków.

– Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek wbrew sobie. Od początku ci to mówiłem. Dlatego przyjmę każdą twoją decyzję. Przynajmniej się postaram... Ale to, co mówisz, nie ma sensu.

Nie powiedział już nic więcej, popatrzył tylko tak, że mało brakowało, a rzuciłaby mu się na szyję. Nie zrobiła tego jednak. On wyszedł, a ona została sama, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni zaciśniętych w pięści.

Nie wysiedziała długo w pracy. Odbyla tylko kilka pilnych rozmów z dostawcami, dbając o zapewnienie zaopatrzenia spiżarni na kilka najbliższych dni, po czym stwierdziła, że nie będzie się tak katować. Wróci do domu, weźmie pachnącą kąpiel, napije się wina. Musi się rozluźnić. Potrzebuje chwili oddechu po tym piekle, jakie tu dziś przeszła. Nie chciała już z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć. Niestety, tego dnia wszystko sprzysięgło się przeciwko niej i także to życzenie nie zostało spełnione. Przechodząc obok restauracji, przez szerokie oszklone drzwi zobaczyła Różę. Jej córka jak

namolny piesek dreptała krok w krok za Borysem poruszającym się z tacą po sali. Sabina przystanąła i ze zdumieniem skonstatowała, że dziewczyna porzuciła swoje luźne, powłóczyste stroje. Miała na sobie obcisłe spodnie do biegania i jaskrawoamarantowy top, składający się z elastycznych pasków, które zasłaniały tylko to, co niezbędne. Wokół bioder przepasana sportowa bluza, w ręku butelka wody. Trzeba było przyznać, że tatuaż w takiej oprawie wyglądał całkiem seksownie, a na pewno intrygująco.

„Jeszcze nigdy nie widziałam, by uprawiała jakikolwiek sport...” Sabinę znów ogarnęły ponure myśli i w ich towarzystwie wyszła z pensjonatu. Zanim zamknęła za sobą drzwi, od strony kuchennego zaplecza wychynęła Kasia i – już, już – miała pobiec za przyjaciółką, ale zatrzymała się w pół kroku. Patrzyła, jak znika za drzwiami, odczekała jeszcze chwilę, zastanawiając się nad czymś, po czym zacisnęła dłonie w pięści i przeszła do restauracji, tym razem głównym wejściem.

– Róża! – zawołała słodkim głosem, a kiedy ta się obejrzała, zachęcająco przywołała ją ręką. – Chodź na sekundkę, chciałam ci coś powiedzieć.

Dziewczyna niechętnie porzuciła Borysa w drzwiach na zaplecze, podeszła bliżej i wbiła w nią zniecierpliwiony wzrok.

– Goście Sabiny są tu zawsze mile widziani... – zaczęła Kasia.

– Okej, super. – I już odwracała się, by wrócić do tego, co interesowało ją znacznie bardziej niż gadki-szmatki z miejscowymi mamuškami.

– Ale zaczynam mieć coraz większe wątpliwości, czy powinnam cię tolerować w moim pensjonacie.

Róża otworzyła szeroko oczy.

– *I beg your pardon!?*

– Dziecko, ile ty mieszkasz w tych Stanach? Dwadzieścia lat? Zapomniałaś już, jak się mówi po polsku? Wiesz, jak to śmiesznie brzmi?

– O co ci chodzi, kobieto? – zapytała agresywnie dziewczyna.

– Chodzi mi o to, że nie podoba mi się twoje zachowanie wobec Sabiny. I wobec moich pracowników. Nie podoba mi się też, że latasz za Borysem jak kotka w rui. Miej odrobinę szacunku dla samej siebie.

Róża nie wierzyła własnym uszom. Dlaczego ta obca baba pozwalała sobie na prawienie jej kazań?

– Mam już jedną matkę od pouczania. Nie potrzebuję drugiej.

Kasia zrobiła krok w jej stronę.

– Ja i moja rodzina mieliśmy niedawno kłopoty. Takie, z których można się już nie podnieść. Twoja matka bardzo nam wtedy pomogła. I nie myśl sobie, że to było jakieś łatwe pocieszenie w stylu „dacie sobie radę, wszystko będzie dobrze”. Sabina dała nam z siebie bardzo dużo, nie oczekując nic w zamian. Kochamy ją. Więc powiem ci jedno: nie będę spokojnie patrzeć, jak ją ranisz. Pewnie za

parę lat, kiedy zrozumiesz, co jej robiłaś, będzie ci bardzo przykro.

Róża zmrużyła oczy.

– Bardzo wzruszające – rzuciła i odeszła z wysoko podniesioną głową.

Kasia westchnęła głęboko, patrząc za nią. „Czy moje słodkie szkraby też za parę lat zmieniają się w coś takiego?”, pomyślała.

Powrót do domu wcale nie przyniósł Sabinie upragnionej ulgi. Do głowy przychodził jej tylko jeden pomysł, by sobie ulżyć. Dwa pierwsze kieliszki białego wina wypła duszkiem. Kiedy z pozostałą zawartością butelki znalazła się na kanapie i zagrzebała w puszystym pledzie, czuła już lekkie kołysanie i kojący nerwy szum w głowie. Z każdym kolejnym łykiem buzujące w niej kłębowisko uczuć robiło się coraz bardziej miękkie i słabło, a małe łódeczki smutnych myśli odpływały w dal.

„Co ja się tak przejmuję? Przecież powiedział, że szlaban na widywanie się jest bez sensu, dobrze słyszałam. To znaczy, że jednak mnie kocha...” Butelka była prawie opróżniona. W drodze po następną zabrała ze stołu porzucony tam telefon. Nikt nie dzwonił, nikt nie napisał. „Walcie się wszyscy... Nie potrzebuję was do szczęścia...”, pomyślała, przełykając łyżę. Wróciła na kanapę, sięgnęła po pilota i z wieży ryknęły dźwięki składanki Eltona Johna, który zaczął rzewnie zawodzić *Can You Feel The Love Tonight*. Sabina bez namysłu wyciągnęła telefon z kieszeni i napisała: „Boryts, &%ja wcale tak nie musle. Nie chce xadnego oddechu”. Wysłała wiadomość, zanim zdążyła ją przeczytać. Przez kilkanaście nieskończenie długich sekund wpatrywała się w ekran. Nic.

„No ileż czasu trzeba, żeby przeczytać esemesa i odpisać!” Odpowiedź jednak nie nadchodziła, a nastrój Sabiny zaczął gwałtownie pikować. Łzy same popłynęły jej z oczu, aż w końcu zasnęła, zmęczona płaczem i wypitym winem.

Obudził ją hałas w sieni. Otworzyła oczy i pierwsze, co zobaczyła, to ekran telefonu leżącego tuż przy jej głowie, a na nim godzinę: 00:54. Ktoś wchodził do domu. Podniosła się do pozycji półleżącej.

– Borys? – zawołała, jeszcze nie całkiem przytomna.

Do pokoju weszła Róża.

– Pewnie wolałabyś, żeby to był on – powiedziała kpiąco.

Sabina natychmiast usiadła i wyprostowała się. Wszystko wróciło.

– Gdzie byłaś? – spytała schrypniętym głosem.

Dziewczyna podeszła, stanęła naprzeciwko niej i oparła ręce na biodrach. Patrzyła na nią dziwnym wzrokiem.

– Chyba już to mówiłam. Fajny ten twój pracownik Borys. I do tego dobry w te klocki. Ty go szkoliłaś? Jeśli tak, to *good job*, Sabina.

Sabinie wydało się, że spada w przepaść. Coś niedobrego działo się z jej percepcją – w uszach huczał jej narastający szum, a obraz zaczął się jakby rozmazywać. A więc koszmar się ziścił. To było

zbyt obrzydliwe, by dało się wytrzymać. Wstała, choć wydawało się, że to będzie ponad jej siły.

– Przespałaś się z nim? – spytała, a Róża uśmiechnęła się tylko.

Nie mogła na nią patrzeć. Wymierzyła córce siarczysty policzek. Sama nie spodziewała się jego siły.

Dziewczyna cofnęła się o krok. Na jej twarzy w miejsce paskudnego wyrazu triumfu pojawił się cień przestachu. Chociaż tyle.

– Możesz tutaj zostać do rana, a jutro wynoś się z mojego domu – powiedziała Sabina, dziwnie spokojnym głosem.

– Ale...

– Żadnego ale. Nie chcę cię tu widzieć.

Róża zagryzła wargi i spuściła głowę.

– I jeszcze jedno. – Jej umysł nagle tak po prostu się oczyścił, a myśli stały się precyzyjne i klarowne. – Koniec z pieniędzmi na twoje studia. Skoro jesteś na tyle dorosła, żeby przespać się z moim facetem, uważam, że możesz już sama się utrzymywać. Na pewno sobie poradzisz. Samodzielność też jest całkiem fajna, tak na marginesie. – Ufff. A więc powiedziała to na głos. Wyraziła to, co czuła, bez żadnych niedopowiedzeń. Mimo kompletnie niesprzyjających okoliczności przez chwilę poczuła coś na kształt satysfakcji. Róża jakby straciła rezon, nie odzywała się. – Będę wdzięczna, jeśli zabierzesz się do dziewiątej. Wspólne śniadanie chyba możemy sobie darować – dodała jeszcze Sabina.

Nie czekała na odpowiedź Róży. Zostawiła ją samą i poszła prosto do swojej sypialni. Wsunęła się pod kołdrę, którą zakryła się aż po czubek głowy i skuliła w kłębek. Chwila zadowolenia minęła. Nie czuła się dobrze.

ROZDZIAŁ 23

W filmach takim momentom jak ten zawsze towarzyszy muzyka. Najczęściej jakiś neurotyczny kawałek na fortepianie, czasem w tle skrzypce. To chwile, w których bohaterowie osiągają dno. Leżą w łóżku, otoczeni walającymi się dookoła pustymi butelkami po wódce i piwie, ćmią przyklejonego do ust papierosa, a zaniepokojony pies czy kot na chwilę podchodzi do ich barłogu, by liźnięciem po twarzy przypomnieć właścicielowi o swoich potrzebach fizjologicznych i pustej misce. Za oknem leje deszcz, grube krople spływają po widocznej w tle szybie.

W domu na klifie było prawie tak samo, tylko bez psa i kota. I bez papierosa. Sabina leżała na łóżku, gapiąc się tępo w sufit nad głową. Po policzkach płynęły jej łzy. Nie potrafiła wstać i zebrać się do pracy. Wysłała Kasi esemesa, że się źle czuje i będzie później, ale nie sądziła, by to w ogóle nastąpiło. Nie miała sił na konfrontację z czymkolwiek, choćby nawet z fakturą za prąd. Tak zdradzona i dotknięta nie czuła się chyba nigdy w życiu. Cios prosto w serce zadany przez najbliższą osobę. A nawet dwie. Niczym w antycznej tragedii – tylko na odwrót, czyli jak w tanim amerykańskim melodramacie. W dodatku wciąż kręciło się jej w głowie od spożytych w nocy trunków, które miały uśmierzyć ból serca. Nie pomogły, za to teraz dawały potworne skutki w postaci wielkiego kaca, który tylko wzmagił wszystkie smutki.

Nagle odezwała się komórka.

„Pierdolę – pomyślała – nie wstaję”.

Komórka znów wydała dźwięk.

Sabina poczuła dyskomfort. Nieodebrany esemes zawsze wzbudzał w niej wyrzuty sumienia. A może komuś coś się stało? Może ktoś resztką sił doczołgał się do telefonu po udarze / zawale / wypadnięciu przez okno / wypadku samochodowym, by wysłać jej wiadomość, a jej nie chce się ruszyć tyłka? Po historii z Teo nic już nie było takie jak dawniej.

Przeturlała się z wielkim trudem na drugi koniec łóżka i wyciągnęła przed siebie rękę, sięgając po leżący na podłodze telefon. „Nowa wiadomość od Kamil Arens”. Od razu przeszedł ją dreszcz niepokoju. „Cześć, tu Kamil. Koniecznie sprawdź maila” – odczytała tekst na ekranie.

„Esesemes, że bym sprawdziła maila, w którym na pewno napisał, że zaraz zadzwoni”, mimo tragicznego stanu nie mogła powstrzymać się od kąśliwej uwagi pod adresem byłego asystenta, jednak sprawdziła od razu pocztę. Spłynęło sporo różnych mniej i bardziej ważnych wiadomości, w tym ta zatytułowana „Uwaga!!!” od niedawnego prześladowcy z ramienia Moniki Kardas.

– Czego on może chcieć?

Sabina otworzyła maila i zaczęła czytać. Z każdą linijką blednąc. Bo najwyraźniej w jej życiu nieszczęścia zawsze chodziły parami.

Witam serdecznie, Soniu!

Na początku kilka słów wyjaśnienia. Nasza kooperacja była raczej wyboista, ale mam nadzieję, że kiedyś zdarzy się nam jeszcze okazja, by z większym powodzeniem podjąć wspólny czelendź. Po tym gdy rozbroiłaś system i z hukiem olałaś naszą korpo, Kardasowa, ta chuderlawa żoźła, po brainstormie z prezesami dostała szału i w przypiływie niczym niezastużonej niechęci do mojej osoby uznała, że to ja skilowałem kejsa (czyli Ciebie) i wywaliła mnie na zbity pysk. Ale nie ma tego złego! Teraz jestem na frilansie, robię projekty z paroma agencjami i nie narzekam.

Tymczasem piszę, bo chciałem Ci przekazać info, które może być dla Ciebie bardzo cenne. Jak wykazały moje totalnie zaufane źródła, macie w pensjonacie szpiega. Otóż na przyjęciu po pokazie mody Marcina Robisza (spektakularnym! Wieszcze jego kolekcji ubrań stylizowanych na modę zesłańców syberyjskich wielki sukces) spotkałem znajomą. Okazało się, że pracuje teraz dla „Superfaktu”. Od słowa do słowa zeszło na Ciebie (nadmienię, iż byłem wtedy dość sceptyczny wobec Twojej osoby, gdyż właśnie przez fakap na tym polu zostałem bez pracy. Cóż, padło wtedy kilka niemiłych słów, ale zapewne to zrozumiesz). Koleżanka, najwyraźniej chcąc mnie pocieszyć, dała mi do zrozumienia, że wkrótce spadnie na Ciebie zasłużony cios od losu. Temat wydał mi się interesujący, więc po imprezie postanowiłem go zgłębić. Kiedy jednak odkryłem, kogo dotyczy ta sprawa, postanowiłem ukarać raczej jego niż Ciebie. Dopiekł mi bardziej niż Ty, albowiem odtrącił moje starania w bardzo niewysublimowany sposób. Tak więc lepiej usiądź, jeśli stoisz – wyszło mi z riserczu, że piękny Borys, który tak fachowo serwuje Ci co rano kawkę z mlekiem, to zakłamana kanalia. Ten seksowny kelnerzyna to dziennikarz brukowca! I nie bez powodu kręci się wokół Ciebie. Mam na to dowody, weź to pod uwagę i miej się na baczności. Droga Soniu, jak widzisz, odsuwam w niepamięć wszystkie przykrości, jakich od Ciebie zaznałem, a Ty zachowaj w swej pamięci tego, kto postanowił Cię ostrzec. Polecam się na przyszłość!

Pozdrawiam

Kamil

Krew odpłynęła jej z mózgu. Zerwała się na równe nogi i pędem pobiegła do toalety, gdzie z głową opartą o muszlę zwróciła całą treść żołądka. Wstrząsały nią torsje, a w głowie rozpętała się trzecia wojna światowa.

– Neeeeeeeeee.... Nie nie nie nie!!! To niemożliwe, to po prostu, kurwa, niemożliwe!!! – Z prędkością światła skanowała swoje wspomnienia z licznych schadzek i wspólnych nocy. – A więc to wszystko było po prostu najbardziej obrzydliwą prowokacją dziennikarską, o jakiej słyszała! Jak mogła być tak głupia! Jak mogła uwierzyć w to, że ktoś taki jak ona może być atrakcyjny dla młodszego o prawie dwadzieścia lat seksownego chłopaka? Ależ uśpił jej czujność! Wystarczyło połechtąć uśpione kobiece ego, by zrobić z niej bezmyślną ofiarę spisku.

Zalewały ją na przemian fale gorąca i zimna. Kiedy nie miała już czym wymiotować, położyła się

na podłodze koło toalety i zaczęła płakać tak strasznie, jak jeszcze nigdy nie płakała. Nigdy, przenigdy nie czuła się tak upokorzona. A najgorsze najpewniej dopiero przed nią. Wizja jej nagich zdjęć wystawionych na widok całej Polski całkiem ją zmroziła. Jest skończona! Brukowce ją zjedzą, przemielą i wyplują. To, co zgotowały jej poprzednio, w zestawieniu z tym, co ją czeka, jawiło się jako drobna niedogodność. Co za koszmarna prowokacja! Co za straszne czasy, kiedy wszystko może zostać wykorzystane przeciwko tobie! Co za horror! Gdzie szukać ratunku? Komu w ogóle o tym powiedzieć? Jak komukolwiek przyznać się do takiej kompromitacji?

Po chwili zdała sobie sprawę, że jedyną osobą, która wiedziała o relacji łączącej ją i Borysa, był zamknięty w katowickiej pustelni Mariusz Zygmuntowicz. Uświadomiła sobie również, że od czasu gdy na tapecie był już tylko Borys, ich regularne dawniej rozmowy niemal zanikły. Dzwonić do niego teraz byłoby grubym nietaktem. Przecież kiedy wszystko było wspaniale, a jej łóżko płonęło, kontakt z nieszczęsnym samotnikiem ze Śląska przestał jej być do czegokolwiek potrzebny. Ze wstydem przypomniała sobie jego mail sprzed mniej więcej półtora tygodnia, na tyle dziwny, że nie wiedziała, co odpisać. Zygmuntowicz napisał coś, co było do niego zupełnie niepodobne.

Sabina,

Co u Ciebie słychać? Pewnie jak zwykle dużo się dzieje. A u mnie jak zwykle niewiele. Kot, ten najstarszy rudzielec, zaczyna niedomagać. Nie daje już rady nawet wskoczyć na parapet o własnych siłach. Trzeba go podnieść, żeby mógł pogapić się przez okno, co bardzo lubi. Chyba jesteśmy do siebie podobni. Ja też patrzę na świat tylko przez szybę, od wewnątrz. Jestem obserwatorem, nigdy uczestnikiem. Wiesz, dużo ostatnio myślę o ludziach w moim życiu. To znaczy o tym, że ich nie ma. Tak, sam tak chciałem. Ludzie to same problemy, nieporozumienia. W dodatku takich, którzy mają w głowie coś więcej niż trociny i ślepe dążenia do zaspokojenia najbardziej prymitywnych potrzeb, można ze świecą szukać. Porozumienie z drugim człowiekiem to mrzonka. Ludzkość od zarania dziejów karmi się złudzeniem, że poprzez kontakt, relacje z innymi, zbliża się do szczęścia. Tymczasem w rzeczywistości wszystko to nieuchronnie kończy się rozczarowaniem i cierpieniem. Sami się rodzimy i sami umieramy. Tak zawsze myślałem. Tylko co z tego mam? Swój parapet i okno, przez które coraz mniej widać. A wszystko dzieje się za nim, niedostępne dla mnie.

Sabina, tylko Tobie mogę to napisać, bo wiem, że zrozumiesz.

M.

Zanim wysłała odpowiedź, kilka razy skasowała już napisane zdania, a z ostatecznej wersji wcale nie była dumna.

Mariusz,

jeśli czujesz, że przyszedł czas, by otworzyć się na ludzi – wspieram Cię całym sercem. Na nic nie

jest za późno, przekonałam się o tym ostatnio na własnej skórze wielokrotnie. Trzymam kciuki!

Chciała napisać coś więcej, ale zupełnie nie wiedziała co. Po raz pierwszy miała do czynienia z tak osobistymi przemyśleniami Zygmunta i poczuła się skonfundowana. Nie była wobec niego w porządku – przecież on za każdym razem angażował się w jej problemy. Obiecała sobie zadzwonić do niego następnego dnia i dopytać, co go gryzie, ale wyleciało jej to z głowy – rzeczywiście działało się u niej całkiem sporo. Teraz jednak musiała odrzucić skrupuły. „Mam na szali swoje życie, swoje dobre imię, chrzanić opory i dobre wychowanie”, uznała i wstała z posadzki.

Spojrzała na siebie w lustrze – wyglądała tragicznie. Błada, z ciemnymi sińcami pod oczami, z ziemistą cerą. Włosy w strąkach zwisały po bokach twarzy, resztki wymiocin przykleiły się do policzka. Westchnęła. Odkręciła wodę, umyła twarz i wytarła ją ręcznikiem. Znow spojrzała w lustro. Wcale nie było lepiej. Związała włosy w kok nad karkiem, wklepała w twarz odrobinę kremu, bo poczuła, jak ciągnie ją skóra. Postąpiła jeszcze chwilę, patrząc sobie w oczy.

– W coś ty się wpakowała, kobieto – wyszeptała.

Przeszła do kuchni, nalała sobie szklankę lodowatej wody mineralnej i wypijała ją duszkiem. Poczuła się odrobinę lepiej. Ale tylko odrobinę i tylko na chwilę. Zapach sera pleśniowego, który doszedł z lodówki, gdy odkładała z powrotem butelkę wody, znow zmusił ją do sprintu w stronę toalety. Wyszła stamtąd, wycierając usta papierem toaletowym. Nie wiadomo, co bardziej wpływało na stan jej żołądka – gigantyczny stres czy potworny kac. Zaczęła analizować możliwe scenariusze dalszych wydarzeń.

A zatem ukazuje się artykuł – paszkwil, w którym wyjawione zostają jej prywatne sprawy. Gorączkowo zastanawiała się, z czego mogła się zwierzyć temu gnojkiemu w momentach, kiedy miłosne hormony wyłączały jej zdolność racjonalnego myślenia. Do tego zdjęcia *in flagranti*, być może zapisy rozmów, fotografie zabawek erotycznych, jakich używali, puste butelki po winie – sama nie wiedziała, co jeszcze. Miał dostęp do wszystkich miejsc w jej domu, widywał ją w najbardziej intymnych sytuacjach – jednym słowem, prawdziwy koszmar. A jeśli on ich nagrywał, kiedy to robią!?! Musiała mocno przytrzymać się blatu, żeby nie osunąć się na podłogę.

Wariant drugi – żaden artykuł się nie ukazuje, a Borys pewnego dnia przychodzi do niej z propozycją nie do odrzucenia – zapłaci mu, a on nie pokaże nikomu kompromitujących ją zdjęć. Ile to może kosztować? Szantażyści przeważnie nie znają granic. Przecież ten nieszczęsny reżyser w sukience układał się z bandytami i jak na tym wyszedł? Masakra!

Wariant trzeci – Sabina morduje Borysa. Idzie do więzienia za zabójstwo, ale za to nikt niepowołany nie widzi jej waginy. Wszystkie warianty wydawały się jej tak samo koszmarnie. Znow poczuła łzy napływające jej do oczu. Wzięła do ręki telefon. Przez chwilę jeszcze się wahała, po czym wybrała numer pisarza z Katowic. Nie było na co czekać.

Nie odbierał. Piąty sygnał, dziesiąty... W końcu usłyszała dźwięk włączającej się automatycznej

sekretarki i zboląły głos: „Dodzwoniłeś się do Mariusza Zygmuntowicza. Jeśli jesteś moim wydawcą, rozłącz się, jeśli nie, zostaw wiadomość. Nie oddzwonię”. Rozłączyła się, choć nie była wydawcą. Widać taka dziś karma, że wszystko się sypie.

Usiadła ciężko na kanapie, zastanawiając się, co dalej, do cholery, gdy nagle ekran jej komórki rozświetlił się – Zygmuntowicz oddzwaniał, mimo twardej deklaracji.

– Już myślałem, że nie zadzwonisz. Po tym, co napisałem... – zaczął swoim flegmatycznym głosem.

– Mariusz! – przerwała mu dramatycznie i rozplakała się jak małe dziecko.

– No, cholera! – wyrzucił z siebie do głębi zszokowany tym, co usłyszał od Sabiny. Nie mieściło mu się to w głowie. Historie tego typu były dobre w filmach, ale w życiu wydawały się zbyt nieprawdopodobne.

– Nie pocieszasz mnie, wiesz? – wychlipała. – Mariusz, rany boskie, co ja mam teraz zrobić?

W słuchawce zapadła dłuższa cisza. Pisarz sapał pełen zakłopotania. Jak pomóc w takiej sytuacji? Gdzie prawo? Gdzie porządek?

– Sabina, jeśli to, czego dowiedziałaś się od tego tam typka, jest prawdą, to po pierwsze, wciąż jeszcze możesz zatrzymać tę maszynę. Żaden tekst jeszcze nigdzie się nie ukazał, żadne zdjęcia nie wyciekły. Po drugie, jeśli rzeczywiście coś takiego miało miejsce, to ten człowiek złamał prawo. Naruszył twój mir domowy, twoje prawo do prywatności. Przecież nie można tak po prostu wpakować się komuś do łóżka i puścić w świat zdjęcia. Gdzieś są granice!

– Tak myślisz? – Złapała się słów Zygmuntowicza jak tonący brzytwy. – Naprawdę?

– Oczywiście! – odparł pisarz, choć nie był wcale do końca pewien, jak się sprawy faktycznie mają, bo nigdy w życiu nie miał do czynienia z taką sytuacją. – Nie jesteś politykiem, nie trzeba ci patrzeć na ręce. To, że jesteś znana, to chyba za mało. Czy on skończył piętnaście lat?

– Co? – Sabina zdawała się nie rozumieć pytania.

– No, czy to nie podchodzi pod pedofilię.

– Za kogo ty mnie masz! – niemal krzyknęła do telefonu. – Oszalałeś!? To jest stary koń przed trzydziestką!

– Tym lepiej. Nie złamałaś prawa. Nie zrobiłaś niczego, co usprawiedliwiłoby włączenie w twoje życie z buciorami.

Słuchała uważnie słów Mariusza.

– No tak – stwierdziła jednak – ale dla brukowców nie ma żadnych granic. Najwyżej zapłacą odszkodowanie w sądzie, a mojej reputacji nic już nie podźwignie.

– Wiem – zasepił się pisarz.

Milczeli długą chwilę, po czym znów się odezwał:

– Daj mi trochę czasu, to jest sprawa delikatnej natury. Postaram się wybadać przez znajomego

prawnika, co możesz zrobić. Oczywiście wszystko bez nazwisk. Bądź spokojna, zachowam pełen kamuflaż. – A gdy westchnęła, dodał: – Nie martw się, wyciągniemy cię z tego. A ty na razie zachowuj się jakby nigdy nic. Nie spłosz zwierzyny!

„Łatwo mu gadać – pomyślała, gdy się rozłączył. – Zachowuj się jakby nigdy nic”. Najpierw własna córka uwodzi jej chłopaka, a później ów chłopak okazuje się żalosną kreaturą ze szmatławej gazety. Była jednak Mariuszowi ogromnie wdzięczna za pomoc. Nie czuła się na siłach, aby teraz samotnie mierzyć się z tym wszystkim. Miała nadzieję, że uda mu się czegokolwiek dowiedzieć, tak by mogła zacząć działać. Czy raczej przeciwdziałać.

Deszcz przestał padać. Sabina spojrzała na swoje buty do biegania. Tak – to najlepsze, co mogła w tej chwili zrobić. Wyszła na dwór, zimny wiatr uderzył ją w nozdrza. Zaciągnęła się tym zimnym powietrzem jak nałogowy palacz pierwszym papierosem po długiej chorobie. Biegła przed siebie w takim tempie, że nawet mewy latające nad jej głową zdawały się zdziwione. Alkohol powoli wyparowywał ze wszystkich komórek jej ciała, a organizm mozolnie próbował sobie poradzić z nagromadzonym stresem.

Morze lizało piasek, trochę wzburzone, pachnące wodorostami i solą. Wiosna jakoś nie mogła się przebić, wydawało się, że potrzebuje wsparcia. Tak jak Sabina. Starła się nie myśleć o niczym i koncentrować wyłącznie na oddechu. Wdech, wydech, wdech, wydech. Słuchanie własnej krwi przepływającej przez tętnice, dudniącej w uszach.

Biegła teraz po własnych śladach, wracając do domu. Nagle usłyszała swoje imię. Z leśnej ścieżki wybiegła jakaś postać i zawołała:

– Poczekaj! Proszę!

To był Borys. Biegł w jej kierunku.

– O nie! Czy on, że kurwa jego mać, nie ma wstydu!? – wrzasnęła i przyspieszyła. Biegła ile sił w nogach, wyciskając z siebie siódme poty, a za nią, krzycząc i machając rękami, biegł Borys, niebezpiecznie zmniejszając dystans między nimi. Sabina wypadła wreszcie na drogę prowadzącą do domu i gnała bez ustanku, nie oglądając się za siebie, za to klnąc na cały głos. Dopadła furtki, przeskoczyła przez rabatki i przez chwilę mocowała się z zamkiem. Wreszcie była w domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i dysząc ciężko, opadła na podłogę, opierając się plecami o ścianę.

Nie minęła minuta, gdy do drzwi zaczął się dobijać Borys.

– Sabina, błagam, otwórz. Proszę! – Walił pięścią w drzwi. – Co się dzieje!? Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać!?

Miała ochotę ryknąć: „Won!”, ale siedziała cicho. Próbowwała dostosować się do polecenia Zygmunta: nie spłosz zwierzyny. Chociaż dźwięk jego głosu wzbudzał w niej najgorsze możliwe instynkty. Miała ochotę pójść do kuchni po tłuczek do mięsa, otworzyć te pieprzone drzwi i walić na oslep, by go skrzywdzić, zranić, uszkodzić. By popłynęła krew. Ale nie zrobiła nic. Siedziała cicho

w ciemności, słysząc, jak Borys dobija się do drzwi, a po jej twarzy płynęły łzy.

ROZDZIAŁ 24

Najgorsze było to, że już prawie zapomniała, jak to jest. Kiedy wyjaśniła się ta idiotyczna afery z nagrywającym ją wnukiem pani Hanny, Mikołowo, jakby w nagrodę za docenienie jego uroku, pozwoliło jej zrzucić uwierający pancerz Soni Geppert i na nowo odnaleźć się w skórze Sabiny Czerniak. Po latach męczenia się w narzuconej roli mogła wreszcie przestać pilnować się na każdym kroku. Dawne problemy – czy na pewno dobrze wygląda, bo ktoś przecież w każdej chwili może jej zrobić zdjęcie, czy nie palnęła czegoś niewłaściwego przy kimś, przy kim nie powinna, bo nieprzefiltrowane przez sito drobiazgowej autoryzacji słowa mogły zacząć żyć własnym, zmanipulowanym życiem – odeszły w niepamięć. Przestała nosić zasłaniające pół twarzy okulary słoneczne o każdej porze dnia i roku, zawijać się w szale upodabniające ją do głęboko wierzącej muzumanki oraz używać innych metod kamuflażu, dobrze znanych osobom publicznym, którym nie w smak wystawianie szczegółów swojego życia na widok każdego, kto tylko miałby ochotę się nimi zainteresować. I nagle okazało się, że owszem, to wszystko co prawda odeszło w niepamięć, ale nie bezpowrotnie.

Teraz znowu miała oczy z tyłu głowy. W każdej chwili wszystko mogło zacząć się od nowa. Choć nic jeszcze się nie wydarzyło, przemykała ukradkiem uliczkami Mikołowa i wydawało jej się, że każda mijana osoba przypatruje się jej inaczej niż zwykle. Najchętniej w ogóle nie wychodziłaby z domu. Tylko tam czuła się w miarę bezpiecznie, choć daleko jej było do spokoju.

Dziś, po śniadaniu zjedzonym we własnej kuchni, usiadła z drugą już kawą na werandzie. Ciągle jeszcze zdarzało się jej gratulować sobie decyzji o zabudowaniu tarasu szklanymi ścianami. Miała teraz do dyspozycji coś w rodzaju ogrodu zimowego z bajecznym widokiem na morze, gdzie mogła spędzać czas niezależnie od aury. Przebywanie w takich warunkach, choćby ze złamanym sercem, działało kojąco.

Borys o najróżniejszych porach atakował ją telefonami i rozpaczliwymi esemesami. Pisał sporo o nieporozumieniu, błagał o wysłuchanie i o szansę wytłumaczenia się. Przynajmniej z jednego była zadowolona – udawało jej się konsekwentnie ignorować te nieudolne próby. „Niedoczekanie! Co tu jest w ogóle do wyjaśniania? Ile mu płacą za to, co mi zrobił? Jak to jest być pieprzoną zakłamaną kanalią? Chyba upadł na głowę, jeśli myśli, że będę słuchać jego głodnych kawałków!” Nie chciała go widzieć już nigdy w życiu. Wiedziała natomiast aż nazbyt dobrze, że samo odcięcie się od drania nie rozwiąże problemu.

Postawiła przed sobą tego dnia ambitny plan: odbije się od dna. Koniec z rozdrapywaniem ran. Czas wziąć się w garść! W tym celu przystąpiła do sporządzenia listy rzeczy do zrobienia. Ten sposób na uporządkowanie rzeczywistości, która wymknęła się spod kontroli, nieraz się już sprawdził. Miała

wielką nadzieję, że uda się i tym razem. Nie było to jednak takie proste. Pierwszy punkt na jej liście wciąż nie doczekał się zapisania. Wiedziała, że powinno to być coś, co oderwie ją od tych wykańczających myśli o Borysie, tylko co? Praca w „Afrodyce” odpadała, bo tam przecież każde miejsce wiązało się z jakimś wspomnieniem z nim w roli głównej. Nieco już zrezygnowana, podniosła wzrok znad wciąż pustej kartki i... Aż podskoczyła, poderwana nagłym przestrawieniem. Ktoś wspinał się piaszczystym klifem z plaży na urwisko, na którym stał jej dom. Mężczyzna ze sporą nadwagą, dysząc z wysiłku i lekko się zataczając, zbliżał się w jej kierunku.

Sabina zamarła. Nie wiedziała, co robić. Nie zdążyłaby już schować się w głębi domu, a na oszklonym niczym akwariu tarasie była widoczna jak na dłoni. Zdała sobie właśnie sprawę z poważnego mankamentu swojej koncepcji architektonicznej domu – skąd miała jednak wiedzieć, że komuś wpadnie do głowy, żeby odwiedzić ją od tej trudno dostępnej strony. „Kto to, do cholery, jest? – myślała gorączkowo, patrząc bezradnie, jak obcy mężczyzna zbliża się do domu. – Nie widzę aparatu, więc raczej nie paparuch. Może wysłali go z »Superfaktu«, żeby coś jeszcze ze mnie wyciągnął?”

Czas na rozmyślenia i ewentualną reakcję się skończył – przybysz właśnie ją zobaczył. Zatrzymał się i chwilę trwał w bezruchu. Wyglądał co najmniej niepokojąco. Długie strąki przeredzonych włosów opadały mu na ramiona. Na czubku głowy miał wełnianą czapkę, jakie nosili miejscowi rybacy. Mimo że panująca na zewnątrz temperatura nie mogła się wciąż zdecydować, czy woli zimą, czy wiosną i z trudem osiągała dodatnie wartości, mężczyzna był ubrany tylko w cienką dżinsową kurtkę rodem z lat osiemdziesiątych.

„A może on nie ma nic wspólnego z brukowcami? To jakiś włóczęga, który chce mnie najzwyczajniej w świecie napaść? – zmroziła ją nowa myśl. Wpatrywali się w siebie jak zahipnotyzowani. – Muszę coś zrobić, zanim to pójdzie w złym kierunku”, nakazała sobie Sabina. W tej samej chwili mężczyzna uniósł dłoń w geście powitania, a ona otworzyła jedną z okien.

– Zgubił pan drogę? – postanowiła obrać strategię na „jakby nigdy nic”.

– Witaj, Sabina – usłyszała odpowiedź i zdębiała. „Znał ją? Kto to, do kurwy nędzy, jest!?” – Przyjechałem – oznajmił i podszedł bliżej.

– Przepraszam... – W popłochu szukała wyjścia z sytuacji. Musiała go jakoś zatrzymać. Czego on od niej chce!? – Znamy się?

Na twarzy mężczyzny pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– I to całkiem niezłe. – Pod Sabiną ugięły się nogi. To psychopata! Nie dały jej rady medialne korporacje, sekretny kochanek uknuł przeciwko niej spisek, ale wykończy ją jakiś szaleniec zawiedziony pewnie zbyt długim czekaniem na nowe przygody ukochanej bohaterki, Amelii Kruk.

– Proszę się nie zbliżać! Ani kroku! Bo uruchomię alarm! – zablefowała. – Za pół minuty będzie tu cała armia uzbrojonych ochroniarzy!

– Sabina, to ja.

– Co za ja?

– Mariusz.

Musiła nadal mieć głupią minę, bo nieznamy uzupełnił informację.

– Zygmuntowicz, no przecież.

Po chwili, której potrzebowała, by jej mózg przyswoił tę informację, zaczęła się śmiać jak szalona. I długo nie mogła przestać. Nie miała prawa go rozpoznać. Nigdy przecież się nie widzieli. Zygmuntowicz konsekwentnie unikał ujawniania swojego wizerunku, a na obwolutach jego książek od ponad dziesięciu lat umieszczał rozmazane zdjęcie z zamierzchłych czasów, gdy był szczuplejszy o jakieś dwadzieścia kilo, rysy jego twarzy nie nabrały jeszcze cech masy plastycznej oraz sypał mu się młodzieńczy wąs. I tę wersję swojego przyjaciela znała Sabina.

– Mariusz! – Kiedy udało jej się nieco opanować, otworzyła przed nim drzwi werandy. – Wchodź, wchodź, przepraszam za takie powitanie. Jestem w rozsypce, mam wszystkie nerwy na wierzchu. Czemu nie zadzwoniłeś?

Słynny pisarz przestępował z nogi na nogę.

– No więc... Postanowiłem po prostu przyjechać. – Rozejrzał się w prawo i w lewo, jakby spodziewał się, że może kogoś jeszcze zobaczyć. – Wolałem nie iść przez zabudowania, sprawdziłem w Google Maps, jak tu trafić niepostrzeżenie.

„On jest żywą definicją socjopaty!”, pomyślała i ponagliła go, bo wciąż tkwił w tym samym miejscu:

– Chodź do środka, nie marznij tam. Czemu właściwie postanowiłeś mnie odwiedzić? To znaczy, bardzo się cieszę, że się wreszcie widzimy, ale kompletnie się nie spodziewałam.

– Hmm... Ech... – Formułowanie wypowiedzi w warunkach bezpośredniego kontaktu wyraźnie szło mu z większym trudem niż przez telefon. – Więc... no... Potrzebujesz pomocy. Ten skurwysyn posunął się za daleko. I... tego... chciałem pomóc.

Mimo tych niezbornych tłumaczeń Sabina poczuła wzruszenie. Mogła się tylko domyślać, ile wysiłku kosztowało go pokonanie fobii i wychylenie nosa ze swojej twierdzy. Jednak zrobił to dla niej.

– Musimy wypić za to historyczne spotkanie! – zawołała, kiedy wreszcie przestąpił próg. – Nie mam niestety twojej ulubionej whisky, ale może nie pogardzisz nalewką z borówek z tutejszych lasów. Pal sześć, że jest wcześniej!

Odpowiedziała jej kolejna seria chrząknięć i mruknięć, co potraktowała jako przyjęcie zaproszenia. Dalsza część dnia przebiegała dziwnie. Trudno było stwierdzić, co jej gość rozumiał pod hasłem pomocy dla niej, przybywając z dalekiego Śląska. Po wypiciu pierwszego kieliszka nalewki wyjął ze swego plecaczka, wojskowej „kostki” (popularny element militarnej stylizacji kolegów

Sabiny w czasach studenckich), przenośny komputer, wyjątkowo paskudnej urody, za to wyglądający na technologiczne cudzińko, a następnie utknął z nim na fotelu stojącym w kącie.

– Co chciałbyś robić? Może pójdziemy na spacer? Ja co prawda, jak się domyślasz, nie palę się do intensywnych kontaktów ze światem, ale na plaży zwykle jest pusto. Sam zresztą widziałeś – spytała wreszcie zdezorientowana. Przez pewien czas kręciła się po domu, raczej bez celu. W zachowaniu niezapowiedzianego gościa nie widziała żadnego planu, a sama poczuwała się do roli organizatorki jego czasu.

– Neeee, tu jest dobrze – zgasił jej starania Mariusz.

Dzięki niezawodnej Kasi codziennie ktoś z obsługi przynosił jej obiad do domu w ramach pomocy w chorobie. Tak brzmiało oficjalne wytłumaczenie przedłużającej się nieobecności Sabiny w pracy. Na szczęście jej przyjaciółka nie wnikała w szczegóły, od razu proponując obiadowe wsparcie, co pisarka przyjęła z wdzięcznością. Nie miała teraz głowy do zakupów i gotowania, a poza tym dawało jej to poczucie, że ktoś się o nią troszczy, i pomagało nie pogрузić się całkiem w uzalanie się nad sobą. Uzmysłowała sobie, że dziś musi zadzwonić do przyjaciółki z prośbą o dwie porcje.

– Pewnie, nie ma sprawy. Wszystko dobrze? Jak się czujesz?

– Tak, chyba tak. Przyjechał do mnie przyjaciel, pisarz – bezwiednie ściszyła głos, choć przeszła na górę, skąd Zygmuntowicz nie mógł jej słyszeć. – Znamy się od stu lat, ale do tej pory tylko przez telefon. No i jest jakoś dziwnie...

– Może chcesz, żebym wpadła?

– Mogłabyś? Może faktycznie to trochę rozładuje atmosferę.

Kiedy Kasia wkroczyła, niosąc dwie siatki z zapakowanymi w plastikowe pojemniki daniami prosto z kuchni, Mariusz wpadł w popłoch.

– Dzień dobry, jestem Kasia Zagorakis, witamy w Mikołowie. Na długo pan przyjechał? – Energicznemu powitaniu towarzyszył szeroki uśmiech.

Autor kryminałów przypominał teraz mysz zagonioną w pułapkę. Nie odezwał się ani słowem. Zastygł w bezruchu wciśnięty w fotel i tylko jego źrenice, które rozszerzyły się w sposób wręcz niewiarygodny, zdradzały paniczną potrzebę ucieczki.

„Cholera, nie przemyślałam tego. – Sabinie aż zrobiło się go szkoda. – Zaraz mi tu zejdzie na jakiś atak”.

Kasia, trochę skonfundowana taką reakcją, spojrzała na przyjaciółkę, szukając u niej pomocy. Ta jednak zrobiła bezradną minę.

– Jak się panu u nas podoba? Piękne miejsce, prawda? Może pogoda jeszcze nie do końca zachęcająca, ale przypuszczam, że za jakieś dwa tygodnie zrobi się całkiem przyjemnie. – Najwyraźniej przeszła do bezpiecznych tematów, widząc, z jak trudnym przypadkiem ma do czynienia.

– Muszę... – wydusił z wysiłkiem Zygmuntowicz i wytoczył się ze swojego kącika, a następnie pobiegł do toalety. Usłyszały dźwięk gwałtownie zamykanego zamka.

– Ojej... – Podsumowanie Kasi, choć lakoniczne, było wystarczająco wymowne.

– Rany boskie, co ja mam zrobić? Nie zapraszałam go, sam przyjechał ni stąd, ni zowąd. Nie miałam pojęcia, że to aż taki kosmita... – gorączkowała się szeptem Sabina.

– Musisz go wysłać na noc do nas. Chyba nie będzie u ciebie spał?

– Matko jedyna, nie wiem... Ale przecież on w życiu nie zgodzi się zamieszkać w pensjonacie pełnym ludzi. Widzisz przecież. – Z niepokojem zerkała w stronę toalety, spodziewając się w każdej chwili ponownego pojawienia się pisarza.

– Spoko, coś mi się zdaje, że nie wyjdzie, dopóki tu jestem – powiedziała Kasia i naraz obie wybuchły śmiechem, próbując jednocześnie uciszyć jedna drugą. – To może pójdziemy na spacer, a pan Dziwak trochę się uspokoi?

– Już sama nie wiem, możemy spróbować. – I ostrożnie podeszła do drzwi, za którymi schronił się jej gość. – Mariusz, wychodzę z Kasią na spacer, okej? Zjedz sobie obiad, zostawiam na stole w kuchni. Jeszcze nie jadłeś czegoś tak pysznego, zaręczam. Wszystko gotowe, może najwyżej trzeba odgrzać. Wrócę niedługo. – Wyraźnie zaakcentowała słowo „wrócę”, żeby podkreślić liczbę pojedynczą. Uruchomił się w niej jakiś opiekuńczy instynkt i odruchowo starała się pomóc neurotycznemu do granic możliwości pisarzowi.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dała Kasi znak do wyjścia. Zeszły na plażę.

– A może wpadniemy do „Afrodyty”? Wszyscy za tobą tęsknią. A Borys trzy dni temu wziął wolne... – ostatnie zdanie wypowiedziała jakby nigdy nic. Sabina rzuciła na nią szybkie spłoszone spojrzenie. A więc ona wie!? Kto jeszcze!? – O nic nie pytam. Jeśli będziesz chciała pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć. A o ludzi się nie martw, nie wydaje mi się, żeby ktoś wiedział.

„Czy ona czyta w moich myślach!?” nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Opuściła głowę. Nie czuła się gotowa, by rozmawiać o nim z kimkolwiek. Jeszcze nie teraz. Ale łzy napłynęły jej do oczu, kiedy uświadomiła sobie po raz kolejny, jak kochaną osobą jest Kasia. Domyśliła się wszystkiego albo może nie zachowali jednak wystarczającej ostrożności – w każdym razie była na tyle dyskretna, że nie dała po sobie nic poznać. Nie musiała też zaspokajać swojej ciekawości i jej wypytywać, choć zapewne zrobiliby tak dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet w takiej sytuacji.

– Skąd wiedziałaś? – spytała ze ściśniętym gardłem.

– Jestem kobietą i widocznie umiem patrzeć – odparła łagodnym tonem Kasia, a Sabinę ogarnęła fala dławiącego żalu. Rozpłakała się na dobre. – Hej, już dobrze. – Przyjaciółka objęła ją ramieniem. – Wszystko się ułoży, potrzebujesz tylko trochę czasu. Albo może trochę więcej. Po prostu daj dojść do głosu tym wszystkim emocjom. Nie tłum ich. Cierpienie to też część życia. Wiem o tym lepiej niż większość ludzi – to ostatnie zdanie wypowiedziała dziwnym tonem.

Sabina podniosła na nią zapłakane oczy.

– Co masz na myśli?

Przyjaciółka uciekła wzrokiem. Patrzyła gdzieś przed siebie.

– Kasia?

– Ech, chciałam ci już dawno opowiedzieć tę historię. Ale wciąż nie jest mi łatwo o tym wszystkim mówić – westchnęła ciężko.

– O czym?

– O czymś, co naznaczyło mnie na zawsze – powiedziała poważnie i wzięła ją pod rękę. – O mojej wielkiej miłości i o śmierci.

To była zima podobna do tej, która panowała właśnie w Mikołowie. Kasia pisała pracę magisterską, jej chłopak – Janek, pierwsza i wielka miłość z tych, co to się nie zdarzają – już się obronił i dostał na studia doktoranckie. Niedawno zamieszkali razem w mieszkaniu, które otrzymał w spadku po babci.

– W Gdyni Orłowie, niedaleko plaży – mówiła Kasia tak cicho, że szum fal bijących o brzeg niemal zagłuszał jej słowa. – Sabina, nie masz pojęcia, jaka ja byłam wtedy szczęśliwa...

Urządzali razem mieszkanie, malując je wspólnie, wieszając na ścianach pamiątki przywiezione z wypraw w świat. Janek miał smykałkę do stolarki, więc zrobił piękne meble, szykowali sobie gniazdko na długie lata szczęśliwego życia. Tamtej soboty wstali późno, bo poprzedniego wieczora zasiedzieli się u znajomych, planowali wspólne wakacje w Azji. Mieli głowy pełne pomysłów na wyprawę do Birmy i Laosu, Kasia marzyła o Dalekim Wschodzie od zawsze. Po południu mieli się stawić u rodziców Kasi w Elblągu. Opowiedzieć o tym najważniejszym – bo trzy dni wcześniej Janek poprosił ją o rękę. Czuł się zbyt skacowany, by prowadzić, a że ona prawie nigdy nie nadużywała alkoholu, usiadła za kółkiem. Ruszyli, planując jeszcze po drodze wizytę w cukierni, by kupić rodzicom tort z tej okazji. Na skrzyżowaniu Kasia ustępowała pierwszeństwa przejazdu nadjeżdżającym z lewej. Kiedy skręciła, usłyszała tylko pisk opon i przerażający krzyk Janka. Nie zauważyła! Nie zauważyła rozpędzonej półciężarówki, której kierowca gnał przez ulice miasta zbyt szybko, by zdążyła go dostrzec w ostatnim momencie. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą mocne światło lamp jarzeniowych. Właśnie wybudzono ją z narkozy po operacji.

– Miała pani kupę szczęścia – powiedziała twarz w masce, nachylając się nad nią. – Cieszymy się, że jest pani z nami.

– Janek? – Myśl jak błyskawica przeszła jej głowę. – Panie doktorze – wyrzeźbiła przez obolałe po intubacji gardło. – Co z moim narzeczonym?

Lekarz spojrział gdzieś nad jej głową, po czym nagle zniknął z pola widzenia.

– Przykro mi – usłyszała. Pamięta tylko tyle, że straciła wówczas przytomność...

Wiatr przybrał na sile. Wielkie płatki śniegu wirowały im nad głowami. Sabina trzymała

przyjaciółkę za rękę, łzy płynęły jej po twarzy.

– Kasiu! – powtarzała. – Mój Boże...

– Czasami życie bywa znośne – powiedziała dziewczyna, patrząc jej w oczy. – Ale bywa i tak, że trudno uwierzyć w jakiś większy sens tego wszystkiego. Pomyśl, ja nie tylko straciłam miłość. Jeszcze długo oskarżałam się, że zabiłam Janka. Nie powinnam była przeżyć, nie zasłużyłam na to – urwała, opowiadanie o tym stało się chyba zbyt trudne. Dopiero po chwili wróciła do wspomnień: – Po tym wszystkim, kiedy już wyzdrowiałam i wyszłam ze szpitala, natychmiast po obronie postanowiłam wyjechać z Polski. Wyprawa do Birmy nie doszła do skutku, nie byliśmy w stanie jej zrealizować bez niego. Uciekłam... Tak, to chyba najodpowiedniejsze słowo. Uciekłam do Londynu przed żałobą, przed wyrzutami sumienia, przed spojrzeciami jego znajomych. Wtedy już sporo ludzi zaczęło wyjeżdżać. Znalazłam pracę, w jednej, w drugiej kawiarni, potem w restauracji, zostałam nawet jej menadżerką. Żyłam jak mniszka. Praca i nauka, bo zapisałam się do szkoły językowej. Jestem pewnie jedyną mikołowianką znającą biegle język arabski – uśmiechnęła się. – Ale wtedy w Londynie szukałam dla siebie najbardziej absorbujących zajęć. No a potem poznałam Teo. Przyjęto go do pracy w naszej restauracji. Resztę opowieści już znasz...

Przeszły kilka kilometrów, nie mówiąc już zbyt wiele. Sabina nie mogła się otrząsnąć z oszołomienia. Jak bardzo pozory mogą mylić! Co prawda od czasu wypadku wiedziała, że pierwsze wrażenie, jakie robiła Kasia – najweselsza i najbardziej optymistyczna kobieta na świecie – mogło być zwodnicze. Jednak w najśmielszych domysłach nie przypuszczała, by jej przyjaciółka nosiła w sobie brzemień tak ciężkich doświadczeń. Nagle w zupełnie nowym świetle ujrzała to dziwne załamanie Kasi po wypadku Teo. „Echo tragedii sprzed lat wróciło. Myślała, że będzie musiała przez to przechodzić jeszcze raz. I pewnie do tego uważała, że to w jakiś sposób jej wina, że przyciąga nieszczęście i to przez nią mężczyźni, których kocha, giną tragicznie”, snuła przypuszczenia, niemal zapominając o swoich problemach. W obliczu tego, co przed chwilą usłyszała, ich ciężar gatunkowy zdecydowanie się zmniejszył.

– Dobrze, czas już chyba wracać – stwierdziła wreszcie. – Ty musisz do pracy, a ja do tego dzikusa. Mam nadzieję, że doszedł trochę do siebie.

– Na pewno możesz przebywać z nim sama w domu?

– Cholera, znamy się szmat czasu. Nawet nie zliczę, ile godzin przegadaliśmy. Może to się niefortunnie zaczęło. Przestraszyłam się go i nerwowo zareagowałam...

– Wcale się nie dziwię – wtrąciła Kasia.

– Może to go spłoszyło? Jest dziwaczny, nie da się ukryć, ale przecież nie robi mi krzywdy.

– Mam nadzieję. W każdym razie dzwoń natychmiast, jeśli tylko poczujesz, że coś nie gra. Przybędę z odsieczą!

Choć Sabina zgrywała chojraka, wracała do domu z duszą na ramieniu. Konfrontacja z Mariuszem

Zygmuntowiczem na żywo stanowiła dość traumatyczne przeżycie. Próbowwała jednak odwołać się do więzi, która wytworzyła się między nimi wiele lat temu. Może potrzebują po prostu trochę czasu na oswojenie się ze sobą? On był z pewnością bardziej neurotyczny, niż mogłaby sobie kiedykolwiek wyobrazić, ale to przecież wciąż ten sam Zygmuntowicz, jej wieloletni sprawdzony przyjaciel i cierpliwy powiernik.

Zastała go... krzątającego się w kuchni.

– Sabina! – Stał na baczność na jej widok, po uprzednim upewnieniu się, że przyszła sama. – Ja... ten... zrobiłem kolację. Może jeszcze za wcześnie, ale nie wiedziałem, kiedy wrócisz.

Teraz naprawdę zgłupiała.

– Marzę wyłącznie o czymś porządnym do zjedzenia – powiedziała zgodnie z prawdą. Świeże powietrze i ruch rzeczywiście wywołały u niej ssanie w żołądku, które poczuła pierwszy raz od kilku dni – po ostatnich przejściach zupełnie straciła apetyt.

Poza tym, że jak ognia unikał kontaktu wzrokowego, najwyraźniej zachowywał się dużo normalniej niż rano.

– No bo tego... Co to ja chciałem powiedzieć? To nie tak miało wyjść – zaczął, stawiając przed nią talerz z zawartością... No cóż, co najmniej nietypową. Z osłupieniem przyglądała się wyborowi greckich przystawek: pulpecikom keftedes, smażonej cukinii, grillowanemu serowi halloumi i szaszłyczkom z jagnięciny pochodzącym zapewne z pacuszki od Kasi. Wszystko to zostało wymieszane w głębokim talerzu, razem z dodatkami ze zgoła innego kręgu kulinarnego: kawałkami kabanosa, kukurydzą z puszki i gotowanymi ziemniakami. Zygmuntowicz chyba postanowił twórczo wykorzystać wszystkie produkty, jakie miała w lodówce, i obficie polał je ketchupem. – Na pewno jesteś zaskoczona moim przyjazdem, ekhm – ciągnął pisarz, jakby nieco płynniej. Poszczególne części jego wypowiedzi zaczęły zdobywać przewagę nad niezidentyfikowanymi odgłosami, jakie wydawał. – I zastanawiasz się, dlaczego człowiek, który żyje jak w jaskini, nagle wyprawia się z wizytą na drugi koniec Polski. – Sabinie trudno było nie przytaknąć. Próbowwała się skupić na jego słowach, jednocześnie ostrożnie grzebiąc widelcem wśród różnorodności na talerzu i trochę obawiając się spróbowania czegokolwiek. – Nawet nie wiesz, jak wiele we mnie zmieniłaś. Od tylu lat każdy mój dzień wyglądał tak samo. Te same czynności powtarzane w jednakowym rytmie, wykluczony jakikolwiek element czegoś nieprzewidywalnego.

– Myślałam, że tego właśnie chcesz.

– Ja też tak myślałem. Bardzo długo. W zasadzie przez całe dorosłe życie – zasępił się. – Ale kiedy tyle od ciebie słyszałem o tym, jak radykalnie odcięłaś przeszłość, jak otworzyłaś się na nieznaną, coś zaczęło we mnie pękać. Bo widzisz... – Mówienie o sobie sprawiało mu oczywistą trudność, więc skupiła się na jego słowach, skwapliwie korzystając z możliwości oderwania się od kłopotliwej potrawy. – Ja nigdy nie odczuwałem. To znaczy sfera emocji istniała dla mnie tylko

w teorii. Byłem w stanie zrozumieć mechanizmy, jakie tym rządzą, ale tylko na zasadzie przyswojenia sobie instrukcji obsługi, powiedzmy pralki. Ale sam miałem wyłączoną tę funkcję. Sabina... – Zygmuntowicz przechylił się przez stół, na jego czole pokazały się kropelki potu, z wysiłku aż lekko dyszał. Sięgnął do jej dłoni leżącej na stole i przykrył ją swoją. – Ja cię Kocham.

Wytrzeszczyła oczy. Tylko na taką reakcję było ją stać.

Zygmuntowicz podniósł się z miejsca i podszedł do niej. Pochylił się, by ją pocałować. Jego tłuste włosy były tuż przy jej twarzy.

– Co!?! Co ty wyprawiasz! – Sabina odzyskała zdolność kierowania swoimi poczynaniami i zerwała się z krzesła jak oparzona.

– Ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni! Znamy się jak łyse konie, nikt nie rozumie mnie tak jak ty! Przecież sama napisałaś, żebym się otworzył i że nie jest za późno! – Wstąpiła w niego niewidoczna wcześniej determinacja. Zaczął ją obłapiać i przyciągać do siebie.

– O Boże! – Uciekła przed nim do salonu. Właśnie kiedy uzmysłowiła sobie, że jedyna droga ucieczki wiedzie przez taras prosto nad morze, do drzwi zadzwonił dzwonek.

Zygmuntowicz zamarł, co dało jej chwilę na ogląd sytuacji. Nieoczekiwany adorator znów stał się spłoszonym zwierzątkiem. Choć wciąż nie mogła się uspokoić, zaczynała przynajmniej odzyskiwać zdolność myślenia.

– Już idę! – krzyknęła do dzwoniącego, kimkolwiek był. Na pewno jej wybawieniem. Przezornie nie spuszczała jednocześnie oka z Mariusza, jednak najwyraźniej zagrożenie minęło. „Czy to mi się przypadkiem nie śni? Co to, do jasnej kurwa cholery, było!?” Uznała, że może zaryzykować przejście koło niedoszłego napastnika, by otworzyć drzwi. I nie był to koniec niespodzianek tego dnia, bo na progu stała... jej córka.

– Muszę z tobą porozmawiać, wpuścisz mnie? – powiedziała Róża, omijając rytuał powitania.

– Czy wszyscy nagle zapomnieli, że jest coś takiego jak telefon!?! – wyrwało się Sabinie, ale miała już szczerze dość tych zaskoczeń. Kto jeszcze zechce ją nawiedzić bez zapowiedzi? Nie wystarczy już tych wrażeń? – Coś się stało? – Natychmiast przyszło jej do głowy następne pytanie i ogarnął ją silny niepokój. Musiało stać się coś niedobrego, skoro Róża zjawia się tu tak nagle po tym, co między nimi ostatnio zaszło...

– Mogę wejść? – Zdawało się jej, czy też w głosie córki usłyszała jakiś nowy ton, odmienny od tego zblazowanego, który tak bardzo dał jej się we znaki podczas spędzonych wspólnie niedawno dni?

Odsunęła się na bok, wpuszczając ją do środka.

– Powiesz mi, co się stało? Z tobą wszystko okej? Potrzebujesz pomocy?

Róża weszła do salonu. Sabina zarejestrowała, że Zygmuntowicz zniknął, korzystając z planowanej przez nią przed chwilą drogi ewakuacji: przez werandę, o czym świadczyły otwarte drzwi. Przynajmniej tyle – na razie miała go z głowy.

Dziewczyna usiadła na kanapie w płaszczu wyglądającym jak pozostałość z garderoby filmu kostiumowego o wampirach.

– Bo ja... byłam na ciebie strasznie wkurzona, ale ogólnie to przesadziłam. – Sabina patrzyła na nią, nie rozumiejąc ani trochę, do czego zmierza. – Nie mówię, że ty nie byłaś dla mnie *bitch*, ale ja nie jestem aż taką suczą, jak myślisz.

– O czym ty mówisz?

– Wkręcałam cię. Nie spałam z tym Borysem. No i... przyjechałam ci to powiedzieć. Żebyś wiedziała.

– Co ty mówisz...? Przecież widziałam... – Zakryła usta dłonią. W jej głowie zaczynał szaleć huragan.

– Próbowałam, ale on nie chciał. Powiedział, żebym spadała, bo ma kogoś, na kim mu zależy, i nie interesują go inne panienki.

Sabina poszukała pierwszego z brzegu mebla, na którym mogła usiąść. Padło na stolik kawowy. Nie potrafiła utrzymać się dłużej na nogach.

– Ale, na litość boską, dlaczego!?

Róża spuściła głowę. Tak, to nie było złudzenie. W jej zachowaniu pojawił się nowy rys – coś na kształt skruchy.

– Chciałam, by coś cię wreszcie ruszyło. Żebyś chociaż na chwilę przestała być takim cyborgiem. Zapomniała o kasie, którą tak ciężko zarobiłaś i której tyle musiałaś wydać na mnie, na ojca, i raz dla odmiany poczuła coś prawdziwego...

„Kurczę, czy ona naprawdę tak o mnie myśli? Jestem najgorszą matką na świecie!”

– Ale potem wcale nie czułam się dobrze. On cię chyba naprawdę lubi.

Spojrzała na córkę i zakręciło się jej w głowie. Była na skraju wytrzymałości. Czuła, że jeszcze chwila i na dobre straci zdolność przyswajania informacji. Czyli Borys jej nie zdradził? A wręcz przeciwnie – poddany próbie, pokazał, że ona jest dla niego kimś ważnym? Ale co z resztą? Jego pracą w brukowcu? A może to też element gry? Sposób, by zdobyć jej zaufanie? Schowała twarz w dłoniach. Tego wszystkiego było za dużo!

– No więc... przepraszam – odezwała się cicho Róża z kanapy. – Coś we mnie wstąpiło, nie mogłam się powstrzymać. Ale tak na serio to nie chciałam być taką straszną zołą.

Jej matka znów podniosła na nią wzrok. Coś w niej drgnęło. W głowie błysnęła zaskakująca myśl. A może to nie Borys był tu najważniejszy? Między nią i córką działało się właśnie coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Wyjaśnienie Róży nie unieważniało bólu, jaki jej zadała, i nie usprawiedliwiało tego, co zrobiła. Jednak teraz, kiedy wróciła i powiedziała, co nią kierowało, Sabina z zaskoczeniem zauważyła, że jej zapiekły żal wobec córki topnieje. Było jej raczej żal ich obu – tak bardzo pogubiły się w niemożności porozumienia, że doszło do czegoś tak okropnego, co mogło je rozdzielić na całe

życie. A może wcale nie musi się tak stać? Może los dawał im szansę, by się na nowo odnalazły? Córka patrzyła na matkę, czekając, by coś wreszcie powiedziała. Dziewczyna zaciekle skubała skórę przy paznokciu kciuka. Był to jej nerwowy tik od dzieciństwa. Po pozdzieranych opuszkach palców można było rozpoznać, kiedy zaczynał ją zjadać stres.

– Nie skub! – matka upomniała ją, zupełnie jakby ta wciąż chodziła do podstawówki. – Chcesz coś zjeść? – spytała i zobaczyła, że twarz dziewczyny rozjaśnia ostrożny uśmiech. Róża przytaknęła. Sabina też się uśmiechnęła.

Już w kuchni, kiedy spojrzała na porzucony talerz frykasów *à la* Mariusz Zygmuntowicz, wróciły do niej odpryski żenującej sytuacji, która dopiero co rozegrała się między nimi. Spotkanie z córką zdążyło już wyprzeć z jej pamięci poczynania pisarza. Teraz wydały jej się tak groteskowe, że aż nierealne. Wszystko, co ją dziś spotykało, mogło być równie dobrze wytworem zmęczonego umysłu, szaloną halucynacją – przez moment zupełnie poważnie rozważała taką ewentualność. Złośliwość losu świadczyła jednak o czymś zgoła przeciwnym, gdyż nie był to wcale koniec prób.

– Halo, dzień dobry! Jesteś, Sabinko? – przed domem rozległo się gromkie wołanie. Sabina i Róża spojrzały po sobie. Obie dobrze znały ten głos.

– Przyjechaliście razem? – spytała, czując podpływającą falę pretensji. I znowu została w coś wmanewrowana, bez swojej wiedzy i zgody, ale córka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, nie mam pojęcia *what's going on*. – Chyba zdołała już opanować emocje, skoro wróciła do „normalnego” stylu mówienia. – Obudziłam się i po prostu wsiadłam do pociągu do Gdyni, a dalej łapałam stopa. Sama.

– Łapałaś stopa? Co ci przyszło do głowy!?! – Sabina nie mogła się powstrzymać, choć nie był to czas na rodzicielskie trucie.

Musiała wyjść i przywitać się z jeszcze jednym niezapowiedzianym gościem, który postanowił właśnie dziś ją odwiedzić – byłym mężem.

ROZDZIAŁ 25

Potrójna kumulacja. Róża, Andrzej i nieszczęsny Zygmuntowicz – wszyscy zebrani pod jej dachem. „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”, powtarzała sobie do znudzenia na wspomnienie tego sądnego dnia, ale dopiero gdy upłynęło już trochę czasu i udało jej się nabrać nieco dystansu do tego szaleństwa. W tamtej chwili, kiedy Andrzej wchodził do domu, wycierając starannie buty, zrobiło jej się słabo. Naszła ją obawa, że po prostu tego nie wytrzyma – zemdleje, dostanie jakiegoś ataku, karetka będzie musiała po nią przyjechać i zabrać na ostry dyżur, gdzie może wreszcie zazna odrobinę spokoju. „Czy to jakiś cholerny układ planet, zdarzający się raz na tysiąc lat i robiący sobie ze mnie kosmiczne jaja?”

– Różyczka! A co ty tu robisz? – zdziwił się na dzień dobry jej eksmąż na widok córki.

– A ty? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Właśnie. Też chętnie się dowiem – dodała Sabina.

Andrzej popatrzył na nią, prostując sylwetkę.

– Musimy porozmawiać.

– To mnie akurat nie dziwi. Wszyscy dziś tego chcą.

– Widzę, że jesteś jakaś nie w sosie – zafrasował się nieco. – Nie zaczynajmy od boczenia się na siebie, co? Jeśli mógłbym coś zaproponować...

„Ja dziś naprawdę wyląduję w wariatkowie!”, wołało coś w głowie Sabiny, jednak ona sama zachowała kamienną twarz.

– Tak, oczywiście. Słucham cię uważnie. A więc czy byłbyś tak miły i łaskawie wyjaśnił, co cię do mnie sprowadza? – mimowolnie dostosowała się do obrosłego urzędniczymi naleciałościami stylu wypowiedzania się byłego męża.

– My.

– Słucham? – Uniosła brwi.

– Dużo ostatnio o nas myślałem.

– To może ja was zostawię. – Róża podniosła się z kanapy.

– Nie, nie, kochanie, zostań. Ciebie to przecież też dotyczy. Jesteśmy rodziną – energicznie zaprotestował Andrzej. Dziewczyna spojrzała pytająco na matkę, a ta wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, co tu się szykowało.

– Sabinko, przede wszystkim muszę powiedzieć, że to wspaniałe miejsce. – Rozejrzał się dookoła. – Wprost urzekające. I to powietrze! Od razu inaczej się oddycha. Jak ten jod cudownie działa na człowieka! Jakbym dostał skrzydeł! Wy też to czujecie?

– Andrzej, może do rzeczy? – Z całych sił starała się nie dać po sobie poznać rosnącej w niej furii.

– Tak, już przechodzę do sedna, już przechodzę. – Przełknął ślinę. – Bo widzisz, te wszystkie zmiany w ostatnim czasie... Tyle się wydarzyło. Jakby wielki huragan przeszedł nad naszym życiem. Nie wiem, czy się ze mną zgodzisz, ale po takich przejściach nadchodzi wreszcie dzień, w którym trzeba zrobić podsumowanie. Dla mnie taki dzień nadszedł niedawno. – Na chwilę popadł w zadumę, Sabina zaś modliła się w duchu o to, by nie wybuchnąć. – Pozwólcie, że pominę w tej chwili szczegóły tego osobistego rozliczenia.

„Dzięki ci, Panie!” Najwyraźniej niebiosa postanowiły jej okazać odrobinę łaskowości.

– Ważne, do jakiej konkluzji mnie ono doprowadziło. Sabinko – zwrócił się do niej, otwierając przed nią ręce w geście kaznodziei lub polityka wytresowanego przez speców od mowy ciała – myślę, że powinniśmy do siebie wrócić.

– Dobra, to ja jednak znikam, na razie! – rzuciła Róża i wymknęła się na dwór, nie zważając na protesty tym razem obojga rodziców, bo Sabina rozumiała już aż za dobrze, że sam na sam z byłym mężem będzie kolejną traumą tego dnia.

– Andrzej – odezwała się po długiej chwili milczenia. W lewej skroni odezwał się przenikliwy ból. Dotknęła tego miejsca, próbując je rozmasować. – Skąd ci to przyszło do głowy? Przecież zamknęliśmy ten rozdział, każdy poszedł w swoją stronę. Zresztą masz przecież tę swoją Dobrawę czy Dobrosławę...

– Dobrochna to był błąd – zasepił się. – Fatalna pomyłka. Ta dziewczyna okazała się kimś innym, niż myślałem. – Przez jego twarz przeszedł bolesny grymas. – Chciałoby się wierzyć, że wszyscy są dobrzy i uczciwi, ale tak nie jest. Niestety. Dlatego warto postawić na trwałe wartości, prawda? Pewność, którą buduje się przez lata. Uwierz mi, tak łatwo się zawieść na drugim człowieku. Ufasz komuś... i nagle trach! Zdrada! Zawód! Utrata zaufania! A ty zostajesz sam, opuszczony, z bolącym sercem... I zastanawiasz się, czy to w ogóle było tego warte.

„Tu akurat nie mogę się nie zgodzić”, pomyślała gorzko Sabina.

– Andrzej, naprawdę bardzo mi przykro, że wam nie wyszło... – zaczęła ostrożnie.

Dopiero później Róża, wtajemniczona przez ojca w kulisy finału jego *love story*, uzupełniła informacje: Dobrochna podczas wielkiego Festiwalu Grup Rekonstrukcyjnych w Grudziądzu uległa urokowi pewnego młodego i, w przeciwieństwie do Andrzeja, równego jej wzrostem podchorążego z Pułku Piechoty Legii Nadwiślańskiej. Róża przytoczyła także słowa rozżalonego miłośnym zawodem Andrzeja: „Nie zdradziła tylko mnie, ona zdradziła wszystko, co nas łączyło! Odrzuciła średniowiecze lekką ręką, jak byle szmatę do podłogi. I dla czego? Dla dziewiętnastego wieku? Epoki napoleońskiej? To się wprost nie mieści w głowie, jak fałszywym stworzeniem może okazać się kobieta!”.

– Sabinko, byłem ślepy. Ona nie dorastała ci do pięt. Nie żebym ci to teraz wypominał, ale zrozum mnie, to ty pierwsza złamałaś mi serce. Byłem podatny, odsłonięty. Wystarczyła odrobina kobiecego

ciepła i... sama rozumiesz. Teraz już wiem na pewno: ty jesteś miłością mojego życia. Dlaczego nie spróbować jeszcze raz? Ludzie się schodzą i potrafią być ze sobą szczęśliwi. Na przykład Krzysztof Krawczyk ze swoją żoną. Taki gwiazdor! Skoro on mógł, to i nam się uda! – Andrzej zapalał się coraz bardziej. – Ja się zmieniłem, Sabina. Chodzę na siłownię, mam trenera personalnego i dietetyka też. Spójrz, kaloryfer już zaczyna wychodzić. – Z dumą podniósł koszulę, ukazując brzuch. – Prawda, też to widzisz? Sabinko, znalazłaś wspaniałe miejsce, ja jestem szczerze zachwycony. Już to widzę. Nas tutaj, razem, szczęśliwych, spokojnych, z dala od tego całego zgiełku...

– Przepraszam, że ci przerwę w takim momencie. – Sabina poczuła, że doszła do ściany. Musiała to natychmiast przerwać, zanim stanie się z nią coś, czego konsekwencji nawet nie umiałaby sobie wyobrazić. – Naprawdę doceniam to, co mówisz, ale muszę w tej chwili wyjść. Po prostu muszę. Przepraszam. Dokończymy tę rozmowę później. – Nie czuła się z tym dobrze, jednak nie mogła postąpić inaczej. Wyszła na plażę, żeby odetchnąć pełną piersią i sprowadzić swoje emocje na w miarę regularne tory. To właśnie podpowiedział jej instynkt. Ostatnia szansa, by nie zwariować. To, czym została dziś obciążona, przekroczyło wszelkie granice.

I to był ten moment, kiedy powiedzenie „co nas nie zabije, to nas wzmocni” okazało się nie tylko banalnym sloganem, ale trafnym podsumowaniem rozwoju zdarzeń. Sabina, osiągnąwszy swój punkt krytyczny, niczym tenisowa piłeczka odbiła się od ściany. Mechanizm zaskoczył i nagle w miejsce emocjonalnej huśtawki, przyprawiającej o zawroty głowy, pojawiła się pewność. Najpierw wybrała numer Borysa. Koniec z zadreczaniem się domysłami. Po prostu stawi temu czoła i zada mu kilka pytań, na które sama nijak nie znajdowała odpowiedzi. Serce kołatało jej w piersi, jakby miało z niej wyskoczyć, ale nie wycofała się. Kilka przerażających sekund oczekiwania i... brak sygnału. Miał wyłączony telefon. Poczuła rozczarowanie i ulgę zarazem. A zatem tę przeprawę musiała odroczyć.

*

Domowy węzeł gordyjski okazał się prostszy do rozplątania, niż można się było spodziewać. Kiedy podczas ratunkowego wietrzenia głowy nad morzem spotkała po drodze najpierw Mariusza, a potem Różę, doskonale wiedziała, co robić. W krótkiej, ale treściwej rozmowie zakomunikowała Zygmunutowiczowi, że ona chyba też czuje do niego coś więcej, ale przemyślała to bardzo dokładnie i za bardzo ceni sobie jego przyjaźń, aby ją narażać. Nie mogą przekroczyć granicy, bo wszystko zepsują i nie będzie już powrotu do tego, co było między nimi do tej pory, a takiej straty nigdy by nie odżałowała. Poprosiła, by został jeszcze kilka dni w Mikołowie, aby mogli spędzić ze sobą trochę czasu, poznać się w swoich realnych wcieleniach i pocelebrować nową odsłonę przyjaźni. Obiecała załatwić mu najbardziej odseparowany od świata pokój w „Afrodyce”, nie będzie nawet musiał z niego wychodzić – jedzenie przyniesie mu obsługa.

Swój pokój gościnny oddała Różę, która miała z nią wrócić do domu, podczas rodzinnej kolacji

zaś (wyrzuciwszy potrawę Zygmunta, zrobiła najzwyczajniejsze w świecie kanapki z tego, co ten nieco zbyt skłonny do eksperymentów kucharz litościwie zostawił w lodówce) starała się przekonać Andrzeja, że wejście drugi raz do tej samej rzeki się nie uda. A przede wszystkim, że jest dla niej za dobry i ona nie może mu zepsuć całego życia. Teraz Andrzej musi wylizać rany, ale wszystko jeszcze przed nim, o czym za jakiś czas sam się przekona. Wysportowany czterdziestokilkulatek z czystą po sfinalizowanym rozwodzie kartą to smakowity kąsek dla całej chmary poszukujących kobiet.

– Jeśli mogę ci coś doradzić, bierz pod uwagę grupę wiekową od trzydziestki wzwyż – dodała tylko na koniec swojej przemowy.

Może nie użyła szczerych i opartych na najszlachetniejszych intencjach argumentów, ale i tak była z siebie dumna. Opanowanie tej kuriozalnej sytuacji stanowiło w jej oczach osiągnięcie na miarę ustabilizowania konfliktów na Bliskim Wschodzie.

Następny dzień stał się nagrodą za to, że jakoś to wszystko zniosła. Po raz pierwszy w tym roku Sabina mogła wyjąć leżak i ustawić go pod oszkloną werandą. Co prawda po trzech minutach tego „opalania się” pobiegła do domu po wełniany sweter, ale i tak uczucie słonecznego ciepła głaszczącego twarz było nie do przecenienia. Wiosna napierała już z całej siły. Drzewa za chwilę miały wystrzelić zielenią, a tu i ówdzie na trawnikach krokusy wystawiały swoje fioletowe kielichy do słońca. Leżała z zamkniętymi oczami i ćwiczyła oddychanie. Jakiś czas temu w internecie natknęła się na stronę poświęconą nauce tej, wydawałoby się, niewymagającej żadnej nauki czynności. Wdech, koncentracja na odpowiednich mięśniach, organach wewnętrznych, głośny szelest wydychanego powietrza. Trochę jak na zajęciach z jogi, ale bez wygibasów na macie. Postanowiła spróbować, szukając wciąż sposobów na opanowanie swego rozedrganego „ja”. Niestety i w tę próbę odciążenia umysłu i koncentracji na najprostszej czynności oddychania wkradały się myśli o tym, co się właśnie rozgrywało w jej życiu. Wydarzeniami ostatnich miesięcy mogłaby wszak obdarować kilka osób.

W tym korowodzie szaleństwa jedna najważniejsza rzecz przysłała całą resztę – chyba właśnie odzyskiwała córkę. To było tak wspaniałe, że właściwie nic innego nie musiało się liczyć. Nawet ten cholerny miecz Damoklesa w postaci wciąż czekających na publikację kompromitujących materiałów Borysa. Róża miała zarezerwowany na jutro lot do Nowego Jorku. Wracała na studia, ale – przynajmniej w oczach Sabiny – jako zupełnie inna osoba. Jakby sama musiała dojść do swojej ściany, by o nią uderzyć i otrzeźwieć. To zakrawało na cud, jednak jej córka, to wiecznie niezadowolone, pretensjonalne stworzenie, niemal z dnia na dzień zaczęła mówić ludzkim głosem. I dziś, leżąc na leżaku i wdychając kolejne porcje dobrze najodowanego powietrza, Sabina poczuła dojmujący smutek – że Róża wyjeżdża właśnie teraz, kiedy po wielu latach w końcu jest między nimi dobrze. Miała wrażenie, że dopiero teraz zaczynały się poznawać.

Czyż nie byłoby fajnie posiedzieć tu razem, jak matka z córką? Po prostu sobie pożyć, pobiegać po plaży, gotować obiady, jeździć do Gdańska do kina – cieszyć się sobą, tak jak od dawna się nie

cieszyły.

Róża najwyraźniej też miała jakiś problem z wyjazdem. Kiedy spakowała torbę, zeszła na dół i stanęła na werandzie, patrząc w dal. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła się zebrać w sobie. Przeszłowała z nogi na nogę i żuła gumę, dodając sobie animuszu.

– No? Co tam? – zagaiła Sabina.

– Pfff – dziewczyna wypuściła powietrze z płuc. – No to chyba będę spadać – odpowiedziała.

– Już? – Sabina podniosła się z leżaka i spojrzała na córkę.

– *Times moves on*. Muszę się zbierać. – Róża wzruszyła ramionami, wiercąc nogą w drewnianej podłodze werandy.

– Będę tęsknić, wiesz?

Dziewczyna podniosła na nią wzrok i ku ogromnemu zaskoczeniu matki powiedziała:

– Ej, no ja też.

Na chwilę znowu zapadła krępująca cisza. Sabina miała ochotę zerwać się z leżaka i przytulić to uparte dziewczynisko, ale powstrzymywała się przed tym na wszelki wypadek.

– Słuchaj – zagaiła Róża – moja koleżanka ze szkoły, Julia, napisała mi dziś rano o pracy do wzięcia w bardzo fajnej kawiarni. Bo wiesz, rozesłałam wici po znajomych. Także tak... – Sabina wciąż nie mogła pozbierać myśli. Potakiwała ze zdumioną miną. Jej córka mówiąca o chęci podjęcia pracy to było coś na miarę Fidela Castro popijającego coca-colę. – No bo jednak pomyślałam sobie, że już czas zacząć się utrzymywać – kontynuowała dziewczyna jakby nigdy nic. Jej matka miała tym większą ochotę ją wyściskać, ale nie chciała, by zostało to źle odebrane. Nie mogła pozbawić Róży tego nowo nabytego poczucia, że jest panią własnego życia.

– Kochanie – powiedziała zamiast tego, wstając – bardzo się cieszę, naprawdę. To świetny pomysł. Tylko pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć. I na tatę pewnie też – dodała.

– Wiem, mamó – „mamo!!!”, Sabina o mało nie padła – ale od teraz chcę spróbować żyć na własny rachunek – ton Róży brzmiał tak bardzo serio, że Sabinie aż chciało się śmiać. Nowe wcielenie jej córki było dość niesamowite, musiała to przyznać.

Kiedy godzinę później jej dziecko biegło zziębnięte z „Afrodyty”, gdzie pożegnało się z ojcem (Andrzej nie doszedł jeszcze całkiem do siebie po wczorajszej kolacji i rozczarowaniu, jakim była dla niego decyzja byłej żony), pod domem czekała już taksówka. Róża z daleka wyglądała jak mała dziewczynka, a Sabina, ujrawszy ją z okna, poczuła skurcz gdzieś w okolicach serca. Zniosła jej potwornie ciężki bagaż na dół i już miała poprosić taksówkarza o chwilę cierpliwości, kiedy pan Krzysztof sam wyskoczył z auta i zabrał z jej ręki torbę. Na jego widok przypomniała sobie swój pierwszy przyjazd do Mikołowa, bo właśnie on przywiózł ją tu z Trójmiasta. Uświadomiła sobie, jak długą drogę przebyła od tamtej pory. Pomyślała, śmiejąc się w duchu, że pan Krzysztof jest jak miarka zaznaczająca punkty zwrotne w jej życiu – pojawia się zawsze wtedy, gdy dzieją się rzeczy

przełomowe.

– Harda z pani sztuka! – zawołał do niej. – Robiliśmy we wsi zakłady, kiedy pani stąd zniknie, ale pani nawet tę zimę tutaj przetrwała, szacunek. – Pan Krzysztof poprawił sobie wędkarską czapkę na głowie, patrząc na Sabinę z uznaniem. A kiedy Róża w swoim nowojorskim wdzianku pojawiła się na podwórku, brwi taksówkarza wymownie się podniosły.

– Młódzież – westchnął, po czym popatrzył na jej matkę ze zrozumieniem, mówiąc: – Mój gagatek wytatuował sobie na plecach orła białego.

Uśmiechnęła się do niego współczująco, a Róża, ignorując słowa mężczyzny, wyciągnęła do niej rękę:

– No to *bye, bye*.

Ona jednak dała się porwać narastającej w piersiach fali macierzyńskich uczuć i przytuliła córkę. Miała wrażenie, że tuli długą i cienką szczapę drewna, gdyż Róża natychmiast zeszywniała w jej ramionach, ale i tak poczucie odzyskanej bliskości zalało ją od stóp do głów. Jej córka dzikuska nie wyrwała się z objęć, a to już było coś. Naprawdę duże coś.

– W sumie – powiedziała, odklejając się w końcu od matki – to mogłabyś mnie odwiedzić, jak ci się znudzi ta pipidówka.

Sabina miała wrażenie, że lata ze szczęścia, ale postanowiła powstrzymać emocje na wodzy, mimo wszystko.

– Kochanie, przyjadę na pewno.

Stała potem długo przy furtce i machała nawet wtedy, gdy taksówka zniknęła już za zakretem. Czująco łyzy płynące po policzkach. W kieszeni zawibrował telefon – to Róża! Wysłała swoje zrobione w taksówce zdjęcie i tekst: „Nie jesteś wcale taką rurą bez serca, za jaką Cię uważałam. Thnx Mum, XOXO”. I wtedy Sabina rozryczała się już na całego. Jak bóbr. To były dobre łyzy. Oczyszczające. Kiedy się już wyplakała i zjadła lekki obiad na swoim tarasie, poczuła, że jest gotowa. Zadzwoiła do Kasi i oznajmiła, że wpadnie dziś i spróbuje zmierzyć się ze stosem zaległości nagromadzonym w czasie, gdy chowała się przed światem.

– Czy on... – Choć czuła się już znacznie pewniej, nie była w stanie wymówić na głos jego imienia.

– Borysa nie ma. – Na szczęście nie musiała jej nic tłumaczyć. – Nie wrócił do pracy, nie odbiera telefonu. Po prostu przepadł. Może i lepiej. Po tym wszystkim nie ma tu już czego szukać.

„Podkulił ogon i zwiął – pomyślała Sabina. – Jakie to typowe, swoją drogą. Chciałabym tylko wiedzieć, co on kombinuje...”, zastanawiała się w drodze do „Afrodyty”.

Popołudnie w pensjonacie upływało cicho i spokojnie. Weekendowi goście już opuścili pokoje, a kolejna grupa miała zjechać dopiero jutro. Sabina udała się prosto do biura. Mimo wszystko wolała dawkować sobie powrót do żywych i nie pragnęła spektakularnych powitań. Siedząc w kantorku nad stosem papierów, biła się z myślami. Od pewnego czasu coś w niej narastało i nie dawało spokoju. Dla

odmiany nie miało to związku z jej burzliwym życiem osobistym. Z tym chyba sobie chwilowo poradziła. „Nie, nie mogę tego zrobić. Nie ma co nawet pytać...”, próbowała zniechęcać samą siebie, ale nie odnosiło to specjalnego skutku. Nie pamiętała już, kiedy czuła coś podobnego. Może na samym początku, kiedy powołała do życia Amelię Kruk – teraz wydawało jej się to niewiarygodne, ale przecież wtedy też towarzyszył jej ten dreszczyk podniecenia. I właśnie teraz, kiedy już pogodziła się z tym, że jej pisarskie życie dobiegło końca i nie jest w stanie wykrzesać z siebie nic, co nie będzie przyprawiać jej o skręt kiszek z zażenowania, poczuła, że to ma. Znalazła temat. Coś ją złapało i nie chciało puścić. Ciągnęło do komputera. Tak, chciała pisać!

Uważała jednak, że nie powinna. Że to byłoby nie w porządku wobec Kasi, bo to jej przejmująca historia zawładnęła wyobraźnią Sabiny. Ten właśnie impuls ją uruchomił. Przecież było tu wszystko: miłość i śmierć, szczęście i cierpienie, niezawiniona wina, która pozostawia piętno na zawsze. Pełnia ludzkiego doświadczenia. Skrupuły jednak nie pozwalały jej pójść za ciosem. „Jak mogłabym jej to zrobić? Przecież to stało się naprawdę, to jej prawdziwe życie i ból, nie literatura. Zdradziłabym ją”. Nie mogła wykorzystać przyjaciółki. Ale nieoczekiwany pisarski zew nie dawał się łatwo uciszyć. Choć bardzo się starała go zagłuszyć, w tej chwili na przykład pilnym studiowaniem nowej karty, jaką planował Teo na sezon wiosenny.

Tymczasem Andrzej Czerniak siedział wbity w kanapę w sali z kominkiem. W dłoniach trzymał kieliszek wina. Od czasu wyjazdu Róży czuł się tylko gorzej. A wyjechała dopiero kilka godzin temu. Sam nie wiedział, co ma ze sobą teraz począć. Urlop w ministerstwie nieubłaganie się kończył, musiał wracać do roboty, do Warszawy, do trzydziestu ośmiu metrów na Chomiczówce. Nie miał na to ochoty. Był zdołowany i zły na Sabinę i na siebie, że wszystko tak bez sensu się potoczyło, że – by użyć bliskiej mu terminologii ciepłowniczej – kilka lat temu ich przewody zaczęły rdzewieć. Wtedy wystarczyłby mały remont i wszystko wróciłoby do normy. Przegapili to i ostatecznie poszły rury, poszła cała instalacja i szlag bombki trafił, choinki nie będzie. Szkoda. A potem jeszcze ta nieszczęsna Dobrochna. Ech...

Siedział i dumiał nad kolejnym kieliszkiem bordeaux, kątem oka rejestrując pojawienie się przedziwnej postaci. Do sali kominkowej wszedł bowiem mężczyzna, który nijak nie pasował do tutejszego otoczenia. Po pierwsze, miał na sobie zieloną wojskową kurtkę. Raczej jak na poligon. Po drugie, nie trzeba było sokolego wzroku, by dostrzec, że jego długie włosy, wyliniałe na czubku głowy, po bokach spływały kaskadą tłustych strąków, pokrytych łupieżem. Po trzecie, wzrok tego człowieka biegał nerwowo jak u zestresowanej surykatki. Po czwarte, gdy zdjął kurtkę, po sali rozszedł się odór zatęchłego potu, a pod pachami na czarnej koszulce z napisem „Pidzama Porno” widniały ułożone jak słoje drewna zacieki – jeden nad drugim. Mężczyzna opadł ciężko na fotel w rogu pomieszczenia. Chwilę później miła młoda kelnerka z pewnego rodzaju popłochem w spojrzeniu postawiła przed nim dobrze zmrożoną butelkę wódki. Nie burknąwszy nawet słowa podziękowania, odbił butelkę łokciem, po czym odkręcił i nalał sobie pełen kieliszek.

– Menisk wypukły – powiedział bez zastanowienia Andrzej i sam się zdziwił.

Facet podniósł na niego wzrok, a ten wskazał na kieliszek.

– Menisk wypukły, powierzchnia cieczy w pobliżu ścianek zakrzywia się w dół.

Mężczyzna spojrzał na kieliszek.

– Faktycznie – stwierdził, przyglądając się wódce, która tworzyła jakby czubek.

– Występuje, gdy siły oddziaływania między cząsteczkami cieczy i ścianek są mniejsze od sił oddziaływania między cząsteczkami cieczy – dodał Andrzej, a nieświeży mężczyzna zerknął z zainteresowaniem w jego stronę. Przez chwilę jakby się wahał, ale w końcu powiedział:

– Może kieliszeczek?

Andrzej za to nie wahał się wcale. Wstał ze swojej kanapy i przesiadł się w ciemny kąt, w którym siedział dziwak.

– Ale ja nie mam kieliszka.

Facet podrapał się po głowie, sypiąc łupieżem:

– Dopijaj pan to wino. – Palcem o bardzo brudnym paznokciu wskazał jego lampkę do wina, a Andrzej wzruszył ramionami i dwoma haustami opróżnił zawartość kieliszka, po czym postawił go przed dziwołagiem.

Ten nalał od serca zmrożonego płynu, który zabarwił się delikatnie na różowo, i podał swemu nowemu towarzyszowi. Wypili, nie zakąszając.

– Andrzej – powiedział Andrzej, wyciągając rękę.

– Mariusz – powiedział Mariusz i uściśnął dłoń Andrzeja.

Niecałe dwie godziny później do Sabiny sprawdzającej stan rezerwacji wakacyjnych, których z każdym dniem przybywało coraz więcej, zapukała nowa kelnerka.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale być może powinna pani coś zobaczyć. Bo ja nie bardzo wiem, co w takiej sytuacji...

– Co się stało, pani Gosiu? – zaniepokoiła się.

Gosia przyszła na miejsce Borysa i wciąż jeszcze wdrażała się w pracę w pensjonacie. Nie odpowiedziała, tylko ruszyła przed siebie, pokazując szefowej, żeby była cicho i szła za nią.

W sali kominkowej było ciemno. Właściwie jedyne źródło światła stanowił dogasający powoli ogień w kominku. Dziewczyna położyła palec na ustach i kiwnęła głową w stronę kanapy pod oknem. Sabina wyteżyła wzrok i nagle zobaczyła przytulonych do siebie mężczyzn, z których każdy trzymał w ręce kieliszek (jeden do wódki, drugi do wina). Siedzieli udo w udo, otrząsając się po wychyleniu kolejnej porcji wódki i mówili naprzemiennie płaczliwym tonem.

– Mariusz, kurwa, jak myśmy się kochali. Rozumiesz, jak te króliki, rozumiesz, nie? Nie było takich miejsc, żebyśmy ich nie przerobili. To były czasy. Bez pieniędzy, na kino nie starczało, tośmy się po prostu bzykali. – Tu rozległo się głośne beknięcie i prym w rozmowie przejął Mariusz.

– Andrzej, Andrzej, ty mi nawet nie mów. Ty mi nawet, kurwa, takich rzeczy nie mów. – Czknął, odgarniając tłuste włosy z czoła.

– Najlepsze lata mojego życia mi zabrała, rozumiesz to? – Andrzej w milczeniu kiwał głową, kołysząc się nieco na boki.

– Bez urazy oczywiście, Andrzej, ale to nie była kobieta dla ciebie. Ty jesteś inżynier, masz ten swój świat rur, pomp i, kurwa, menisków wypukłych, a ona potrzebowała jednak kogoś innego.

– Jak ty, Mariusz? – podrzucił posłusznie Andrzej.

– Jak ja – zgodził się Mariusz. Odkręcił butelkę i usiłował polać, ale w środku nie ostała się ani kropla. – Kurwa – powiedział i cisnął butelką w kąt.

Obie kobiety kryjące się w ciemności aż podskoczyły. Sabina czuła, że powinna przerwać tę kompromitującą ją wymianę zdań, zwłaszcza że jej świadkiem była nowo przyjęta kelnerka, ale nie potrafiła wkroczyć.

– Mariusz, ja ci powiem jedno: to zła kobieta była. I chuj.

– Ta jest – zgodził się Mariusz i beknął.

Zapadła długa cisza, którą ostatecznie przerwał Andrzej.

– Mam wódeczkę w pokoju, idziemy?

Zygmuntowicz oparł się dłonią o kanapę, usiłując wstać. Patrzącej na tę scenę Sabinie przywodziło to na myśl dziecięce zabawki na sprężynach – mniej więcej z taką gracją poruszali się teraz obaj panowie. By się wspomóc w tej niełatwej podróży na piętro, postanowili się objąć i ściskając się nawzajem w pasie, ruszyli przed siebie. Kobiety schowały się za murem tak, by nie rzucać się w oczy. Nie musiały – obaj byli w takim stanie, że i tak niczego już by nie zauważyli.

Kiedy zniknęli z pola widzenia, Gosia powiedziała:

– Bo ja nie wiedziałam, co z nimi robić.

Sabina spojrzała na nią i po namyśle odparła:

– Wie pani co, ja też. Nigdy nie miałam pojęcia.

*

Następnego dnia zaopatrzeni w kilka butelek wody mineralnej, Mariusz i Andrzej – od wczoraj para najlepszych przyjaciół – wyruszyli w drogę powrotną: jeden do Warszawy, drugi na Śląsk. Jednak jeszcze w taksówce, która miała ich zawieźć na dworzec w Gdyni, postanowili, że Mariusz na chwilę zatrzyma się u Andrzeja.

– A choćby i na miesiąc, mój dom jest twoim domem.

Postanowili też, że w najbliższy weekend wyciągną z szafy zapomniane od dawna wędki i pojedą nad Zegrze nacieszyć się tym szlachetnym sportem.

- Po co nam te baby? Drogo wychodzi, stresuje. Dajcie mi, ludzie, z tym spokój, raz na zawsze!
- Właśnie, Andrzej! Od tej pory tylko czysta wódka i brudne skarpety.
- Tak jest! Musisz mnie, stary, nauczyć singlowania.
- To jest dużo prostsze, niż myślisz. Zwłaszcza jak masz sztywne łącze.

Odjechali na dworzec transportem zapewnianym przez pana Krzysztofa, który w swojej karierze taksówkarza z letniskowego miasteczka na uboczu niejedno już widział, więc dwóch pijących sobie z dzióbków, dziwacznie wyglądających razem pasażerów nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

EPILOG – KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ

Mycie szyb na werandzie okazało się zaskakująco odprężającym zajęciem. Normalnie, czyli w swoim dawnym życiu, Sabina wezwałaby ekipę sprzątającą, która profesjonalnie zajęłaby się sprawą, ale teraz nawet najbardziej uciążliwe czynności domowe, takie jak mycie okien czy przetykanie rur, były dla niej relaksem. Dom w Mikołowie traktowała z czułością i gdy czyściła wodą z octem kolejne tafle okien, czuła się niemal jak matka wycierająca swemu dziecku umorusaną buzię. Czuła się wspaniale.

Życie wreszcie wróciło do normy, przygotowania do sezonu szły pełną parą. Wyglądało na to, że na brak zajęć nikt aż do końca października nie będzie narzekał. W dodatku turystycznym największego polskiego dziennika ukazał się obszerny artykuł o „Afrodycie”. Jego autor, wyraźnie zachwycony tym, co zastał na miejscu, rozplątywał się nad walorami miejsca, kuchni i atmosfery. Sabina od razu wyczuła w tym niezawodną rękę Lucyny, która rzeczywiście w warszawskim świątku rozkręcała promocję małego miasteczka nad morzem. Odkąd Lucy związała się na poważnie z Jerzym, stała się zagorzałą lokalną patriotką Pomorza, co Sabinę bardzo bawiło, ale i wzruszało. I być może była to najdziwniejsza wiadomość tego roku, nieszczydzącego przecież różnego kalibru niespodzianek, ale na koniec sierpnia w „Afrodycie” zaplanowano ślub tych dwojga. Inspirowany filmem *Moje wielkie greckie wesele*. Przyszła panna młoda już od tygodni zadrezczała renomowaną organizatorkę ślubów swoimi wymaganiami, które jak wszystko, co dotyczyło płomiennowłosej agentki, należały do kategorii „naj”.

Sabina od rana do wieczora uwijała się w pracy, nieodmiennie czerpiąc z tego ogromną przyjemność. Życie z rodziną Zagorakisów i ich współpracownikami, codzienne obcowanie z rozkwitającą każdego dnia przyrodą – wszystko to powodowało, że nawet jej wizja z najgorszych koszmarów, sensacyjna publikacja na jej temat w „Superfakcie”, z każdym dniem bladła. Borys jakby się pod ziemię zapadł. Teo próbował go nawet znaleźć, bo wciąż byli mu winni pensję za jeden miesiąc. Na próżno – poszukiwania nie przyniosły żadnego skutku. Starła się więc po prostu odsuwać od siebie myśli o tym, co być może się zdarzy. Zaczęła stosować metodę Scarlett O’Hary i powtarzała sobie, że pomyśli o tym jutro.

Pewnego wieczora, w okolicach majowego weekendu, siedziała u siebie na werandzie, czekając na Kasię i Teo, którzy mieli wpaść na kolację. Kurczak w tymianku i mandarynkach siedział już w piekarniku, wino chłodziło się w lodówce. Powoli nadciągał zmierzch. Błogą ciszę końca dnia przerwał brzęk telefonu leżącego na stole. Leniwie sięgnęła po komórkę, spodziewając się esemesa od Kasi, że się spóźnią, bo dzieciaki nie chcą iść spać po dobroci. Tymczasem numer nadawcy zaczynał się od +44.

– Anglia? Ki diabeł? – zdziwiła się i kliknęła w ikonkę wiadomości.

„Sabina, tu Borys. Przepraszam, że w takiej formie, ale nie miałem odwagi inaczej. I wcześniej. Piszę, byś wiedziała, że strasznie mi przykro. Nigdy, przenigdy nie chciałem Cię skrzywdzić. Dostałem zlecenie, to prawda, ale to wymknęło się spod kontroli, kiedy Cię bliżej poznałem. O tekst się nie martw – nic na Ciebie nie mają. Mieszkam teraz w Londynie i właśnie dostałem się na staż. Do BBC. Mam nadzieję, że kiedyś się jeszcze spotkamy. W każdym razie nigdy Cię nie zapomnę. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze”.

Kiedy Kasia i Teo zjawili się na miejscu, zastali Sabinę leżącą nieruchomo z zamkniętymi oczami na kanapie pod ścianą werandy.

– Szabina, czo jest? Szabina? – usłyszała głos przyjaciela i otworzyła oczy.

– Nic, kochani, nic. Wszystko dobrze.

A potem przyszło upalne lato. Goście w pensjonacie pojawiali się i znikali. Kuchnia pracowała pełną parą i konieczne stało się zatrudnienie kilku nowych osób, które na szczęście okazały się trafnym wyborem, co wcale nie było oczywiste w pełni sezonu nad morzem.

Sabina miała już wykupiony bilet do Nowego Jorku na początek października, kiedy przetoczy się największa fala turystów. Rozmowy na Skypie z Różą przestały być niechcianym obowiązkiem. Dzwoniły do siebie raz na parę dni i paplały jedna przez drugą, najczęściej o błahostkach, które zdarzyły się od czasu ostatniej rozmowy. Sabina za każdym razem utwierdzała się w przekonaniu, że nie zna drugiej tak dowcipnej i błyskotliwej osoby jak jej córka. Nie mieściło jej się w głowie, że wcześniej tego nie dostrzegала. Przede wszystkim to właśnie dzięki niej zrozumiała coś ważnego: burzliwa i brzemienna w skutki wizyta Róży spowodowała coś w rodzaju oświecenia. Wcześniej się bała. Lata pozbawionego emocji, acz bezpiecznego małżeństwa oduczyły ją przeżywania życia. Musiała przyznać sama przed sobą, że córka nie bez powodu zarzucała jej bycie królową lodu. Przygoda z Borysem była szaleństwem, ale przecież ona przez cały czas nie opuszczała gardy – nie potrafiła się przyznać, że się zakochała. Dopiero gdy Róża zadała bolesny cios, do głosu doszły prawdziwe emocje. Dziś Sabina wiedziała już, że nie powinna się ich bać ani wstydzić, ponieważ były prawdziwe.

„Mam supercórkę, teraz wystarczy już tylko tego nie spieprzyć – stwierdziła po raz kolejny. – I całkiem superżycie...”

Zdarzyło się coś jeszcze. Nie tylko pomoc w prowadzeniu „Afrodyty” zajmowała jej czas. Wieczorami i kiedy tylko miała wolną chwilę, pisała. Zapomniała o siedzeniu z tępym wzrokiem przed ekranem komputera. Nie potrzebowała specjalnych warunków, specjalnych krzeseł ani zaklęć mających obłaskawić wenę. Przysiadala gdziekolwiek i nawijała koraliki opowieści, która pisała się sama. Zmieniała nieco okoliczności, lokalizację zdarzeń, ale i tak była to historia Kasi. Pewnego dnia wreszcie odważyła się wyznać przyjaciółce, że to, co od niej usłyszała wtedy na plaży, nie daje jej

spokoju, i ku swemu zdziwieniu usłyszała:

– Podoba mi się ten pomysł. Napisz o tym.

Sabina tak się ucieszyła zupełnie niespodziewaną reakcją Kasi, że nie dopytywała nawet, skąd ta wypowiedziana tak dobitnie i pewnie, bez chwili zastanowienia decyzja. Może to dla niej rodzaj oczyszczenia? Zostawienie za sobą przeszłości, oddanie jej w ręce przypadkowych ludzi? Mogła się tylko domyślać. Nie pisała, by udowodnić komuś, że jest coś warta, by znaleźć się w innej lidze. Chciała po prostu opowiedzieć ludziom historię, która ich poruszy. I wiedziała, że umie to zrobić. To było wspaniałe uczucie.

Warszawa-Wężówka, 2014–2015

PODZIĘKOWANIA

To już druga książka! Dziękuję przyjaciołom i czytelnikom za wszystkie miłe słowa o *Za żadne skarby*. To dodaje skrzydeł!

Dziękuję Anecie za nieustające wsparcie i zasianie pierwszego ziarna historii romansu Sabiny, a także nieocenionej mecenas Ani B. za rozwikłanie problemu prawnego mojej bohaterki.

Robertowi Chojnackiemu, mojemu wydawcy, za wielką wiarę pokładaną w moich książkach. Paniom Ewie Sajek i Małgorzacie Olszewskiej z Wydawnictwa Otwartego za świetną współpracę.